

Pani pożądanía

Foley Gaelen



calibre 0.9.27

GAELEN FOLEY

PANI POŻĄDANIA

Przekład

Agnieszka Dębska

Londyn, 1816

Dorożka zaturkotała pod sklepieniem kamiennym przejściem i wjechała na oświetlony pochodniami dziedziniec. Zanim woźnica zdążył pomóc wysiąść jedynej pasażerce, z pojazdu wyskoczyła osiemnastolatka z potarganymi włosami i buntowniczym błyskiem w ciemnych oczach.

Lady Jacinda Knight przyjechała bez służącej i bez przyzwoitki. Trzasnęła drzwiczkami, co sprawiło jej szczerą satysfakcję. Potem odwróciła się, poprawiła skórzaną sakwę podróżną na ramieniu i powiodła pełnym irytacji spojrzeniem po galeryjkach stacji pocztowej z dwoma rzędami białych balustrad. Z zajazdu wybiegło ku niej dwóch młodych tragarzy.

- Weźcie mój bagaż - zażądała, nie dbając o zdumione miny posługaczy. Wpatrywali się w jej smukłą postać otuloną w ciemnoczerwony redingot z aksamitu, obsyty płowym sobolim futerkiem. Zapłaciła woźnicy i przeszła przez podwórze brukowane kocimi łbami. Długie, skręcone loki o barwie złotych gwinei podskakiwały energicznie przy każdym pełnym determinacji kroku.

Zatrzymała się na progu zatłoczonego zajazdu i nieufnie popatrzyła na hałaśliwy, pstrokaty tłum podróżnych. Jakieś dziecko darło się wniebogłosem na matczyne kolana. Ludzie o prostackim wyglądzie drzemali na stołkach i ławach, wyczekując pory odjazdu ich dyliżansu. W kącie awanturował się pijak, a mały żebrak, chroniąc się przed chłodem, przycupnął przy trzaskającym ogniu.

Jacinda czuła się niepewnie, ale uniosła zuchwale podbródek. Przeszła przez długą salę, przeciskając się pomiędzy ludźmi, których jej niezliczeni, dobrze urodzeni adoratorzy nazwaliby pewnie „śmierdzącym motłochem”. Czuła, jak się w nią wpatrują, jedni z

niechęcią, inni z zacięciem. Któryś z mężczyzn zerknął podejrzliwie na jej stopy.

Dopiero wtedy zorientowała się, że spod długiego płaszcza widać balowe pantofelki ze złocistego ałtasu.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie - lepiej, aby pilnował swego nosa - i próbowała zasłonić buciki rąbkiem okolonej futrem poły. Usiłując nie pokazywać stóp, dobiegła jakoś do wysokiego drewnianego kontuaru. Bileter skryty za pomiętym egzemplarzem „Timesa” ignorował hałaśliwy tłum. Nad nim wisiała tablica z wypisanymi kredą godzinami odjazdów i przyjazdów dylizansów oraz cennikiem.

Jacinda ściągnęła szybko rękawiczki; miała nadzieję, że wygląda na osobę, która wie, co robi.

- Muszę się dostać do Dover.

- Dylizans odchodzi o drugiej - burknął bileter, nie odkładając gazety.

Oniemiała. Potraktował ją isticie po grubiańsku.

- Źle mnie pan zrozumiał. Chciałam zamówić karetkę pocztową.

Tym zyskała zainteresowanie biletera. Tylko bogaci mogli sobie pozwolić na wynajmowanie pomalowanych na żółto, prywatnych powozów. Odłożył gazetę, podniósł się z krzesła i poczłapał z wolna za nią. Dokładnie w tej samej chwili pojawili się dwaj tragarze, dźwigając jej zapakowane w pośpiechu kufry. Bileter zanurzył gęsie pióro w kałamarzu i wysmarkał się w powalane atramentem palce.

- Dokąd pani chce jechać?

- Do Dover - powtórzyła cierpko. - Kiedy karetka będzie gotowa?

Mężczyzna zerknął na zakurzony zegar ścienny i wzruszył ramionami.

- Za jakieś dwadzieścia minut.

- Chodzi mi o czterokonny zaprzęg z dwoma poczylionami.

- To będzie dodatkowo kosztowało.

- Nieważne. - Wyciągnęła skórzaną sakiewkę z worka podróżnego i nieco roztargniona zapłaciła pospiesznie tragarzom.

Bileter oniemiał na widok mieszka wypełnionego po brzegi złotymi gwineami, srebrnymi koronami i szylingami. Gęsie pióro zawisło na chwilę nad spisem podróży, a mężczyzna stał się uprzejmiejszy.

- Ee... jak pani godność?

- Smith - skłamała jak z nut. - Panna Jane Smith.

Rozejrzał się za jej przyzwoitką, lokajem czy służącą, których, dzięki Bogu, przynajmniej raz nie miała ze sobą.

- Chce pani podróżować sama, panno Smith?

Uniosła podbródek.

- I owszem.

W oczach biletera dostrzegła nieufność. Nieco zaniepokojona, ale z miną godną wytrawnego hazardzisty, rzuciła kilka monet na kontuar. Mężczyzna zacisnął wargi i schował pieniądze do kieszeni bez dalszych pytań. Dzięki Bogu! Potem wpisał jej nazwisko do dziennika i na listę podróży. Wskazał piórem kufry, ustawione jeden na drugim.

- Czy to cały pani bagaż, panno... ee... Smith?

Przytaknęła, zasłaniając dłonią, niby przypadkiem, złożony herb przy zamku, żeby go nie zauważył. Poczekała, dopóki nie pochylił się ponownie nad wykazem podróży.

Wiedziała, że gdyby wydało się, kim naprawdę jest, żadną łapówką nie zdołałaby go odwieść od wezwania z Almacka całego zastępu jej groźnych braci. Oni zaś z miejsca zabraliby ją do domu.

Gdyby pomógł jej w ucieczce, naraziłby się wszystkim pięciu Knightom. Podobnego

błędu nie ośmieliłby się popełnić żaden człowiek w Anglii. Tyle że Jacinda ani myślała się z tym godzić. Właśnie że pojedzie do Dover, a potem do Calais, i nikt jej nie zatrzyma!

Bileter przyjął zapłatę i wysłał ludzi, by przygotowali karetkę do drogi. Tragarze zabrali kufry, żeby je załadować. Jacinda krążyła wśród tłumu, podskakując nerwowo za każdym razem, kiedy cynowy róg oznajmiał odjazd lub przyjazd jakiegoś dyliżansu.

W końcu usiadła na ławce stojącej przy ścianie koło świecznika. Rozluźniła wstążki kapelusza pod brodą i wyciągnęła z sakwy podróżnej zniszczony tomik jej ulubionego *Korsarza* lorda Byrona. Chciała skrócić sobie oczekiwanie lekturą. Usiłowała zagłębić się w poemat, lecz nie potrafiła się skupić na treści. Zanadto przejmowała się własną eskapadą.

Nerwowo wyciągnęła dokumenty bezpiecznie tkwiące pomiędzy stronicami Byrona.

Głowę miała pełną wspomnień z podróży po Europie. Dwa lata temu jej brat i opiekun, książę Robert Hawkscliffe, człowiek ostrożny i powściągliwy, wszedł w skład brytyjskiej delegacji na kongres wiedeński. Zabrał wówczas ze sobą żonę, Bel, oraz Jacindę i jej towarzyszkę, Lizzie, żeby i one mogły wziąć udział w uroczystościach upamiętniających koniec wojny.

Gdy Napoleona wreszcie pojmano, można było bezpiecznie wojażować po Europie. Jadąc do stolicy Austrii, Robert obwioził je po najważniejszych i najpiękniejszych miastach innych krajów. W każdym z nich flirtowało z nią istne mrowie uroczych młodzieńców, o czym przypominała sobie z przewrotnym zadowoleniem. Jakież to było zabawne, choć ślepy Kupido, niech go licho, stale raził jej serce złotymi strzałami! A wśród wszystkich tych miejsc Paryż - ukochane miasto matki, był dla niej miejscem wymarzonym.

Wkrótce znajdzie się tam znowu, wśród fascynujących przyjaciół matki, zdziesiątkowanej francuskiej arystokracji. No i nareszcie będzie wolna. Za żadne skarby nie zostanie tutaj, gdzie ją zmuszają do małżeństwa z lordem Griffithem. Cóż z tego, że jest dżentelmenem w każdym calu, a małżeństwo byłoby korzystne, bo ich posiadłości w

Cumberland graniczą ze sobą? Cóż z tego nawet, że to jedyny mężczyzna, którego bracia jednogłośnie uznali za najodpowiedniejszego dla niej męża, bo przyjaźnił się z nimi w dzieciństwie, a potem podczas studiów w Eton czy Oksfordzie?

Przystojny, wytworny mężczyzna tuż przed czterdziestką, Ian Prescott, markiz Griffith, chłodny i spokojny, miał, jak zdecydowali, stanowić przeciwwagę jej młodzieńczych namiętności i samowoli, Ian gotów był ją poślubić niezależnie od jej zdania, lecz Jacinda nie godziła się na małżeństwo z kimś, kogo nie kochała. Griffith nie był bratnią duszą, lecz tylko jakby jeszcze jednym bratem. Zapewne cierpliwie służyłby jej opieką. Łagodnie by instruował, co ma robić, podejmował za nią wszystkie decyzje i próbował kupić sobie jej posłuszeństwo kosztownymi błyskotkami, traktując ją jak ślicznego, małego głuptaska.

Dziś wieczorem u Almacka Robert, który uważał, że to jedyne miejsce, gdzie Jacinda nie ośmieli się urządzić dzikiej sceny, powiedział, że po jej ostatnim skandalicznym zachowaniu w Ascot nie można już dłużej odkładać mariażu obu ich potężnych rodów. Pertraktacje zbliżały się do końca, jak stwierdził, i jutro ustalą się datę ślubu. Jacinda była wstrząśnięta taką decyzją.

Cała rzecz w tym, że bracia przesadzali z opiekuńczością, a także zbyt wzięli sobie do serca tamten żart. Bo na wyścigach chodziło przecież tylko o niewinny żarcik, pomyślała naiwnie.

Gdy dowiedziała się o postanowieniach brata, natychmiast zrozumiała, że musi przedsięwziąć jakieś dodatkowe kroki. Z Robertem, kiedy przybrał tę swoją namaszczonej minę, nie dało się dyskutować. Gniewny wzrok i grzmiący ton jego głosu uświadomiły jej, że to nie tylko poważny, zacny starszy brat, któremu przez całe dzieciństwo płatała figle. Robert był teraz jednym z najpotężniejszych ludzi w Anglii, władczy i dostojny; w jego

obecności nawet książe regent czuł się niekiedy onieśmielony.

Wymknęła się więc cichaczem z Almacka i pobiegła do domu. Pospiesznie spakowała rzeczy i przywołała gwizdnięciem pierwszego z brzegu dorożkarza, który pojawił się na St. James Street koło jej domu, imponującego Knight House w Green Park.

- Dostanę grosik, panienko?

Z zamyślenia wyrwał ją cienki, nieśmiały głos. Jacinda zerknęła znad dokumentów i poczuła współczucie.

Stał przed nią ten sam zmoknięty uliczny żebrak, który przedtem kulił się przy ogniu.

Patrzył na nią błagalnie, z małą brudną ręką wyciągniętą w pełnym nadziei oczekiwaniu.

Wyglądał może na dziewięć lat, miał wielkie brązowe oczy jak u szczenięcia i powalaną buzię. W złachmanionym ubranku przypominał stracha na wróble. Stopy miał bose. Serce się jej ścisnęło.

Biedne, żalosne maleństwo.

- Dostanę grosik, panienko?

Mizerny malec zatrząsł się z zimna i spojrzał bojaźliwie na biletera, jakby się bał, że go dostrzeże i wyrzuci na dwór.

- Ależ oczywiście, skarbie - szepnęła serdecznie i wyciągnęła z worka podróżnego pękata sakiewkę. Wyjęła z niej trzy błyszczące złote gwinee, potem dołożyła jeszcze jedną.

To wszystko, co mogła zaoszczędzić z długiej i kosztownej podróży do Francji.

Chłopiec wytrzeszczył oczy na widok błyszczących monet, ale nie zrobił żadnego ruchu, jakby nie śmiał ich wziąć.

Niedowierzanie dziecka wzruszyło ją. Najwidoczniej nie zaznało zbyt wiele życzliwości. Trzymając sakiewkę w drugiej ręce, wyciągnęła ku niemu dłoń z monetami.

- No weź je sobie - odezwała się łagodnie - są twoje.

Niespodziewanie brudna dłoń wyrwała jej sakiewkę i chłopiec dał nura w tłum, przyciskając zdobycz mocno do piersi. Jacinda zaniemówiła. Przez chwilę stała nieruchomo. W ręce zostały jej tylko cztery złote gwinee, które chciała dać małemu obdartusowi. Ogarnęła ją wściekłość.

- Stój, złodzieju!

Nikt nie zwrócił uwagi na jej krzyk. Zdumiało ją to jeszcze bardziej niż sama kradzież. Zwężyla oczy ze złości.

- A to dobre!

Ścisnęła mocniej sakwę podróżną na ramieniu, jakby ją również chciał ktoś ukraść, i rzuciła się za złodziejaszkiem. Chwilę później wypadła za nim w wilgotną i zimną kwietniową noc. Zdążyła zobaczyć, że przebiegł przez rozległy dziedziniec.

- Stój w tej chwili!

W odpowiedzi usłyszała z daleka wybuch śmiechu i mały łobuziak zniknął za rogiem.

Był zwinny jak kot i najwyraźniej nie raz już musiał salwować się ucieczką. Jacinda zebrała suknię i rzuciła się w pogoń, pędząc na oślep po wilgotnym bruku. Równie dobrze mogłaby biec boso, bo balowe pantofelki z miejsca przemokły i zdarły się do cna.

Kapelusz zsunął się jej z głowy i zawisł na wstążkach, uderzając ją raz po raz w plecy.

Nie poprawiła go jednak. Obiegła wokół wysokiego ceglany mur. W sakiewce znajdowała się fortuna. Bez niej wszystkie plany Jacindy spełzyłyby na niczym.

Dojrzała złodzieja, biegnącego po Drury Lane.

-Wracaj, mały dzikusie!

Odskoczyła, żeby wyminąć nadjeżdżający dyliżans. Z oczami utkwionymi w chłopcu biegła najprędzej, jak mogła. Sakwa podróżna objęła się jej o bok.

Złodziejaszek obejrzał się przez ramię i spostrzegł ją. Skręcił w obskurną boczną

uliczkę, a Jacinda, bojąc się, że straci chłopaka z oczu, nierozważnie biegła coraz dalej, zagłębiając się w labirynt zaułków i wilgotnych krętych pasaży. Była wściekła na siebie. Dać się wystrychnąć na dudka byle ulicznikowi! O nie! Nie po takiej nocy, jaką miała za sobą! Ruszyła w pogoń z taką samą zaciętością, jaka zjednała jej opinię niezwykle zręcznej amazonki w polowaniu ze sforą. Znow krzyknęła za ulicznikiem, całkiem jak przekupka, mimo że traciła już oddech.

- Nie wiesz, że mogą cię za to powiesić, podły smarkaczu?!

Nie zareagował. Kluczył zwinnie wśród wąskich, krętych, zapuszczonych uliczek na tyłach placu Covent Garden. Pełno tam było śmieci, a wśród stosów odpadków buszowały szczury. Jacinda ledwie to zauważyła, myśląc jedynie o pościgu.

Chłopiec szybko zaczął opadać z sił. Jacinda, przekonana, że za moment go dopadnie, ruszyła szybciej. Już niemal go dosięgała. Obejrzał się: spojrzenie miał pełne strachu.

Skoczyła gwałtownie, łapiąc go za kołnierz wyświechtanego płaszcza.

Krzyknął. Kiedy zajrzała mu w twarz, miotał się niczym ryba na wędce. Jacinda trzymała go z całych sił.

- Oddaj to zaraz! - zawołała, dysząc ciężko. Uciekinier, mimo że złapała go za kołnierz i pociągnęła do góry tak, że niemal zwisał jej w rękę, zdołał kopnąć ją w łydkę.

Szarpnęła go wściekle za ucho. -Au! -wrzasnął.

- Jesteś wstrętnym smarkaczem! Dałam ci więcej pieniędzy, niż mógłbyś wyżebrać przez parę miesięcy!

- Mam to w nosie! Puszczaj mnie! - Chłopiec kurczowo ścisnął jej sakiewkę w brudnych dłoniach; wolną ręką próbowała mu ją wyrwać.

Kiedy mocowali się ze sobą, z fryzury - troskliwie ułożonej przed balem przez służącą

- wymykało się coraz więcej pasm.

- Oddaj ją natychmiast, mały dzikusie! Wybieram się do Francji i potrzeba mi na

podróż sporo pieniędzy!

- Uaa! - chłopiec wrzasnął niczym rozzłoszczony kot, a z sakiewki wysypał się istny potok monet. Przy świetle pełni wyglądały jak złote i srebrne fajerwerki; pokryły ziemię naokoło niby grad, padając na grubą warstwę nieczystości. Chłopiec rzucił się na pieniądze, pospiesznie zbierając, ile tylko mógł złapać.

- Zostaw, są moje!

- Kto znalazł, ten... - zaczął, lecz nagle zastygł w miejscu i rozejrzał się bez słowa naokoło.

Jacinda zrobiła to samo, zdziwiona jego zachowaniem.

-Co się stało?

- Sza! - Pochylił się, jakby nasłuchiwał jakichś dalekich dźwięków. Mogła dostrzec błysk białek jego oczu; wpatrywał się w mrok, gdzieś za nią. Zacisnął w pięści monety, które udało mu się podnieść. Przypominał jej zwierzątko, nasłuchujące czujnie zbliżającego się drapieżcy.

Chociaż księżyc wciąż jeszcze świecił, jego blask padał na środek uliczki. Ciemności w głębi, tuż przy ścianach budynków, były niemal namacalne.

-Mówię ci, że...

- Ktoś nadchodzi!

Była pewna, że złodziejaszek chce jej spłatać kolejnego psikusa. Nasłuchiwała chwilę, ale w końcu straciła cierpliwość.

- Niczego nie słyszę... - Ledwie to powiedziała, z labiryntu splątanych zaułków doleciał ją dziki, barbarzyński okrzyk wojenny. Zaparło jej dech. Dobry Boże! Co to takiego?

- Szakale! - syknął malec, zakręcił się na pięcie i zniknął w mroku. Spojrzała za nim,

oniemiała.

- Wracaj w tej chwili!

Oczywiście nie posłuchał jej, już go nie było.

- Patrzcie no! - Jacinda oparła ręce na biodrach i spojrzała w ślad za nim. Po chwili wzięła się do zbierania rozrzuconych pieniędzy, w każdej chwili gotowa uciec mrocznym pasażem. Rozglądając się czujnie i podejrzliwie, zdołała znaleźć trochę monet i wsunąć je do torby. Krzywiła się przy tym z obrzydzeniem, wyławiając je z błota. Przeklinała własną naiwność. Jakaż była głupia, afiszując się ze swym bogactwem przed cizbą na stacji pocztowej. Nagle usłyszała szybkie, ciężkie kroki w głębi uliczki.

Uniosła głowę i wpatrywała się w ciemność. Krew odpłynęła jej z twarzy. Dobiegł ją odgłos podkutych butów maszerujących po kocich łbach. Męskich, donośnych kroków. Grubiańskie przekleństwa odbijały się echem od ceglanych ścian.

- Któż to jest? - szepnęła, zrywając się na równe nogi. Zbyt późno zdała sobie sprawę, że pośród krętych uliczek można spotkać kogoś znacznie groźniejszego niż małego złodziejaska.

Głosy się zbliżały. Płynęły ze wszystkich stron, spomiędzy brudnych murów. Jacinda zadrżała i zakręciła się w koło, nie wiedząc, którędy uciec.

Przycisnęła do siebie kurczowo torbę i przylgnęła do ściany budynku, usiłując wtopić się w mrok. Gdy dostrzegła, że zbliża się ku niej kilku mężczyzn, zapomniała o wszelkiej dystynkcji i wcisnęła się w stertę odpadków za wyblakłym, naklejonym na drewno afiszem, reklamującym „Wschodni Proszek do Zębów” marki Trotter, wspartym o starą, rozeschniętą beczkę. Tam, na czworakach, niczym w lisiej norze, zwrócona twarzą w stronę uliczki, poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Tuż obok, nad zniszczonym butem i zwojem zardzewiałego łańcucha, leżała porzucona przez kogoś rolka grubej tektury, na którą niegdyś

nawinięta była biała tkanina. Jacinda ostrożnie postawiła ją na sztorc i wsparła o nią skraj afisza, aby się lepiej ukryć. Łomot jej serca wypełnił ciasną, wilgotną kryjówkę. Przez szczelinę pomiędzy afiszem a rolką wyglądała na uliczkę.

Och, jakżeby się śmiała jej największa rywalka, Daphne Taylor, widząc ją w takim położeniu! Jacinda zamarła, bo w tejże chwili pół tuzina mężczyzn przemknęło obok; blask księżycy lśnił na ostrzach noży, które ściskali w dłoniach. Rozległ się huk wystrzału. Kula świsnęła jej nad głową. Jacinda skuliła się w swojej kryjówce, tłumiąc krzyk trwogi. Potem, po kilku kolejnych strzałach, przebiegło koło niej jeszcze więcej mężczyzn. Uciekali w popłochu.

Choć szczelina między afiszem a tekturową rolką nie była duża, Jacinda dostrzegła cztery zwaliste męskie sylwetki w mglistym przejściu między zaułkami. Mężczyźni podeszli bliżej. Nieśli noże, ołowiane rury i okropne, drewniane pałki nabijane na końcu gwoździami. Ledwie mogła oddychać, tak bardzo się bała, że ją zobaczą lub usłyszą.

Miała przed sobą całą gromadę złoczyńców; nie dziwnego, że mały złodziej wziął nogi za pas. Poczła gęsią skórę na ramionach. Przypomniała sobie wstrząsające opowieści o tym, co londyńscy przestępcy robią ze swoimi ofiarami. Oby jej tylko nie znaleźli! Och, jakże chciała mieć ze sobą swój ulubiony muszkiet, z którego strzelała do dzikiego ptactwa!

-Walczcie z nami, nędzne psy! - rozkazał wysoki, muskularny mężczyzna o prostych rudych włosach. Jacinda wyczuła głębokie poruszenie w jego głosie.

- Zabiłeś go, O'Dell? Widziałem, jak go dźgnąłeś!

- Nie wiem, ale solidnie oberwał, mogę ci przysiąc. Łotry! - wymamrotał, kiedy prześladowcy wypadli z bocznej uliczki i rzucili się na nich.

Na jej oczach pościg zmienił się w dziką utarczkę. Dwie grupy rzezimieszków walczyły z zaciekłością, wrzeszcząc coś do siebie.

Mogliby równie dobrze mówić w obcym języku, bo nie rozumiała londyńskiej gwary ani złodziejskiego żargonu. Nie widziała też wiele w mroku, jedynie poruszające się sylwetki, ale już same odgłosy walki były dostatecznie okropne.

Ku jej przerażeniu trzech kolejnych bandytów, zamiast uciekać, wbiegło w uliczkę z przeciwnej strony. Spieszyli na pomoc kamratom. Teraz ich rywale znaleźli się w mniejszości. Słyszała przekleństwa i zdyszane głosy, kiedy przybysze odcięli wrogom odwrót.

A potem, niespodziewanie, dokładnie nad jej głową rozległ się przerażający okrzyk. Spojrzała bez tchu w górę. Wysoki, muskularny cień z kocią zręcznością wysunął się zza stosu cegieł, tuż przy jej kryjówce. Mignęły jej w ciemności zielone, pełne wściekłości oczy.

- O'Dell!

Jacinda nie mogła oderwać wzroku od nieznajomego. Walka w uliczce ustała, złoczyńcy klęli pod nosem. Blask księżyca oświetlił grzywę jasnych włosów, położył się na szerokich barkach, zabłysnął na ostrzu trzymanego w ręku noża.

Rudy mężczyzna, którego najwyraźniej nazywano O'Dellem, zaklął i otarł pot z czoła.

- Jeszcze nie wykitowałeś, draniu?

Mężczyzna wystąpił groźnie do przodu z cynicznym uśmiechem na twarzy. Jacinda szeroko otworzyła oczy.

Wyglądał dokładnie tak, jak Byronowski korsarz. Światło księżyca padało na jego czarny strój i kładło się ukośnie na stwardniałych rysach niby farba wojenna Indian. Miał na sobie krótki płaszcz i luźną lnianą koszulę rozpiętą na piersi. Czarne spodnie ciasno opinały wąską talię i długie nogi. Gdy zacisnął dłoń w pięść, Jacinda spostrzegła złote pierścienie na jego palcach.

Patrzyła na mężczyznę z zapartym tchem. Instynktownie wiedziała, że w tej dżungli ceglanych ruder on jest królem.

Ruszył do ataku. Nad głową usłyszała odgłosy walki, a reklamowy afisz zatrzeszczał pod ciężarem muskularnego ciała i opadł niżej na stos odpadków. Nieznajomy uderzył O'Della w szczękę, a jego wróg przeleciał przez uliczkę jak kula armatnia.

Potem rozpętało się piekło.

Jacinda, przyciskając twarz do szczeliny, z wypiekami na twarzy śledziła, jak przywódca złodziei sieje spustoszenie wśród nieprzyjaciół. Gdy tylko wymierzył pierwszy cios, jego ludzie ponownie rzucili się na przeciwników. I chociaż było ich niewielu, przybycie przywódcy wyrównało szanse. W całej uliczce wrzała walka.

- A mówiłem - huknął przywódca, powalając jednego z wrogów na ziemię - żebyś trzymał się z dala od mojego terenu, bo inaczej zdechniesz?! - Kopnął go w brzuch, a potem rzucił się na niego, jakby chciał go zabić.

Ciosy, przekleństwa i gardłowy charkot wypełniły uliczkę. Przywódca złoczyńców znów stanął w blasku księżyca. Uchylił się zwinnie, gdy O'Dell zamierzył się na niego nabijaną gwoździami pałką. Jacinda wstrzymała dech. Była to straszna broń, długie gwoździe rozrywały ciało aż do kości. Ale mężczyzna unikał uderzenia i pałka jedynie świstała raz po raz w powietrzu. Mimo to O'Dell wymachiwał nią groźnie i podchodził coraz bliżej ofiary. Jacinda przycupnęła za beczką, gdy walczący zbliżyli się do niej. Nagle znaleźli się tak blisko, że mogła wyczuć ciepło ich ciał. Skuliła się w swojej kryjówce. O'Dell z dzikim wyciem zadał kolejny cios, nieznajomy skoczył w bok. Wielka pałka przeleciała w powietrzu, lądując na szczycie beczki, ledwie kilka centymetrów nad głową dziewczyny. Posypały się na nią kurz i drzazgi.

Sama nie wiedziała, jak udało jej się powstrzymać od krzyku. Afisz na szczęście

pozostał na miejscu, ale Jacinda poczuła tuż obok potężne uderzenie. Zaraz potem przywódca złodziei upadł na stos śmieci. Znow wstrzymała oddech, przytrzymując desperacko afisz nad głową. I wtedy zobaczyła, że nóż mężczyzny spadł między odpadki. Leżał tam, w zasięgu jej ręki, połyskując w świetle księżyca.

O'Dell chwycił swoją pałkę leżącą na beczce; drugi mężczyzna, wciąż leżąc na plecach, szukał noża.

W uliczce ciągle słychać było krzyki, a nieznajomy tak się zapamiętał w szaleńczej walce, że nie zauważył jej obecności, mimo że dzieliło ich niewiele ponad pół metra. Serce Jacindy waliło jak szalone. Wszystko w niej pragnęło pchnąć nóż w stronę przywódcy, tak by mógł się bronić. Ale co zrobi, jeśli ją zauważy?

Oczy O'Della błysnęły dziko w ciemności. Uniósł pałkę nad głową, chcąc zadać śmiertelny cios. Jacinda nie wytrzymała, wysunęła stopę w złocistym pantofelku i popchnęła nóż ku przywódcy. Jego ręka natrafiła tymczasem na zardzewiały łańcuch. Chwycił go kurczowo i z groźnym pomrukiem machnął nim jak pejczem. Trafił O'Della w twarz. Przeciwnik wrzasnął, upuścił pałkę i złapał się za oko. Oślepiony, niezdolny do walki, wycofał się.

Przywódca gangu chwycił nóż i dźwignął się na nogi. Szybko rozgromił wrogów, którzy rzucili się do ucieczki.

- Za nimi! - huknął na swoich ludzi.

Jacinda dojrzała przez szparę, że opryszki O'Della wycofują się i uliczka pustoszeje.

Przywódca gangu rzucił się w ślad za nimi, jakby nie dość mu było zaciekłych zmagania.

- Billy, stój! Riley jest ranny!

Nie zatrzymało go to. Rzucił tylko gniewne spojrzenie na towarzysza, który go zawołał.

- Odnieście go na Bainbridge Street! Chcę skończyć z O'Dellem!

Jacinda dostrzegła w mroku zarys ciała leżącego na ziemi. Dwaj inni mężczyźni nachylili się nad nim.

- Szkaradnie dostał, chłopie.

- Billy... - rozległ się słaby głos.

Wciąż jeszcze w szoku po wszystkim, co przyszło jej oglądać, nie zwróciła uwagi na to imię. Dotkliwie poraniony przywódca wrócił tymczasem, pomstując z cicha na przeciwników.

- Przekłęci, śmierdzący tchórze...

Jacinda oniemiała. Jak on się wyraża!

- Billy... - wystękał ranny.

- Ach, Riley, ty głupi Irlandczyku, aleś nam wyciął kawał! Co cię napadło? - spytał przywódca z udawaną szorstkością. Przyklęknął na jedno kolano przy rannym.

- Załatwili mnie, Billy.

- Nie przesadzaj! Zamknij się i napij, na rany Chrystusa. - Przytknął flaszkę do ust rannego. - Trzeba kogoś więcej niż przekłętego Szakala, żeby zabić Irlandczyka. Czy nie tak zawsze mówiłeś?

- O Jezu! - stęknął leżący.

- Spokój, spokój, chłopie. - Przywódca uściśnął zakrwawioną rękę towarzysza. - No już, Riley. No już! - W jego głosie dało się jednak wyczuć przygnębienie.

Jacinda usiłowała wypatrzeć coś w mroku. Ten nieszczęśnik nie zamierza chyba wyzionąć ducha tuż koło niej!

- Przyrzeknij, że wykończysz O'Della - wyszeptał ochryłym, zamierającym głosem ranny.

- Na Boga, Riley, zabiję go, nawet gdybym miał potem sam wykitować. Daję ci słowo.

Pozostali dwaj mężczyźni powtórzyli przyrzeczenie. Żaden z nich nie mógł jednak zapobiec temu, co się nieuchronnie zbliżało. Chwilę później ich przyjaciel już nie żył.

Trzej mężczyźni trwali w milczeniu.

Jacinda spojrzała na orli profil przywódcy. Światło księżyca posrebrzyło jego pochyloną głowę. W uliczce zapadła głucha cisza. Nawet wiatr ustał.

- Porywczy łotr... i okrutnik - z goryczą powiedział mężczyzna; półgłosem, ale na tyle wyraźnie, żeby przerwać posępny nastrój. Podniósł się, pokiwał głową i wzruszył ramionami.

- Pochowajmy go - rozkazał i przeszedł tuż obok kryjówki Jacindy. Dziewczyna zamarła w zdumieniu. Myliła się, czy też ten prostak zacytował przed chwilą Hobbesa?

Niemożliwe! Ten prymitywny gwałtownik, księżę londyńskiego plebsu, umiałby czytać? Nie, musiał gdzieś usłyszeć te słowa, a teraz tylko je powtórzył.

- Zabierzmy go stąd - rozkazał.

Zróbcie tak, zgodziła się z nim w myśli, nie mogąc się doczekać, żeby wreszcie sobie poszli. Musi przecież wydostać się z tej kupy śmieci i odnaleźć stację pocztową. Wpatrywała się w herszta złoczyńców z mieszaniną niechęci i fascynacji. Kim on właściwie jest? Było w nim coś znajomego, ale nie wiedziała co to takiego. Najwyraźniej musiała go gdzieś wcześniej widzieć, ale jak to możliwe? Pochodzili z dwóch różnych światów. Może po prostu czytała o nim, wydawało się przecież, że wprost zstąpił ze stronic *Korsarza*. Na pierwszy rzut oka wyglądał na złego, dzikiego i godnego pogardy. Nieprzejednany, skłócony z całym światem, miał wypisane na twarzy widoczne brzemienie posępnej zadumy. Może dlatego ogarnęło ją współczucie.

Cały czas myślała o słowach Hobbesa, które zacytował nieznajomy. Lepiej, żeby

pozostał ignorantem, żeby nie wiedział, jak nędzne jest jego położenie. Dla kogoś zmuszonego żyć w podobny sposób nie mogło być nic gorszego niż wrażliwość, która pozwalała zrozumieć całą beznadziejność podobnej egzystencji. Mężczyzna, jakby czytając w jej myślach, odwrócił się ku niej. Na szczupłej twarzy malowała się zaduma. Szerokie ramiona były nieco opuszczone. Czekał na swoich ludzi z rękami wspartymi o szczupłe biodra.

Oglądał uważnie swój lewy bok, a kiedy przerwał, zrozumiała, że jest ranny. I to poważnie, o czym świadczyła ciemna plama na białej koszuli.

Pozwolił, żeby czarny skórzany płaszcz opadł na ranę i ją zasłonił. Otarł pot z czoła i się odwrócił. Dwaj towarzysze dołączyli do niego, dźwigając zmarłego.

Skinął na nich, żeby szli przodem.

- Będę sprawdzał tyły.

Poszli pierwsi, jak zażądał. Wyjął nóż; ostrze przecięło powietrze z cichym, groźnym świstem. Obejrzał się za siebie, żeby być pewnym, że żadnego z Szakali nie ma w pobliżu.

Jacinda zorientowała się, że musi jak najszybciej stąd uciec, zanim ludzie O'Della powrócą, żeby zabrać swoich zabitych.

Zegnaj, barbarzyńco, pomyślała, patrząc, jak przywódca gangu odchodzi uliczką.

Zachowywał się bardziej buńczucznie, niżby należało. Znow przypomniawszy jej małego złodziejaszka, który wciągnął ją w mroczny labirynt uliczek. Czy przywódca gangu też był kiedyś takim chłopcem? Trudno było uwierzyć, że ludzie mogą żyć w podobny sposób tuż pod nosem bogaczy i dobrego towarzystwa. Dwa obce sobie światy, obojętne wzajemnie na swoje istnienie. Nie znaczyło to jednak, że Jacinda czuła żal z tego powodu, że więcej nie zobaczy tego człowieka.

Przyglądała się, jak dźwigają bezwładne ciało Riley'a; odetchnęła z ulgą, że wszystko

już za nią. Karetka pocztowa z pewnością czeka, żeby zawieźć ją za kanał.

Właśnie w tej chwili, nieoczekiwanie, wszystkie jej plany wzięły w łeb.

Coś małego i śliskiego, co miało pazury i nagi ogon, przemknęło jej po nodze.

Wzdrygnęła się i krzyknęła z obrzydzenia. Gwałtowny ruch wstrząsnął afiszem, który spadł jej na plecy i strącił tekturową rolkę, ta zaś stoczyła się w dół, nim zdołała ją chwycić. Szczur zniknął.

Jacinda siedziała zdrętwiała, patrząc ze zgrozą, jak tekturowa rolka toczy się wprost pod stopy przywódcy złoczyńców.

W uliczce rozległy się okrzyki wściekłości. W jednej chwili jego towarzysze porzucili zwłoki i otoczyli stos odpadków. Jacinda rozglądała się wokół z przerażeniem, wciśnięta jak najgłębiej w swoją kryjówkę. Serce łomotało jej jak szalone.

- Wyłaż stamtąd, ty łotrze, Szakalu przeklęty!

- Ktoś się tam ukrył, Blade! Pewnie jakiś ranny.

- Skończmy z nim!

Natychmiast poznała jego głos - chłodny, niski, nieubłagany.

- Zostawcie to mnie.

- Ostrożnie, chłopie...

Och nie, pomyślała ze strachem, gdy twarda dłoń chwyciła połamany afisz i zerwała go z niej. Mężczyzna odrzucił go na bok z godnym korsarza okrzykiem, ściskając w drugiej ręce nóż. Kiedy ruszył na nią, gotów zamordować, Jacinda rzuciła się w tył z okrzykiem:

-Nie!

Zamarł w pół ruchu z pełnym zdumienia pomrukiem.

- Coś podobnego!

Jacinda z trudem przełknęła ślinę. Siedziała bez słowa, nie waząc się odetchnąć.

Wielki nóż znieruchomiał ledwie kilka centymetrów od jej twarzy. Powoli, wyzywająco przeniosła wzrok z narzędzia zbrodni na jego zielone oczy.

Czyżby oberwał po głowie o jeden raz za dużo? Blade zmrużył oczy, zaniepokojony, że płatają mu figła. Ale gdy je ponownie otworzył, nadal ją widział - wciśniętą w szczelinę między stosem cegieł a rozeschniętą beczkę - piękną, jasnowłosą dziewczynę, która ciasno obejmowała rękami kolana. Patrzył na nią z absolutnym zdumieniem.

- No, no, a cóż to takiego?

Całkowicie oszołomiony przykucnął przed nią powoli. Jego ludzie stłoczyli się po drugiej stronie.

- Co u diabła?

- Toż to dziewczyna!

- Ano, prawdziwa z ciebie ślicznotka, moja miła - mruknął Blade, nie mogąc oderwać od niej oczu. Schował nóż i wyciągnął rękę, chcąc pomóc nieznajomej wstać.

Nie przyjęła jej i nadal siedziała bez ruchu.

- No, wyłaż stąd, mała przybłędo. Nikt ci nie zrobi krzywdy. Chcemy ci się tylko przyjrzeć.

Spojrzała na niego wyniośle i z pogardą. Urażony, opuścił wyciągniętą rękę.

- Za dobra jesteś, żeby z nami gadać?

- Ostrożnie, chłopie ~ ostrzegł go Flaherty. - Może ona kręci z O'Dellem?

Billy parsknął lekceważąco.

- Ten bękart nie zbliżyłby się do kogoś takiego jak ona nawet za sto lat. - Błądząc po niej zachłannym wzrokiem, czuł się jak pirat, który odkrył zakopany przez kogoś skarb i nie jest w stanie go skraść. Doprawdy, to było coś ponad jego siły.

Miała jasne złote włosy; mnóstwo świetlistych, długich, spiralnie skręconych pasm.

Kilka krótkich, niesfornych loczków spadało na gładkie czoło i wymykało się spod szpilek z

główkami w kształcie gwiazdek, którymi je podpięła. Pod pięknie zarysowanymi brwiami błyszcząły ciemne, wyzywające oczy. Twarz była delikatnie zaokrąglona, o godnych elfa delikatnych rysach. Dziewczyna miała wysokie kości policzkowe i mały, wysunięty ku przodowi podbródek. Czerwień warg podkreślał głęboki, pąsowy odcień płaszcza, który okrywał jej kształtne smukłe ciało. Mężczyzna zmarszczył brwi i przyjrzał się dokładnie jej odzieży. Nikt tutaj nie nosił takich płaszczy.

- Pozwoli pan?... - spytała nagle z wytwornym akcentem. Jego wzrok powędrował od jej piersi do błyszczących oczu.

- A więc potrafi pani mówić?

- Oczywiście.

- To fatalnie - wycedził. - A już myślałem, że znalazłem kobietę doskonałą.

Słyszając ten niewybredny żart, przymknęła oczy, ocieniając je długimi rzęsami.

„wykrzywił wargi w sardonicznym uśmiechu. Spojrzał na swoją rękę, tę samą, którą odrzuciła dziewczyna, drgnął i otarł z niej brud i krew o czarne spodnie. Potem, już bez skrupowania, zaofiarował ją ponownie.

- Proszę wstać, księżniczko.

- Dziękuję, wolę zostać tam, gdzie jestem.

- Na kupie śmieci?

- Owszem. Dobry wieczór - dodała tak wyniośle, jakby chciała go zbyć, niczym jakiegoś chłopca na posyłki.

Jego ludzie patrzyli po sobie, nie wiedząc, co myśleć o takim zuchwalstwie i braku szacunku. Blade potarł podbródek i postanowił jej wybaczyć, świadomy, że pod maską śmiałości dziewczyna trzęsie się ze strachu.

- Chyba tu pani niezbyt wygodnie?

-Jest mi absolutnie wygodnie! Zresztą to nie pańska sprawa. -Jak najbardziej moja,

ślicznotko - powiedział jedwabistym tonem.

- Dlaczego?

- Weszła pani na mój teren.

Po jego słowach zaległo głucho milczenie.

- Widzę - odparła po chwili cichym, oschłym i gniewnym głosem, bez wątpienia

świadoma, że znalazła się w pułapce. Próbowwała zyskać na czasie. - To pański własny brudny zaułek, a także pańska kupa śmieci.

- Właśnie, właśnie - usiłował przybrać równie szyderczy ton.

- Musi pan być z nich niezmiernie dumny.

Jego ludzie parsknęli śmiechem i Blade spojrział z gniewem na nieznajomą. Dość tego!

Obydwoma rękami wyciągnął ją z kryjówki, przytrzymując za talię, choć kopała i krzyczała.

- Do diabła, dziewczyno, uspokój się!- krzyknął, gdy zadrapała mu twarz paznokciami.

Towarzysze zanieśli się jeszcze głośniejszym śmiechem. Gdy tylko Blade postawił

dziewczynę na nogi, zdzieliła go po głowie skórzaną sakwą podróżną i mu się wyrwała.

Zdołała zrobić dwa kroki, lecz Flaherty, zawsze usłużny, złapał ją za ramię. Bez wahania odwróciła się i wymierzyła mu policzek.

Blade, zdziwiony, roześmiał się na głos, Flaherty zaklął, zaskoczony, puszczając ją.

Sarge zaszedł dziewczynie drogę, uniemożliwiając jej ucieczkę.

Blade dopadł uciekinierkę jednym wielkim sussem. Chwycił ją w pasie, śmiejąc się donośnie, i przytrzymał mocno.

- Zabierz te łapy!

- Trudno, moja droga. Pójdiesz z nami. Widziałaś dzisiejszej nocy coś, czego nie

powinnaś była oglądać. Nie mogę pozwolić, żebyś poleciała na Bow Street z donosem.

- Nie mam takiego zamiaru!

- Gadanie. Nie wiem, co z ciebie za jedna. Może chowasz w zanadrzu jakąś sztuczkę?

Bo widzisz, gliny bardzo by mnie chciały złowić. Ten, kto pośle Billy'ego Blade'a na szubienicę, zgarnie całą pulę.

- Billy Blade? - Zdrętwiała bez tchu w jego uścisku. Spojrzała na niego w taki sposób, że mógłby przysiąc, iż wiedziała, kim on jest.

Flaherty uniósł brwi i posłał mu porozumiewawczy uśmiech.

- Wygląda na to, bracie, że robisz się znany.

Dziewczyna znów spróbowała ucieczki. Uderzyła Billy'ego łokciem w żołądek i nastąpiła mu na stopę obcasem. O mało nie rozbiła mu przy tym twarzy sakwą, ale zdążył się uchylić i cios trafił go w ucho.

Blade nie mógł powstrzymać uśmiechu. Musiała słyszeć o jego wyczynach, pewnie przeczytała o nim w gazetach. W sumie mogła mu zrobić niewiele więcej złego niż jakaś rozsierzona królowa wrózek. Musiał wzmocnić chwyt, bo - gdy go na moment rozluźnił - wyrwała mu się i znów zaczęła umykać.

Flaherty, wciąż jeszcze pocierając policzek, w który go uderzyła, podstawił jej w ciemności nogę. Zachwiała się, padła na kolana i spojrzała na nich poprzez potarganą gęstwinę złotych włosów z lękiem w ciemnych oczach.

Blade spiorunował Flaherty'ego wzrokiem. Miał wyrzuty sumienia, zarówno z powodu podstępu kompana, jak i tego, że sam szydził z małej czarownicy. W gruncie rzeczy opór dziewczyny budził w nim uznanie.

Podszedł do niej. Chciał jej pomóc, nawet nie pomyślał, że mogła to odczytać jako groźbę. Kiedy spojrzała na nóż u jego boku, zaczęła płakać ze złości. Poczł się bezsilny.

- No, dalej! - krzyknęła gniewnie. Z jej lodowatej wyniosłości nie zostało ani śladu.

Pozostała zrozpaczona i bezradna dziewczyna. - Zabijcie mnie!

Spojrzał na nią zdumiony tym żalosnym wybuchem i szczerą rozpaczą w jej głosie.

Dopiero wtedy zrozumiał, ta mała, głupiutka gąska sądziła, że ma zamiar ją zamordować! O

Boże, cóż oni musieli wypisywać o nim w gazetach? Nigdy w życiu nie zabiłby bezbronnej kobiety.

Jego ludzie wciąż jeszcze zanosili się od śmiechu.

- Stulcie gęby! - krzyknął, zmieszany ich prostactwem i swoim własnym zachowaniem.

- Nie dbam o to, co się ze mną stanie! - ciągnęła. - Proszę tylko, żeby to nie trwało długo.

- Przestań dramatyzować, niemądra dziewczyno. No, wstawaj! - Chwycił ją za futrzany kołnierz i niezbyt delikatnie postawił na nogi.

Zirytowały ją jego maniere i szybko stała się na powrót wyniosła. Nieco spokojniejsza, rzuciła mu przez ramię spojrzenie, gdy prowadził ją, trzymając za kołnierz na odległość wyciągniętej ręki. Nie chciał raz jeszcze dostać w twarz torbą podróżną, rzucił ją więc Sarge'owi.

- Oddaj mi zaraz moją sakwę!

Billy nie przejął się jej rozpaczliwymi protestami. Zwrócił się do kompana, byłego sierżanta, którego twarz pokryta była bliznami.

- Będiesz to niósł, ale jeśli zginą stamtąd choćby dwa pensy, policzę się z tobą.

Sarge mruknął coś, co miało zapewne znaczyć, że zrozumiał polecenie. Potem, wraz z Flahertym, raz jeszcze podnieśli z ziemi zwłoki kompana.

Błede władczo ujął dziewczynę za smukłe ramię ponad łokciem i rzucił jej spojrzenie,

które ucięło wszelkie protesty.

- Pójdiesz z nami.

O tak, teraz go sobie przypominała. Jacinda drżała, gdy Blade prowadził ją uliczką.

Miał posępną minę i wpatrywał się w mrok. Od czasu do czasu spoglądał za siebie.

Poddała mu się posłusznie, choć niechętnie. Właśnie przypominała sobie, kim jest ten

człowiek. Usiłowała odtworzyć w pamięci pewien wieczór. Padał wtedy śnieg. Billy Blade,

przywódca bandy opryszków, przyszedł do Knight House spotkać się z Lucieniem i

Damienem, jej braćmi bliźniakami. Ledwie pamiętała te wydarzenia, wszystko działo się

półtora roku temu. Damien, bohater wojenny, przyjechał wówczas do domu ze swoją

ówczesną wychowanką, a późniejszą żoną, Mirandą, chcąc spędzić święta z bliskimi. Miranda

znalazła się w niebezpieczeństwie, a bliźniacy dwoili się i troili, żeby ją chronić. Owego dnia

Jacinda zobaczyła Blade'a w westybulu rodzinnej siedziby. Jak mogła o tym zapomnieć?

Wybierała się właśnie na spacer po parku, kiedy Blade niespodziewanie wyłonił się zza jej

pleców. Zaskoczył i ją, i kamerdynera. Obrzucił Jacindę przeciągłym spojrzeniem i

uśmiechnął się do niej łobuzersko. Damien warknął na niego ostrzegawczo: „Blade!” I w ten

sposób poznała jego nazwisko.

Nigdy wcześniej nie widziała kogoś takiego, w czarnych skórzanych spodniach, z

długimi, brudnymi, jasnymi włosami. Wciąż jeszcze pamiętała, jak szedł zuchwałym,

kołyszącym się krokiem. Pod czarnym welwetowym płaszczem dostrzegła jaskrawą

purpurową kamizelkę i czerwony goździk wetknięty w butonierkę. Na wpół przerażona, a na

wpół zahipnotyzowana podbiegła do okna, żeby zobaczyć, jak odchodzi. Wiedziała, że to ktoś

niegodziwy, o czym świadczył jego wygląd, bo bliźniacy byli źli, że ośmielił się przyjść do

ich domu.

Nie wspomnieli ani słowem o tym prostackim, bezczelnym, tajemniczym młodym

rzezimieszku. Jacinda wraz ze swoją najlepszą przyjaciółką, Lizzie, uznała, że musiał być jednym z informatorów Luciena. Pewnie przyniósł mu wieści z londyńskiego świata przestępczego o nikczemniku, który zagrażał Mirandzie. Po wojnie lord Lucien Knight, dyplomata i były tajny agent Foreign Office, od czasu do czasu współpracował z Bow Street. Pomagał prowadzić śledztwa dotyczące niektórych zbrodni. Musiał znać zwyczaje wielu ciemnych typów, od których otrzymywał informacje. Jacinda była zdania, że najgorsze z przypuszczeń, jakie snuły wtedy razem z Lizzie co do Blade'a, okazały się słuszne. Znalazła się zatem w fatalnym położeniu.

Wiedziała, że ten człowiek się nią zainteresował. Był jednak groźnym kryminalistą! Jeśli zacznie się do niej zalecać, będzie musiała wyjawić, że jest siostrą Luciena i Damiena. Ale wtedy Blade najpewniej odwiezie ją prosto do braci i nie tylko straci jedyną szansę uzyskania wolności, ale znajdzie się w poważnych tarapatach, bo próba ucieczki da Robertowi jeszcze jeden powód, żeby zmusić ją do poślubienia lorda Griffitha.

Mimo zmartwień nakazała sobie spokój, czujność i milczenie, póki się nie przekona, ile może ujawnić temu człowiekowi. Uznała w końcu, że przyzna się do wszystkiego dopiero wtedy, gdy nie będzie innego wyjścia.

Nagle, w ciemności, od strony jednej z przecznic rozległy się głosy jakichś mężczyzn. Czyżby nadchodzili kolejni stronnicy O'Della? Instynktownie przysunęła się bliżej przywódcy bandy.

- Hej, Nate! - zawołał Blade.

Wysoki, szczupły młodzieniec z kędzierzawymi, czarnymi włosami i przyjaznym uśmiechem wyłonił się z mroku, a wraz z nim blisko tuzin wyczerpanych do cna mężczyzn.

Wszyscy żalowali Rileya, ale już po chwili zaczęli rozprawiać o szczegółach utarczki. Jacinda niewiele z tego rozumiała, bo mówili w jakimś żargonie. Razem poszli ku północnemu

zachodowi. Jacinda nie miała wyboru. Musiała podążać za nimi, choć nie miała pojęcia, dokąd zmierzają.

Ludzie Blade'a spoglądali na nią ze zdziwieniem, ale że ich przywódca milczał, więc i oni o nic nie pytali. Wyjaśnił im tylko, obejmując ją z tyłu za ramiona, że znajduje się pod jego ochroną. Jacinda tym razem doszła do wniosku, że lepiej się z nim nie spierać.

Wreszcie doszli do skrzyżowania ulic, gdzie Nate skinął na czekającą w cieniu dorożkę. Najwidoczniej należała do nich, a woźnica czekał tu, żeby zabrać rannych.

Umieszczono w niej zwłoki Riley'a, a potem do pojazdu wdrapali się najciężej poszkodowani.

Kiedy rozklekotana drynda odjechała, pozostali podzielili się na grupki po dwie lub trzy osoby, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Rozeszli się różnymi drogami, dążąc ku głównej kwaterze bandy na Bainbridge Street.

Nate dołączył do Blade'a i Jacindy.

- Co tu, u licha, tak śmierdzi? - mruknął szczupły młodzieniec, wachlując się dłonią.

Jacinda dostrzegła kątem oka, że Blade spojrzał na niego ostro, chcąc go uciszyć. Dopiero potem pojęła, że... cuchnący zapach roztacza ona sama! Śliczny aksamitny płaszcz musiał przesiąknąć wonią odpadków. Czuli się upokorzona. Niemal słyszała, jak jej rywalka, Daphne Taylor, zwija się ze śmiechu.

- Obawiam się że tę przykrą woń wydziela moje ubranie - odparła sucho, próbując ukryć fakt, że z jej dumy nic już nie pozostało.

Nate zmieszał się i wyglądał na szczerze zakłopotanego.

- Och, nie wiedziałem, panienko. Stokrotnie przepraszam.

Blade zaśmiał się z cicha. Jego zielone oczy rozbłyły, gdy spostrzegł jej przygnębienie.

- No, no, moja miła, wciąż jeszcze jesteś świeża jak różyczka, nawet jeśli nie

pachniesz jak ona. Możesz wziąć mój płaszcz, gdybyś chciała. Wprawdzie jest co nieco

zakrwawiony, ale... - I zaczął go ściągać z siebie.

- Nie trzeba, dziękuję. - Odepchnęła go gniewnie.

Obaj mężczyźni zaśmiali się jej prosto w twarz.

- A to mi zuch dziewczyna - rzucił z rozbawieniem Nate. - Gdzieżeś ją znalazł?

Blade zaczął opowiadać całą historię. Tymczasem Jacinda spostrzegła, że wchodzą w coraz posępniejszą okolicę. Brudne uliczki były węższe. Mijali nędzne sklepiki i kamienice o podejrzanym wyglądzie. Na każdym rogu zwisały ze ścian strzępki starych, wyblakłych afiszów, niby zniszczone całuny. Nieliczni przechodnie ustępowali z drogi Blade'owi albo kłaniali mu się z większym szacunkiem, niż gdyby był regentem. Blade zakończył opowieść o tym, jak znalazł ją na stosie śmieci. Jacinda zauważyła, że traktował dobrodusznego Nate'a jak równego sobie, inaczej niż pozostałych.

- Tkwiła tam przez cały czas - zakończył, rzucając jej zagadkowe spojrzenie.

- Do licha - mruknął Nate. - Jak się nazywa?

- Diabeł wie. Spytaj ją, mnie nie lubi.

Spojrzała na niego niechętnie, jakby chcąc zaprzeczyć złośliwej uwadze. Nie miała zamiaru traktować go pobłaźliwie.

- No to się jej przedstawimy. - Nate złożył Jacindzie kpiarski ukłon. - Jestem

Nathaniel Hawkins, do usług, madame. Z kim mam przyjemność?

- Nazywam się Smith. - Z zimną krwią podała mu ten sam pseudonim, którego użyła na stacji pocztowej. - Jane Smith.

Blade spojrzał na nią przenikliwie, niepokojąco, bystro.

- Bzdura - rzekł łagodnym tonem.

- Zarzuca mi pan kłamstwo?! - zawołała. Dobry Boże, jak się tego domyślił?

- Patrzcie no. Pani czy panna Jane Smith?

- Panna.

-Dobra - ciągnął Nate - panno Smith, pozwoli mi pani przedstawić sobie mojego dobrego przyjaciela, Billy'ego Blade'a, przywódcę Ognistych Sokołów z St. Giles?

- I pan mnie oskarża o posługiwanie się fałszywym nazwiskiem! - parsknęła, spojrzawszy w twarz swojemu zdobywcy.

- Billy Blade, też coś!

- Czy zechciałaby nam pani powiedzieć, co właściwie robiła na tej kupie śmieci, panno Smith?

- Obrabowano mnie. Czekałam w zajeździe Pod Głową Byka na dylizans... - I opowiedziała im wszystko, co się stało od chwili, gdy mały żebrak ukradł jej sakiewkę. - Miał brązowe oczy, był bardzo chudy. Wyglądał na jakieś dziewięć lat.

- Eddie - mruknął Blade, kiwając głową. - Natrę mu za to uszu.

- Zna go pan?! - krzyknęła.

- To Eddie Knykieć - zaśmiał się Nate. - Sierota.

- Knykieć?...

- Eee... - wyjąkał Blade, wyraźnie zaskoczony jej reakcją.

- Tak w dzielnicy nędzy nazywa się złodzieja - wyjaśnił Nate, mrużąc oko.

Nagle gdzieś sponad ich głów rozległ się męski głos:

- Kto idzie?!

Jacinda spojrzała w górę zaskoczona.

- Spokój, Mickey, to tylko my! - odkrzyknął Nate, przykładając dłonie do ust.

Uzbrojeni mężczyźni wyroili się nagle wokoło na dachach okolicznych domów.

Jacinda z przerażeniem popatrzyła na Blade'a.

- To jedynie czujki - mruknął.

- Blade! Blade! - krzyczał w podnieceniu człowiek na dachu.

- Dopadłeś O'Della?

- Nie - przyznał z goryczą Blade.

- Następnym razem pójdzie nam lepiej! - odkrzyknął Nate, gdy wchodzili do siedziby

Blade'a w dzielnicy ruder.

- Naprawdę walczyacie ze sobą? - spytała Jacinda.

Przytaknął posępnie.

- Dlaczego?

- Blade nienawidzi tchórzy wszelkiej maści, znęcających się nad słabszymi - wyjaśnił

Nate.

- Szakale wkroczyli na mój teren - warknął Blade ze wzrokiem utkwionym w ciemnej ulicy. - Podkładali ogień, włamywali się do sklepów, żądali haraczu od sklepikarzy. Bili mężczyzn, napastowali kilka naszych kobiet. Dałem słowo, że przepędzę ich z Londynu.

- Komu pan dał słowo? - spytała, przejęta jego determinacją.

- Tym ludziom. - Gdy skręcili za róg, wskazał na grupę jakichś czterdziestu osób zgromadzonych na ulicy przed sklepem z alkoholem.

Odbываła się tam chyba jakaś uroczystość, gdyż niektórzy obstąpili płonąca beczkę ze smołą, inni tańczyli w takt żwawej melodii wygrywanej na skrzypcach, flecie i tamburynie.

Wszyscy się śmiali. Jacinda poczuła woń gotowanej ryby. Niewątpliwie było to zgromadzenie zgiełkliwe i podejrzane, ale bawiono się tam sto razy weselej niż u Almacka. Kiedy podeszli bliżej i przywódcy bandy ukazali się w pełnym świetle, Jacinda przystanęła, żeby się wszystkiemu lepiej przyjrzeć. Co za dziwne miejsce!

Dzięki kolorowym lampionom, porozwieszanym tu i ówdzie, siedlisko rzezimieszków

wyglądało jak przystrojona świątecznie choinka. Odblask światła padał pod osobliwym kątem na ciemne niebo, rywalizując z blaskiem księżyca. Domostwo miało trzy kondygnacje, zakopcony komin i zębaty dach, zbudowano je z cegły, a okna były aż w trzech kształtach - okrągłe, kwadratowe i prostokątne. Zauważyła kilka rynien; deszczówkę zbierano najwyraźniej w wielkich bekach. Do fasady umocowano drewniane bloczki. Człowiek na dachu użył ich, żeby wciągnąć coś ciężkiego, co przydźwigała tęga kobieta, stojąca teraz na dole.

- Idziemy - mruknął Blade.

Jacinda, zafascynowana, posłuchała go.

- To Blade! - wrzasnął ktoś, gdy zbliżyli się do rozbawionych ludzi. - Blade! Nate!

Ludzie ich otoczyli, witali radośnie Blade'a, usiłując go dotknąć, jakby był talizmanem przynoszącym szczęście. Klepali go po plecach i serdecznie ściskali dłoń, gdy między nimi przechodził. Traktowali jak dzielnego królewicza powracającego z udanej wyprawy na smoka. Czują jednak, że mimo całej jowialności wyczekują czegoś z niepokojem. Przywarła do jego ramienia, nieufnie patrząc na skłębiony wokół nich tłum.

- Blade! - zawołał ktoś. - Dopadłeś O'Della? Nie żyje?

Wśród gawiedzi zapadła cisza. Jacinda spojrzała na towarzysza.

Blade wyprostował się z trudem i uniósł podbródek.

- Nie. Jeszcze nie dzisiaj. Uciekł jak ostatni tchórz. Zresztą zawsze tak robi. Ciągle jeszcze buja na wolności.

Trwało dłuższą chwilę, zanim do nich dotarła niewesoła wieść.

- Dlaczego pospuszczaliście nosy na kwintę?! - wrzasnął Nate w nagłym wybuchu złości. - Czy Blade choć raz was zawiódł? Powiedział, że go dopadnie, a to znaczy, że tak zrobi! Dalej, niech gra muzyka! Jesteście bezpieczni i dobrze o tym wiecie!

Flecista przyszedł mu z pomocą, grając skoczną melodię. Napięcie opadło. Muzykanci ze skrzypcami i bębniem dołączyli do niego. Tłum uspokoił się i zabawa znów nabrała rozmachu.

- Tędy, Jane Smith - mruknął Blade cierpko, idąc przodem. Kiedy przepychali się przez tłum, ludzie ze zdwojonym zapałem klepali go po plecach i witali się z nim, wołając:

- Dopadniesz go! Na pewno dopadniesz!

Nie zwracał na nich uwagi, nachmurzony. Ciągnął ją za nadgarstek.

- Powiedz im, żeby nie pili za wiele - polecił Nate'owi półgłosem.

- Zrobi się - odparł przyjaciel i wmieszał się w ciżbę, przyjmując w poczęstunku dzban mocnego piwa oraz pocałunek piersiastej niewiasty.

Blade odebrał od Sarge'a worek podróżny i podał Jacindzie. Poprowadził ją na tyły budynku, gdzie się przekonana, że za sklepem z alkoholem jest obszerny kantor, który wychodzi na wąską uliczkę. Dwie latarnie nad wielkimi wrotami stajni oświetlały teren.

Jacinda szybko odgadła, jakim rzemiosłem się tam trudniono. Pół tuzina osiłeków ładowało drewniane paki na wóz, podczas gdy przysadzisty człowieczek stał nad nimi z tabliczką i małym rysikiem w ręce. Najwyraźniej do jego zadań należało liczenie towaru. Energicznie pomachał Blade'owi dłonią, a szpakowaty woźnica w długim płaszczu pozdrowił przywódcę z muszkietem przewieszonym niedbale przez ramię.

- Czołem, Blade!

- Witaj, Al. Mam nadzieję, że tu u was wszystko w porządku. - Blade zatrzymał się, żeby potrząsnąć ręką starego druha. - Pilnujcie się dzisiejszej nocy. Na drogach pełno rozbójników!

Mężczyzna zaśmiał się, słysząc ten żart. Blade także uśmiechnął się szeroko i klepnął go po plecach, a potem podprowadził Jacinę ku stopniom wiodącym do drzwi.

Cała scena wyglądała zupełnie zwyczajnie, ale dziewczyna spojrzała na niego podejrzliwie.

- Co ci ludzie ładują na wóz?

- Używane rzeczy - odparł wymijająco.

W tejże chwili ktoś w uliczce zawołał, głośno i piskliwie:

- Blade! Blade!

Blade się obejrzał. Zza ludzi objuczonych pakami wypadł mały chłopiec.

- To właśnie on mnie okradł! - krzyknęła Jacinda.

- Poczekaj chwilę - szepnął Blade, zasłaniając ją sobą w mroku. - Chcę usłyszeć, co ten gałgan ma na swoją obronę.

- Hej, Blade! Załatwiłeś O'Della? - Chłopiec rzucił się ku niemu, podniecony. - Dałeś mu bobu?! Założę się, że rozwaliłeś mu łeb! Blade, Blade, chodź tu, coś ci pokażę! Patrz, co zdobyłem! - I Eddie Knykieć z dumą, pełen przejęcia, zaprezentował stos błyszczących monet.

To były jej pieniądze! Jacinda spojrzała na niego gniewnie.

- No, no, ktoś dzisiejszej nocy bardzo się postarał - wycedził Blade. - Gdzieś się do tego dorwał?

- Pod Głową Byka - wyjaśnił rozradowany malec, najwyraźniej pragnąc zaimponować przywódcy. - Szkoda, żeś mnie nie widział! Ten cymbał nie zdążył nawet doliczyć do trzech!

Tak naprawdę było ich dwóch, a nawet trzech! Prawie tacy duzi, jak ty!

- Doprawdy? - spytał niedbałym tonem Blade. - Eddie, przyprowadziłem tu kogoś, kto chce się z tobą zobaczyć. Pannę... ehm... Smith. - Łagodnie ujął chłopca za rękę i przyciągnął do siebie.

Eddie wybałuszył oczy. Jacinda poczuła rozbawienie. -A niech to! -wykrzyknął

złodziejaszek, usiłując uciec. Blade chwycił go za kark i osadził w miejscu.

- Mam z tobą do pogadania. Panno Smith, proszę tędy.

- Aj, Blade, zostaw mnie, ja tylko żartowałem! - Eddie, użalając się bez przerwy,

wspinał się razem z nimi po schodach. Blade wprowadził Jacinę do obszernej pracowni z wielkim stołem pośrodku. W kącie stał stary sekretarzyk, istny gruchot, a po prawej niewielki piecyk na węgiel. Kilka zakurzonych półek wisiało na odrapanych ścianach, bielonych wapnem. W jednym z kątów piętrzył się stos pudełek z kartkami. Blade wskazał jej ławę przy stole.

- Proszę usiąść, spróbuję odzyskać pani własność.

- Chce pan mija zwrócić? - spytała zaskoczona.

- Nie uprzedzajmy wypadków - odparł, uśmiechając się drwiąco, i wyszedł z Eddiem do małego pomieszczenia obok. Zostawił drzwi półotwarte. - Eddie, ty łobuzie, chcesz zadyndać na szubienicy przed dziesiątymi urodzinami?

Jacinda przysłuchiwała się w roztargnieniu, jak beszał chłopca surowo. Wsparł ręce o biodra, a kiedy stał w tej pozycji, czarny płaszcz zsunął mu się nieco z ramion, odsłaniając plamę krwi na koszuli. Jacinda przypomniała sobie czerwony goździk, który Blade wpiął sobie w klapę tamtego dnia w Knight House. Obojętność, z jaką traktował swoją ranę, zdumiała ją i zirytowała zarazem.

Chociaż usiłowała patrzeć w bok, zauważyła, że niechlujnie ubrani złodzieje, którzy wynosili paczki z pomieszczenia, za każdym razem marszczyli z niechęcią nos, kiedy przechodzili koło niej. Zaczerwieniła się na myśl, jak straszną woń musi wydzielać jej płaszcz. Rozpięła go i niemal zerwała z siebie zniszczone odzienie. Natychmiast tego pożałowała, bo wszyscy złodzieje stanęli bez ruchu, jakby ich замуrowało. Przerwali swoją robotę i zastygli z naręczami paczek, gapiąc się na nią. Jacinda spojrzała nerwowo na swój

strój. Wciąż jeszcze miała na sobie białą, jedwabną, haftowaną złotą nicią suknię, w której poszła na bal. Chyba nigdy nie widzieli czegoś podobnego. Pod naporem ich spojrzeń próbowała osłonić gołe ramiona, lecz oni już wymieniali między sobą chytre uśmiechy, złożwszy swoje brzemie na ziemi. Kilku wpatrywało się bez żenady w jej szeroko wycięty dekolt, lecz większość kierowała wzrok na szyję. Nagle zrozumiała, o co chodzi. Zbladła i z wolna uniosła dłoń ku naszyjnikowi z diamentów. Zupełnie zapomniała, że ma go na sobie. Był prawdopodobnie wart tyle, co całe domostwo. Poczwała, że dusi ją w gardle, i zaczęła cofać się przed zachłannymi spojrzeniami. Ruszyli ku niej niczym zgłodniałe wilki.

- Blade! - zawołała, cofając się, lecz Eddie wciąż piskliwie usprawiedliwiał się przed nim, lamentując donośnie. - Blade! powtórzyła, nieco może zbyt dobitnie, ale ciężki stół odciął jej możliwość ucieczki i zrozumiała, że znalazła się w pułapce.

- Blade! - zdjęta panicznym strachem, zajrzała przez na wpół uchylone drzwi.

Przerwał swoją reprimendę. Rzucił na nią okiem, zamarł z wrażenia.

Jeśli jej widok oszołomił go w mrocznej uliczce, to teraz, kiedy ujrzał ją w pełnym świetle, ekstrawagancka piękność branki sprawiła, że nogi wrosły mu w ziemię. Czuł pustkę w głowie, głos uwiązł mu w gardle. Wyglądała jak bogini. Błyszczące ciemne oczy, mleczna cera i kaskada złotych włosów spływających na białe ramiona odebrały mu zdolność myślenia. Jego oczy zatrzymały się na rowku między piersiami. Wstrząsnął nim dreszcz.

Obszerny, obsyty złotą lamówką dekolt balowej sukni, wycięty w karo, pozwalał podziwiać wspaniałe, kształtne jak brzoskwinie piersi. Zaszło mu w ustach na widok ich krągłości. Pierwszą myślą, jaka wreszcie zdołała mu zaświtać, było spostrzeżenie, że niemal można by dostrzec sutki. Coś takiego mogło doprowadzić mężczyznę do szaleństwa.

- Blade!

Wiedział, że jej wygląd nic ujdzie uwagi innych mężczyzn. W ostatniej chwili

powróciła mu przytomność.

Z głośnym przekleństwem otworzył na oścież drzwi i wpadł do pracowni.

- Wara od niej! Jazda, do roboty! - huknął, stając między nią a swymi ludźmi, zanim ci zdążyli jej dosięgnąć.

Chwycił ją za rękę i wciągnął za siebie. Przyłgnęła do niego i wyglądała zza jego ramienia.

- Wracać do roboty, mówię! - rozkazał groźnie. Mężczyźni nie ruszyli się z miejsca, niezadowoleni.

- Niezły z niej kasek, Blade! Chcesz ją mieć tylko dla siebie?

- Nikt jej nie tknie.

- To może ty weźmiesz sobie dziewczynę, a my diamenty? I tę cacaną kieckę!

Dostaniemy za nią ładny grosz w lombardzie. Ściągnij ją z niej, też chcemy coś z tego mieć.

Blondynka za nim z trudem zaczerpnęła tchu.

- Słowo, nie będziemy podglądać! - dodał drugi.

Zanieśli się rubasznym śmiechem. Blade przemówił do nich lodowato:

- Zachowujecie się jak łajdacy, ostatnie szuje, a nie ludzie. Możecie się z miejsca wynosić i dołączyć do Szakali. Nic tu po was! Albo zabierzcie się wreszcie do ładowania wozu. O drugiej nad ranem odpływa statek. Ruszcie się!

Mimo że kilku sarkało, złodzieje z wolna się wycofali, spoglądając na niego wrogo.

Kiedy powrócili opieszale do swego zajęcia, Blade spojrział na nią srogo. Ledwie zdołała chwycić torbę ze stołu, wypchnął ją z pokoju na wąskie, obskurne schody.

- Gdzie mnie pan prowadzi?! - krzyknęła. Nie mogła za nim nadążyć w długiej sukni.

- Spokojnie. Proszę iść za mną, nim te łobuzy się zbuntują na dobre.

Zaczął się wspinać po schodach, nadal trzymając jej ramię w żelaznym uścisku.

Jacinda wolną ręką zebrała suknię i pospieszyła jego śladem.

- Trudno mi uwierzyć, że chcieli zedrzeć ze mnie ubranie!

- Naprawdę?! - odburknął. Na szczycie schodów skręcił w wąski korytarz. Ciągnął ją za sobą. Nagle po prawej otworzyły się drzwi i zduszony kobiecy głos krzyknął z obcym akcentem:

- Billy!

Zatrzymał się na progu.

- Carlotta! Skąd się tu, u licha, wzięłaś? Precz stąd!

- Billy!

- Precz! - powtórzył.

Jacinda ze zdumieniem usłyszała stek przekleństw. Chwilę później Carlotta wybiegła z pokoju, pospiesznie zapinając stanik sukni o raczej prowincjonalnym kroju. Była Cyganką o egzotycznej urodzie - oliwkowej cerze i długich czarnych włosach.

Gdy ujrzała Jacindę, rzuciła się wściekle ku Blade'owi. Twarz poczerwieniała jej ze złości.

- Kto to taki? Kupiłeś dla siebie kosztowną dziwkę?!

- Wypraszam sobie! - oburzyła się dziewczyna. Carlotta odwróciła się do niej.

- On jest mój, ty mała...

Blade błyskawicznie złapał Carlottę za dłoń, kiedy ta zamierzyła się na rywalkę.

- Chociaż raz spróbuj zachować się jak dama!

Dziewczyna ze zdumieniem spoglądała na Cygankę. Blade chwycił Carlottę za obie ręce i odepchnął ją. Przeklinając wulgarnie, wycofała się w głąb korytarza. Mężczyzna spojrzał przepaszająco na Jacindę. Uderzył go kontrast pomiędzy obydwoma kobietami.

Carlotta pociągała go dzięki egzotycznemu wyglądowi. Lecz jej niewyparzony język i brak

ogłady wzbudziły w nim zakłopotanie, gdy stał przed dobrze wychowaną panną z wyższych sfer, elegancką, wyrafinowaną i pełną wdzięku.

Jacinda rozglądała się wokoło, zdumiona ubóstwem i nieładem panującym w jego siedzibie. Teraz mógł się jej wreszcie dokładniej przyjrzeć. Uroda, choć subtelna, miała w sobie coś nieposkromionego. Twarz, na pierwszy rzut oka delikatna niby u figurki z porcelany, miała w sobie rys śmiałości, który świadczył o naturze zmiennej jak angielska pogoda. Albo narzuca swoje reguły, albo wycofuje się z rozgrywki, pomyślał sobie. Jednak im dłużej na nią patrzył, tym wyraźniej wyczuwał, że Jacinda jest po prostu niewinna. Mimo tego, że w ciemnych żywych oczach o migdałowym wykroju tliła się swawola, wyczuwał w nich także młodzieńczą świeżość, niemal namacalną i równie jasną jak jej włosy. Na przemian pragnął jej gwałtownie i chciał otworzyć przed nią swoją duszę.

Wiedział, że taka kobieta potrafi zmusić mężczyznę do największych poświęceń. Jest piekielnie niebezpieczna. Bez ceregieli otworzył przed nią drzwi i polecił wejść do środka.

- Ależ... - Odwróciła się ku niemu, przerażona perspektywą znalezienia się w jego pokoju bez niczyjego towarzystwa.

Uśmiechnął się przebiegle.

- Tylko mnie nie rozczaruj, moja droga - mruknął, a w jego oczach zamigotało wyzwanie. - Chyba nie będziesz robiła trudności?

Ten z pozoru dobroduszny żart uraził uczucia Jacindy. Mimo wszystko jednak trudno jej było uznać go za obelgę. W końcu usłyszał całą historię od chłopca, musiał więc wiedzieć, że została wystrychnięta na dudka przez zwykłego ulicznika. Usiłowała zachować resztki dumy i spojrzała na niego gniewnie. Miało go to ostrzec przed wszelkim niestosownym zachowaniem. Potem, zdobywszy się na odwagę, weszła do pokoju. Blade patrzył na nią z rozbawieniem.

Rozejrzała się. Ściany miały ten sam brunatny odcień, co na korytarzu, a podłogę z desek pociągnięto brązową farbą. Pospolity wyświechtany dywanik leżał przed ceglany kominkiem. Nad płonącym ogniem wisiał mały, żelazny kociołek. Niskie łóżko pod ścianą osłonięte było zasłonami z czegoś, co po dokładniejszym obejrzeniu okazało się długimi kaszmirowymi szalami, niewątpliwie kradzionymi. Były znakomitej jakości i zdobił je zawity wzór, czerwono-złoty oraz pomarańczowy. Uśmiechnęła się, przypominając sobie krzykliwą, purpurową kamizelkę z czerwonym goździkiem, w której Blade przyszedł do Knight House. Prócz jaskrawych wschodnich szali wszystko w tym pokoju było bardzo pospolite. Schludność nie należała do cnót właściciela - wzdłuż ściany przemknęła mysz, znikając w norce, sprzęty pokrywał kurz, a świece, powtykane w kolorowe słoiki, oświetlały nędzne umeblowanie. Stały tam szafa na ubrania, sekretarzyk ze zwykłym drewnianym krzesłem i komoda, a na niej wspaniałały obraz Canaletta w złoconych ramach.

Z niedowierzaniem patrzyła na arcydzieło, na gondole płynące po Canale Grande przed złoto-różowymi weneckimi pałacami. Dobry Boże, przecież to obraz z salonu lady Sudeby! Dopiero teraz zrozumiała, czym właściwie się trudni jej gospodarz. Używane rzeczy, też coś!

Blade nie dbał o to, co sobie pomyśli jego gość. Zamknął drzwi i oparł się o nie,

krzyżując ręce na piersi. Oszołomiona zuchwalstwem jego kradzieży, wskazała na malowidło.

- Czy ten obraz...

W jego spojrzeniu słabo zamigotało coś, jakby poczucie winy. Miał fascynujące oczy - bladozielone tęczęwki, okolone ciemną obwódką.

- Piękny, prawda?

- Skąd się tu wziął?

- A jak pani sądzi?

Spojrzała na niego przenikliwie, podpierając się pod boki. Nie była pewna, co ma o nim myśleć.

- Prowadzi pan ryzykowny tryb życia.

- Owszem, ale jeśli mnie jutro powieszają, to przynajmniej będę wiedział, że się wcześniej nieźle zabawiłem.

- To szaleństwo!

Przypatrywał się jej z łagodnym uśmiechem.

- Musiałem go mieć i już. Widzi pani, ja ogromnie lubię piękne rzeczy. - Odwrócił od niej wzrok, wsparł głowę o drzwi i zapatrzył się na obraz. Kiedy znów się odezwał, jego prostacki akcent jakby osłabł. - Pewnie sprzedam go wkrótce, ale... ma w sobie jakiś dziwny czar. Czasami, kiedy wieczorem leżę na łóżku i wpatruję się w niego, śnię potem, że jestem tam, w Wenecji. Widzę błękitne niebo, słońce, słyszę szum fal.

- Uśmiechnął się krzywo, jakby chciał zakpić z samego siebie.

- Tylko że artyści kłamią; żadne miejsce nie może być takie piękne.

-Ależ jest! -Jacinda przeniosła wzrok z obrazu na jego twarz.

- Przecież tam byłam!

Spojrzał na nią z nieufnością.

- Nie wierzy mi pan?

Nie odpowiedział.

- Powinien pan tam pojechać. - Uśmiechnęła się z lekką złośliwością. - Taki ogrom piękna mógłby dobrze na pana wpłynąć. W sensie moralnym.

- Nie mam czasu na wakacje - prychnął. - No i muszę się porachować z Cullenem O'Dellem.

- Pokona go pan - zapewniła cicho i urwała. - Czy to poważna rana?

- Jeszcze żyję. - Wzruszył ramionami.

Spojrzeni na siebie obydwój, czując, że przeskoczyła pomiędzy nimi iskierka zainteresowania. Pokój wydał się jej nagle mniejszy, a światło świec cieplejsze, mocniej wydobyło wyraziste rysy i ostry kontur jego twarzy. Kiedy Blade odezwał się ponownie, spytał zdecydowanym tonem:

- Kim pani jest? Muszę to wiedzieć.

- Mogłabym panu zadać to samo pytanie.

- Ja pytam pierwszy.

- Już mówiłam.

- Akurat! Żadna „Jane Smith” nie nosi podobnych diamentów. Zresztą gdzieś już panią widziałem.

Ostrożnie, przestrzegła się w myśli, unosząc rękę ku naszyjnikowi. Mógł sobie być zwykłym złodziejem, ale bystrości mu nie brakowało. No i miał tyle sprytu, żeby należycie ocenić wartość rzeczy. Nie miała zamiaru mówić mu całej prawdy.

- Ja pana też, ale nie mam pojęcia, gdzie mogliśmy się spotkać.

Spojrzał na nią tak, jakby rozważał dokładnie jej słowa.

- Eddie powiedział, że wynajęła pani karetkę pocztową do Dover, a to oznacza podróż

na kontynent.

- Zgadza się.

- Po co pani tam jedzie?

- Wolalabym więcej nie mówić. Pan chyba też.

Przechylił nieznacznie głowę i się zamyślił.

- Mam pewną teorię. Chce pani wiedzieć jaką? Nie odezwała się, mimo to ciągnął:

- Dałbym głowę, że pani ucieka. Do Paryża.

- Co takiego?

- Słyszałem, że wiele młodych dam tak teraz robi.

- Niech pan nie plecie głupstw. Nic podobnego.

- Naprawdę? Nie widzę innego wyjaśnienia. Nie wiem, kim pani jest, ale na pewno

nikim pospolitym. Nie jestem też na tyle głupi, żeby nie wiedzieć, że młode panny nie

wystawią nosa z domu bez służby. Gdzie pani przyzwoitka, lokaj, służąca? Nie potrafiła

wymyślić żadnej stosownej odpowiedzi.

- A więc albo nie należy pani do osób godnych szacunku, co jest niemożliwe, sądząc

po manierach. Albo też rodzina nie akceptuje pani ukochanego.

- Ma pan bardzo ograniczone poglądy. - Jacinda uniosła podbródek. - Naprawdę pan

sądzi, że damom chodzi jedynie o miłość?

- Nie wiem. Poza panią nie rozmawiałem nigdy z żadną damą. - Uśmiechnął się tak

zuchwale, że serce zabiło jej żywiej.

- A ja poza panem nie rozmawiałam nigdy z żadnym złoczyńcą.

-W takim razie powinniśmy sobie wzajemnie wybaczyć, jeśli się mylimy - odparł z

ironią. Sięgnął za pazuchę i wyciągnął metalowe pudełko, a z niego krótkie cygaro. Zapalił je

od płomienia świecy, a Jacinda nie odważyła się powiedzieć, że dżentelmen nigdy nie pali w

obecności damy.

Wyprostował się i ponownie spojrzął ku dziewczynie. Wyglądał doprawdy zuchwale z cygarem przyklejonym do wargi.

- Gdzież w takim razie podziewa się szczęśliwy wybraniec, panno Smith? Miała się z nim pani spotkać na wybrzeżu czy może czekał Pod Głową Byka? - Urwał, wydmuchnął kłęb dymu i dodał: - Czyżby się spóźnił?

- Proszę pozwolić mi odejść. Nie doniosę na pana policji. Czy nie wystarczy moje słowo? Chciałabym wrócić na stację pocztową. Pojadę sobie tam, gdzie zamierzałam, i nie zobaczy mnie pan nigdy więcej.

- Nie wiem, czy to możliwe. - Patrzył na nią tak, jakby jej dotykał. - Narzeczony całkiem pani zawrócił w głowie.

- Nawet pan nie pomyślał - wybuchnęła bez zastanowienia - że mogę uciekać do Paryża po to, żeby uniknąć narzeczonego! Niech pana lichy porwie! - krzyknęła. Co za okropny człowiek! Urwała, ale za późno. Ten łotr wydobył z niej całą prawdę!

- Rozumiem. Innymi słowy - spojrzął na nią bacznie - uciekła pani z domu.

- No i cóż z tego? Nie pańska sprawa. - Wskazała z irytacją na jego bok. - Ciągłe pan krwawi!

- Nie dojedzie pani żywa do Francji.

- Ależ tak!

- Dała się pani wciągnąć w dzielnicę ruder dziewięcioletniemu złodziejaskowi!

Goniła pani za nim jak szalona. Nigdy nie należy ścigać rabusia! Ci, którzy to robią, kończą z nożem w żebrach. - Trzymając cygaro między palcami, machnął gniewnie ręką wzdłuż całej jej sylwetki. - Pęta się pani po ulicach wystrojona jak księżniczka, z sakiewką pełną złota! Już tylko dla pieniędzy mogliby panią ze trzy razy zabić, nie mówiąc o diamentach! Ten

smarkacz, gdyby tylko chciał, wypatroszyłby panią jak rybę. A co by się stało, gdyby znalazł panią O'Dell, nie ja?

- Gotów pan umrzeć z upływu krwi, jeśli ta reprimenda ma potrwać dłużej. - Jacinda skrzyżowała ręce i wpatrzyła się w ścianę.

Spojrzał na nią ze złością, ale zdjął skórzany płaszcz, żeby się przyjrzeć ranie. Długie, zmierzwione jasne włosy opadły mu na czoło i przesłoniły twarz.

Nic dziwnego, że Lucien go polubił, przemknęło przez myśl Jacindzie. Blade był równie apodyktyczny, jak każdy z jej braci. Drgnęła na widok zakrwawionej koszuli.

- Posłałby pan lepiej po chirurga.

- Sam się tym zajmę - burknął i ścisnął w zębach cygaro, ściągając kurtkę. Wskazał na kominek. -W kociołku jest wrzątek. Proszę go wlać do miednicy. Stoi na komodzie. Chyba to nie będzie poniżej pani godności?

- Tym razem zrobię wyjątek - starała się odpowiedzieć uprzejmie, ale w duchu przeklinała jego arogancję. Była jednak wdzięczna za to, że przestał ją wypytywać. Wykonała polecenie ze zręcznością, która wprawiłaby w zdumienie jej wymagającą guwernantkę, pannę Hood. Zdjęła z komody miednicę, obejrzawszy sobie przy okazji z bliska Canaletta. Obraz nie pasował do kryjówki złodzieja, ale był wspaniały. Odwróciła się z miską w rękach dokładnie w tym momencie, gdy Blade ściągnął przez głowę cienką koszulę.

Zamarła w miejscu, o mało nie upuszczając miski. Odblaski ognia pełzały po muskularnym, szerokim torsie, silnych ramionach i płaskim brzuchu. Krew i broń, zatknięta w futerałach za pas, kontrastowały dziwnie z pięknem tego ciała. Rzucił niedbale koszulę na podłogę, wytarł twarz w niebieski szalik luźno okręcony wokół szyi i podszedł do starego kufra, który stał w nogach łóżka.

Kiedy rozwiązywał skórzane rzemyki przy półokrągłym wieku, otworzyła ze

zdumienia usta. Jego plecy i barki pokryte były barbarzyńskimi tatuażami.

- Czy pani chociaż umie mówić po francusku? - spytał, stojąc tyłem do niej.

Przez chwilę nie mogła się zdobyć na odpowiedź.

- Ależ... ależ... tak, oczywiście - wyjąkała z oczami wlepionymi w jego ciało. Kiedy ją edukowano, robiono to głównie po francusku, ale w tej chwili wiedziała tylko, że język ten nazywany jest mową miłości.

Gładką, jedwabistą, brunatną skórę Blade'a pokrywał gęszcz zawitych wzorów i barwnych rysunków, od fantastycznych do zabawnych. Błądziła wzrokiem po tym torsie przyozdobionym niczym u barbarzyńskiego wojownika. Och, cóż za cudowne okropieństwa, pomyślała, wpatrując się w nie jak zahipnotyzowana. Na prawym bicepsie widniał miecz skrzyżowany z pistoletem, otoczony laurowym wieńcem. Zionący ogniem smok wił się spiralnie po lewym. Brytyjska flaga pyszniła się na lewej ręce, a piersiasta syrena wdzięcznie spoczywała na skale w okolicach prawego biodra. Największy był jednak wizerunek czarnego feniksa, wzlatającego na rozpostartych skrzydłach spośród płomieni, umieszczony pośrodku. Smok na lewym ramieniu zafalował, gdy Blade schylił się nad kufrem i wyjął stamtąd drewniane pudełko z lekami. Kiedy się wyprostował, Jacinda przypomniała sobie wreszcie, o co ją proszono. Z czerwonymi policzkami pospieszyła, żeby napełnić miednicę gorącą wodą z kociołka. Wtedy usłyszała cichy, iście piracki śmiech.

- Chciałabyś pogłaskać mojego smoka, kochaneczko?

- Doprawdy, wyraża się pan niestosownie - parsknęła, gdy podszedł ku niej niby jakiś wielki złoty lampart pokryty niezwykłym deseniem.

Z rozbawioną miną położył pudełko na komodzie.

- Gapisz się na mnie.

- Wcale nie! - Usiłując go zignorować, zdjęła mały ręcznik z gzymsu kominka i

owinęła nim rękę, żeby się nie sparzyć. Ostrożnie podeszła do ognia, świadoma obecności

Blade'a za plecami. Zaciśnęła palce na uchwycie kociołka.

- Kłamczucha!

Serce jej załomotało, kiedy usłyszała jego szept. Uniosła powoli kociołek. Para osiadła

jej na piersiach, szyi i policzkach. Stał tuż przy niej, przyciągając ją niczym magnes.

Poczuła, że oblewają ją nagła fala gorąca, gdy nalewała wody do miednicy. Zakręciło się jej w głowie.

- Nie dbam o to, czy patrzysz na mnie, za to chętnie przyjrę się tobie.

Był niebezpiecznie blisko niej. Wyjął miednicę z jej drżących rąk. Żołądek

podskoczył Jacindzie gwałtownie, gdy ich dłonie się zetknęły.

- Proszę się trzymać z dala ode mnie! - zażądała. Jej głos był zduszony, co jeszcze

bardziej ją przeraziło. - To znaczy... chciałabym, żeby pan zachowywał się jak dżentelmen.

- Zgoda, - Spojrzał na nią spod oka. - No proszę, jak pani ciężko pracuje w balowej

sukni. - Musnął oddechem jej czoło. - Nie nadaje się pani do usługiwania, księżniczko. Lepiej

sam to zrobię.

Rozgniewały ją te słowa. Blade, z chytrym uśmiechem, odwiesił kociołek na miejsce i

wziął od niej miednicę z wodą. Postawił ją na komodzie, a potem przysunął sobie krzesło,

odwrócił je tyłem do przodu i siadł na nim okrakiem, kładąc łokcie na oparciu.

- Nigdy pani nie widziała wytatuowanego mężczyzny?

Jacinda nigdy dotąd nie spoglądała na nagi męski tors, obojętne, wytatuowany czy nie,

ale nie miała zamiaru o tym wspominać.

- Gdzie panu to zrobiono?

- Na Church Street.

Zamrugła oczami, zaskoczona. Roześmiał się.

- Pewien stary wilk morski ma tam pracownię i założył się, że nie zazna biedy na starość. Nauczył się tatuowania od krajowców z Tahiti, kiedy służył w królewskiej marynarce.

- Czy to bolało?

- Nie pamiętam - odparł z lekkim uśmiechem, pocierając szorstki podbródek. - Za każdym razem byłem pijany w sztok.

Parsknęła na wpół z pogardą, na wpół z rozbawieniem, i odwróciła wzrok. Gdy opatrywał sobie ranę, stanęła skrzepowana trochę dalej. Usiłowała patrzeć gdzie indziej. Powinna mu pomóc - rana wyglądała na bolesną - ale bała się spojrzeć na niego, wytrącona z równowagi tym, że przebywa wraz z postawnym, półnagim mężczyzną w jednym pokoju. Wolała nie myśleć, co by o tym powiedzieli jej bracia.

W nagłym odruchu buntu zaczęła się zastanawiać, jak to jest być kimś takim jak on.

Owszem, to na pewno prostak - ale też cieszy się nieograniczoną swobodą. Miała zupełną pewność, że nikt mu nie dyktuje, co powinien robić. Zaśmiałyby się komuś takiemu w twarz.

Zirytował ją fakt, że mu tego zazdrości.

- Blade! Chlapie pan wodą na obraz! Przecież to Canaletto! - krzyknęła nagle.

- Wiem. W przeciwnym razie nie zadawałbym sobie tyle trudu, żeby go ukraść.

- Więc nie można pozwolić, żeby się zniszczył!

Spojrzał na nią dziwnie, kiedy podeszła do komody i zabrała malowidło. Gdy przenosiła je na sekretarzyk, gdzie było bezpieczne, celowo robiła to powoli, zadowolona, że może się czymś zająć, zamiast wpatrywać się ukradkiem w męskie ciało.

Trudno było uwierzyć, że jej najlepsza przyjaciółka i dama do towarzystwa, Lizzie Carlisle, uznała Blade'a za szkaradnego i była zgorziona zainteresowaniem, jakie wzbudził w Jacindzie.

Chciało się jej śmiać na samą myśl o tym. Zrozumiałaby ją tylko matka, pomyślała ze smutkiem, i znów zerknęła na mężczyznę. W pokoju było mroczno, ale widziała złotą grzywę spływającą z czoła i barbarzyńskie tatuaże. Robił wspaniałe wrażenie, buntowniczy i porywczy!

Wciąż jednak - mimo że dzieliło go tak wiele od wytwornych dandysów, którzy zwykle ją otaczali - nie mogła się pozbyć wrażenia, że Blade jest kimś innym, niżby się zdawało. Może był dzieckiem jakiegoś arystokraty - rozpustnika, który zadał się z karczmarką? Rysy miał subtelne, jakby wcale nie pochodził z londyńskiego plebsu. Łuk brwi okalał rozumne, melancholijne oczy. Kości policzkowe były ostro zarysowane, podbródek kanciasty i lekko wysunięty do przodu, a pełne wargi śmiało mogły rywalizować z jej własnymi. Z ustami córki nierządnic Hawkscliffe'ów.

Jego twarz nosiła ślady niełatwego życia na londyńskich ulicach. Orli nos przechylał się co nieco w prawo, a nad zewnętrznym krańcem lewej brwi widniała blizna o gwiazdzistym kształcie. Blade zaczął owijać poranione ciało długim pasem lnianego płótna tak sprawnie, jakby to robił po raz nie wiadomo który. Dziewczyna z największym trudem zdołała odwrócić od niego oczy.

- Świetnie pan sobie z tym radzi - zauważyła, przesuwając palcem po zakurzonej ramie Canaletta.

- Z konieczności. Nikt inny tego za mnie nie zrobi. - Wylał zabarwioną krwią wodę i napełnił miednicę świeżą i zimną, zaczerpniętą z dzbanka. Pochylił się i zaczął myć twarz. Czekwała w milczeniu, z poczuciem winy licząc w myśli służbę, która usługiwała jej codziennie. Nigdy nie знаła innego życia. W końcu była córką księcia!

- Czy dba o pana chociaż ta Cyganka?

Spojrzał na nią ostro.

- Sam dbam o siebie. Zawsze musiałem tak robić i zawsze tego chciałem.

Wzruszyła ramionami i spojrzała w bok.

- Ach, oczywiście. - Uznała, że ten mężczyzna przypomina jej małego łapserdaka, który wolał ją okraść niż przyjąć jałmużnę. Blade wciąż jeszcze pochylony był nad miską.

Zdjęła diamentowy naszyjnik i powiesiła go ostrożnie na rogu ramy Canaletta, a potem odeszła stamtąd, żeby nie dostrzegł, co zrobiła.

Poczuła się o wiele lżej bez tej koliai. Założyła ręce do tyłu i czekała, aż Blade skończy się myć. Chociaż starała się nie patrzeć na niego, osobliwe wizerunki na jego skórze zdawały się ją przyciągać, wyginając się faliście przy najmniejszym ruchu.

Przyjrzała im się dokładniej i zobaczyła, że każdy z nich zakrywał wcześniejsze blizny. Zmarszczyła brwi.

Blade, ociekając wodą, wyprostował się wreszcie. W kroplach, spływających mu po piersi, odbił się blask ognia, gdy oburącz odgarnął długie włosy do tyłu. Wilgotne, nabrały ciemniejszego, brunatnego koloru. Zatrzymała na nich spojrzenie dłużej, niżby należało.

Zupełnie jakby czytał w jej myślach, uniósł powoli powieki i spojrzał jej prosto w oczy. Drobne kropelki wisiały mu na gęstych rzęsach. Gdy ich spojrzenia się spotkały, głos odmówił jej posłuszeństwa. Z trudem przełknęła ślinę i poczuła, że oblewają rumieniec. Nie potrafiła odwrócić wzroku.

Odrzucił ręcznik i podszedł do niej powoli.

- Najwyższy czas, żeby mi pani wszystko powiedziała.

- Co? - spytała ledwo dosłyszalnie.

- Prawdę. Kim pani jest?

- Przecież mówiłam...

- Nie zwiedzie pani kogoś z dzielnicy ruder, moja miła.

- Na pewno jest pan kimś takim? - Uniosła podbródek, nie odwracając oczu.

- Hm - mruknął wymijająco. - Proszę mówić, inaczej panią pocałuję.

Zadrżała. Miała nadzieję, że Blade tego nie dostrzeże.

- Pańskiej kochance chyba się to nie spodoba.

- Rzecz w tym, czy spodoba się pani.

Wstrzymała oddech. W jego przepastnych, zielonych oczach odbiła się poświata płomieni, kiedy pewnym, niespiesznym krokiem zbliżał się ku niej. Chciał, żeby uciekła?

Zęby zaczęła krzyczeć albo go powstrzymała?

Nie zrobiła niczego.

Blade nie mógł oderwać wzroku od jej ciemnych oczu. Jeszcze raz go zaskoczyła. Nie cofnęła się, pełna pogardy i strachu, jak zrobiłaby to panienka z towarzystwa. Stała w miejscu, czekając na niego z falującymi piersiami i rękami opuszczonymi wzdłuż ciała.

Zamigotało mu w oczach, jakby spojrział w słońce błyszczące nad morzem - na wpół zapomniany obraz z dzieciństwa. Przyciągała go do siebie z siłą, której musiał się poddać, bo górowała nad rozsądkiem i wolą. Im bliżej podchodził, tym większe czuł upojenie.

Stała przed nim, niczym wzięta do niewoli boginka, równie zachwycająca, jak obraz Canaletta. I tak samo nie na miejscu w jego nędznej izbie. Ogień odbijał się w złotych haftach białej sukni, uszytej z cieniutkiego jedwabiu, która zdawała się opływać ciało dziewczyny.

Przeniósł spojrzenie niżej i oddech uwiązł mu w gardle. Blask kominka pozwalał dostrzec pod suknią zarys smukłych nóg. Była szczupła, proporcjonalna. Istne wcielenie elegancji i wdzięku. Pragnął jej, owszem, ale było w tym coś, co wykraczało poza doznania czysto fizyczne. Coś wznioślejszego. Bliskość, za którą tęsknił od tak dawna.

Mogła być jego natchnieniem, kimś, kto by go uczył myśleć. Kimś, kto nie tracił rezonu, obojętne, jak głośno by na niego krzyczano. Kimś, kto potrafiłby zrozumieć

wszystkie jego problemy, komu mógłby się zwierzyć.

Nie spodziewał się znaleźć nikogo takiego pośród ruder, w których żył. Za bardzo się różnił od wszystkich z tej dzielnicy. Inaczej niż Nate czy nawet O'Dell był przybyszem z zewnątrz. Nawet jako mały złodziejasek, podobny do Eddiego, szybko pojął, że przyjmą go tutaj i zaakceptują tylko wtedy, gdy im się do czegoś przyda. Teraz był ich przywódcą. Ale nigdy nie stał się jednym z nich. Oddałby za nich wszystkich życie, ale żaden z kompanów nie rozumiał tego, co go dręczyło. Czerpał pociechę z książek, lecz książki nie mogły go wysłuchać. Ta dziewczyna, obojętne, kim była, okazała się wcieleniem piękna i wdzięku. Właśnie tego brakowało w jego mrocznym brutalnym świecie.

Ona wręcz błyszczy, pomyślał oszołomiony, zatrzymując się tuż przed nią. Nie cofnęła się, nie odrzuciła też głowy w tył, żeby spojrzeć mu w oczy. Patrzyła na jego obnażoną pierś. Wpatrywał się w każdy kędziorek jej złocistych włosów. Mógł wyczuć ciepło jej oddechu na swojej skórze.

Poczuł skurcz serca. Ostrożnym ruchem, tak by jej nie zrobić nic złego, uniósł obie ręce i powoli przesunął dłońmi po gładkich jak atlas ramionach. Drgnęła, gdy jej dotknął, choć zrobił to bardzo delikatnie. Usłyszał, że oddycha z trudem. Ponownie pogładził jej ramiona, od marszczonych rękawków i dekoltu aż po piersi. Mógł wyczuć jej puls, gdy delikatnie dotknął końcami palców białej szyi. Długie rzęsy opadły w dół, a różowe, połyskliwe wargi się rozchyliły.

Boże, jaka ona jest piękna, pomyślał. Spojrzał na jej skupioną twarz, tak niewinną, wręcz proszącą, by ją uwiódł. Na piękne, wyczekujące usta. Już się nad nimi pochylał, lecz zamarł w pół drogi.

Williamie Spencerze Albright, powiedział sobie szorstko, nie waż się!

Była wrażliwa, a przecież niejednego dziś doświadczyła. Nie mógł jej wykorzystywać.

Dobry Boże, przecież ona właśnie uciekła z domu! Wiedział z własnego doświadczenia, że potrzeba jej kogoś, komu mogłaby zaufać, a nie dręczącego ją obcego prostaka. Myśl o tej naiwnej ślicznotce zabłąkanej wśród ulic Londynu szczerze go zaniepokoiła. Nie miała pojęcia, w jakich jest opałach.

O dziwo, znalazł w sobie dość siły, żeby dotknąć ustami jedynie jej gładkiego czoła i powieść palcami po policzku. Przymknął oczy, postanawiając przekonać ją, że nie jest barbarzyńcą. Kiedy było trzeba, wciąż jeszcze potrafił zachować się jak dżentelmen. Nagle dziewczyna przysunęła się do niego.

Wtuliła się w jego ramiona, wsparła policzek na piersi z westchnieniem tak cichym, że ledwie je dosłyszał. Przypominała wędrowca zadowolonego, że znużony podróżą, powrócił w końcu do domu.

Drgnął, kiedy pogładziła wytatuowanego smoka, wpatrując się w niego z fascynacją.

Nie mógł się oprzeć pokusie. Zwinnymi palcami wyszukał szpilki do włosów w kształcie gwiazdek, które podtrzymywały niesforne, jasne loki. Wysunął je z błyszczących pasm. Nie miała nic przeciwko temu i z zadowoleniem przymknęła oczy. Wyjmował szpilki, jedną po drugiej, póki lśniąca kaskada włosów nie opadła na delikatne ramiona.

Ujął kilka skręconych loków w palce i rozwinął je ostrożnie. Rozpuszczone włosy sięgnęły jej aż do łokci. Wciąż jeszcze je podziwiał, gdy uniosła powieki. Odchyliła głowę i uśmiechnęła się do niego. Oczy jej błyszczały.

- Co pan robi?

Spojrzał na nią. Nie wierzył, że kiedykolwiek będzie miał szansę kochać się z nią.

Puścił lok.

- Ja tylko... bawiłem się nimi - szepnął ochryple. Włosy opadły na ramiona,

odzyskując zaraz swój poprzedni, spiralny kształt. Odwzajemnił uśmiech i ujął jej małe

delikatne dłonie. -Jest pani - szepnął, unosząc jej palce do ust i całując każdy po kolei -
ponętniejsza i piękniejsza nawet niż obraz Canaletta.

Uśmiechnęła się ponownie z wdzięcznością w oczach, które błyszczały jak
rozwieżdzona noc.

- Jednakże - ciągnął dalej - przyszło mi na myśl, że dopuściłem się ogromnego
zaniedbania, ofiarowując pani gościnę.

- Doprawdy? Nie zauważyłam. Uśmiechnął się krzywo, słysząc tę odpowiedź.

- Istne z pani półdiabłę.

- Bynajmniej. Proszę spytać mojej guwernantki.

Chociaż kusiło go, żeby scałować ten lisi uśmiezek z jej warg, oparł się pragnieniu.

-Jest pani niebezpieczną osobą - mruknął, prowadząc ją ku sekretarzykowi. Podsunął
jej krzesło.

Usiadła. Jej ruchy były pełne wdzięku i godne damy; nawet sposób, w jaki
skrzyżowała nogi i skryła drobne stopy pod krzesłem. Patrzył na nią ledwie chwilę, a już się
dziwił, że w ogóle pozwoliła mu się dotknąć. Nie mógł w to uwierzyć.

Podobam się jej, pomyślał. I nagle poczuł przyływ dzikiej radości, zniknął gdzieś
rozsądek. On, Blade, człowiek, który zwyciężał w walce najgorsze typy z najbrudniejszych
zaułków londyńskich, który drwił sobie ze śmierci i szydził z kata, stał się nerwowy i spięty w
obecności pięknej dziewczyny? Co za bzdura. Jakież z niego beznadziejny osioł!

Mniejsza z tym.

- Czy coś się stało? - spytała.

- Ależ nie. - Oszołomienie znikło. Zaczął się rozglądać za czymś, czym mógłby ją
ugościć. - Może napiłaby się pani herbaty?

Spojrzała na niego niepewnie, być może zaskoczona, że w ogóle wie o istnieniu

takiego napoju.

- Z przyjemnością, dziękuję.

- Dobrze.

Niestety, kiedy podszedł do kominka, zobaczył, że zużył całą wodę, gdy opatrywał ranę. Do diaska! Odwrócił się zakłopotany. Uniosła brwi z ironią.

- A może... wina?

- To nawet byłoby lepsze.

Uniósł skrzypiące wieko kufra stojącego w nogach łóżka i wyjął butelkę najlepszego burgunda. Widok czystych koszul, ułożonych w stos, przypomniał mu, że jest półnagi.

Wyciągnął w pośpiechu jedną z nich i szybko wciągnął ją przez głowę, wygładzając rękami fałdy. Nie obchodziło go, co ta dziewczyna pomyśli o nim i o jego tatuażach. Mimo to podobne zachowanie było u niego czymś niezwykłym - nic go nie obchodziło, co inni sądzą o nim.

To niepodobne do mnie, pomyślał, nalewając do dwóch szklanek ciemnoczerwony płyn. Gdyby to była Carlotta, skończyliby się właśnie kochać, a on zapalałby cygaro. Postawił szklankę przed „panną Smith”. Skinęła głową. Pociągnął trochę wina, podszedł do łóżka i usiadł na nim.

Patrzył, jak ostrożnie upiła kilka łyżek nie najlepszego trunku, a potem uśmiechnął się, gdy skłamała, nie chcąc urazić gospodarza.

- Bardzo... dobre.

Była najgorszym kłamcą, jakiego kiedykolwiek spotkał. Rozbawił go jej wysiłek, żeby go traktować uprzejmie. Wyciągnął się na łóżku, wsparty na łokciu.

- A więc, panno Smith, jeśli nie mogę poznać pani prawdziwego nazwiska, chciałbym przynajmniej wiedzieć, dlaczego pani uciekła.

Spojrzała na wino w szklance, zeszywniała z napięcia.

- Dlaczego właściwie miałyby to pana obchodzić? - Rzuciła mu spojrzenie spod długich rzęs. - Ma pan dosyć własnych kłopotów z O'Dellem.

- Prawda, ale tak się składa, że mam pewne doświadczenie w tych sprawach. - Urwał.

- Tak naprawdę uważam, że ucieczka to bardzo zły pomysł.

Zaskoczył ją tym.

- Czy pan również uciekł z domu?

Kiwnął głową i rozejrzał się z westchnieniem po pokoju.

- Wiele lat temu. Proszę mi wierzyć, nie polecałbym tego nikomu.

- Dlaczego pan to zrobił? To znaczy... jeśli pan zechce mi powiedzieć.

Patrzył na nią, niepewny, czy powinien się zwierzyć. A może ona mu się odwzajemni jakąś dramatyczną opowieścią? W końcu wzruszył ramionami.

- Mój ojciec lubił prac mnie, ile wlezie. Po wyjątkowo paskudnym laniu dałem nogę.

Miałem wtedy trzynaście lat.

- To bardzo smutne - szepnęła, nie spuszczając z niego oczu.

- Nie żałuję tego - odparł, pociągając łyk wina.

- Pochodzi pan z zachodnich hrabstw?

- Skąd pani wie?

Uśmiechnęła się.

- To przez pański akcent.

- Urodziłem się w Kornwalii. A pani? -W Cumberland.

- Ach, wreszcie dowiaduję się czegoś konkretnego. No, więc dlaczego uciekła pani z domu?

Popatrzyła na niego zakłopotana. Domyślał się, że ma zamęt w głowie. Objęła

ramionami kolana.

- Może mi pani wszystko powiedzieć. To niczym nie grozi. Wkrótce znajdzie się pani we Francji i więcej się nie zobaczymy. Nic nie wydostanie się poza ściany tego pokoju. -

Urwał, obserwując ją uważnie. - Czy ktoś panią okrutnie potraktował albo przestraszył?

- Nic podobnego.

-Wspominała pani o niechcianym małżeństwie.

- Doprawdy, to bez znaczenia...

- Czyżby? - Próbował ją sobie zjednać. - Czyżby ojciec chciał panią wydać za jakiegoś zgrzybiałego łajdaka?

Uśmiechnęła się uroczo i żałośnie zarazem. Włosy miała potargane. Urocze loczki nadawały jej wygląd cherubina, który zasnął i spadł ze swojej chmurki z łomotem na ziemię.

- Coś w tym rodzaju - odparła z lekkim rozbawieniem.

- Rozumiem. Chyba znajdzie się na to jakiś sposób. - Pstryknął palcami i uśmiechnął się szeroko. - Może mam panią uwieść? Cały problem przestałby wtedy istnieć. Stary łajdak nie zechciałby już pani, a mnie, zapewniam, sprawiłoby to wielką satysfakcję.

- To interesująca propozycja. - Przygryzła wargę i udawała, że się zastanawia. -

Dziękuję za szczodłą ofertę, ale po namyśle postanowiłam z niej nie skorzystać.

-Wołałaby pani kogoś innego? - spytał z nieco większym naciskiem. -Nie.

- W takim razie niech pani wyjdzie za starego łajdaka i przyprawi mu rogi. Dostanie w ten sposób nauczkę, a po jego śmierci odziedziczy pani fortunę męża. Trzeba się nauczyć myśleć jak złodziej.

- Ależ z pana łotr - upomniała go z rozbawieniem.

- Mam nadzieję, że stary łajdak ma tytuł.

- Rzeczywiście, aleja nie mogłabym przyprawić mężowi rogów.

- Wszystkie tak mówią, ale to częste gadanie.

- W moim przypadku nie.

- Doprawdy, panno Smith, czy jest pani romantyczką?

- To trochę bardziej skomplikowane.

- Niech mi to pani wytłumaczy. Tylko powoli i w sposób niezbyt wyszukany, żeby mój nędzny cockneyowski mózdzek mógł nadążyć za słowami.

Uśmiechnęła się kwaśno, słysząc sarkastyczną uwagę. Z westchnieniem odgarnęła loki znad czoła.

- Nie wiem, dlaczego to pana interesuje. Nikt nie chciał mnie wysłuchać.

- Ja to zrobię. Wzruszyła ramionami.

- Skoro koniecznie chce pan wiedzieć... - Wstała, upiła trochę wina i podeszła z wolna do półek. - Dwa tygodnie temu zachowałam się dość zuchwale w Ascot. Z tego powodu mój brat postanowił mnie wydać za człowieka, który, jak uznał, potrafi utemperować mój charakter. - Podniosła skórzaną torbę podróżną z podłogi, gdzie ją wcześniej położyła, i zaczęła ocierać ją z kurzu.

- Na czym polegało zuchwalstwo? - Przyjrzał się torbie, którą odłożyła na sekretarzyk. Zapewne było w niej coś, co pozwoliłoby mu poznać jej nazwisko.

- Och, to był tylko niewinny żart podczas wyścigów.

Otworzyła torbę i wrzuciła tam swoje szpilki do włosów.

- Jak dużo pani przegrała?

- Wydałam moją tygodniową pensję, założyłam się więc z kilkoma moimi wielbicielami o całusy. Tak mnie to bawiło! Sądziłam, że mój koń wygra. Był faworytem. Niestety, potknął się i przyszedł trzeci z kolei.

- Ilu wielbicieli musiała pani w końcu pocałować? - Blade już się nie uśmiechał.

- Zadnego. Mój brat zjawił się z guwernantką, zanim do tego doszło. Czy pan uwierzy? Zmusił mnie, żebym złamała dane słowo! A zaraz potem zaaranżował moje małżeństwo z...

Blade uniósł brwi. O mało się nie wygadała! Był zaintrygowany.

- ...przyjacielem naszej rodziny - zakończyła i westchnęła ciężko. - Nie zrobiłam nic złego, ale Robert powiedział, żebym się pohamowała, bo inaczej cała socjeta mnie napiętnuje. Tak jak moją matkę. - Odwróciła się i wpatrzyła w ogień na kominku, owijając jeden z loków wokół palca.

A więc to tak, pomyślał, patrząc na nią w milczeniu. Harpie z dobrego towarzystwa rzuciły się na matkę, córka zaś rozdarta była między lojalnością wobec niej a zrozumiałą chęcią uniknięcia bojkotu.

- Niech pan o niej źle nie myśli, Blade - dodała z desperacją. - Mama nie chciała uwieść męża żadnej z londyńskich dam. Oni po prostu tracili dla niej głowy, romansowali z nią, a mama... no... jak mówi Robert... była „kruchym naczyniem”.

- Robert?

- Mój najstarszy brat. Dlaczego właściwie nikt się nie gorszy, kiedy mężczyzna bierze sobie kochankę, a jeśli zrobi tak kobieta, wszyscy mają o niej jak najgorsze zdanie! - Zaczęła krążyć nerwowo po pokoju. - To nie w porządku! Nikt już nie pamięta, jaka była utalentowana, jak wspaniałe artykuły pisywała o prawach kobiet, jak jeździła po całym Londynie i wyciągała ludzi z łóżek, żeby tylko poszli do Izby Lordów głosować za ważnymi uchwałami. I nikt nawet nie wspomni, że zginęła po bohatersku!

Blade, który z fascynacją śledził suknię kołyszącą się lekko w takt jej kroków, zaczął słuchać uważniej.

- W jaki sposób zginęła?

Westchnęła i zaprzestała krążenia po pokoju. Wsparła biodro o komodę i chwyciła jej krawędź wypielęgnowanymi dłońmi.

- Mama kochała Francję. Miała tam mnóstwo przyjaciół. Gdy wybuchła rewolucja, razem z jednym ze swoich kochanków, markizem Carnarthen, przemycała dzieci arystokratów do Anglii. W końcu złapano ją i skazano na śmierć.

- Mój Boże! - mruknął. - Czy to prawda?

- Tak. - Znowu siadła na krześle. Z policzkiem wspartym na dłoni patrzyła na niego, zamyślona i niespokojna jednocześnie. - Widzi pan teraz, w jakiej jestem sytuacji?

Chciałabym być taka jak ona, a może nawet kimś jeszcze lepszym. Ale jak tego dopiąć, kiedy krępują mnie konwenanse? A w dodatku muszę pokutować za jej grzechy!

- Zdarzenie na wyścigach to raczej nie pokuta, ale świadome wyzwanie rzucone towarzystwu.

- No, może jestem trochę zbyt... Czy będzie mnie pan potępiał za to, że nie cierpię socjety? Moja matka była więcej warta niż te wszystkie nadęte hipokrytki razem wzięte. One ją potępiły, a teraz już nie żyje! Nawet jej nie zdążyłam poznać!

- W każdym razie - odezwał się po chwili cierpko - spodziewam się, że przynajmniej zostawiła pani rodzinie list.

- Oczywiście. Nie chciałam, żeby się o mnie niepokoiли. - Spojrzała na zakurzony ścienny zegar. Wskazywał północ. - Ale wątpię, czy go znaleźli. Pewnie są jeszcze na balu u Almacka. Czy wskaże mi pan drogę do zajazdu? Zresztą może sama ją znajdzie.

Nie odpowiedział od razu.

- Może pani tu zostanie jeszcze przez jakiś czas? Lepiej byłoby się wyspać przed podróżą do Francji. Mogę pani służyć łóżkiem.

Wyraźnie się zaniepokoiła.

- Nie chcę, żeby szła pani teraz sama przez miasto. Tutaj nikt pani nie skrzywdzi, zaręczam. Poza tym... tak wiele piękna może wpłynąć na mnie budująco. W sensie moralnym.

Zarumieniła się i uśmiechnęła, słysząc aluzję do swoich wcześniejszych słów. Loki opadły do przodu, zasłaniając jej twarz.

- To bardzo miło z pana strony, ale już podjęłam decyzję. Chcę dotrzeć na wybrzeże o świcie. A prócz tego mój bagaż został w zajęździe. No i czeka na mnie karetką pocztowa.

- Niech będzie, jak pani sobie życzy. - Z jakiegoś niezrozumiałego powodu ubodła go jej odmowa. Wciąż jednak szukał sposobu, żeby ją zatrzymać na dłużej u siebie. - Czy mogę o coś spytać?

- Proszę bardzo.

- Jakie właściwie okropne grzechy popełniła pani matka?

- Naprawdę chce pan wiedzieć? - Przez chwilę patrzyła mu prosto w twarz, potem spuściła powieki. - Mama miała sześcioro dzieci z różnymi mężczyznami. - Znowu spojrzała na niego, w ciemnych oczach zobaczył wyzwanie. Zrozumiał, że wszystko zależy od sposobu, w jaki przyjmie jej słowa. Czyżby obawiała się jego osądu? Starając się zachować nonszalancką minę, unióśł brwi i upił nieco wina.

- To imponujące.

Przyjęła z ulgą jego reakcję.

- Mama była piękna i błyskotliwa, a także dzielna. Kochało się w niej wielu mężczyzn, a wiele kobiet... jej nienawidziło.

Rozumiem. - Przyglądał się uważnie małej dziurce w spodniach na swoim kolanie. - A zatem pani matka była skandalistką... i teraz towarzystwo spodziewa się, że pani również stanie się „kruchym naczyniem”?

- Owszem. Z pewnością już robią zakłady, że tak się stanie. „Kiedy ta dziewczyna

zrukuje sobie reputację i za czyją sprawą?” Celuje w tym zwłaszcza Daphne Taylor!

- Któż to taki?

- Moja największa nieprzyjaciółka. Córka wicehrabiego Erharda i królowa piękności ostatniego sezonu - wyjaśniła z sarkazmem i z irytacją machnęła ręką. - Niech ostrzy sobie na mnie język. Towarzystwo nigdy się nie doczeka, żeby mnie ujrzeć uwikłaną w skandal. Może od czasu do czasu robię jakieś głupstwo, ale wiem, jak daleko mogę się posunąć. Mogłam się zresztą spodziewać, że tak mnie potraktują - dodała cynicznie. - Byłam jeszcze w szkole, kiedy socjeta zaczęła prorokować, że „córka Georgiany” okaże się rozpustnicą.

Zabiłbym każdego, kto by się tak o niej wyraził, pomyślał w nagłym przypiływie pasji, ale się opanował. Czy ta dziewczyna zdoła wytrzymać jego pełne fascynacji spojrzenie?

- No, a... - spytał powoli - jest nią pani?

Pytanie ją zaskoczyło. Patrzyła mu prosto w oczy, jakby się zastanawiając, jak przyjmie jej odpowiedź.

- Prawdę mówiąc... nie jestem pewna.

Drgnął.

Uśmiechnęła się niewinnie, pełna ulgi, że wyjawiała swój sekret.

Zrozumiał, że zdradziła mu coś dużo ważniejszego niż swoje nazwisko. Potrafił dostrzec w oczach kobiety przyzwolenie.

- Chce się pani przekonać, jak to jest? - szepnął.

Silny rumieniec i milczenie można było zrozumieć tylko w jeden sposób.

Wstał bez słowa. Odstawił szklankę z winem na bok i całą odległość, jaka ich dzieliła, przebył trzema powolnymi krokami. Przykląkł przed nią i położył ręce na jej biodrach, pieszcząc je. Boże, nie miała pojęcia, jak bardzo go pociąga.

- Proszę mi obiecać, że nie będzie pan o mnie źle myślał, nawet jeżeli mi się to

spodoba.

- Zapewniam, milady, że ogromnie się to pani spodoba. Postaram się, żeby tak właśnie było.

I zamknął jej usta pocałunkiem.

Nic, co zdarzyło się przez całe osiemnaście lat jej życia, nie przygotowało jej na Billy'ego Blade'a. Pocałunek wstrząsnął całym jej ciałem niby dreszcz, a serce zaczęło bić jak szalone. Czowała satysfakcję, choć nie bez poczucia winy. Zrobił właśnie to, czego pragnęła i czego potrzebowała.

Rozchylił jej wargi i zagłębił się we wnętrze ust. Skwapliwie się temu poddała.

Pachniał tytoniem i winem, wonią mężczyzny, a nagi tors twardo przywarł do jej ciała tam, gdzie koszula otwierała mu się na piersi. Jęknęła cicho i objęła go za szyję. Przyciągnęła go bliżej ku sobie, zatracając się całkowicie w pocałunku. Wiedziała, że więcej się nie zobaczą, i ta świadomość sprawiła, że odrzuciła wszelkie konwenanse. Podobnie jak jej matka, wybrała wolność.

W końcu pierwszym kochankiem księżny Georgiany był toporny pięściarz z plebsu, Sam O'Shea, zwany Twardzielem z Killarney! Matka w pełni zaakceptowałaby Billy'ego Blade'a.

Wsunęła mu dłonie pod koszulę i wodziła nimi po gładkiej skórze, zachwycona szeroką piersią i silnymi ramionami. Wplótł palce w jej włosy i delikatnie odchylił jej głowę do tyłu. Przesunął ciepłymi wargami po szyi Jacindy. Dłonie, gładząc jej skórę, natrafiły na modny, głęboko wycięty dekolt. Zsunął jej suknię. Wyginała się to w jedną, to w drugą stronę, pomagając mu oswobodzić swoje piersi. Ledwie mogła uwierzyć, że to zrobiła. Z fascynacją przyglądała się, gdy zaczął ssać jej sutki.

Zamknęła oczy i wsparła głowę na twardym, drewnianym oparciu krzesła. Owładnął

nią ciepły błogostan i wzmagał się coraz bardziej. Chciała wciąż więcej i więcej.

- Billy - szepnęła ledwo dosłyszalnie, dotykając jego włosów, subtelnie zarysowanych kości policzkowych i wodząc dłońmi po muskularnych barkach. Pieszczoty sprawiły, że znów zaczął ją całować, wodząc wargami od szyi po usta. Potem, nie prosząc o pozwolenie, uniósł ją i położył na łóżku. Przez chwilę słabo protestowała zduszonym głosem, lecz pachnący egzotycznymi ziołami materac tłumiał jej słowa. Billy nakrył ją swoim ciałem, wspierając się na rękach. Biały jedwab sukni przesłoniła pospolita, czarna tkanina jego spodni, kiedy ostrożnie rozsunął jej kolaniem nogi. Jacinda objęła go rękami i łydkami. Każde miejsce, gdzie stykały się ich ciała, pulsowało pragnieniem. Gwałtowne pocałunki i ciężar, który czuła na sobie, sprawiły, że jej ciało płonęło, a serce łomotało. Ręce jej drżały, kiedy gładziła jego długie, płowe włosy.

Chwycił ją za dłoń i splótł jej palce ze swoimi. Intymność tego gestu sprawiła, że zapragnęła go jeszcze mocniej. Czowała, jak coś twardego niczym stal ociera się rytmicznie o najwrażliwszy punkt jej ciała. Uniosła biodra, wyginając je w takt tego powolnego rytmu.

- Muszę cię mieć.

- Nie! - jęknęła. Przeraziło ją to.

- Przygotuję cię - uspokoił ją. Przekreślił się na bok, zsuwając suknię z jej bioder.

- Błede! - zaprotestowała słabo.

- Sza - odparł i pieścił ją delikatnie niczym motyl w najintymniejszym miejscu.

- Och Boże! - westchnęła, całując go zachłannie. Jej ciało wygięło się w łuk pod tym dotykiem. Znajdowała się na skraju jakiegoś błogiego kataklizmu, kiedy nagle przerwał, próbując drżącą dłonią wyswobodzić się ze spodni. Z żalosnym jęknięciem uniosła się ku niemu na łokciach. - Proszę...

Spojrzał na nią zaskoczony, ale kiedy spojrzała mu w oczy, wyraz jego twarzy

złagodniał.

- Och, w porządku, moja miła. - Usłuchał jej skargi, przyciskając ją łagodnie plecami do łóżka. Z niewiarygodną czułością ucałował jej powieki i poniechał własnych pragnień, żeby zrobić to, o co prosiła.

Słowa, które stłumionym głosem szeptał jej do ucha, zapanowały nad jej zmysłami.

Mocne, ciepłe palce dały jej to, czego pragnęła. Całe jej ciało wyprężyło się w ekstazie. Błede wpatrywał się w nią intensywnie, obserwując jej oddanie, póki nie opadła na materac wyczerpana, oniemiała, dysząca i pełna błogości.

Dopiero po dłuższej chwili jej serce znów zaczęło bić w normalnym rytmie. Czowała się swobodna i radośnie ożywiona w jego ramionach. Zaśmiewała się do utraty tchu, gdy miękko całował jej usta. Ujął delikatnie w dłoń jej pierś. Dziewczyna świadomie ignorowała rodzące się poczucie winy.

- Błede, przepraszam. Nie wiedziałam. Nie mogłam...

- Nie mów nic - szepnął, całując ją w czubek nosa, a potem w policzek. - Jak się czujesz?

- To było po prostu cudowne! - Zaśmiała się miękko i przeciągnęła jak kotka. - Nawet sobie nie wyobrażałam czegoś tak wspaniałego.

- Co ty powiesz - odparł z rozbawieniem.

- Ach - westchnęła, zwijając się w kłębek na materacu. Na ustach miała psotny uśmiech. - Teraz już mogę jechać do Francji!

Roześmiał się i pocałował ją w czoło.

- Opowiadasz bzdury, moje ty zachwycające stworzenie. Odpręż się i ciesz tą chwilą. -

Wysunął się z jej objęć i wstał z łóżka. Przez chwilę patrzyła na niego sennie. Stał odwrócony do niej plecami, a ciemna sylwetka feniksa, wytatuowanego na plecach, prześwitywała przez

bawełnianą koszulę. Zamknęła oczy z kolejnym pełnym satysfakcji westchnieniem. Nie chciała w tej chwili myśleć o przyszłości.

Nie dostrzegła, że Blade zaczął grzebać w jej torbie podróżnej.

- Gdzie jesteś? Wróć do mnie, Billy - szepnęła, ubawiona ochryplym brzmieniem własnego głosu. Niecierpliwie czekała, kiedy znów będzie go mogła pocałować. Rozejrzała się, szukając w pokoju. W pierwszej chwili była tak oszołomiona, że nie wiedziała, co on właściwie robi.

Dopiero potem dostrzegła swoje rzeczy rozrzucone na komodzie. W jednej chwili oprzytomniała.

Aż jej dech zaparło. Poderwała się raptownie, siadając na łóżku:

- Co za podłość!

Ależ skąd - odparł gładko. -Ja tylko czuwam nad tym, żeby ci się nic nie przytrafiło.

W końcu jak mógłbym sobie pozwolić na podobną poufałość względem młodej damy, nie znając nawet jej nazwiska?

Jacinda wyskoczyła z łóżka i podbiegła do niego, gotując się ze złości.

- To był nikczemny podstęp! Podła sztuczka!

- Zdaje mi się, że ci się całkiem spodobała.

- Proszę w tej chwili oddać moje rzeczy!

- Nie.

W jego głosie zabrzmiał ostrzegawczy ton. Zatrzymała się tuż przed nim, przerażona i bezradna. Nie potrafiłaby odebrać mu swojej własności, był zbyt silny, by mu sprostać.

- A ja panu zaufałam!

- Gdyby tak naprawdę było, powiedziałałabyś mi, jak się nazywasz.

-Jakie znaczenie ma to, kim jestem?

- Powiedzmy, że chcę wiedzieć, jak wysoko jesteś urodzona. - Znowu zanurzył rękę w torbie.

Jacinda potarła dłonią czoło. Cały jej los zależał od tego, czy Blade umie czytać. W torbie miała dokumenty. Jeśli pozna jej nazwisko, z pewnością odeśle ją do braci.

Zacisnęła ręce na piersi, kiedy ułożył w stos monety, które zebrała z ziemi w uliczce.

Odrzucił na bok szczotkę do włosów i grzebień oraz zapasową parę rękawiczek. Znow sięgnął do torby, wyciągając z niej starannie wyprasowaną chustkę do nosa. Rozłożył ją i przypatrywał się wyhaftowanemu w rogu inicjałom.

- J.K.M. - odczytał na głos, patrząc na nią spode łba.

A więc zna litery, pomyślała, czując ucisk w gardle. Nie znaczyło to jednak, że potrafi

złożyć z nich całe słowa. Wytrzymała sarkastyczny ton, siląc się na obojętność.

Spojrzał na nią sceptycznie, ale nic nie powiedział.

- A cóż to takiego? - Wziął do ręki książkę i powiódł po niej palcem gestem dzikusa.

- *Korsarz* lorda Byrona. Tylko niech go pan nie zniszczy. - Starła się okazać cierpliwość.

Prychnął i już miał odłożyć tomik na bok, kiedy wypadły z niego dokumenty.

- Co to jest? - mruknął i podniósł papiery.

- Proszę mi je zaraz oddać! - Podeszła do niego jak najbliżej, chcąc wydrzeć mu znalezisko z ręki, lecz on przełożył je szybko do drugiej i zaśmiał się, nic sobie nie robiąc z jej gniewu. - Oddaj to natychmiast albo pójdę na policję, daję słowo!

- Nie pójdziesz - zakpił. - Zapłakałabyś się na śmierć, gdyby mnie powiesili.

- Ty łotrze!

Złapał ją wpół i unieruchomił jedną ręką, a długą rozprostował złożony paszport i zaczął go czytać przy świetle świecy. Słowa utknęły jej w gardle. Mogła tylko patrzeć na jego wyraziste rysy, na próżno próbując się czegoś domyślić.

Przez dłuższą chwilę milczał. Potem puścił ją, oburącz chwycił dokument i przysunął go jeszcze bliżej do świecy.

Nie umie czytać, nie umie czytać, powtarzała sobie w myśli, pragnąc, żeby tak właśnie było, lecz zobaczyła, że zbladł.

- Och, mój Boże - powiedział głucho - pani jest... Jacindą Knight!

Zamknęła na moment oczy. To koniec.

- Ty podstępna smarkulo! - warknął, wpatrując się w nią ze zdumieniem. - Dlaczego tego nie powiedziałaś?! I ty mnie śmiesz oskarżać o nikczemne sztuczki?! Nigdy bym cię nie tknął, gdybym miał świadomość, kim jesteś, milady. Gdybym tylko wiedział, że mam do

czynienia z siostrą Luciena! Dobry Boże, chcesz mnie posłać na szubienicę?

- Chcę pana przed tym ocalić! - Znów usiłowała wydrzeć mu papiery, ale uniósł je nad głową, żeby nie mogła ich dosięgnąć.

- No tak, teraz tkwię w tym po uszy! Nie do wiary! Żebyś akurat ty, ze wszystkich ludzi... Siostra Luciena! - Spojrzał na nią z niedowierzaniem, a potem podszedł do kominka i wsparł się o jego gzyms, kręcąc głową. Utkwił wzrok w płomieniach. - Jacindą Knight ucieka z domu! Czyś ty rozum straciła, dziewczyno? Masz co jeść, dach nad głową, rodzinę, która cię kocha, a krew prawie tak błękitną, jak królewska. Wszystko ci na srebrnej tacy przynoszą. Czego ci jeszcze trzeba?

- Wolności! Czy pan naprawdę myśli, że w życiu liczą się tylko podstawowe potrzeby?

- Myślę, że jesteś szalona, ot co! - Mierzył ją wzrokiem, biorąc się pod boki. - Nie masz pojęcia, ile masz szczęścia, moja milady. Nie wiesz, co się dzieje w kraju? Ludzie głodują. Zbiory były marne. Pół miliona żołnierzy wróciło z wojny, a pracy dla nich nie ma. Fabryki wszędzie padają. Może nawet będziesz potrzebować ochrony swoich zacnych braci, bo a nuż cały Londyn się zbuntuje jak Paryż za rewolucji. Wystarczy jedna iskra, żeby rozniecić pożogę, i twoi wytworni lordowie świetnie o tym wiedzą. Każdy wie, a już na pewno ten gad z Home Office, Sidmouth. Ale Jego Lordowska Mość ma na wszystko jedną odpowiedź: trzeba postawić jeszcze więcej szubienic!

- A więc zamierza pan obalić rząd? - spytała pobłażliwym tonem, z rękami założonymi na piersi.

- Przeciwnie, milady, robię, co mogę, żeby utrzymać ład - odwarknął. - Jak myślisz, dlaczego wojuję z O'Dellem? Powiem ci! Bo noga żadnego urzędasza nigdy tutaj nie powstała. Będę z tobą szczery, lady Jacindo. W zeszłym miesiącu O'Dell i kilku jego drani zgwałciło

pewną trzynastolatkę, o parę kroków stąd. Proszę mi wybaczyć, jeśli urazi to pani wrażliwość.

Ojciec dziewczyny poskarżył się władzom, ale jest irlandzkim katolikiem bez grosza przy duszy. Czy któryś z policjantów choćby kiwnął palcem, żeby mu pomóc? Żaden. Dlatego przyszedł do mnie, bo dla władz jest nikim. Ale niech no tylko ktoś zwędzi lady Sudeby jakiś obrazek - parsknął, wskazując na Canaletta - a te błazny wywrócą całe miasto do góry nogami, żeby go znaleźć! My tu walczymy o życie, kiedy ty i tobie podobni myślicie tylko, jakby urządzić nowy pałac na wsi: w chińskim czy w gotyckim stylu!

Jego podniesiony głos słychać było w całym pokoju.

Jacinda przez chwilę milczała, lecz potem pokręciła energicznie głową.

- Wiem, że to niesprawiedliwe, ale gdyby pan użył swojej głowy zamiast pięści, łatwiej by pan zrozumiał, że jest dużo bogatszy niż wielu innych, mając lojalnych przyjaciół i dom. Nie rozumie pan tego, bo jest wolny. Nie śledzą pana setki oczu, nikt nie czyha na pańskie najmniejsze potknięcie, po którym wrogowie rzuciliby się na pana niczym wilki.

Patrzył na nią uważnie i po chwili wzruszył ramionami.

- Przepraszam, może ma pani rację. A może po prostu nie potrafimy się zrozumieć.

Ale wiem jedno: o wiele łatwiej będzie pani utrzymać się przy życiu w tamtym świecie niż w moim.

Po tych słowach wrzucił jej paszport do ognia.

Jacinda ze zduszonym krzykiem rzuciła się ku palenisku, lecz Blade chwycił ją wpół i odciągnął w tył, uciszając łagodnie jej lamenty. Patrzyła, jak ogień trawi wytęsknioną przez nią wolność.

Na niektórych ludzi nie ma sposobu, pomyślał z irytacją, gdy wkrótce potem siedział z jaśnie panią w mrocznym i zniszczonym wnętrzu dorożki. Czego się w końcu spodziewała? Córka cholernego księcia!

Znów miała na sobie zabrudzony płaszcz, zapięty teraz na wszystkie guziki, a spinki w kształcie gwiazdek jako tako podtrzymywały zwichrzone włosy. Wszystko inne wrzucił z powrotem do torby podróźnej. Zwrócił jej co do grosza ukradzione przez Eddiego pieniądze. Serce niemalże mu zamarło, kiedy zauważył, że nie ma już na sobie diamentowego naszyjnika. Myślał, że może ktoś z jego ludzi go ukradł, kiedy wyszedł, żeby zawołać woźnicę, Jimmy'ego, ale wyjaśniła zimno, że włożyła go do torby.

Były to ostatnie słowa, jakie od niej usłyszał. Nawet na niego nie patrzyła. Siedziała naprzeciwko i wyglądała przez okno. Zamknęła się w sobie, zdradzona, pozbawiona nadziei i pełna chłodnego gniewu. Wiedziała, że postąpił słusznie, ale z istic kobiecą logiką postanowiła go za to znienawidzić. O mało nie rzuciła się w ogień, próbując ocalić paszport. Nie dotarłaby bezpiecznie nawet do Dover, a co dopiero do Francji. Był jednak rad, że przynajmniej nie płakała.

Czuł się trochę zakłopotany, widząc jej przygnębioną minę. A na myśl, że już jej więcej nie zobaczy, miał szczerą chęć uderzyć w coś pięścią. Problem w tym, że jej bracia zrobiliby z niego pasztet, gdyby odkryli, jak się z nią zabawiał. Skądinąd ani trochę nie żałował swego postępowania, mimo że skóra cierpła mu na myśl o czekającym go spotkaniu. Lucien Knight potrafił przeniknąć człowieka na wskroś swoim lodowatym spojrzeniem. Jego brat bliźniak, Damien, bohater wojenny, był kimś równie przerażającym. Słyszał wiele o innych braciach Knight, choć nigdy ich nie spotkał. Co, ze względu na okoliczności, wcale go nie martwiło.

Spojrzał na Jacinę w rozkołysanym mrocznym wnętrzu dorożki. Przez moment zdołał dostrzec jej profil, kiedy pomiędzy dwoma wysokimi budynkami pojawił się księżyc. Potem znów wszystko pograżyło się w ciemnościach. Tętent podkutych końskich kopyt i skrzypienie kół nie łagodziły milczenia, jakie między nimi zapadło. Zaczęło mu ono działać

na nerwy.

- Kiedyś mi pani podziękuję - odezwał się.

- Wątpię, ucieknę po raz drugi.

- Powtórzę Lucienowi pani słowa.

Odwróciła się ku niemu. Uliczna latarnia rzuciła na jej twarz słaby blask.

- Nie ma pan prawa. Dlaczego koniecznie chce mnie pan poskromić?

- Bo mam rację, a pani nie. To dla pani dobra.

- Och, wy, mężczyźni - szepnęła z goryczą - niszczyacie nas swoją bezwzględnością.

Nigdy panu nie wybaczę.

- To bez znaczenia. - Zapalił cygaro. Miał poczucie winy. - Nie obracamy się w tym samym towarzystwie.

- Istotnie. - Milczała przez chwilę. - A więc już po wszystkim. Będę teraz musiała wyjść za mąż.

- Czy on jest taki zły?

Spojrzała na niego i zobaczył w jej oczach tyle przygnębienia, że wyrzuty sumienia zaczęły go nękać ze zdwojoną siłą.

- Skoro go pani nie chce, trzeba to stanowczo powiedzieć rodzinie.

- Nie rozumie pan. Robert mnie nie wysłucha.

- Trzeba go do tego zmusić! Nie potrafisz się mu postawić, dziewczyno?

- Chyba niewiele panu wiadomo o księżętach.

Uśmiechnął się lekko, słysząc jej znękany ton.

- Rzeczywiście, ale za to wiem, że bracia zrobiliby dla pani wszystko. Nie można uciekać od własnych problemów.

- Pan uciekł od swoich.

- Ze mną było inaczej.

- Dlatego, że jest pan mężczyzną?

- Dlatego, że nie miałem wyboru. Ojciec zakatowałby mnie na śmierć, gdybym tam został.

Czuł, że przez chwilę patrzyła na niego mimo ciemności, a potem odwróciła wzrok.

Milczeli dość długo, żeby pożałował swojej szczerości. Zmienił pozycję, zakładając nogę na nogę. Bolał go zraniony bok.

- A moje rzeczy? Wie pan przecież, że nie mogę się obejść bez ładnych strojów - powiedziała chłodno, z gryzącą ironią. - Zostawiłam kufry w zajeździe.

- Brat może po nie posłać.

- Skąd właściwie zna pan Luciena?

- To nie ma nic do rzeczy.

- Ach, oczywiście. Bez wątpienia mój nędzny kobiecy mózdzek nie potrafi czegoś takiego pojąć. Jak to dobrze, że wy, mężczyźni, otaczacie mnie opieką. Na szczęście potrafię też myśleć samodzielnie. Lucien płaci panu za informacje o świecie przestępczym, prawda? - Mimo ciemności niemal zobaczył sarkastyczny błysk w jej oczach. Odwróciła się i wyjrzała przez okienko. - Założę się, że za niezbyt wygórowaną zapłatę zrobi pan wszystko. Ile dostanie pan za zrujnowanie mojego życia?

Czuł się już wystarczająco podle, szczególnie po tym, jak przyznał się, że ojciec używał względem niego przemocy. Stracił cierpliwość i przeszedł do ataku.

- Nie rujnuję ci życia, głupia dziewczyno. Ratuję je.

- Nie. Wiem, że robi pan tak ze strachu przed moimi braćmi. Pan się ich boi...

- Nie boję się nikogo - rzucił groźnie.

- Nie muszą o niczym wiedzieć. Jeszcze może mnie pan puścić wolno.

- Żałuję, ale tego nie zrobię.

- Żałować będzie pan potem. Jeżeli powiem braciom, co pan ze mną wyrabiał...

- Sama mnie pani prosiła.

- ...nie dałabym złamanego grosza za pańską skórę.

- No to niech im pani powie! Przynajmniej będą trzymać panią pod kluczem, do jasnej cholery!

- Musi pan bez przerwy przeklinać?

Z uśmiechem dmuchnął jej w twarz dymem z cygara. Zakasłała i uchyliła okienko.

Potem zerknęła na niego chytrze. Z nieufnością śledził, jak wstaje i siada obok niego.

Zamilkł, gdy położyła mu rękę na udzie, serce zabiło mu szybciej.

- Billy - rzekła przymilnie, przesuwając okrytą rękawiczką dłońią po jego biodrze. -

Czy puści mnie pan, jeżeli zrobię teraz to, co pan przedtem ze mną?

- Och, widzę, że rzeczywiście chce pani jechać do Francji.

- Proszę mi tylko pokazać, jak. - Z lisim uśmiechem pogładziła go tam, gdzie wciąż jeszcze był obolały. Mimo wszystko znalazł w sobie dosyć siły, żeby zdjąć jej rękę z uda.

- Bezwstydnica - mruknął rozbawiony.

- Przecież potrzeba panu tego - szepnęła. - Jest jeszcze Carlotta.

- Och! - Wymamrotała pod nosem francuskie przekleństwo, wróciła pospiesznie na swoje miejsce i skrzyżowała ręce.

Uśmiechnął się szeroko z cygarem w zębach. Potem zapadła między nimi pełna

wrogości cisza, póki powóz nie zbliżył się do eleganckiej siedziby Luciena przy Upper Brooke Street.

- No cóż - przerwała milczenie Jacinda - już pan wie, jak brzmi moje nazwisko. Myślę, że byłoby dobrze wyjawić mi teraz swoje.

Spojrzał na nią bez słowa.

- Przecież nikt tak naprawdę nie nazywa się Billy Blade . Jak panu na imię? William?

Nie odpowiadał. -Will. William. Willy.

- Och, zamilcz wreszcie, ty...

- Dobrze, Williamie.

Najwyraźniej najmłodsza siostrzyczka potrafiła nieźle grać na nerwach starszym braciom! Parsknął coś pod nosem. Woźnica skręcił już w Upper Brooke Street. Zapewne widzą się po raz ostatni. Dostrzegł, że Jacinda pilnie wpatruje się w niego. Obydwoje spojrzeli sobie prosto w oczy, gdy dorożka podjechała pod front domostwa. - Blade, proszę...

- wyszeptała.

- Nie - mruknął gniewnie, chociaż mało brakowało, żeby dał się ubłagać tym wielkim, ciemnym oczom. Pospiesznie wyskoczył z pojazdu. - Jimmy, pilnuj, żeby nie uciekła - nakazał woźnicy, zatrzaszkując za sobą drzwiczki. Zbierając w sobie wszystkie siły, podszedł ku wejściu.

Siedziba lorda Luciena Knighta odznaczała się wyrafinowaną pozorną skromnością.

Płaską fasadę ozdabiały okna otoczone metalowymi balkonikami. Po obu stronach rzeźbionych drzwi paliły się mosiężne latarnie. Na piętrze, w słabym świetle, dostrzegł smukłą sylwetkę żony Luciena czeszącej długie włosy. Załomotał głośno kołatką i czekał.

Czuł, że Jacinda obserwuje go z wnętrza dorożki. Otworzył mu wiekowy kamerdyner.

- Powiedz panu, że przyszedł Blade.

Chuderlawy staruszek spojrzał na niego podejrzliwie i zamknął mu drzwi przed nosem. Znow musiał czekać, z kciukiem wetkniętym za pasek, paląc cygaro. Kilka minut później na progu stanął wysoki, ciemnowłosy mężczyzna.

- Blade! - Lord Lucien Knight wyszedł na zewnątrz, zamykając za sobą bezszelestnie

drzwi. Wciąż jeszcze miał na sobie strój wieczorowy, rozluźnił tylko halsztuk. Najwyraźniej dopiero co wrócił z balu, z którego uciekła jego siostra.

Blade zwątpił, czy ktoś w ogóle się zorientował, że Jacindy nie ma. Może miała rację i jeszcze nie znaleziono jej listu?

- O co chodzi? - spytał Lucien.

- Znalazłem pańską własność i myślę, że chyba chciałby pan ją odzyskać.

Lucien spojrział na niego ze zdumieniem. Blade wskazał na dorożkę, a potem wyjaśnił mu wszystko. No, prawie wszystko. Nie zamierzał kręcić powroza na własną szyję.

- Dobry Boże! Zraniła się może?

- Zraniona została tylko jej duma - mruknął Blade, lecz Lucien puścił się już biegiem ku powozowi.

- Jas?! - Knight był przy samych drzwiczkach, kiedy Blade go dopędził. - Kochanie, czy coś ci się stało?

- Nie. Jestem cała i zdrowa - odparła znudzonym, lekceważącym tonem.

Lucien, uspokojony, przemówił gniewnie:

- Coś ty zrobiła? Straciłaś rozum? Marsz w tej chwili do domu! No, a potem będziesz się długo tłumaczyć!

Wychyliła się z dorożki, rzuciła Lucienowi torbę i zeskoczyła na ziemię z wyzywającą miną.

- Tylko bez hałasów - ostrzegł ją brat. - Jeśli zbudzisz dziecko, obedrę cię ze skóry!

Jacinda, milcząc, odebrała mu torbę i rzuciła Blade'owi tylko jedno pełne gorzkiego wyrzutu spojrzenie. Wyraziła swoją pogardę lekkim ruchem głowy. Podciągnęła torbę wyżej na ramieniu, weszła do środka i, nie oglądając się za siebie, zamknęła drzwi.

- Co za historia! - wybuchnął Lucien, kiedy zniknęła w domu. Blade czuł się jak

najgorszy zdrajca. - Przypuszczałem, że coś takiego się szykuje, ale nie sądziłem, że naprawdę to zrobi. Nie wiem, co z nią teraz pocniemy. Im szybciej wyjdzie za mąż, tym lepiej. To już jej drugi z kolei sezon.

Blade zawahał się, wiedząc, że to nie jego sprawa, czuł jednak, że musi coś powiedzieć w jej obronie.

- Nie wiem, za kogo ją zamierzacie wydać - prychnął - ale ona nie chce nawet słyszeć o tym małżeństwie.

- Tak ci powiedziała? Skinął głową.

- Kim jest ten człowiek i czego mu brak? ~ spytał ostrożnie.

- Niczego. To markiz Griffith, jedna z najlepszych partii. Zna ją od małego, mieszka tuż obok nas na północy. Dwa lata temu jego żona zmarła w połogu. Wszyscy uznaliśmy, że już czas, żeby skończył swoją żałobę. Pasowaliby do siebie.

- Więc to nie żaden stary łajdak? - zdumiał się Blade.

- Tak ci go opisała? - Lucien parsknął śmiechem. Blade pokrótce streścił mu ich rozmowę i pokiwał głową.

- Ależ mnie nabrała!

- Spryciara - Lucien uśmiechnął się nieznacznie. - Któż potrafi zrozumieć kobietę?

Jacinda jest równie zapalczywa, jak jej matka.

Blade poczuł się niewyraźnie. Może źle zrobił, zwracając ją braciom? Zwierzyła mu się w zaufaniu. Mówił przecież, że jej wysłucha. Czy naprawdę postąpił tak, jak obiecywał?

Lucien z westchnieniem podał mu rękę.

- Dziękuję, że ją przywiozłeś, Blade. - Potrząsnął mocno jego dłonią. - Bóg jeden wie, co się jej mogło przytrafić. Mam wobec ciebie dług wdzięczności. Jeżeli będę ci mógł w czymś pomóc, wystarczy powiedzieć.

- To drobiazg - mruknął. Przypomniały mu się sarkastyczne uwagi Jacindy o zapłacie za usługi. Nie poprawiły jego nastroju. Chciał już odejść, ale nagle zawrócił. - No i jeszcze coś.

- O co chodzi? - Lucien zatrzymał się z ręką na klamce.

- Pocałowałem ją. -Co?...

- Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że to pańska siostra!

Lucien spojrzał na niego podejrzliwie.

- Dlaczego mi o tym mówisz?

- Co sobie pan, u licha, wyobraża? W końcu dostał ją pan z powrotem! I... i chciałem panu powiedzieć, że to nie była jej wina, tylko moja.

Spodziewał się wyrzutów, ciosu kułakiem, może nawet kuli z pistoletu.

- Twoja wina? - powtórzył Lucien, patrząc na niego badawczo.

- Całkowicie.

Obydwaj wiedzieli, że to w najlepszym razie rycerskie kłamstwo.

- Jeśli rzeczywiście twoja... no, niech cię wszyscy diabli! -burknął Lucien.

- Właśnie. Chciałbym przeprosić. - Blade spojrzał na niego z tępotą godną wołu.

Lucien przez dłuższą chwilę przyglądał się mężczyźnie, przeszywając go wzrokiem.

- Nawet nie próbuj się z nią znów zobaczyć, Rackford - powiedział w końcu. -

Przynajmniej dopóki nie powrócisz do trybu życia, który porzuciłeś. Ona jest córką księcia.

- Nie mam najmniejszego zamiaru jej widywać - odparł zimno. - I nazywam się Blade.

- Jak wolisz. Jeśli to już wszystko, wolałbym się pożegnać. Blade niezbyt uprzejmie skłonił głowę, a potem uniósł ją do góry.

- I jeszcze coś - dodał Lucien, stojąc w drzwiach. - Moje kondolencje z powodu śmierci twego brata.

Wydawało się, że Blade nie zwrócił uwagi na te słowa. Brat Jacindy wiedział stanowczo za dużo.

Lucien kordialnie skinął mu głową i zamknął za sobą drzwi. Blade usłyszał, jak klucz przekręca się w zamku. Odczuł to jako niezamierzoną zniewagę. Nie martw się, lordzie Lucienie! Gdybym chciał się włamać do twojego domu, zrobiłbym to tak, że nawet byś nie zauważył, pomyślał.

Przeklęci arystokraci! Ze złością wskoczył na kozioł dorożki i siedział tam, obok woźnicy, przez całą drogę do dzielnicy ruder. Nie potrzebował, żeby go obwożono po mieście niczym jakiegoś zakichanego księcia.

Pojazd mknął przez mroczne, wyludnione ulice. Blade spojrzał na swoje szorstkie, pełne zgrubień dłonie, leżące na kolanach. Zadrżały ze złości i upokorzenia, gdy sobie przypomniał, jak nisko upadł. Poczł się nieswojo, niby uczeń, który akurat oberwał skrzydełka motylowi, złapanemu w siatkę na rozświetlonej łące.

Za nic w świecie nie chciał przecież jej zranić.

Jacinda, czekając na brata w ciemnym salonie, krążyła po nim niespokojnie, póki nie usłyszała, że frontowe drzwi się zamykają. Podbiegła pospiesznie do sofy, siadła na niej sztywno wyprostowana, wygładzając suknię. Uniosła głowę, szykując się do walki. Lucien, dyplomata, miał najbardziej otwarty umysł ze wszystkich braci i był najbardziej z nich wyrozumiały, ale... Tym razem, dobrze to wiedziała, dostanie za swoje.

Chwilę później Lucien wpadł do salonu.

- Coś ty najlepszego zrobiła?

Jacinda milczała ze wzrokiem utkwionym w przestrzeni.

- Czyś ty rozum straciła?

- Miałam swoje powody.

- Zapewniam cię, że bardzo byśmy chcieli je poznać. Powiesz coś na swoją obronę, zanim cię zabiorę do Knight House, żebyś się wytłumaczyła przed wszystkimi?

Aż jęknęła na myśl o naradzie rodzinnej.

- Lucien, błagam cię...

- Nie będę przed tobą ukrywał - rzekł sucho - że zrobiłaś straszne głupstwo. Nie mam pojęcia, dlaczego taki rzezimieszek jak Blade cię oszczędził, ale dzięki Bogu to zrobił. Skrzyżowała ręce na piersiach i prychnęła pogardliwie. Lucien podszedł bliżej.

- Zrobił ci coś złego? Ubliżył ci w jakiś sposób?

- Był tylko arogancki.

- Wiesz, co mam na myśli! Przyznał się, że cię pocałował. Gdyby chodziło o coś więcej, któryś z nas powinien go wyzwać na pojedynek.

Krew odpłynęła jej z twarzy.

- Nie! Na Boga, tylko nie to! Nie zrobił niczego złego. A do pocałunku doszło wyłącznie z mojej winy.

- Z twojej?

- Całkowicie - Zaczerwieniła się po uszy. -Ja... ja chyba... mu się spodobałam.

Lucien uniósł brwi.

- Oczywiście, nie cierpię go. Chciałam pojechać do Francji, a ten wredny prostak mi w tym przeszkodził!

Lucien potarł podbródek. Miał dziwną minę.

- Czego zażądał w zamian za to, że mnie tu przywiózł? - spytała z cynizmem.

- Niczego. Widocznie uznał, że jeden pocałunek wystarczy. - Wzruszył z ironią ramionami.

- Powiesz innym, że go pocałowałam? Proszę cię, Lucien, nie rób tego! To wszystko

jest dość upokarzające!

Lucien przez chwilę rozważał jej słowa, a potem westchnął z rezygnacją.

- W końcu nic ci się nie stało, a już i tak masz sporo kłopotów, żeby jeszcze dodawać do nich i ten. Poza tym lepiej, żeby Damien czy Alec nie wpakowali mu kulki w łeb, bo ten łajdak się nam przydaje.

- Kim on naprawdę jest?

- No... - Lucien uśmiechnął się niewyraźnie - przywódcą Ognistych Sokołów, rzecz jasna. Chodź, moja droga. Zobaczmy, co reszta rodziny powie o twoim wybryku.

Eddie Knykieć żył niczym uliczny kot. Większość dzieci w jego wieku bezpiecznie spała w łóżkach, a on przemykał się przed świtem w pobliże targu Covent Garden. Chciał sprawdzić, czy nie uda mu się czegoś skubnąć sprzedawcom, którzy zaczęli rozstawiać tam swoje kramy. Rozpustnicy z towarzystwa, którzy każdego ranka wytaczali się chwiejnym krokiem z burdeli za placem, byli równie łatwym celem. Chłopak nieraz już kradł im jedwabne chustki do nosa albo złote zegarki.

Zbliżył się do skrzyżowania dwóch wąskich uliczek niedaleko kościoła Świętego Idziego. Rozmyślał nad tym, od czego zacznie dzisiejszego ranka, gdy nagle ktoś chwycił go za ramię i zakrył usta łapą tak potężną, że sięgnęła niemal od ucha do ucha. Ciśnięto go w kąt niby szmacianą lalkę i przyduszono do ceglanej ściany.

- Mam go, O'Dell. To ten mały sukinsyn.

Wielkie łapsko niemal odcinało dopływ powietrza i Eddie nie mógł oddychać. Ze zgrozą ujrzał wokół siebie kilku ludzi z bandy Szakali. Zrozumiał, że to ci sami, którzy zrobili tę okropną, niewyobrażalną rzecz Mary Murphy, ledwie kilka lat starszej od niego.

Złapał go Tyburn Tim, lecz był tam również Krwawy Fred, dopiero co wypuszczony z Bedlam, na wpół szalony; pozujący na dandysa Flash i Baumer, którego rehot przywodził na

myśl trzęsienie ziemi. Serce Eddiego załomotało o żebra, kiedy Szakale rozstąpili się, żeby przepuścić swojego przywódcę, żylastego rudzielca Cullena O'Della.

Każde inne dziecko zanosłoby się przeraźliwym krzykiem na jego widok. Eddie przełknął tylko głośno ślinę, gdy zobaczył, co się stało z twarzą O'Della.

Przywódca Szakali od dawna już poczynił sobie jak potwór. Teraz także wyglądał jak monstrum. Lewa część jego twarzy pozostała bez zmiany, ale prawa przeistoczyła się w bezkształtną, krwistą masę. Prawa powieka przypominała upiorne grono winogron, a na policzku widniało kilka ukośnych pręg. Eddie pomyślał, że przypominają ogniwa łańcucha.

- A niechże mnie, jeśli to nie maskotka Blade'a! - O'Dell przykucnął, żeby zrównać się z malcem. Jego drugie oko, niebieskie i pełne szaleństwa, wodziło po buzi Eddiego z gorączkową intensywnością. - Jak tam, smarkaczu? Nie będziesz chyba kwiczał ze strachu jak dziewczyna, co?

Eddie trwożnie zaprzeczył ruchem głowy. O'Dell skinął na Tyburna Tima, a ten zdjął swoje łapsko z jego ust. Eddie chciwie wciągnął w płuca powietrze.

- No i co? Wiesz chyba, kim jesteśmy?

- Tak, panie. Szakalami.

- Słusznie. No i, przyjemniaczku, wszystko, co tu naokoło widzisz, to mój teren.

Eddie, po co ty się właściwie zadajesz z tą bandą nędznych tchórzy? Taki chwacki złodziej jak ty mógłby wybrać lepiej. Powinieneś przystać do nas.

Eddie milczał. O'Dell mówił łagodnie, miękkim jedwabistym głosem, ale dziki błysk niebieskiego oka przejmował lękiem.

- No, słyszałeś? - O'Dell sięgnął do kieszeni, wyciągnął szylinga i podsunął go

Eddiemu pod nos. - To ode mnie. - Wsunął mu monetę do kieszeni. - I dam ci dużo więcej, jeśli zrobisz, co będę chciał.

- A jeśli nie? - spytał chłopiec, próbując być tak dzielny, jak Blade.

O'Dell zaśmiał się gburowato i zwrócił ku swoim kompanom.

- Mówiłem wam, że będzie się stawiał.

Eddie spojrzał na niego ze strachem.

O'Dell odwrócił się od niego z zimnym, lekceważącym uśmiechem.

- Jeżeli się nie zgodzisz, to każe Krwawemu Fredowi obedrzeć cię żywcem ze skóry.

Eddiemu zabrakło tchu, kiedy usłyszał tę upiorną groźbę. Przywarł do ściany. Spojrzał na byłego pensjonariusza domu dla obłąkanych - Fred wyciągnął akurat nóż i z uśmiechem chuchnął na jego ostrze, a potem otarł je o brudny rękaw. Chłopcu zrobiło się słabo. Nie wątpił, że Krwawy Fred spełniłby groźbę O'Della. W dzielnicy ruder szeptało, że zamordował i zjadł jednego ze swoich gospodarzy.

- Czego ode mnie chcesz?! - krzyknął do O'Della.

Wódz Szakali uśmiechnął się, podszedł bliżej i wycedził ściszym głosem:

- Żebyś został moim szpiegiem, Eddie. Chcę wiedzieć, kiedy i gdzie Blade zamierza się włamać.

- Dlaczego? - wyjąkał z wytrzeszczonymi oczami Eddie.

- Nie zadawaj głupich pytań, chłoptasiu. I nie próbuj mnie nabierać, bo jeśli cię przyłapię na łgarstwie, to Fred zaraz rozprawi się z tobą. Zrobisz, co ci każe, albo pożałujesz, żeś się w ogóle urodził.

O'Dell puścił go po tych słowach.

Eddie dał nura w ulicę, uciekając co sił w nogach.

Blade leżał rozparty na łożku, z cygarem w kąciku warg. Patrzył posepnie na puste miejsce po obrazie Canaletta. Tego dnia pozbył się go, żeby kupić więcej broni na rozprawę z Szakalami. Nie było łatwo sprzedać na czarnym rynku dzieło sztuki tak wielkiej klasy, ale miał zaufanie do swoich znajomych. Przypuszczał, że może polegać na ich dyskrecji. Cała aura splendoru uleciała z jego pokoju, który na powrót stał się nędzny i brzydki. Ściany były popękane, a sufit zaplamiony, bo podczas każdego deszczu dach przeciekał.

Wydmuchnął dym i, wspierając łokieć na kolanie, uniósł rękę, żeby spojrzeć na połyskliwy diamentowy naszyjnik, owinięty wokół nadgarstka. Co za diabeł z tej dziewczyny! Zostawić takie coś u niego!

Błądził wzrokiem gdzieś daleko, zastanawiając się, co ma począć z tym darem. Cóż to miało znaczyć? Poczul się urażony w swojej męskiej dumie. W dodatku instynkt podpowiadał mu, że to może być pułapka. Do licha, w końcu nie był sierotą z ochronki! Nie potrzebował litości. Może chciała go oskarżyć o kradzież? Zemściłaby się w ten sposób za to, że odwiózł ją do rodziny, i za niechciane małżeństwo, które ją czekało?

A może, jak się po cichu domyślał, zostawiła go tu, bo dostrzegła w nim coś dobrego?

Coś wartego uratowania? Istniała możliwość, że dała mu ten naszyjnik ze szczerego serca, uznając, iż wart jest zdumiewającego daru. Teraz, gdy patrzył w zapadającym zmierzchu na iskrzące się brylanty, stanął mu przed oczami pewien dzień sprzed wielu lat, kiedy raz na zawsze się przekonał, że jest kimś zupełnie bezwartościowym. Rzadko wracał myślami do Kornwalii, gdzie słońce iskrzyło się nad rozległym, błękitnym morzem.

- Billy!

- Spójrz na tę, Billy!

- Przecież patrzę!

Śmiechy. Chłopięce głosy.

Zachodzące słońce odbiło się w miedzianej, składanej lunecie, kiedy Billy Albright wsparł stopę o burtę i spojrzał na horyzont. Słony wiatr rozwiewał mu płowe włosy. Jedna szelka zsunęła się z ramienia, a luźna biała koszula łopotała, targana bryzą, kiedy patrzył przez ojcowską lunetę na szare fale Atlantyku, bijące w czarne, pokryte zielonkawym nalotem skały. Starszy od króla Artura gigant z Portreach nadal poganiał przybrzeżne głązy, żeby pomogły mu zyskać na wieczereź kilka nie podejrzewających niczego złego statków. Tak przynajmniej powiadano. Z każdym miejscem w tym zakątku Kornwalii łączyła się jakaś stara legenda albo osobliwa opowieść. Billy usiłował sobie przypomnieć kolejną, żeby uraczyć nią dwóch szkolnych kolegów, którzy razem z nim przyjechali tu z Eton na ferie. Mieli po trzynaście lat. Reg Bentick, ciemnooki i nieco anemiczny, łowił ryby na przystani. Piegowaty Justin Church z rudą jak marchewka czupryną wiosłował i rzucał kawałki chleba mewom, które niezmordowanie się zlatywały, żeby je chwycić. Billy starał się uchronić swoich gości od nudy. Nigdy przedtem nie spędzał wakacji z przyjaciółmi. Nie wiedział nawet, czy w ogóle wolno mu było wcześniej mieć jakichś przyjaciół. Ale teraz, gdy był dumnym uczniem Eton, całe jego życie uległo zmianie.

Wielu z jego kolegów tęskniło za domem, ale nie on. Czuł się w szkole znakomicie. Z dala od ojca wręcz rozkwitał. Już wkrótce nauczyciele zaczęli doceniać jego sukcesy. Zdumiewało go, że wbrew temu, co twierdził ojciec, okazał się całkiem inteligentny. W domu traktowany był nie lepiej niż przybłęda, za to w szkole przekonał się, że jest lubiany, a nawet popularny dzięki zręczności, z jaką grał w piłkę ręczną, zuchwałym wyczynom, śmiałości wobec wychowawców i swemu tytułowi. Lord William Spencer Albright, a ściślej mówiąc, drugi syn markiza Truro i St. Austell.

To dzięki temu mógł zaprosić na ferie przyjaciół. Reg i Justin pochodzili z

drobnoszlacheckich rodzin ziemiańskich. Rodzice skwapliwie pozwolili swoim latoroślom przyjąć zaproszenie młodszego syna markiza. Wszyscy trzej wyruszyli w drogę pełni radości, aby spędzić ferie w kornwalijskim zamku Jego Lordowskiej Mości. Oczywiście, gdyby rodzice Rega i Justina wiedzieli, jaki naprawdę jest jego ojciec, zachowaliby się inaczej, pomyślał z cynizmem, na który był jeszcze za młody. W każdym razie starał się, jak mógł, żeby wakacje przebiegały spokojnie i żeby powrócili do szkoły bez żadnego incydentu. Rysy mu stwardniały, kiedy powoli opuścił lunetę. Nigdy by się do tego nie przyznał, ale zabrał ze sobą Rega i Justina nie tylko po to, żeby mieć miłe towarzystwo, ale też w rozpaczliwej nadziei, że ich obecność złagodzi ojcowskie wybuchy gniewu. Na szczęście stary drań miał wrócić do domu dopiero pojutrze. Billy złożył ojcowską lunetę z mściwą energią i odwrócił się ku towarzyszom, zaróżowiony od słońca i wiatru, z psotnym błyskiem w oku.

- Chcielibyście zobaczyć groty przemytników?

- Prawdziwych przemytników?! - krzyknął Justin. Jego rudą czuprynę potargał wiatr.

Billy skinął głową z miną zucha, choć powściągliwie.

- Pełno ich tu na wybrzeżu.

- Och tak, kapitanie! - wrzasnął Justin.

Reg jednak pobladł i zbiełałymi palcami chwycił kurczowo burtę małej łódeczki, która zmierzała ku potężnemu klifowi.

- To brzmi trochę... niebezpiecznie.

- Owszem. - Billy uśmiechnął się, udając nieustraszonego, i podał mu lunetę. Sam

wziął się do wiosłowania. Justin zajął teraz jego miejsce na dziobie i jemu z kolei piana przyskała prosto w twarz, gdy Billy wyęczał siły, wiosłując po wzburzonym morzu.

Był chłopcem mocnym i wyższym od rówieśników. Wszyscy przepowiadali, że

dorówna kiedyś siłą ojcu, bo już jako nastolatek miał o wiele szersze barki od starszego brata, Percy'ego.

Przeplłynął, wiosłując zawzięcie, poniżej ruin starego fortu, na którego strzelistych wieżyczkach błyszczało słońce, i skierował się ku półkolistej grocie, gdzie - jak mówiono - pełno było towarów sprzedawanych na czarnym rynku. Wszystkie okoliczne dziewczęta kochały się na zabój w buńczucznych przemytnikach. Kiedy słońce znalazło się na zachód od nich, Billy wraz z Justinem wyskoczyli na bosaka z łódki w zakasanych spodniach i wyciągnęli ją na złocisty piasek. Burczało im już w brzuchach, wspięli się więc na pagórek, dogodny punkt obserwacyjny, i urządzili sobie piknik. Kornwalijski pasztet i ser popili wspianym jabłecznikiem.

Siedzieli potem przez jakiś czas, zadowoleni, patrząc na słońce, które zachodziło za ocean. Niebo płonęło, pomarańcz i róż przetykane były purpurą. Od wschodu nadciągał już ciemny błękit i zaczynały mrugać gwiazdy. Billy czuł, że huk fal, bijących rytmicznie o skały, niczym matczyne serce, usypia go.

Z wolna morze nabrało odcienia indygo, a niebo - czerni. Latarnia morska na małej skalistej wysepce błyskała światłem, które kładło się na wodzie i głazach. Nadchodziła noc. Chłopcom przypomniało się, że kucharka obiecała im po powrocie bitą śmietanę z melasą. Zerwali się na nogi, zbierając pospiesznie swoje skarby, pirackie szpady i wędki oraz kubek pełen złowionych ryb, odłamki ciekawych skał, starannie zawiniętych w chustkę w grochy. Potem ruszyli w zapadającym zmierzchu ku domowi.

Billy wsunął lunetę w kieszeń płaszcza, kiedy wśród narastającego chłodu szli ścieżką. Zimna mgła muskała im policzki niby jakieś zaczajone z tyłu widmo. Niemiłe wrażenie sprawiło, że zjeżyły mu się włosy na karku. Potem, gdy wdrapali się już na brzeg wzniesienia, najpierw wyłoniły się na horyzoncie wieże Torcarrow, a za nimi cała reszta rozłożystej

budowli. Torcarrow było XIV-wiecznym, ufortyfikowanym dworem dobudowanym do prastarego stołpu górującego nad morzem. To stamtąd wojowniczy panowie Truro i St. Austell przez blisko trzy stulecia czuwali nad tym, by Kornwalii nie zagroził francuski najazd. Nagle Billy spojrział ponad łąką ku domowi i poczuł, że krew krzepnie mu w żyłach. Zobaczył ojcowski powóz.

Serce zaczęło mu walić. Nie spodziewał się powrotu ojca tak wcześnie. W świetle pochodni, płonących wokół wschodniego wjazdu na dziedziniec, kareta przypominała przyczajoną do skoku dziką bestię.

Z trudem przełknął ślinę. Robił, co mógł, żeby tylko ukryć swój strach przed kolegami. Stracił ochotę na deser z melasą, myśląc jedynie o tym, czy uda mu się odłożyć lunetę do szklanej kasety w ojcowskim gabinecie, skąd ją wziął. Nieszczęściem ten zakurzony pokój, wykładany dębową boazerią, był pierwszym miejscem odwiedzanym zazwyczaj przez ojca po powrocie do domu. Markiz sprawdzał, czy podczas jego nieobecności nie nadeszła jakaś korespondencja. Trzeźwy czy pijany, lord Truro zawsze z satysfakcją czynił zadość temu obowiązkowi. Zapewniało mu to poczucie władzy nad wszystkim, co posiadał. Prócz dzierżaw i majątku ziemskiego, obejmowało to również członków rodziny.

Chłopcy przez całe dwadzieścia minut schodzili krętą dróżką, nim znaleźli się w cieniu Torcarrow. Billy posłał Rega i Justina z rybami do kuchni. Mieli też powiedzieć kucharce, że gotowi są sięść do deseru. Nękał go niepokój, czy zdąży odłożyć lunetę na miejsce i usprawiedliwić się, powiedział więc kolegom, że zaraz wróci. Zatrzymał się jednak na chwilę, by zamienić słówko z panią Landry, zacną starą kucharką.

- Gdzie mama?

- Oj, paniczu Williamie - stara kobieta rzuciła mu dyskretnie ostrzegawcze spojrzenie

- Jej Wysokość właśnie się położyła, żeby wypocząć. To zapewne migrena.

Przeraziła go ta wiadomość. Matka, niby barometr, zawsze potrafiła wyczuć męzowskie wybuchy gniewu. Gdy tylko zbliżał się któryś z nich, wycofywała się w bezpieczne zacisze własnego pokoju i nie wychodziła stamtąd, póki „migrena” nie przeszła. Nigdy nie pytała Billy'ego, skąd się biorą jego siniaki.

Luneta w kieszeni płaszcza obijała mu się o bok przy każdym kroku, co tylko potęgowało poczucie winy. Przemknął chyłkiem po korytarzu i stanął za wielką, mahoniową klatką schodową, obserwując stamtąd służbę, która gorączkowo usiłowała zejść z drogi rozjuszonemu panu. Dobrze wiedział, co oznacza upiorny spokój panujący w całym domostwie. Nim jeszcze ujrzał ojcowski gabinet, usłyszał, jak markiz głośno łaje lokaja. Reprimenda była ostrzejsza niż zwykle.

- Och, niech to diabli - szepnął do siebie, słysząc, jak ojciec oskarża lokaja o kradzież lunety i grozi oddaniem go w ręce konstabla.

- Może po prostu ktoś ze służby wziął ją do czyszczenia? - rozległ się z biblioteki głos Percy'ego.

Siedemnastoletni student Oksfordu Percy, dziedzic tytułu, był prócz matki jedynym człowiekiem w całym domu, który nie brał od ojca cięgów. Może dlatego, że ten szczupły chłopiec o rozmarzonym wyglądzie dostawał kataru z powodu byle wietrzyku. Ojcowskie lanie mogłoby go zabić. Billy był kimś innym. Wytrzymywał ciosy pięści, których rodzic mu nie szczędził.

Szedł w stronę gabinetu. Czuł, jak pocą mu się dłonie, lecz mimo wszystko zebrał się na odwagę. Zanim jeszcze wszedł do biblioteki i ujrzał, jak pijany, rozczochrany markiz w wymiętym welwetowym płaszczu tłucze o ścianę przerażonym lokajem, wiedział, że gdy się przyzna, będzie z nim źle.

Najlepiej byłoby okazać śmiałość, pomyślał, nie wiedząc, że Reg i Justin idą za nim i

staną się świadkami wszystkiego, co nastąpi. Wyprostował się więc i wkroczył do biblioteki, wyjmując lunetę z kieszeni.

- Ojczy, jest tutaj. Nikt jej nie ukradł. Ja tylko pożyczyłem ją sobie.

Markiz odwrócił się ku niemu z twarzą poczerwieniałą od wrzasku. Spojrzał mętnym wzrokiem na syna, bez ceremonii odpychając od siebie lokaja. Młody służyący umknął pospiesznie.

- Ach, tak. Pożyczyłeś ją, mówisz?

Billy się cofnął. Markiz, z czerwoną, pijacką obwódką wokół oczu, co czyniło jego zielone tęczówki jeszcze straszniejszymi i bardziej błyszczącymi, z prostymi, rudawymi włosami przetykanymi siwizną i podbródkiem zarośniętym szczecina, wyglądał bardziej jak pirat niż jak arystokrata. Podszedł bliżej, ziejąc mu prosto w twarz oddechem przesiąkniętym alkoholem. Billy zdążył jedynie pomyśleć, że przypomina giganta z Portreach.

- Ojczy! - rzucił ostrzegawczym tonem Percy, gdy markiz kuśtykał powoli ku młodszemu synowi.

Billy wytrzymał jego spojrzenie z determinacją kogoś, kto wie, że pokora w niczym mu nie pomoże.

- Ojczy! - krzyknął błagalnie zrozpaczony Percy. - Proszę cię, zostaw go w spokoju!

Pierwszy cios rzucił Billy'ego na półki z książkami. Uderzył wargą o drewniany rant i upadł. Posypał się na niego istny grad tomów. Ojciec przedarł się pomiędzy nimi, chwycił syna za ramię i uniósł go na tyle wysoko, by wymierzyć mu pod odpowiednim kątem drugi i trzeci cios. Kątem oka Billy dojrzał, że strumyczek krwi zaplamił otwarte stronice *Le Morte d'Arthur*. Nie mógł już teraz nigdzie uciec przed lawiną kulaków i kopniaków. Markiz złapał ciężki słownik i wyrzucił nim syna w głowę.

- Ile razy ci mówiłem, żebyś nie tykał moich rzeczy? Ty mały złodzieju! Myślałeś, że

ją zwrócisz po kryjomu bez mojej wiedzy?! Myślisz, że jesteś sprytniejszy?!

Billy słyszał, jakby z daleka, swoje rozpaczliwe zaprzeczenia i całą kaskadę przeprosin, ale w niczym nie poprawiło to jego sytuacji. Krzyknął donośnie z bólu, kiedy ojciec pełną garścią szarpnął go za włosy, tak że głowa odskoczyła mu do tyłu.

Wtedy właśnie zrozumiał, że tym razem ojciec go zabije.

- Ojcze! - krzyknął Percy i rzucił się ku nim, lecz markiz Truro powalił syna piekącym ciosem na odlew.

- Nigdy nie dotykaj moich rzeczy! To w szkole nabrałeś takich manier, co, Williamie?

Może powinieneś być zostać tutaj ze mną? Już ja bym cię nauczył lepszych!

Billy krwawił z nosa i kącika ust, a lewe oko zapuchło mu tak, że nie mógł go otworzyć. Uniósł głowę i błagalnie, bez słowa spojrzął na ojca drugim. Markiz trzasnął jego głową o rozsypane książki i kopnął go w brzuch. Po następnych kilku minutach Billy poczuł, że za chwilę straci przytomność. W uszach rozbrzmiewał mu czyjś daleki płacz.

- Proszę przestać! - krzyknął ktoś piskliwym głosem.

Cudownym zrządzeniem losu żądanie zostało wysłuchane. Billy odzyskał zdolność myślenia i spojrzął ku drzwiom. Stali w nich Justin i Reg, pobladli i przerażeni. To dopełniło miary upokorzenia. Utracił resztki dumy. Jego sekret wyszedł na jaw. W jednej chwili całe dotychczasowe życie legło w gruzach. Koledzy opowiedzą w szkole o tym, co widzieli.

Każdy dowie się, że Billy nie jest nic wart, że go nikt nie chce. Bezpieczne schronienie, jakie znalazł w Eton, rozwiało się we mgle niby utracone królestwo Lyonesse, które według legendy zapadło się przy kornwalijskim wybrzeżu całe wieki temu. Ojciec podniósł się powoli i patrzył mętnym wzrokiem na intruzów tak długo, że Billy zadrżał z lęku, czy nie rzuci się również i na nich.

- Lor... lordzie Truro! - wykrztusił osłupiały Justin.

Markiz odchrząknął, obciągnął na sobie surdut i przygładził dziko rozwichrzone włosy.

- Moi panowie, syn zawinił poważnym wykroczeniem przeciw regułom tego domu.

Chyba powinniście powrócić do siebie. Ferie już się skończyły.

- Billy! - wyszeptał Reg. - Czy wszystko z tobą w porządku? Nie śmiał spojrzeć mu w twarz. W oczach miał łzy, ale powstrzymywał się od płaczu.

- Nie ma się o co niepokoić. William jest wytrzymały. Moore, szykuj powóz! Młodzi panicze odjadą stąd jeszcze dzisiaj.

- Dzisiejszej nocy, ojciec?! - zawołał Percy. - O tej porze na drogach bywa niebezpiecznie!

- Więc pojedź z nimi, jeśli ci się to nie podoba - odwarknął markiz.

- Pojadę! - Percy odparował z miejsca ojcowski afront. - Justin, Reg, będę wam towarzyszył, żeby mieć pewność, że wróciliście do domów cali i zdrowi.

- Do zobaczenia w szkole, Billy - szepnął lękliwie Reg.

Najchętniej błagałby ich, żeby zatrzymali całe zdarzenie w tajemnicy, lecz duma nie pozwoliła mu o nic prosić. Zresztą od zawsze w odpowiedzi na prośby słyszał tylko „nie”.

Markiz wyprosił wszystkich z biblioteki, zostawiając go na wpół zagrzebanego w stercie książek, na skraju utraty przytomności. Kiedy Reg i Justin poszli pakować rzeczy, ojciec nakazał służbie, żeby się do niego nie zbliżała. Billy miał zostać sam ze swoją karą.

Markiz rozejrzał się wrogo po spustoszeniu, którego dokonał.

- Zanim stąd wyjdiesz, masz tutaj zrobić porządek - warknął i zamknął za sobą drzwi.

W bibliotece zaległa ciemność.

Przez dłuższą chwilę Billy nie był w stanie się ruszyć. Przymknął oczy, czując jedynie rozpacz i ból. Nie potrafił już dłużej powstrzymać łez, które ciurkiem spływały po policzkach.

To był koniec jego krótkiego szczęścia w szkole. Czy teraz ktokolwiek go jeszcze polubi?

Leżał, obolały, i zaczęła w nim wzbierać wściekłość. Dźwignął się w ciemności, stając na czworakach. Spojrzał błędnym wzrokiem na książki, które nakazano mu uporządkować.

Nawet w mroku widział na nich plamy krwi. Wtedy owładnęła nim dzika furia. Ze zduszonym krzykiem rzucił się na nie.

Rozszarpał na strzępy jedną, potem drugą, siejąc skórzanymi oprawami po pokoju.

Nie dbał już o nic. Czuł, że cały się trzęsie. Ból przestał się liczyć. Dotarł do kresu wytrzymałości. Zemści się i sprawi mu to radość.

Chwycił lunetę i rozbił nią szklaną kasetkę, niszcząc instrument, który całkiem się wygiął. Spojrzał nienawistnie na biurko, podbiegł do niego i wyrzucił całą zawartość na podłogę. Rzucił kałamarzem, pokrywając granatowoczarnymi bryzgami młodzieńczy portret ojca w marynarskim stroju. I wtedy gniew nagle go opuścił.

Stał, patrząc na zalany księżycową poświatą pokój i zaplamione malowidło.

Znienawidzona twarz markiza poczerniała od atramentu. W miarę jak wracała mu przytomność umysłu, rósł także strach. Spojrzał z niedowierzaniem na zniszczenia, których dokonał.

Gabinet ojca był zdewastowany. Urzędowa korespondencja, rejestry i księgi rachunkowe leżały bezładnie porozrzucone i pogniecione.

Co ja zrobiłem? Teraz z pewnością mnie zabije, pomyślał. Trzeba uciekać...

Trzeba było uciekać. Blade otrząsnął się z bolesnych wspomnień i raz jeszcze spojrzął na olśniewający diamentowy naszyjnik. Dłoń zacisnęła się wokół klejnotu. Westchnął, nękanym pragnieniem, żeby znów ujrzeć ofiarodawczynię. Czy naprawdę dostrzegła w nim coś dobrego? On, który nie dbał o nikogo, tęsknił za dotknięciem prawie mu nieznannej dziewczyny. I to takiej, która miała wszelkie powody, żeby nim gardzić. Musi ją zobaczyć.

Pod jakimkolwiek pretekstem.

Oczywiście, miał taki pretekst. Trzeba zwrócić jej naszyjnik. Nie wiedział jeszcze, jak to zrobi, ale przynajmniej upewni się, że wszystko jakoś się ułożyło.

Ręka drżała mu nieco, gdy zdusił niedopałek cygara w popielniczce. Podciągnął futerał pistoletu wyżej na ramieniu, zacisnął mocniej pas, za którym tkwił nóż, włożył czarny skórzany płaszcz i spojrzał na zegar. Dochodziła piąta.

Nawet taki nędzny typ jak on dobrze wiedział, gdzie w Londynie o tej porze można zastać cały elegancki świątek. W Hyde Parku.

Wyszedł z pokoju i chyłkiem przemierzył korytarz, gotów na wszystko, co czekało go, gdy opuści swoją twierdzę w dzielnicy nędzy. W końcu ta naiwna dziewczyna odważyła się zapuścić na jego terytorium.

Nadszedł czas, żeby on wkroczył do jej świata.

Razem z następnym dniem nadeszła nieunikniona rodzinna narada. Zeszłej nocy, kiedy Lucien odstawił ją z powrotem do Knight House, wszyscy już spali, tak że sąd nad nią miał się odbyć dopiero dzisiaj. Bez wątplenia okaże się najbardziej upokarzającym wydarzeniem w jej życiu.

- Co ty sobie myślisz? - Jak śmiałaś, Jacindo?!

Zatrwożona służba podsłuchiwała za drzwiami biblioteki, a Jacinda siedziała na twardym, drewnianym krześle pośrodku wzburzonej rodziny. Była przygnębiona i zawstydzona, nie wiedziała, co powiedzieć na swoją obronę. Bracia zaś oskarżali po kolei: siebie nawzajem, guwernantkę, odziedziczone po matce skłonności, naturę kobiecą, a przede wszystkim ją samą. Bratowe, Bel i Alice, broniły jej z poświęceniem, co jedynie spowodowało liczne scysje małżeńskie.

Mogła się tylko cieszyć, że Damien i Miranda wciąż nie opuszczali majątku w

Berkshire po narodzinach bliźniąt. Inaczej miałyby do czynienia nie tylko z Lucieniem i Robertem, ale i z najgroźniejszym bratem, pułkownikiem armii królewskiej.

- Robercie, nie należy wydawać jej za kogoś, skoro nie chce go za męża - zaczęła Bel w sposób możliwie dyplomatyczny. - Powinna samodzielnie dokonać wyboru, podobnie jak my!

Jacinda liczyła na wsparcie ze strony lorda Aleca, swego ulubionego brata, najmłodszego z całej piątki i najbliższego jej zarówno wiekiem, jak i temperamentem, lecz nikt nie wiedział, gdzie on się podziewa.

- Ależ ja ją chciałem tylko chronić! - niemalże krzyczał Robert. - Jeżeli szybko nie wyjdzie za mąż, wkrótce stanie się bohaterką jakiegoś skandalu. Chciałabyś czegoś takiego? - Proszę was wszystkich... - próbowała się wtrącić Lizzie, ale nikt jej nie słuchał.

Biedna Lizzie, najlepsza przyjaciółka i towarzysza Jacindy, usiłowała wmówić obecnym, że wszystko stało się z jej własnej winy, bo nie dopilnowała Jacindy. Za to pani Hood, guwernantka, była odmiennego zdania.

- Czyż można mnie winić za coś podobnego?! - Tu wręczyła energicznie karteczkę papieru Belindzie. - Nigdy w życiu nie miałam do czynienia z równie upartym i zuchwałym dziewczęciem!

- Ależ panno Hood - błagała Belinda - nie może pani rzucić pracy u nas, przynajmniej dopóki nie zdołamy znaleźć innej guwernantki...

Lucien usiłował łagodzić nastroje. Ale dyplomatyczny dar, tak skuteczny w przypadku cudzoziemskich dygnitarzy, nie na wiele przydał się w rodzinie. Na próżno próbował uspokoić krewnych. W końcu skrzyżował tylko ręce na piersi, mierząc Jacindę pełnym wyrzutu spojrzeniem. Dotrzymał jednak słowa i nie wspomniał o tym, że Blade ją całował.

Nie miała pojęcia, dlaczego ten łajdak z dzielnicy ruder w ogóle mu się do tego

przyznał. Pewnie uwierzył w jej pogrózkę, że powie braciom, co zaszło między nimi w sypialni.

- Kiedy właściwie, moja panno, zaplanowałaś tę ucieczkę? - spytał ją Robert.

Postawny, wysoki książę, brunet bliski czterdziestki, z wyrazistymi rysami i o przenikliwych oczach, wsparł dłonie na gładkim blacie wielkiego biurka i spiorunował ją spojrzeniem. - I czy to w ogóle miała być ucieczka? Może to tylko jeden z twoich niemądrych wyskoków? Jacinda pochyliła głowę, nerwowo splatając palce dłoni.

- Czy chociaż pomyślałaś o tym, że odchodzilibyśmy wprost od zmysłów?

I tak dalej. Za każdym razem, gdy próbowała odpowiedzieć na któreś z natarczywych pytań, nie dali jej nawet dojść do słowa. Taki już jest los najmłodszej latorośli w licznej, a porywczej rodzinie. I to w dodatku jedynej osoby płci żeńskiej z całego rodzeństwa! Niańka wniosła do pokoju małego Morleya, dwuletniego synka Roberta. Chłopczyk głośno kwilił, wytrącony z równowagi podniesionymi głosami. Bel odebrała płaczącego berbecia od piastunki i pozostawiła Alice sam na sam z rozjuszoną guwernantką.

Jacinda z bijącym sercem przymknęła oczy. A gdy już zyskała pewność, że jej udręka sięgnęła zenitu, przybył lord Griffith, chcąc ustalić ostatnie szczegóły umowy przedmałżeńskiej. Na wieść o tym, że przyszła panna młoda woląca uciec z domu niż wziąć go za męża, przystojna twarz narzeczonego pociemniała z gniewu. Jacinda po raz pierwszy widziała go w takim stanie. Spojrzał na nią ze zmarszczonymi brwiami, niczym srogi lew.

- A więc to tak - odezwał się z urażoną miną.

Szczerze pragnęła zapaść się pod ziemię. Zaczerwieniona, próbowała coś wyjąkać na swoje usprawiedliwienie, lecz jej słowa utonęły w ogólnym gwarze. Lucien i Robert na wyścigi zaczęli ganić jej perfidię. Potem Bel i Alice chciały jej bronić, ale Ian popatrywał na nią tak nieufnie, jakby się już wcześniej spodziewał czegoś podobnego. Dziecko znowu

zaczęło płakać, a Jacinda poczuła, że głowa jej pęka od tego hałasu.

Spraw, żeby cię wysłuchali, radził jej Blade. Broń się, dziewczyno! Tymczasem ona bezradnie patrzy, jak rozwiewają się w nicość resztki jej wolności. Nawet rozsądny Lucien dał się ponieść gniewowi. Wiedziała, że jeśli szybko czegoś nie zrobi, będą jej pilnować do końca życia.

Zerwała się na nogi, niezdolna tego wytrzymać ani chwili dłużej.

- Dostyć! - krzyknęła z twarzą zaczerwienioną od gniewu,

Wszyscy nagle zamilkli, zaskoczeni jej wybuchem. Nawet dziecko, zmęczone płaczem, już tylko siąkało noskiem.

Powiodła wzrokiem po swojej rodzinie - ukochanej, ale zarazem nieznośnej do szaleństwa.

- Żądam, żebyście przestali toczyć boje z mojego powodu. Wiem, że chodzi wam wyłącznie o moje dobro, ale ja nie mogę tego ścierpieć. Rozumiem, że postąpiłam źle i głupio. Przykro mi, że sprawiłam wam kłopot.

Guwernantka prychnęła z irytacji.

Jacinda rzuciła jej spojrzenie pełne poczucia winy i spuściła głowę.

- Panno Hood, proszę nie odchodzić. Przepraszam za to, co zrobiłam. Spróbuję na przyszłość postępować lepiej. - Łzy nabiegły jej do oczu, lecz nie zważając na nie, zwróciła się ku przystojnemu markizowi. - Nie myśl, że tobą gardzę. Jesteś najlepszym z mężczyzn, godnym, łagodnym i zacnym, ale ja... ja nie mogę zostać twoją żoną. Ty wciąż jeszcze kochasz Catherine!

- Jacindo! - wykrzyknął Robert, zgorzony tym, że siostra wspomina o zmarłej żonie Griffitha.

- W porządku. Pozwól jej mówić - odparł półgłosem Ian.

- Chcę teraz powiedzieć coś, co wszyscy powinniście zrozumieć. I niezależnie od tego, czy wam się to podoba, czy nie, jest to prawda. Gdybym teraz wyszła za ciebie, Ianie, wiedząc, że mnie nie kochasz, to obawiam się, że... och, wybacz mi, ale tak lojalny przyjaciel jak ty zasługuje na szczerość. Znam siebie dość dobrze, żeby to wiedzieć. Byłbyś mi obcy, czułabym się zaniechana, a wtedy mogłabym ulec słabości. W końcu jestem córką własnej matki. I właśnie dlatego muszę ci odmówić. Śmierć Catherine zraniła cię głęboko, a ja za nic na świecie nie chciałabym przyczynić ci jeszcze większego bólu.

W pokoju zapadła głucha cisza. Jacinda czekała w napięciu na reakcję.

- Ona ma słuszość, Robercie. - Ian, który patrzył dotąd w podłogę, spojrzał w oczy księciu. - Kocham ją jak siostrę. Jeśli lady Jacinda uważa, że jedynie małżeństwo z miłości pomoże jej przezwyciężyć skłonności odziedziczone po matce, zrobisz lepiej, czekając, aż znajdzie kogoś, kogo pokocha.

- Co za pech - wymamrotał Robert i z rezygnacją opadł na obite skórą krzesło.

Jacinda znów przymknęła oczy i spuściła głowę. Czowała ulgę, ale zastanawiała się też, czy kiedyś nie pożałuje tego kroku. Mimo wszystko Ian był dobrym i mądrym mężczyzną. Na pewno zdołałby o nią należycie zadbać.

Robert zażądał rozmowy z Griffithem w cztery oczy, a potem wyprosił z biblioteki wszystkich, nawet ją.

- Skończymy to później - rzucił ostrym tonem. Groźny błysk ciemnych oczu dał jej do zrozumienia, że niezależnie od tego, czy Ian gniewał się na nią, czy nie, będzie musiała ponieść konsekwencje nierozważnego postępowania.

W gruncie rzeczy nie mogła winić Roberta. Doprowadziła go do ostateczności.

Znękana, wyszła na wykładany marmurem korytarz. Odpowiedziała na pełne wyrzutu spojrzenia bratowych i co prędzej umknęła, nie zważając nawet na Lizzie, która pragnęła

okazać, że stoi po jej stronie.

- Jas! Gdzie ty biegniesz?

Kiedy się obejrzała, przyjaciółka dopędzała ją już w westybulu. Lizzie, młoda, dwudziestokilkuletnia panienka, miała jasną cerę, szaroniebieskie, zamyślane oczy i jasnobrązowe włosy, spięte w luźny kok na czubku głowy.

- Czy mogę ci w czymś pomóc?

- Wolalabym teraz być sama. Powiedz Robertowi, że wybrałam się na przejażdżkę po Hyde Parku, dobrze? Niedługo wrócę. Powtórz mu, żeby się nie martwił - dodała, nie umiejąc się jednak zdobyć na nutę żalu w głosie. - Wezmę ze sobą stajennego, żeby mnie pilnował!

I nie czekając na odpowiedź, pospieszyła do swoich apartamentów na czwartym piętrze, gdzie zażądała, by osiodłano jej siwego wałacha, gdy tylko przebierze się w strój do konnej jazdy.

Dopiero gdy galopowała po parkowej murawie, poczuła, że wreszcie może swobodniej odetchnąć. O tej porze dnia cały ten region Hyde Parku miała niemal wyłącznie dla siebie. Wkrótce należało się tu jednak spodziewać większego tłoku. Jediną osobą, jaką mogła dostrzec, była lady Champion, jej własny ideał: arcypopularna trzydziestolatka, całkiem w typie matki.

Rodzina Evy Champion zmusiła ją, gdy ta była w wieku Jacindy, do wyjścia za pewnego „starego łajdaka”, jak Blade określiliby jej męża. Wiekowy oblubieniec kilka lat później zamknął oczy, czyniąc lady Champion ledwie dwudziestoletnią wdówką. Robiła odtąd, co chciała, i z kim tylko chciała, bez żadnych konsekwencji. Uczyniła, jak należało, a teraz była wolna. Rozegrała partię według reguł towarzystwa - i wygrała ją.

Kiedy Jacinda dojrzała ją na Ringu, atrakcyjna baronessa jechała właśnie jaskrawożółtym faetonem w towarzystwie przystojnego, wąsatego oficera dragonów.

Jacinda westchnęła z zazdrością. Potem przestała myśleć o lady Campion i jej najnowszym kochanku, przynaglając konia do szybszego biegu. Stajenny w liberii Hawkscliffe'ów ledwie mógł za nią nadążyć. Jacinda próbowała zostawić za sobą kłopoty, niczym różowy welon okalający jej jeździecki kapelusik, który wdzięcznie łopotał na wietrze. Długie poły spódnicy do konnej jazdy falowały wokół nóg wałacha. A jednak, objeżdżając wokoło Ring, wciąż czuła się - nawet tu, w Hyde Parku - jak któreś z dzikich zwierząt w ponurej menażerii na Exeter Street, krążących nieustannie po ciasnych boksach z cementu i metalu w poszukiwaniu drogi ucieczki.

Gdy park zaczął się zapełniać ludźmi, natrafiła na grupkę przyjaciół i wielbicieli. Był wśród nich wybredny dandys, Acer Loring, i jego wesoły kompan, George Winthrop. A prócz nich cały zastęp innych wytwornych młodych trzpiotów na rasowych wierzchowcach. Acer wraz z przyjaciółmi, zawsze gotowi do błazenady i sarkastycznych żarcików, sprawili, że Jacindzie wrócił dobry humor.

Nie spieszyło jej się z powrotem do Knight House, żeby usłyszeć wydany na nią wyrok. Wyzwała ich więc na wyścigi. George Winthrop nadąsał się, bo zdołała go prześcignąć mimo damskiego siodła. Rozgrzany wyścigiem wałach kłusował na czele gromadki skupionych wokół niej młodzieńców, po zielonej trawie, z dala od eleganckich, bardziej uczęszczanych partii parku. Acer, zwycięzca gonitwy, jechał za nią na wspaniałym gniadym koniu. Wysoki, przystojny szatyn miał na sobie kosztowny ciemnozielony płaszcz, jasne bryczesy i długie czarne buty, wypolerowane do połysku.

- Proszę się nie odwracać, milady - wycedził z afektowanym uśmiechem, rzucając lekceważące spojrzenie ku balustradzie - bo chyba jeden z tych głupich, ale modnych pismaków, publikujących w „La Belle Assemblée”, pisze właśnie coś o pani stroju do konnej jazdy.

- Może powinnam specjalnie pozostać w tyle, żeby mógł mu się lepiej przyjrzeć -
odparła oschłym tonem.

- Odradzałbym to, jeśli pani nie chce, żeby żona jakiegoś londyńskiego sklepikarza
sprawiła sobie w przyszły wtorek taki sam.

- Gdzie ona jest?

- Hej, lady Jacindo! Och, jaśnie pani! Prosimy tu do nas!

Acer zgrabnie, choć z ukrytą ironią skinął w stronę, z której dochodził piskliwy głos,
lecz potem wzdrygnął się nagle:

- O Boże, a cóż toto robi tam, za nią?

Jacinda odwróciła się i ujrzała damę w wielkim słomkowym kapeluszu, która
wymachiwała ku niej ręką, lecz jej uśmiech znikł bez śladu, kiedy dostrzegła osobę, określoną
przez Acera jako „toto”.

- Winthrop, spójrz na tego długowłosego cudaka - rzucił kpiąco Acer. - Czy on może
idzie ku nam?

- Mam nadzieję, że nie - odparł z rozbawieniem George - bo wygląda niczym
urodzony morderca!

Zaśmiali się obaj, ale Jacinda spoglądała przed siebie jak odrętwiała. Serce podeszło
jej do gardła. Cóż on tutaj robi, na miłość boską?!

Jacinda nie mogła oderwać od niego oczu. Billy Blade wsparł się ręką o balustradę i przeskoczył przez nią lekko. Jego wyostrzony w dzielnicy ruder refleks ledwie wystarczał, by cały i zdrowy przeszedł przez Rotten Row wśród natłoku hałaśliwych karet i łomotu kopyt. Kilku ludzi skłęło go, lecz on obojętnie parł prosto przed siebie z zatrwającą wprost determinacją.

Założę się o dziesięć funtów, że zostanie z niego miazga, nim znajdzie się po drugiej stronie - powiedział Acer.

- Zakład przyjęty - odparł George.

Jacinda patrzyła na wpół ze zdumieniem, na wpół ze zgrozą, na Blade'a, dopóki wreszcie nie dotarł bezpiecznie tam, dokąd zmierzał. Prześlizgnął się pod balustradą i wszedł na murawę, otrzepując kurz z odzienia.

- Niech to diabli, wygrałeś.

- Płać, Loring. Na Boga, ten prostak najwyraźniej idzie ku nam!

- Chyba... chyba nie - wtrąciła się Jacinda, pojmując, że stanie się coś wręcz okropnego, jeśli nie odjedzie stąd natychmiast.

- Bez paniki, milady. Będziemy cię chronić - zażartował Acer.

Jacinda przenosiła wzrok z jednego na drugiego. Nie chodziło jej o ochronę, tylko o Blade'a. Aroganccy arystokraci potraktowaliby go jak ostatniego nędznika, gdyby ośmielił się do niej zbliżyć. Bójka, która by się niewątpliwie wywiązała, mogła mieć nie tylko krwawy koniec, ale też zaalarmować policjantów, patrolujących park. Blade byłby sam przeciwko wielu. Mógł przegrać. Musiała zaraz coś zrobić, inaczej go aresztują i powieszają. Zastanawiała się gorączkowo, co zrobić, żeby sobie poszedł i nie ściągał na siebie uwagi jej adoratorów.

- Czego on tu, u diabła, szuka?

- Albo poprosi nas o datek, albo zamorduje.

- Co za interesujący typek - zauważył Acer, patrząc wyniośle na zakurzony czarny płaszcz Blade'a, spodnie z grubej brązowej tkaniny i zdarte buty. Zamiast halsztuka Billy miał na szyi spłowiała, luźno zawiązaną niebieską chustkę. - Wątpię, czy zdradzi nam nazwisko swojego krawca!

- Och, milczałbyś lepiej, Acer! - wybuchnęła Jacinda. - Najwyraźniej to jakiś biedak.

Daj mu spokój. Nudzisz mnie!

- Dokąd się teraz wybierasz?

- Sama nie wiem. Okropnie dziś nudno.

Towarzysze zgodzili się z nią, ale nadal nie odjeżdżali. Blade zbliżał się do nich w taki sposób, jakby miał się za równego stanem każdemu z tych wysoko urodzonych młodzieńców. Był już niemal przy samych koniach i zuchwale patrzył wprost na nią. Za moment zwróci się do niej być może po imieniu, co skończy się katastrofalnie dla obojga.

Co ten nikczemnik sobie myśli? Powinien wiedzieć, że próba rozmowy byłaby w tych warunkach szaleństwem. Nagle dostrzegła coś, co zamigotało wokół jego dłoni. Naszyjnik! A więc go znalazł! Pojęła, że nic go nie powstrzyma. Nie pozostawił jej wyboru. Spojrzała na niego zimno, obojętnie, jakby go nigdy nie знаła, jakby go tam przed nią wcale nie było, a potem przeniosła wzrok gdzie indziej. Nie istniał dla niej.

Blade zamarł w miejscu.

Widziała jego bolesne zaskoczenie, ale nie czuła się winna. Przynajmniej tyle mu się należało za to, jak się z nią obszedł zeszłej nocy. Kątem oka dostrzegła, że na jego twarzy zaskoczenie ustąpiło miejsca rozgoryczeniu.

Coś w niej w tej chwili umarło. Nie potrafiła się zmusić, żeby na niego spojrzeć.

Acer obserwował go w napięciu, jakby Blade był pierwszym lisem łowieckiego

sezonu.

- Ten łajdak ma broń - mruknął z cicha. - Nie podoba mi się sposób, w jaki na nas patrzy.

- Jedźmy już stąd, Acer, nudzę się okropnie - powtórzyła nerwowo, lecz młodzieniec zignorował jej słowa i nagle skierował konia prosto ku Blade'owi. - Acer! - krzyknęła gniewnie.

- O co ci chodzi? - Dandys odwrócił się w siodle.

- To raczej ja powinnam przyciągać twoją uwagę! Czyż nie nadaję się do tego, żeby wzbudzić zazdrość w Dafne?

Acer spojrzał na nią podejrzliwie.

Ostry, wymuszony śmiech Jacindy zabrzmiał dziwnie głucho.

- Ścigajmy się do Long Water!

Uderzyła lekko wałacha szpicrutą i popędziła galopem przed siebie.

Blade patrzył w ślad za nią z wściekłością, która pulsowała w każdym skrawku jego ciała. Serce łomotało mu niczym bęben, gdy widział, jak mknie na siwym koniu przez park.

Bezlitosna, piękna łowczyni w stroju gołębiego koloru, z różowym welonem wokół kapelusza, powiewającym na wietrze. Czereda adoratorów jechała za nią w doskonałych nastrojach. Wszyscy prócz jednego.

Zatrzymał spojrzenie na arogonie w ciemnozielonym płaszczu.

Chętnie by go zabił.

Ta dziewczyna stała się jego obsesją. Rozmyślał o niej przez szesnaście godzin. I wybrał się tutaj tylko po to, żeby zobaczyć ją w otoczeniu wielbicieli. Zdołał dostrzec ostrzegawcze spojrzenie Jacindy, które nakazywało mu odwrót, musiał się jednak do niej zbliżyć. Nie wiedział, czy próbuje go do tego zniechęcić, bo się go wstydzi, czy też po prostu

pragnie ochronić go przed najgorszym: wysmaganiem przez tych bawidamków. Każdy z dwóch wariantów był nie do zniesienia i każdy ranił jego dumę, zignorował więc ostrzeżenie. W końcu musiał oddać je te diamenty. Dała mu jednak jasno do zrozumienia, co o nim myśli. Nawet taki gbur jak on mógł łatwo odczytać jej intencje.

Och, zrozumiał to doskonale. Miała go dość. Potraktowała go z lekceważeniem, lodowato. Dzięki temu ochłonął i uprzytomnił sobie, że wszelkie próby zbliżenia się do niej są niemożliwe. Boże, jakim się okazał głupcem! To przecież tylko zamożna panna szukająca mocnych wrażeń. I pomyśleć, że zachował się wobec niej jak niewinny młodzieniec, podczas gdy należało sobie użyć. Niech diabli porwą jej braci! Nie bał się ich.

Miał szczerą chęć walnąć pięścią w coś twardego.

Ten rozpieszczony, ugrzeczniony dandys wyczuł jego wściekły gniew, bo zawrócił gniadosza już po krótkiej chwili, żeby posłać mu przez ramię spojrzenie spode łba. Potem pogalopował w ślad za Jacindą. Blade zastanawiał się, czy przypadkiem nie rozbudził w dziewczynie zdrożnych chęci. Teraz, kiedy jej pokazał, ile satysfakcji daje zbliżenie, spróbuje zapewne igraszek z kimś innym. W końcu dała mu do zrozumienia, że jej matka poczynała sobie w tej kwestii wcale niezgorzej. Byłoby szaleństwem kochać się w podobnej kobiecie.

- Hej, ty tam!

Policjant spoglądał na niego groźnie z pewnej odległości.

- Zmiataj stąd!

Instynkt samozachowawczy Blade'a dał znać o sobie, chociaż nieco za późno. Billy okręcił się na pięcie i odszedł z posępną miną.

Po kilku minutach skinął na rozklekotaną dorożkę i wrócił do St. Giles. To zresztą także nie było jego miejsce, jak pomyślał z goryczą. Oparł łokieć na parapecie okienka, a brodę na dłoni. Przymknął na moment oczy, pełen irytacji i złości. Wstyd mu było za siebie

samego. Za prymitywnego, szorstkiego prostaka, jakim się stał. Jakim postanowił się stać.

Powinien o niej zapomnieć.

Nie będzie to takie trudne. Niech piekło pochłonie jej wspaniałe ciało, wytwornych przyjaciół i świetne małżeństwo. Nie potrzebował jej. Nie potrzebował nikogo.

Gdyby wszystko potoczyło się inaczej, mogłaby należeć do niego. Ale dokonał wyboru piętnaście lat temu. Wyparł się siebie samego. Nie zasługiwał na nią. Nie było już odwrotu. Niezależnie od tego, czy chodziło o nią samą, czy o kogoś innego.

Stary nie był wart lekkiej śmierci. Starszy brat, Percy, nie żył. Świadomość, że jego ród wygaśnie, to właściwa kara dla markiza Truro.

Lepiej, jak mówią poeci, królować w piekle niż służyć w niebie. Był teraz Blade'em, przywódcą Ognistych Sokołów. Jak się powiedziało a, trzeba potem powiedzieć i b. Gdy zdezelowana, trzeszcząca dorożka wjeżdżała w mroczne zaułki jego dzielnicy, pomyślał o prostych ludziach, którzy stali się jego nową rodziną. Zależeli od niego i liczyli, że ich obroni przed tym brutalnym światem.

Spojrzał przez okienko na obdarte dzieci bawiące się w rynsztoku i w milczeniu ślubował sobie, że podwoi swoje wcześniejsze wysiłki, żeby pędzić życie wyrzutka.

Jacindzie ledwie się udało zażegnać niebezpieczeństwo w parku. Skierowała konia ku wielkiej, czarnej bramie z kutego żelaza, wejściu do Knight House. Wciąż jeszcze nękało ją wspomnienie urazy i gniewu w oczach Blade'a, kiedy udawała, że go nie zna. Nie dał jej wyboru! Zeskoczyła z konia, pozostawiając go trosce stajennego.

Wkraczając w biały portyk Knight House, starała się zebrać wszystkie siły. Za chwilę usłyszy werdykt Roberta. Teraz jednak najbardziej na świecie chciała opowiedzieć Lizzie o Billym. Walsh, kamerdyner, otworzył przed nią drzwi, właśnie gdy zamierzała wślizgnąć się do domu. Zadziwił ją swoim wyczuciem.

- Dzień dobry, Walsh. Czy lord Griffith jeszcze tu jest? - spytała szeptem.

- Nie, milady - odparł dyskretnie.

- Dzięki Bogu! A gdzie mogę zastać pannę Carlisle?

- W salonie.

- Dziękuję ci. - Uniosła długi tren stroju jeździeckiego i pospiesznie wbiegła na

kręcone marmurowe schody, ściągając po drodze rękawiczki.

Kochana, mądra, macierzyńska Lizzie była jej podporą i chętnie odgrywała rolę

powiernicy. Lizzie wiedziała, co należy zrobić. Wychowały się razem od dziecka i z

czasem Lizzie stała się najbardziej zaufaną przyjaciółką Jacindy, kimś jakby siostrą. Jej ojciec

był zaufanym rządcą w Hawkscliffe Hall, podobnie jak przed nim jego ojciec i dziadek.

Zmarł, kiedy Lizzie miała zaledwie cztery lata. Sierota została wychowanką księcia.

Postanowiono, że będzie dotrzymywać towarzystwa trzyletniej wówczas lady Jacindzie i

bawić się razem z nią. Jacinda także była sierotą, która nie miała wówczas nikogo poza

piastunkami i o wiele starszymi braćmi.

Dotarła już prawie do szczytu schodów, gdy usłyszała na piętrze jakiś harmider. Z

początku sądziła, że rodzina nadal debatuje nad jej wyskokiem, więc pędem pokonała resztę

marmurowych stopni. Ku swojej uldze przekonała się, że przyczyną całego zamieszania jest

coś zupełnie innego.

Przybył Alec.

Lord Alec Knight, najmłodszy z całej piątki braci, był złotowłosym Adonisem i

hulaką, który potrafił zjednać sobie sympatię każdego, zwłaszcza płci pięknej. Kobiety go

ubóstwiały, żadna nie mogła mu się oprzeć. Jacinda bywała już świadkiem, jak pięcioletnie

dziewczynki oznajmiały, że wyjdą za niego, kiedy dorosną, a utytułowane leciwe wdowy

pozwalają sobie podszczypywać go, jeśli akurat przechodził koło ich stolika do gry w wista.

Wszyscy, a zwłaszcza Lizzie, krzętałi się zaaferowali wokół niego, on zaś królował pośrodku pokoju, wspierając stopę w samej pończosze na podnóżku fotela. Jeden z najlepszych miejscowych chirurgów ostrożnie obmacywał jego nogę.

- Au! Niech cię licho, co za nieostrożność! -jęknął wyniosłym tonem Alec. - A nie mówiłem, że wściekle mnie boli?

- Alec, mój drogi! Co ci się stało? -Jacinda, zaniepokojona, podbiegła ku niemu. Z ulgą się przekonała, że do obydwu małżeńskich stadeł powróciła dawna harmonia, mały Morley z pogodnym uśmiechem tkwi w objęciach niani, a panna Hood robi na drutach w fotelu pod ścianą. Minę miała jak zwykle kwaśną, ale wyglądała na udobruchaną.

-Jak się masz, Jas. -Alec posłał jej rozbrajający uśmiech, lecz zaraz skrzywił się z bólu. - Mój zacny człowieku, uprzedzałem cię, że... -jęknął do chirurga.

Lekarz spojrzał na Roberta, który stał w pobliżu.

- Wasza Miłość, kostka jest złamana.

- Przecież cały czas próbuję ci to powiedzieć - stęknął Alec.

- Proszę ją złożyć - zażądał Robert.

- Tak, Wasza Miłość.

- Och, Alec, ty szalawilo! Cóżes sobie zrobił? - Jacinda nachyliła się i cmoknęła go w policzek. - W jaką kabałę się znów wplątales?

-W mniej niebezpieczną niż ty - wyjąkał w odpowiedzi, rzucając jej porozumiewawcze spojrzenie. -Jeszcze jeden głupi zakład. - Uniósł się w fotelu, przyjmując niewygodną pozycję.

- Musisz mi o wszystkim opowiedzieć.

- Myślę, że nie - przerwał jej Robert. - Ani słowa więcej. Walsh, proszę zadbać o to, żeby lord Alec miał wszystko, czego mu potrzeba, w swoich pokojach w Albany.

- Jak najbardziej, Wasza Miłość. - Kamerdyner skłonił się przed księciem.

- Znakomita myśl! - mruknął Alec z grymasem bólu, uradowany myślą o

rekonwalescencji w domu, gdzie lojalna służba i kobiety z rodziny mogli go doglądać o wiele lepiej niż wiecznie czymś zajęta obsługa wytwornego hotelu na pobliskiej Curzon Street, gdzie mieszkał jako kawaler.

Lizzie krążyła wokół niego zatroskana. Alec wziął ją za rękę i ucałował w tak bezceremonialny sposób, jakby z nią flirtował, a potem przycisnął ją do serca.

- Kruszynko, czy zechcesz przynieść mi nieco wina?

- Oczywiście - szepnęła, uśmiechając się błogo. Alec zwrócił się bowiem do niej, używając jej ulubionego, pieszczotliwego przezwiska.

- Och, przecież możesz o to poprosić kogoś ze służby - zaprotestowała Jacinda.

- Wino będzie mi lepiej smakowało, jeśli Kruszynka sama je przyniesie - odparł, obdarzając Lizzie jednym ze swoich najbardziej olśniewających uśmiechów.

- Już dobrze... nie szkodzi... to potrwa tylko chwilę. - Lizzie, zaczerwieniona po uszy, wyszarpnęła dłoń z lekkiego, ale zaborczego uścisku i pospieszyła spełnić prośbę.

Jacinda nagle poczuła, że nie podoba się jej myśl o pobycie Aleca i Lizzie pod jednym dachem, ale nic nie powiedziała. Lizzie kochała się w tym łobuzie od dziewiątego roku życia, choć utrzymywała, że wyrosła już z tego szczenięcego zauroczenia. Jacinda miała nadzieję, że tak jest naprawdę, gdyż mimo szczerzej sympatii do brata dobrze wiedziała, że Alec kolekcjonuje kobiece serca w taki sam sposób, jak lord Petersham tabakierki. Chętnie widziałaby wprowadzić w Lizzie swoją bratową, lecz była świadoma, że Alec zdolny byłby zdruzgotać czułe serduszko Lizzie.

- Jacindo, chcę z tobą pomówić w cztery oczy - zażądał Robert.

- Oczywiście - wyszeptwała, a potem wyszła za nim na korytarz.

Robert zamknął za sobą drzwi i zwrócił się do niej:

- Bel przekonała pannę Hood, żeby nie rezygnowała z pracy u nas, choć kusiło mnie, żeby ją zwolnić, skoro nie zdołała zapobiec twojej niemądrej ucieczce. Doszedłem też do porozumienia z lordem Griffithem. O małżeństwie nie będzie więcej mowy.

- Czy jest na mnie zły?

- Nie.

- A ty, Robercie?

Brat tylko westchnął i pokiwał głową.

- Tak mi przykro. Naprawdę - dodała.

- Rozumiem. - Uściskał ją łącie po ojcowsku. - Przysparzasz mi mnóstwa zmartwień, moja mała. Zawracasz w głowie swoim wielbicielom tak, że tracą rozum... Cały czas lękam się jakiegoś nieszczęścia. Zupełnie jak wtedy, kiedy wyszedłem do holu i zobaczyłem, że Morley raczkuje na szczycie schodów. Nigdy w życiu nie biegłem szybciej niż w tamtej chwili.

- Ale ja już nie mam dwóch lat.

- Wybacz mi, czasem chciałbym, żeby tak właśnie było. O wiele łatwiej mógłbym cię wtedy utrzymać w karchach. W każdym razie nie jestem na ciebie zły, ale bardzo martwię się o ciebie. - Objął ją delikatnie i spojrzał prosto w oczy. - Wyślę cię na wieś.

- Ależ sezon dopiero się zaczął!

- Cóż, sama do tego doprowadziłaś. Spędzisz resztę kwietnia w Hawkscliffe Hall, gdzie wiodąc spokojne wiejskie życie, będziesz mogła przemyśleć swoje błędy.

Jacinda jęknęła.

- Pozwolę ci wrócić do Londynu na bal w dniu wesela księżniczki Charlotty. Wiem, jak ci na nim zależy.

- Czy wolno mi przynajmniej zabrać ze sobą Lizzie? - spytała z przygnębieniem, gdy

brat odprowadzał ją do salonu.

- Tak, jeżeli ona się zgodzi.

Gdy jednak Jacinda kilka minut później spytała przyjaciółkę, czy zechce jej towarzyszyć, Alec przerwał im, zanim Lizzie zdążyła się odezwać.

- Och, nie. Ona musi dbać o mnie.

Jacinda wzięła przyjaciółkę za rękę.

- Alec, czy Lizzie nie zasługuje na coś więcej niż służenie ci za pielęgniarkę? - spytała ironicznie.

- Wcale nie - odparł beztrąsko. - Jak sądzisz, Kruszynko?

Lizzie spojrzała na nią z konsternacją, jakby perspektywa opieki nad Alekiem przez najbliższe kilka tygodni wydawała się jej czymś jak najbardziej godnym uznania.

- Lizzie! - krzyknęła Jacinda, widząc jej wahanie. - Umrę z nudów bez ciebie!

- Bzdura, będziesz miała przy sobie pannę Hood - odparł chytrze Alec. - Poza tym to jest kara, Jas, a nie wakacje. No i czy nie uważasz, że jesteś trochę samolubna? Dlaczego Lizzie miałyby tracić sezon z powodu twego niemądrego wybryku?

- Sezon jest jej całkiem obojętny, a co do mego „niemądrego wybryku”, to przynajmniej nie złamałam sobie nogi w kostce wskutek głupiego zakładu. Po prostu chcesz, żeby Lizzie czuwała tu nad tobą, zupełnie jakbyś był spanielem...

- Och, ty primadonno! A ty z kolei chcesz, żeby cię nie odstępowała niczym wierna publiczność!

- Przestańcie! - krzyknęła Lizzie, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego. - Wcale nie chcę jechać teraz na wieś. Naprawdę muszę zostać z Alekiem, żeby...

- Wolisz go ode mnie?

- Przecież wiesz, jak okropnie dokucza mi wiosną katar. Wcale nie mam ochoty wlec się za tobą i twoimi psami myśliwskimi, kichając do utraty tchu!

- Ale jej docięłaś! - rzucił z satysfakcją Alec z głębi fotela.

- A poza tym - dodała Lizzie z policzkami zaróżowionymi z nagłej irytacji - Alec ma rację. To twoja kara. Nie wiem, dlaczego miałabym tam jechać dla twojej przyjemności. Nie pomyślałaś, żeby mnie zabrać, kiedy uciekałaś do Francji. No i lord Alec mnie potrzebuje. - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Ani księżna, ani służba nie poradzą sobie z opieką nad nim. Dłoń Aleca spoczęła na ręce Lizzie.

Jacinda spojrzała na nich, odstąpiła o krok i mruknęła:

- Jak chcecie.

Rzuciła jednak Lizzie spojrzenie, które mówiło bez słów: bądź z nim ostrożna.

- Chodźmy już, milady. - Panna Hood wstała i z dumą przewiesiła sobie koszyczek do robótek przez ramię. - Musimy się spakować. Wyjeżdżamy z samego rana.

I rzeczywiście powóz oraz służba czekały na nią nazajutrz o siódmej. Lizzie nie zmieniła zdania, a nawet jeszcze mocniej trwała w swym postanowieniu. Pozostała tu, przy mężczyźnie jej marzeń.

Podróż z Londynu do Hawkscliffe Hall w Cumberland, rodzinnego zamku, trwała zwykle około czterech dni. Tym razem dłużyła się Jacindzie, zamkniętej w ciasnym wnętrzu powozu wraz z urażoną guwernantką, wprost niemiłosiernie. Panna Hood była tak zgryźliwa i bezwzględna, że służąca Ann wolała w końcu jechać na koźle, żeby tylko uniknąć napiętej atmosfery.

Już drugiego dnia Jacinda przekonała się, jak bardzo ją zmieniło spotkanie z Billym Blade'em.

Mnóstwo razy jechała przedtem Wielkim Północnym Traktem z Londynu do zamku,

lecz dopiero teraz zwróciła uwagę na cierpienie i nędzę, wszechobecne w całym królestwie. Przejeżdżała obok opustoszałych lub na wpół spalonych przędzalni. Bohaterscy żołnierze spod Waterloo, pijani i okaleczeni, zebrali po miastach. Kiedy zatrzymały się na noc w Yorku, słyszała, jak jakiś rozjuszony wieśniak pomstował na placu. Wrzeszczał do tłumu, że nowo wprowadzone maszyny rujnują ludzi, odbierając im możliwość zarobku. Chciała się zatrzymać, żeby posłuchać, co mówi, ale panna Hood szybko zabrała ją do zajazdu.

Nocą zaś odkryła, że Blade rozbudził w niej nie tylko większe zainteresowanie światem. Nie potrafiła zapomnieć dotyku jego rąk na swoim ciele. Gdy zamykała oczy, widziała tatuaże, którymi był pokryty, a w snach wodziła po nich ustami i palcami. Na próżno starała się zapomnieć o tym zuchwalcu i prostaku. Choć wnikliwe oko Roberta tutaj nie sięgało, musiała przyznać, że Billy coś jej uświadomił. Tak jak jej matka była „kruchym naczyniem”. A może to tylko on tak na nią działał? To byłoby jeszcze gorsze!

Po kolejnej nocy, spędzonej na daremnych pragnieniach, z rozpaczą myślała o dzielącej ich różnicy stanu. Nigdy nie będzie go miała. Nawet gdyby był księciem i możliwym do zaakceptowania kandydatem na męża, okazałby się w każdym calu kimś równie skorym do dominacji, jak jej bracia, a tego właśnie sobie nie życzyła. Oprzytomniała na dobre, gdy przypomniało jej się lodowate spojrzenie, jakim ją obrzucił w Hyde Parku, kiedy udała, że go nie zna. Należało o nim zapomnieć.

Obojętne, co ich połączyło tamtej nocy, w Hyde Parku odcięła się od niego raz na zawsze. I tak właśnie było najlepiej.

Blade kończył ćmić cygaro i ostrzyć nóż, szykując się do nocnej wyprawy. Wpadł na pomysł, żeby dokonać rabunku w luksusowej dzielnicy Mayfair przy St. James. Słyszając, że ktoś nadchodzi korytarzem, spojrział niespokojnie na drzwi, a potem szybko wsunął sobie diamentowy naszyjnik Jacindy do buta.

Nie sprzedał go ani nie próbował nigdzie schować. Dzielił przecież mieszkanie z całą bandą doświadczonych złodziei. Choć powtarzał sobie, że go zachowa, żeby kiedyś móc zawiesić kolię na jej pięknej szyi, prawda wyglądała inaczej. Nie chciał się pozbyć klejnotu, bo był pamiątką po Jacindzie. Kto wie? Może ten naszyjnik przyniesie mu szczęście? W tejże chwili Nate wsunął przez drzwi swoją kędzierzawą głowę.

- Już czas.

- Czy Jimmy przyszykował wóz?

- Jest prawie gotów. - Nate wszedł i zamknął za sobą drzwi. Zatarł dłonie, jakby mu zmarzły, a potem strzelił palcami.

Blade, z cygarem w kącie ust, kończył ostrzyć ulubiony nóż.

- Widziałeś dziś może Eddiego? - spytał Nate, wyglądając przez okno.

- Nie.

- Nikt go nie widział przez ostatnich kilka dni.

- Pewnie chciał się od nas urwać.

- Nie żałujesz tego?

- Nic się smarkaczowi nie stanie. Widocznie wciąż się na mnie boczy, bo kazałem mu oddać ukradzione pieniądze tej bogatej dziewczynie. Wróci do nas.

Nate wzruszył ramionami i utkwiał wzrok w ścianie.

- O co chodzi? - spytał Blade.

Nate wzdrygnął się i poskrobał po głowie.

- Myślałem, że trzeba by dać sobie dziś spokój.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Coś jest nie tak.

Blade parsknął śmiechem.

- Słuchaj, obrobiliśmy sześć domów w cztery noce. Nie uważasz, że przesadziliśmy?

Może to za wiele?

- Dość tego, Nate. Skoro chcesz trochę odpocząć, niech cię zastąpią Andrews i Mikey.

- Wiem, co potrafię. Chodzi mi o coś innego.

- O co?

- Nie mam pojęcia. - Nate pokiwał głową. - Coś złego wisi w powietrzu.

Blade prychnął i zerwał się na nogi, rzucając niedopałek do kominka.

- Nie uderzyło cię, że O'Dell jakoś dziwnie cicho siedzi? - ciągnął Nate.

- Nic dziwnego. Nie widzi na jedno oko. Prawie mu je wybiłem ostatnim razem. -

Blade starannie załadował broń, naciągnął czarny skórzany płaszcz, klepnął Nate'a po ramieniu i pchnął go ku drzwiom. - Powiedz damom, że czas zaczynać tańce.

- Okropny z ciebie typ - mruknął Nate, stając w progu - ale chłopcy pójdą za tobą nawet do piekła. Ja także. - Łobuzerski uśmieszek znikł z twarzy Blade'a.

-Wiem o tym. Dziękuję ci, Nate.

- Żebyśmy tylko cało wrócili.

- Przecież zawsze tak jest - odparował Blade, gdy Nate szedł po resztę ludzi.

Niedługo potem na tyłach majestatycznego Portman Square pięć postaci w czerni wysiadło po cichu z dorożki i prześlizgnęło się pospiesznie po drabinie przez mur ogrodowy, zeskakując z niego lekko na miękką trawę.

Powoli zbliżyły się ku tylnemu wejściu do obszernej, pustej teraz, zamożnej miejskiej rezydencji. Dwie z nich wysunęły się do przodu, żeby ubezpieczyć dwie następne, które minęły je, gdy podeszły bliżej. Złodzieje dotarli do werandy i bezszelestnie przeskoczyli kamienną balustradę. Mglista, wilgotna pogoda sprzyjała ich poczynaniom - szmer deszczu zacierał wszelkie odgłosy.

Blade i Nate podeszli do drzwi. Nate stał na straży, gdy Blade wyciągnął spod płaszcza narzędzia, nachylił się i wyłamał trzy zamki. W tym samym czasie Sarge i Flaherty podpełzli pod okna wraz z Andrewsem, najbardziej obiecującym z młodszych chłopców.

Wszyscy trzej zajrzeli do środka. Nie widząc nikogo, dali znak Blade'owi.

Serce mu waliło, lecz oddychał równo i spokojnie za niebieską chustką, kryjącą dolną część twarzy. Podniósł się, położył dłoń na drzwiach i ostrożnie nacisnął klamkę. Pozostali czekali, gotowi do wejścia, gdy uchylił drzwi. Nasłuchiwał; wszędzie panowała cisza.

Jak zawsze miał dokładne informacje. Młoda Daphne Taylor, o czym mu doniesiono, bawiła akurat u kuzynów. Rodzice, wicehrabia i wicehrabina Erhard, czuwali nad młodszymi dziećmi chorymi na influencę, a do Londynu mieli wrócić dopiero za dwa tygodnie. Służba zaczęła już wprawdzie przygotowywać domostwo na ich przyjazd, ale dziś wielki budynek był całkiem pusty. Blade skinął na kolegów i wślizgnął się do środka. Byli doświadczonymi złodziejami i mieli zabezpieczony odwrót. Każdy wiedział, o której Jimmy podjedzie z drugiej strony dorożką. Dobrze się też orientowali w rozkładzie domu. Wszystko razem miało im zająć dwadzieścia minut. Nie można było zwlekać. Gdy już przestąpili próg, okradali cały dom. Zawsze w ten sam sposób.

Blade uprzedził ich, że chce odszukać skrytkę na pieniądze. W tym czasie pozostała czwórka ogołacała dokładnie każdy pokój ze wszystkich wartościowych rzeczy. Były to srebrne świeczniki, fantazyjne tabakierki i cenne bibeloty, trzymane na gzymsach kominków.

Blade czekał na towarzyszy w holu. Jego uwagę przyciągnęły meble w pokrowcach, które niczym duchy stały w każdym z mrocznych pomieszczeń.

Cicho tu jak w grobie, pomyślał.

Zjeżyły mu się lekko włosy na karku. Instynkt podpowiadał mu, że gdzieś czai się niebezpieczeństwo. Ale nie mógł się dopatrzeć niczego szczególnego. Obejrzał się za siebie, a

potem omiół spojrzeniem hol. Nagle nie spodobało mu się całe to przedsięwzięcie, choć nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego. Wszystko toczyło się zbyt łatwo.

- No, chodźcie wreszcie, przekłete dranie - mruknął.

Weszli za nim na piętro. Blade poruszał się ciszej niż zwykle, lecz inni, zbyt zadufani w sobie, nie dbali, że stopnie trzeszczą pod ich nogami, kiedy wdrapywali się na drugą, a potem na trzecią kondygnację. Ustawili się w szyku wzdłuż korytarza na kształt litery V, szukając pokojów pana domu. Tam zapewne znajdowała się skrytka.

Znaleźli siedzibę Jego Lordowskiej Mości w zachodnim narożniku. Drzwi ułożonych w amfiladzie pokojów otwierały się na wielką bawialnię. Światło księżyca błysnęło na komodzie Sheratona i oświetliło chińską wazę ustawioną na postumencie koło okna. Sarge i Flaherty natychmiast zaczęli przeszukiwać pomieszczenie, Andrews zaś wszedł do przyległej sypialni. Blade, postępując za nim, zatrzymał się w progu, żeby spojrzeć na ogromne łoże z baldachimem, zasłane złocistą kapą. Iście królewskie pościelenie znajdowało się tak wysoko nad poziomem podłogi, że trzeba się było tam wdrapywać po czterech wypolerowanych drewnianych schodkach. Pokiwał głową ze wstrętem, myśląc o dzieciach z jego sąsiedztwa, które musiały sypiać na nędznych barłogach. Dzisiejszy skok pozwoli wielu z nich pożyć nieco dłużej, pomyślał sobie, gdy Nate oznajmił mu pełnym napięcia szeptem z bawialni:

- Znalazłem ją!

Blade wślizgnął się chyłkiem do bawialni i przykucnął obok. Przed nimi znajdowała się skrytka, kiepsko ukryta wewnątrz biureczka Jego Lordowskiej Mości. Było to nie byle co - prosta, pokaźna, żelazna skrzynka długa prawie na metr. Blade z chytrym uśmieszkiem powiódł dłonią po dziurce od klucza. Cały jego zły nastrój gdzieś się ulotnił. Otworzył zamek wytrychem. Wsunął dłoń do wnętrza i poczuł pod palcami chłodny metal.

Był to łańcuszek. Na końcu zwisało z niego coś okrągłego. Co u licha?

- Nic tam nie ma? - spytał Nate nagle szepem.

- Nie, coś w niej jest... - Palce zacisnęły mu się wokół dziwnego przedmiotu, a potem wymacał jeszcze coś. Coś szorstkiego jak sznur.

Andrews wyjrzał przez okno, szukając wzrokiem Jimmy'ego i dorożki. Sarge i

Flaherty stanęli za Blade'em i Nate'em, zaglądając im przez ramię, żeby ujrzeć zdobycz.

Blade wyciągnął dziwny przedmiot i spojrzał na niego ze zgrozą.

- Co to takiego, u diabła? - spytał Nate.

- W nogi! - wyszeptał nagle Blade. Wszyscy trzej zobaczyli owo coś, co czekało na nich wewnątrz skrytki. Parę kajdanków i pętlę ze sznura. - W nogi! - krzyknął przeraźliwie Blade, zrywając się raptownie i rozglądając wokoło, jakby chciał stanąć twarzą w twarz z wrogiem. Meble w pokrowcach nagle ożyły.

Dwudziestu agentów z Bow Street wyskoczyło spod bezkształtnych powłok i rzuciło się na nich.

Słońce zalewało swym blaskiem góry i okoliczne doliny. W oddali błękitniało podnóże Penninów. Mocny, rzeźwy, ale nie zimny wiatr pędził spiętrzone chmury po lazurowym niebie. Pod jego podmuchami falowały wrzosowiska, a wełniana spódniczka brązowego sportowego kostiumu okręcała się wokół nóg dziewczyny. Jacinda czekała z myśliwskim muszkietem wspartym o ramię, aż jej spaniel wystawi parę kuropatw dziobiących delikatne pędy młodych wrzosów.

Tłuste, pstrokate ptaki wzbiły się w powietrze. Spaniel o jedwabistej sierści natychmiast przywarował do ziemi i czekał na polecenie aportu. Jacinda zmrużyła oko, biorąc ptaki na muszkę. Na szczęście okres lęgowy kuropatw dawno się skończył, mogła więc na nie polować bez szkody dla piskląt.

Po strzale w powietrzu uniosła się chmurka dymu, a dolina odpowiedziała echem.

Większy z ptaków upadł. Jacinda skinęła na gajowego, który wypuścił psa. Doświadczony spaniel pomknął przez krzewy i trawy. Słońce migotało na jego długiej białobrązowej sierści. Niestety, młodszy z psów, żwawy trójbarwny pointer, niewiele jeszcze umiał i w podnieceniu począł zapamiętale szczekać. Rozdrażniło to jego towarzysza, który traktował swoje psie obowiązki tak serio, jak każdy wypróbowany sługa. Spaniel aportował kuropatwę, niosąc ją ostrożnie w pysku gajowemu. McCullough odebrał od niego zdobycz z cmoknięciem i włożył ją do torby myśliwskiej. Potem spojrzął na dziewczynę, mrużąc oczy w słońcu.

- Piękny ptak, milady.

Jacinda z uśmiechem zajrzała do torby i skinieniem głowy podziękowała za komplement. Podała muszkiet chłopcu, którego obowiązkiem było ładowanie broni. Brakowało jej Lizzie, ale i tak szybko przywykła do powolnego rytmu wiejskiego życia.

- Doskonały strzał, milady - odezwał się afektowanym tonem ktoś za nią.

Jacinda osłoniła oczy dłonią i zwróciła się do guwernantki:

- Dziękuję, panno Hood.

Dopiero od niedawna guwernantka zaczęła traktować ją nieco łaskawiej.

Polowanie trwało dalej. Uczestnicy posuwali się szeroką linią pod wiatr po

wrzosowisku. Psy myszkowały po całym terenie, węsząc za zwierzyną w gąszczu

aromatycznego dzikiego tymianku i żółtego srebrnika. Za Jacinda postępowała półkolem

służba w ciemnozielonych liberjach Hawkscliffe'ów. Trzej lokaje nieśli rzeczy przygotowane

na piknik i obszerny parasol, a dwaj stajenni wiedli konie osiodłane po damsku. Zbliżyli się

do granic rodzinnych posiadłości, gdzie niskie ogrodzenie wiło się wzdłuż skalnego grzbietu.

Gajowy dał jej znak. Spaniel wystawił kolejną kuropatwę.

Jacinda wzięła od chłopca naładowany muszkiet i odwiodła kurek, a potem uniosła

broń do ramienia, czekając, aż ptaki wzleczą w powietrze. Spaniel rzucił się do przodu, płosząc

kuropatwę. Wymierzyła do niej, śledząc zygzakowatą linię lotu.

Chybiła. Cudem uratowany ptak fruwał ponad ogrodzeniem. Jacinda z niepokojem

dojrzała, że porywczy pointer puścił się za nim przez pole. Nim ktokolwiek zdążył go

odwołać, pies przeskoczył przez przełaz i zniknął pomiędzy drzewami. Echo jego ujadania

niosło się wokoło.

- Do licha - mruknęła.

- Łapże to psisko, chłopcze - poleciał gajowy. Chłopiec pospiesznie skinął głową i

pobiegł w ślad za zwierzęciem.

- Czy to majątek lorda Griffitha? - spytała panna Hood, unosząc brew.

- Nie, madame - odparł McCullough - ziemie lorda graniczą z posiadłościami Jego

Wysokości od północnego zachodu, a my poszliśmy na południowy wschód. Te drzewa to

część parku wokół Warflete Manor, siedziby hrabiego Drummonda.

- Tego polityka? - spytała zaskoczona guwernantka.

Jacinda przytaknęła.

- Tak, tego samego. Chyba jest już bardzo wiekowy. Nie widziałam go od wczesnego dzieciństwa. - Poglądziła posłusznego spaniela po łbie. - Robert mówi, że to straszny gbur i zrzęda. Rzecz jasna Robert uważa, że wszyscy torysi są tacy. Lord Drummond, zdaje się, jest nadzwyczajnym doradcą Home Office.

McCullough uśmiechnął się szeroko.

- Słyszała pani, że starszy pan urządził w swoim majątku pole golfowe?

- Naprawdę? - spytała z zaciekawieniem. Szkocki sport stał się właśnie ostatnim krzykiem mody.

Nagle z lasu dobiegło donośne psie ujadanie. Jacindzie zaparło dech, gdy usłyszała również czyjś głos. Ktoś krzychał wściekle na psa. Słyszała też inny głos, wysoki i chłopięcy.

Wymienili z McCulloughem przestraszone spojrzenia.

- Zobaczę, co się tam dzieje - oświadczył gajowy, biegnąc ku posiadłości lorda.

- Niech pan na mnie zaczeka!

- Ależ milady! - zawołała zrozpaczona pani Hood.

- Co będzie, jeśli lord pomyśli, że nasz chłopiec to kłusownik?! - odkrzyknęła w odpowiedzi Jacinda i popędziła za gajowym z muszkietem w ręku. Przy ogrodzeniu podkasła spódnicę ponad kostki, przeskoczyła zgrabnie przez drewniany przełaz i puściła się biegiem za McCulloughem.

Na skraju lasu dostrzegła ścieżkę wydeptaną przez sarny pomiędzy dwoma wysokimi krzakami żółto kwitnącego janowca. Wbiegła między drzewa. Szczekanie pointera górowało nad wiatrem szumiącym w listowiu. Graby, jesiony i dęby kołysały się łagodnie, stare i

dostojne. Jazgot przybierał na sile. Rozróżniła głosy kilku psów, słyszała pogrożki jakiegoś mężczyzny, krzyki chłopca i głos McCullougha, próbującego zapanować nad całą sytuacją.

Odegnała dokuczliwego owada i wybiegła na polanę, gdzie pointer wyrwał się właśnie dwóm owczarkom collie i wskoczył prosto do sadzawki z kaczkami. Ptaki zaczęły w panice łopotać skrzydłami oraz kwakać; pies rozbryzgiwał wodę, próbując złapać jedną z nich.

Rozjuszony właściciel owczarków stał nad brzegiem z wędką w ręku. Był to pomarszczony, ogorzały od wiatru mężczyzna w długich butach oraz wiejskim tweedowym ubraniu. Daremnie pomstował na jej psa, który zmaćcił wodę w sadzawce, bez wątpienia płosząc wszystkie ryby.

Pointer wymknął się chłopcu. Skakał teraz radośnie nad brzegiem, usiłując zawrzeć bliższą znajomość z wędkarzem. Zabłocił mu przy tym ubranie, a nawet szkła w drucianej oprawie.

- Precz, ty głupie stworzenie, precz, powiadam! - wymyślał mu starszy pan.

Pies natychmiast posłusznie przysiadł przed nim. Jacinda się skrzywiła. Osobą, której tak bezwzględnie zakłócono spokój, był, rzecz jasna, hrabia we własnej osobie. Nie musiano go jej formalnie przedstawiać, żeby go rozpoznała. Dobitnie świadczył o tym władczy głos, a resztę wątpliwości rozwiał blady, ubrany na czarno lekarz, który skwapliwie podbiegł do starca.

- Milordzie, proszę usiąść! Ten wybuch gniewu nie posłuży pańskiemu sercu.

- Och, przestań pan krakać - burknął lord, lecz mimo to jego dłoń powędrowała ku piersi.

Pointer zaskomlał ze skruczą i chciał podać hrabiemu łapę.

- Proszę zabrać to głupie zwierzę, zanim je zastrzelę! - sierznił się hrabia, spoglądając groźnie na gajowego, który pospiesznie złapał psa. - Pan wtargnął na moje ziemie! Co pan tu

robi? Kłusuje? Pewnie, cóż szkodzi uszczknąć co nieco z cudzej zwierzyny? Pewnie pan myślał, że mnie nie ma w domu?!

- Proszę wybaczyć, milordzie, przechodziliśmy właśnie z jaśnie panią podczas polowania po wrzosowisku, kiedy pies nam się wyrwał. Szczerze przepraszamy za nieszczęs...

- Jaka znowu jaśnie pani? Księżna Hawkscliffe?! - spytał zjadliwie hrabia. - Toż ona za wytworna, żeby strzelać, zakichana parweniuszka!

- Ależ ja lubię polowanie, sir - odezwała się Jacinda, usiłując ukryć uśmiech zakłopotania.

Gburowaty starzec zerknął na nią podejrzliwie, wycierając okulary chustką.

- Po co pani ta strzelba? - spytał nieufnie.

- Na kuropatwy, milordzie. Mam nadzieję, że się pan nie przestraszył. Proszę zabrać psa - rozkazała chłopcu, który wkładał pointerowi obrożę.

- No dobrze. Skoro nie zastrzeli mnie pani za ustawę zbożową niczym jakiś zwariowany radykał, to w porządku - fuknął lord Drummond, a potem nasadził na nos małe, okrągłe szkła. - Dobry Boże! - powiedział nagle. - Wykapana Georgiana!

- Jestem jej córką - odparła sucho, wyciągając do niego rękę. Hrabia odruchowo uścisnął jej dłoń i pochylił się nad nią, a potem znów spojrział na nią ze zdumieniem.

- Mała lady Jacinda?

- Tak, milordzie. Czy coś się stało?

- Aleście wszyscy... - tu machnął chustką - wyrośli...

- Istotnie, sir. Zadebiutowałam w poprzednim sezonie.

- To dlaczego nie siedzi pani w Londynie? - spytał cierpko, wpychając chustkę do kieszeni na piersi. Potem uniósł kanciasty podbródek i zlustrował ją wzrokiem niczym generał

swoje wojsko. - Przecież sezon właśnie się zaczął. Czyż nie powinna pani gonić za mężem jak inne głupie dzierlatki?

Obrażliwa szczerłość wydała się jej z początku odpychająca, ale po chwili uznała, że woli ją od gładkiej hipokryzji dobrego towarzystwa.

-Jeśli mam powiedzieć prawdę, zesłano mnie tu za nieodpowiednie zachowanie - odparła.

Ku jej wielkiemu zaskoczeniu gburowaty starzec zaczął po chwili chichotać.

- No cóż, musiała pani zrobić właśnie coś takiego. W końcu jest pani córką Georgiany!

- Znał pan moją matkę?

- Nie aż tak blisko. - W stalowoszarych oczach pojawił się przewrotny błysk. -Ale miałem zaszczyt się z nią przyjaźnić. Tak. Pani matka miała serce lwicy!

- Czy nie zechciałby pan przyjąć zaproszenia na piknik, milordzie? Moja guwernantka i ja nie mamy zbyt wiele okazji do przebywania w miłym towarzystwie, odkąd opuściliśmy Londyn.

Jacinda z trudem pohamowała radość. Stał przed nią ktoś, kto znał tę niezwykłą, całkowicie obcą osobę, jej matkę!

- Nigdy nie bywam miły, proszę spytać kogokolwiek, ale piękna młoda dama to lepsze towarzystwo niż doktor Cross. A więc zgadzam się. Z przyjemnością. - Przenikliwe szare oczy błysnęły zza okularów, gdy podał jej ramię.

Jacinda uśmiechnęła się do niego promiennie i przyjęła je.

Blade, posiniaczony i milczący, siedział w celi skazańców więzienia Newgate.

Rękami objął głowę, łokcie wsparł na kolanach. Od leżącej na ziemi słomy zionęło stęchlizną.

Słyszał, jak szczury harcują w kącie. Wąskie, zakratowane okno znajdowało się zbyt wysoko,

żeby przez nie wyrzucić. Wpadało przez nie szare, szkliste światło. Ściany były zawilgocone, a gdzieś z daleka dolatywały krzyki brutalnie chłostanego więźnia.

Lada dzień zawisnie na szubienicy. I Nate. I inni.

Wszystko się skończyło. Kompanów zamknięto w zbiorowej celi. Czekali tam, wraz z innymi przestępcami, na wyrok. Blade'a, jako prowodyra, umieszczono osobno. Zapewne miało go to złamać. Ostatnim razem siedział w Newgate, gdy miał piętnaście lat. Ukradł wtedy jedwabną chustkę starszemu mężczyźnie. Udawał skrucę, więc sędzia ulitował się nad nim i skazał go tylko na trzydzieści dni aresztu, jako początkującego. Kiedy po miesiącu wyszedł na wolność, spożytkował w praktyce wiele nowych umiejętności. Pobyt w zbiorowej celi wiele go nauczył.

Teraz jednak policja żądała szczegółowych informacji o londyńskim świecie przestępczym. Dostał nawet ofertę zamiany wyroku śmierci na ciężkie roboty w Nowej Południowej Walii. W zamian miał podać im nazwiska kilku poszukiwanych przestępców i zdradzić miejsce ich pobytu. Odmówił zawarcia takiej transakcji, proponując pełną współpracę za uwolnienie przyjaciół. Policjant prowadzący śledztwo zaśmiał mu się w nos i kazał go wychłostać.

Nawet nie chciał myśleć, co się teraz dzieje w siedzibie Ognistych Sokołów na Bainbridge Street. Nie wątpił, że O'Dell przejął nad nią kontrolę. Miał jedynie nadzieję, że Carlotta zdołała zabrać stamtąd inne kobiety w bezpieczne miejsce.

Wsparł głowę o ścianę i z westchnieniem spojrzał na pajęczyny w kącie. Dostali go.

Mieli go w swoich rękach.

Nagle w mrocznym kamiennym korytarzu rozległ się metaliczny szczęk. Blade spojrzał w tamtą stronę. Boże, a cóż to takiego? Ześlizgnął się z ławy, na której siedział, i przeszedł przez celę. Czyżby znaleziono dla niego jakiegoś obrońcę z donkiszotowskim

zacięciem?

- Dziesięć minut - burknął strażnik do gościa. W mroku rozległ się cienki głosik:

- Blade! Blade!

Lekkie kroki odbijały się echem, gdy drobna figurka schodziła po wysokich, kamiennych stopniach. -Eddie?

- Blade! - Chłopiec zeskoczył z ostatniego stopnia i rzucił się ku niemu. Nagle stanął bez ruchu. Blada buzia zasępiła się na widok przywódcy za kratami.

- Co ty tu, do licha, robisz? - spytał cierpko Billy. Nie chciał wyglądać na przegranego. - To nie miejsce dla ciebie. Jak ich zdołałeś ubłagać, żeby cię wpuścili?

- Powiedziałem, że jesteś moim ojcem. Ja... ja chciałbym, żeby naprawdę tak było.

Blade odpowiedział grymasem na te słowa. Chłopiec zajrzał pomiędzy pręty.

- Chyba cię nie powieszają? Ani Nate'a, ani Sarge'a i innych? Blade przylgnął do kraty z westchnieniem.

- Och, Eddie. - Pokiwał głową. - Przyjdzie mi zawisnąć.

- Przecież nie mogą zrobić czegoś takiego! - Twarz chłopca się ściągnęła. - Nigdy by cię sami nie schwytali! To się nie powinno zdarzyć!

Blade zmarszczył brwi.

- O czym ty mówisz, Eddie?

Chłopiec nie odpowiedział, tylko wciąż na niego patrzył.

- Eddie... czy ty miałeś z tym coś wspólnego?

Oczy malca napełniły się łzami. Eddie osunął się w dół po kracie. Blade przykucnął i spoglądał na niego posępnie poprzez pręty.

- O'Dell zmusił mnie, żebym cię szpiegował. Powiedział, że jeśli tego nie zrobię, to obedrze mnie ze skóry. Och, Blade, przecież nie mogą cię powiesić! To moja wina!

- Nie, nie twoja - oznajmił Blade stanowczym tonem, ale było to wszystko, co mógł zrobić. Starał się ukryć gniew. - Szczeniak z ciebie jeszcze, Eddie. Wiem, jaki jest O'Dell. Groził ci. Nie miałeś wyboru. To nie twoja wina, mały.

Chłopiec spróbował uściskać Blade'a poprzez kratę. Blade starał się pocieszyć zrozpaczonego urwisa, ale w głowie kłębiło mu się tysiąc myśli.

- No, chłopcze - mruknął, mierzwiąc mu włosy, nim się podniósł - przestań się mazać. Stary Blade ma jeszcze jednego asa w rękawie.

Lucien Knight uważał się za jego dłużnika.

Wysłał Eddiego po jedyną osobę, która mogła pośredniczyć między nim a sądem.

Czekając, krążył bez przerwy po celi. Ale gdy lord Lucien dowiedział się, że Blade'a wraz z kompanami schwytano na gorącym uczynku, miał niewesołą minę.

- Zrobię, co będę mógł, żeby ci pomóc, Rackford, ale moje wpływy nie sięgają tak daleko.

- Zna pan kogoś, kto ma większe? - spytał niecierpliwie. Lucien wahał się przez chwilę, nim odpowiedział.

- Ja nie, ale ty owszem.

- Niech to szlag - mruknął i odwrócił się, zupełnie jakby Lucien uderzył go w twarz.

Przejechał dłonią po włosach. Spojrzał na wilgotną i zimną ścianę, a potem w sufit, z rękami założonymi na piersiach.

Skręcały mu się wnętrzności na samą myśl o tym, że miałby stanąć twarzą w twarz ze swoim dawnym oprawcą, ale czuł, że musi to zrobić. Chodziło o życie Nate'a i reszty chłopców. Był za nich odpowiedzialny. Boże w niebiesiech, wolałby dyndać na sznurze niż ukorzyć się przed znieawidzonym ojcem, zebrząc o pomoc!

To upokorzenie wydawało się wprost nie do zniesienia, ale wiedział, że nie ma innego

wyjścia. Nie był zresztą pewien, czy mu się powiedzie. Może ojciec wolałby widzieć go gnijącego w więzieniu.

- No więc? - spytał Lucien, wpatrując się w niego z uwagą.

W milczeniu skinął głową. Nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

Lucien uderzył palcami w rondo cylindra, który trzymał w ręku.

- To mądry wybór. Wkrótce wrócę. Tylko się stąd nie oddalaj!

Blade przyjął wymuszony żart Luciena bez rozbawienia. Knight wspinał się

swobodnie na kamienne schody. Szedł po jedyne go człowieka, którego Billy nie chciał

widzieć. Po jedyne go człowieka, którego nienawidził jeszcze bardziej niż O'Della. Po markiza

Truro i St. Austell. Jego ojca.

W umyśle Jacindy wszystko zamieniło się w jeden wielki wir. Siedziała na kocu pod

parasolem wraz z guwernantką i lordem Drummondem, Stary polityk opowiadał o

blazeńskich wyczynach jej matki na balu maskowym. Była zdumiona, kiedy opisał przybranie

głowy, w którym się wtedy pojawiła - wysoką, białą perukę ozdobioną mnóstwem maleńkich

klatek. W każdej z nich siedział żywy ptaszek, Jacinda zaśmiewała się, słuchając go z

niedowierzaniem. Nawet panna Hood chichotała, gdy opowiadał, jak wraz z wybiciem

północy księżna otworzyła wszystkie klatki.

- Były tam kanarki, papużki, trznadłe, kardynały. Wszyscy schylili głowy, kiedy całe

stadko zaczęło fruwać po sali balowej, szukając ucieczki. Jeśli dobrze pamiętam, para

kardynałów wpadła do wazy z ponczem. Lady Ilcester, nasza gospodyni, chętnie by je

wszystkie zadusiła. Tym bardziej że jedno z tych stworzeń narobiło jej na ramię. Cóż za

rozgardiasz wtedy zapanował! - zawołał, trzęsąc się ze śmiechu. - Lady Ilcester dostała ataku

nerwowego i zaczęła się awanturować. A Georgiana zwróciła się do niej chłodnym tonem:

„Ależ droga Amelio, czy nie wiesz, że to oznacza szczęście?”

Nawet lokaje nie zdołali powstrzymać uśmiechu.

- Och, drogi lordzie, niech pan opowie coś jeszcze! - prosiła Jacinda, wycierając załzawione oczy.

I lord Drummond uczynił, jak pragnęła.

Jacinda doszła w końcu do wniosku, że bardzo lubi sąsiada. Wydawał się wprawdzie dość bezwzględny i na pewno lepiej było nie wchodzić mu w drogę, ale też ona wcale nie miała zamiaru tego robić. Poza tym na co dzień obcowała z władczymi mężczyznami, czuła się więc z nim równie swobodnie, jak z braćmi. Miał cięty język i był uparty.

Panna Hood spytała, czy lady Drummond również osiadła na wsi, i dowiedziała się, że żona lorda zmarła blisko dziesięć lat temu. Ta zaskakująca wiadomość obudziła w Jacindzie pewną myśl. Podczas rozmowy mogła się przyjrzeć sąsiadowi. Z pewnością był za młodu przystojnym, postawnym mężczyzną. Teraz jednak dobiegał siedemdziesiątki i mimo że wciąż wyglądał krzepko, lekarze kazali mu przenieść się na wieś, bo serce miał w nie najlepszym stanie.

- O, idzie już mój dręczyciel - burknął zgryźliwie na widok doktora Crossa. - Owszem, stara się, nie przeczę, ale prędzej mnie chyba uśmierci, niż wyleczy! Pewnie mi powie, i to przy młodej damie, że czas na moją drzemkę. W dodatku będzie miał rację!

- Sen wszystkim dobrze robi na urodę - zażartowała Jacinda. Lord Drummond wstał i się uśmiechnął.

- Miło, że zaprosiła mnie pani na piknik.

- To mnie było miło. Mam też zamiar zaprosić w najbliższą środę część okolicznych ziemian na obiad w Hawkscliffe Hall. Będą na nim nasz pastor i pani Picket. Mam nadzieję, że pan również przyjdzie.

- Z przyjemnością.

- Proszę się w takim razie uważać za zaproszonego. Czy odpowiada panu siódma?

- Eleganckie zwyczaje, całkiem jak w Londynie! Na pewno przyjdę.

Rozbawiła ją nutka złośliwości w jego głosie.

- Wspaniale! Mógłby pan też skorzystać z naszej sadzawki lub stawu, łowiąc ryby.

Brat pilnuje ich zarybiania. Przynajmniej w ten sposób mogłabym panu wynagrodzić wybryk mego głupiego psa.

- Wygląda pani na kobietę, która lubi sport. A może by tak partyjkę golfa? Urządziłem u siebie pole golfowe.

- Mówił mi o tym nasz gajowy.

- To szlachetny sport. Gdyby pani i miss Hood zechciały jutro zamienić ze mną słówko, mógłbym panią nauczyć reguł.

- Z pewnością go polubię - zapewniła, podając mu rękę na pożegnanie.

- Jest lepszym lekarstwem niż ten okropny wywar z naparstnicy! - Lord znów nachylił się nad dłonią Jacindy, skinął głową pannie Hood, a potem z ociąganiem ruszył w stronę lekarza. - Idę już, idę - mruknął i, krzywiąc się, wypił filiżankę płynu o dziwnym kolorze, podaną mu przez medyka.

Gdy obydwaj odeszli ku Warflete Manor, dziewczyna wymieniła z panną Hood rozbawione spojrzenia.

- Okropny zrzęda. Jego Wysokość miał zupełną rację - powiedziała półgłosem guwernantka.

- Uważam, że to czarujący człowiek - orzekła Jacinda, a na widok kwaśnej miny wychowawczyni dodała z niewinnym uśmieszkiem: - Oczywiście, jak na zrzędę!

Dwie godziny później Blade uniósł głowę, słysząc kroki i głosy. Podszedł nieufnie do zardzewiałej kraty i spojrzał przez pręty. Okute żelazem drzwi nad schodami uchyliły się i

mały, szkaradny jak gnom strażnik oświetlił pochodnią wnętrze.

- Tędy, milordzie, proszę uważać przy schodzeniu.

Lucien wszedł do środka wraz ze strażnikiem, a potem zatrzymał się, zapraszając kogoś uprzejmym gestem. Blade kurczowo przywarł do krat.

Wysoki, wychudły mężczyzna w cylindrze i wytwornym czarnym palcie, z laską w ręce, schylił głowę, żeby nie uderzyć o niskie nadproże. Idąc powoli w dół, markiz powiódł aroganckim spojrzeniem po celi. Kiedy zdjął cylinder, Blade wstrzymał oddech. Stary gniew nadal dawał znać o sobie.

Truro odprawił strażnika, a potem podszedł bliżej. Był wyniosły.

- Lordzie Lucien, zechce pan pozostawić nas samych?

Lucien zerknął pytająco na Blade'a. Ten skinął głową. Były agent rzucił mu jeszcze ostrzegawcze spojrzenie. Należało pohamować złość. Truro zlustrował syna od stóp do głów, jakby chodziło o rasowego konia na aukcji.

- Poczekam w korytarzu - mruknął Lucien.

Po jego wyjściu zapadło długie, pełne napięcia milczenie.

- No, no - wycedził Truro po chwili, podchodząc ku kracie. - Cóż my tu widzimy?

Blade jeszcze mocniej zacisnął dłonie na prętach, ale milczał.

Markiz nadal był wysokim mężczyzną o szerokich barkach, ale wychudł i zmizerniał.

Pewnie nie może już jeść, tylko nadal pije, pomyślał Blade z goryczą. Orli profil był ostrzejszy, niż pamiętał, a niegdyś rudawe, rozwichrzone włosy i kozia bródka prawie całkiem posiwiały.

Czerwona wełniana kamizelka, widoczna spod rozpiętego palta, miała ten sam kolor co wykwyty na twarzy starca. Spojrzenie przekrwionych zielonych oczu pozostało równie srogie, jak wtedy, gdy przyprawiało go o dreszcze, kiedy był dzieckiem.

Blade wytrzymał je. W głębi zamglonych tęczywek dojrzał nawet iskierkę bólu.

Ojcowskie wargi wykrzywiły się jednak w szyderczym, zblazowanym uśmiechu, który ugodził go prosto w serce.

Odwrócił wzrok. Głucha cisza stała się wręcz nieznośna. Markiz na moment spuścił głowę, w zamyśleniu zaciskając palce na gałce laski w kształcie lwiego łba. Taką samą bił kiedyś syna każdego wieczoru, osuszywszy wcześniej przynajmniej trzy butelki brandy.

Kiedy ponownie uniósł wzrok, spojrzał prosto na małą, gwiazdzistą bliznę widoczną na czole Blade'a.

Nawet jeśli do tej pory nie wierzył w tożsamość więźnia, teraz miał na to dowód. Tę ranę sam zadał synowi. A może to raczej wstyd niż wyniosłość kazał mu spuścić oczy?

Kiwnął nieznacznie głową.

- A więc żyjesz.

- Jak na razie.

- Lord Lucien mówi, że cię powieszą.

- Zgadza się.

Ojciec z pewnym zaskoczeniem mierzył wzrokiem muskularnego mężczyznę, którym stał się syn. W jego oczach nie było jednak dumy, raczej świadomość, że gdyby teraz ośmielił się go uderzyć, ten nie pozostałby mu dłużny.

- Nie ciesz się zbyt wcześnie, ojcze - mruknął Blade, nadal patrząc prosto na niego.

Markiz wolał się przyglądać rzeźbionej gałce laski.

- Twój brat nie żyje. Gruźlica.

- Wiem.

Zaskoczony Truro zmarszczył gniewnie czoło. A zatem młodszy syn wiedział, że odziedziczy tytuły i cały majątek, ale nie miał zamiaru zgłaszać pretensji do spadku?

Zdumiewające! Zacisnął szczęki.

- I co teraz? - spytał cierpko. - Mam dla ciebie zabić tłustego cielca?

Blade pohamował ostrą odpowiedź. Spojrzał w bok, wspierając się ramieniem o kratę, i wsadził kciuki do kieszeni spodni.

- I tobie, i mnie na tym nie zależy. Zresztą wcale nie chciałem do ciebie wracać. To był jedyny sposób, żeby ci zadać ból.

- Pozwalając, żeby nasz ród wygasł?

- Właśnie.

- Ale teraz... masz chyba kłopoty, co?

Wyniosły i szyderczy ton ojca ranił go boleśnie. Blade prosił Boga, żeby pozwolił mu to znieść. Ten nikczemnik triumfował!

- Nie dbam o twoje bogactwa i tytuł. Chodzi mi tylko o przyjaciół. To jedyny powód, dla którego cię tu wezwałem. Byli dla mnie lepszą rodziną niż ty.

- Czego ty właściwie chcesz, Williamie?

Blade siłą woli powściągnął wybuch gniewu. Nabrał gwałtownie tchu.

- Użyj swoich wpływów, jeśli trzeba, przekup kogoś, żeby ich puścili wolno... W zamian wrócę do domu i podporządkuję się twojej woli.

- W twojej sytuacji nie stawia się żądań - odparł obojętnie markiz.

- Więc powiedz, że tego nie zrobisz i idź precz. Nie boję się śmierci.

Lord Truro zaśmiał się, a potem zaczął chodzić tam i z powrotem przed kratą. Blade obserwował go czujnie, bez słowa.

- Do diabła, obiecujesz, że będziesz mi posłuszny, jeśli cię stąd wyciągnę? - Markiz obrócił się i stanął twarzą do niego. Dopiero teraz Blade dostrzegł lekkie drżenie jego głosu i rąk, oznakę silnych emocji. - Zerwiesz z tymi prostytutkami. Skończysz raz na zawsze z

podobnym życiem. Zrozumiano?

- Tak.

- A poza tym ożenisz się. I to szybko! Z odpowiednią dziewczyną. Z dobrej rodziny.

Nie pozwolę ci się od tego wykręcić. Nasz ród zbyt długo stał na krawędzi zagłady.

Weźmiesz sobie żonę i spłodzisz dziedzica. Nie wiem jeszcze, jak cię wprowadzę w

towarzystwo. Będę musiał wymyślić jakieś łgarstwo, żeby nie pytano, gdzie się przez cały ten

czas obracałeś. No i spójrz tylko na siebie. Wyglądasz niczym dzikus!

Blade uśmiechnął się cynicznie. Spojrzeli sobie prosto w oczy.

- A niechże cię - wymamrotał po chwili ojciec. - Gdyby tylko Percy żył, na pewno

zostawiłbym cię, żebyś zgnił w kryminale.

- Nie wątpię.

- Czy zdajesz sobie sprawę, co przeżywała twoja matka?

Blade leniwie zerknął na niego zza kraty.

- Zobaczę, co da się zrobić. - Markiz, rozdrażniony, wspiął się po schodach na naradę

z Lucienem.

Blade przymknął oczy. Ulżyło mu po wyjściu ojca. Nagle zaczęła go drażnić pewna

myśl. Jeśli dzięki markizowi istotnie wyjdzie z więzienia, jeśli zostanie jego dziedzicem, to

znajdzie się wśród znajomych Jacindy Knight. A w dodatku będzie pierwszą partią,

kandydatem na męża, którego mogłaby jej pozazdrościć najbardziej nawet zarozumiała

debiutantka. Zdobędzie ją, nie potrzebując się wcale przed nią korzyć. Oczywiście, jeśli lord

Lucien nie będzie protestował.

Krążył po celi i z irytacją pocierał kark, czekając niecierpliwie na powrót ojca. Kiedy

masywne drzwi otworzyły się wreszcie ze zgrzytem, rzucił się ku kracie i zobaczył, że razem

z markizem i Lucienem do celi wchodzi sędzia Anthony Weldon.

Sir Anthony, niegdyś bystry prawnik, był niskim, agresywnym człowieczkiem o przenikliwym spojrzeniu i rudawych bokobrodach. Założył ręce za plecy i zmierzył Blade'a wzrokiem.

- Ach, oto i sławny Billy Blade, postrach West Endu, heros dzielnicy nędzy. Wreszcie się spotykamy.

Blade spojrział na niego wrogo, lecz ojciec puścił słowa sędziego mimo uszu.

- Sir Anthony, przedstawiam panu mego syna, Williama Albrighta, hrabiego Rackford - wyjaśnił, używając tytułu przysługującego niegdyś Percy'emu. Teraz należał do niego.
- Hm - mruknął sędzia z niejaką rezerwą.

- Wyjaśniłem sytuację sir Anthony'emu, lordzie Rackford - wtrącił się Lucien. -

Powiedziałem mu, że udzielił pan mnie i mojej rodzinie pomocy w sprawach decydującej wagi...

- Mimo to - przerwał mu Weldon - nie mogę ot tak po prostu wypuścić z więzienia pańskich wspólników.

- W takim razie nie mamy o czym mówić.

- Proszę mi pozwolić skończyć. Musi pan przystać na bezwarunkową współpracę w trzech kwestiach, nim zgodzę się oddać pana w ręce jego lordowskiej mości.

Lucien posłał mu zachęcające spojrzenie. Blade skinął głową.

- Niech pan mówi.

- Po pierwsze, jeśli rzeczywiście chce pan powrócić do tożsamości hrabiego Rackford, Billy Blade musi ponieść śmierć. Tu zgadzamy się z markizem Truro w zupełności.

- To znaczy, że...

- Zerwie pan wszelkie kontakty ze swymi kompanami. Pomożemy panu, rozgłaszając, że Blade'a powieszono bez świadków, by uniknąć wzburzenia motłochu. Po drugie, okażę

wyrozumiałość pańskim towarzyszom, ale zostaną zesłani na ciężkie roboty do Nowej Południowej Walii. W żadnym wypadku nie puszczę ich wolno.

- Ciężkie roboty?! - krzyknął. On ma żyć w pałacu, wśród sług, w wytwornych strojach, a jego przyjaciele będą harować w Australii?

- Możesz się zgodzić albo nie, młodzieńcze. Złapano was na gorącym uczynku. Albo będą pracować, albo wisieć. Jestem rozsądnym człowiekiem, ale kupić się nie dam. Blade się pohamował.

- No tak. A trzeci punkt?

- Informacje - odparł sędzia i podszedł bliżej, przewiercając go wzrokiem. - Musimy mieć z pana pożytek. Nazwiska, miejsca pobytu, szczegóły dotyczące rozmaitych tropionych przez nas przestępców i band, które od dawna pragniemy rozbić.

Niebezpieczne żądania. Gdyby któryś z byłych kompanów dowiedział się, że Blade żyje i wygadał wszystko policji, jego dni byłyby policzone. Ojciec musiałby sobie poszukać nowego dziedzica.

- Dzięki pańskiej wiedzy Bow Street mogłaby niebawem oczyścić Londyn z mętów.

Blade nerwowo zwilżył wargi językiem. Miał przejść na stronę wroga? Przypomniawsobie obdarte dzieci, taplające się w rynsztoku. Od dawna nękała go świadomość, że za moralny rozkład w- dzielnicynędzy należałoby winić zarówno tamtejsze warunki, jak i okrutne prawa uchwalane przez parlament. Ale może Bow Street zdołałaby zaprowadzić tam porządek? Pokonać bezprawie, w którym prosperowały takie potwory jak O'Dell? Skinął sztywno głową.

- Dobrze, zrobię to.

W oczach Luciena błysnęło uznanie. Markiz również milcząco przytaknął.

- Proszę pamiętać, że będziemy pana pilnować - ostrzegł go sędzia.

- Czy coś jeszcze? - spytał wyzywająco.

- Tylko tyle, że wygląda pan jak dzikus, lordzie Rackford -odparł sucho Weldon. -

Chyba lepiej byłoby się ostrzec.

Rackford. William Spencer Albright, hrabia Rackford.

Will Rackford.

Trzy tygodnie później Rackford przyglądał się sobie w lustrze. Właśnie wsunął pokryte masą perłową spinki w mankiety. Teraz zastanawiał się nad swoim nowym nazwiskiem. Niestety, Billy Blade przestał istnieć, powieszony bez świadków na dziedzińcu Newgate. Zginął młodo i nikt go nie opłakiwał, czemu też nikt się nie dziwił.

Ledwie się poznał w lustrze. Ubrany był w czarny strój wieczorowy, miał krótko ostrzyżone włosy. Twarz, której nie zasłaniały już płowe pasma, wydawała się ciemniejsza. Był gładko ogolony, miał wypielęgnowane ręce, mimo że skóra gdzieś była jeszcze stwardniała. Zdołał jakoś ścierpieć manikiur, ale stracił cierpliwość, kiedy służący usiłował nadać jego cerze arystokratyczną bladość za pomocą różnych toników. Sztywny halsztuk uwierał go niczym obroża. Obrzucił spojrzeniem swój strój: koszulę z cienkiego lnu, gładkie ciemne spodnie podtrzymywane przez szelki, które na plecach układały się w kształt litery Y, wypolerowane czarne buty.

Wewnątrz tkwił jednak ten sam człowiek. Jeśli na pozór wyglądał na cywilizowanego mężczyznę, to w głębi duszy wcale się tak nie czuł. Otaczali go ludzie, którym nie ufał. Żył w świecie, którego reguł nie pamiętał.

Wszyscy wierni kompani popłynęli do Australii na ciężkie roboty. Nie miał pojęcia, co się teraz dzieje w dzielnicy ruder. Wkrótce się tego dowie. O'Dell bez wątpienia myśli, że wygrał, ale daleko mu do tego.

Obejrzał się szybko, gdy coś za nim lekko się poruszyło. To tylko lokaj Filbert, cherlawy, niski, łysawy człowieczek stanął z szacunkiem w pewnej odległości. Trzymał kamizelkę z białego jedwabiu. W lustrze odbijał się bogato urządzony apartament, w którym

Rackford teraz mieszkał, w ojcowskiej rezydencji na Lincoln's Inn Fields.

Ściany obite były francuskim adamaszkiem i pełne luster w złożonych ramach, na suficie widniał malowany plafon. We dwóch symetrycznie rozmieszczonych oknach wisiały kotary z ciężkiego, szafirowego aksamitu, zakończone złotymi frędzlami. Piękne wnętrze, ale mimo wszystko klatka.

- Jeszcze to, milordzie - upomniał go Filbert.

Rackford wciągnął na siebie elegancką kamizelkę i pozwolił lokajowi zapiąć guziki.

W końcu się przyzwyczaił, że nie musi nawet kiwnąć palcem, jeśli nie było to absolutnie niezbędne. Powstrzymał się od komentarzy, podejrzewając, że Filbert jest ojcowskim szpiegiem. Nie dowierzał teraz nikomu, nawet matce, która szlochała, ilekroć spojrzała na niego.

Spędził dwa z ostatnich trzech tygodni wraz ze swymi irytującymi rodzicami w Surrey, gdzie ojciec miał majątek. Tam uszyto mu nowe ubrania i przeszedł kurs dobrych manier. Niemal codziennie przesłuchiwali go Weldon i dwóch agentów z Bow Street. Pouczono go również, jakimi cechami powinna się szczycić jego przyszła żona, zupełnie jakby chodziło o kupno mlecznej krowy na targu.

Mimo wszystkich niedogodności i pewnych niebezpieczeństw, na które musiał zważać, cieszył się, że mógł znaleźć się ponownie w Londynie! Nienawidził wsi i jej przeklętego spokoju. Pierwsze kontakty z socjetą przebiegły gładko, choć przeżył kilka niełatwych chwil, gdy oficjalnie przedstawiono go Acerowi Loringowi. Na szczęście dandys nie rozpoznał w nim rozczochranego oberwańca, z którego drwił sobie w Hyde Parku.

Jeśli pominąć owo niemiłe spotkanie, to zaciekawienie, jakie wzbudzał wśród towarzystwa, szczerze go bawiło. Przynajmniej -jak myślał, ubierany przez lokaja w czarny frak - był teraz równy Jacindzie Knight. I wreszcie mógł ją usidlić.

Kiedy zjawił się w Londynie, bawiła na prowincji. Doszły go jednak słuchy, że przyjdzie tego wieczoru na bal w Devonshire. Nie mógł się doczekać ich spotkania. Uśmiechnął się z zadowoleniem i naciągał nieskazitelnie białe rękawiczki. Ach, dzisiejszego wieczoru nieźle się zabawi. Będzie ją kusił, nękał, irytował. Zawróci jej w ślicznej główce. Nie tylko był jej winien nauczki za arogancję, okazaną w Hyde Parku. W gruncie rzeczy z jej winy stracił wolność. To ona go rozgniewała swoją wzdargą, ona sprowokowała do coraz liczniejszych przestępstw, z jej powodu znalazł się w więzieniu. A teraz ponownie był we władzy ojca. Wszystko przez tę zwariowaną dzierlatkę! Gdyby nie stracił dla niej głowy, posłuchałby Nate'a. Nie poszliby na ten ostatni fatalny rabunek. Ba, nawet ofiara wiązała się z Jacindą! Wybrał Taylorów, bo zwierzyła mu się, że ich najstarsza córka jest jej nieprzyjaciółką.

Pragnął jej i miał zamiar ją zdobyć. Przyświecał mu też trzeźwy cel, niezależnie od pragnień, jakie w nim wzbudzała. Musiał nią zawładnąć, żeby nikomu nie powiedziała, kim był w przeszłości. Po ślubie i ona będzie miała interes w zachowaniu milczenia. Potrzebował również jej doświadczenia, żeby utorować sobie drogę w towarzystwie. Nie czuł się w nim najlepiej. Potrzebował zręcznego, zaufanego przewodnika w tym dziwacznym świecie.

Oczywiście Jacinda będzie się opierać. Bez wątpienia jest zła, że zwrócił ją rodzinie.

Znał jednak jej słaby punkt. Może uważać, że jest gburem i brutalem, ale go pragnie.

Wiedział o tym już tamtej nocy, kiedy dał jej poznać, czym jest rozkosz. Bez skrupułów posłuży się przeciw niej tą bronią.

- Czy dobrze wyglądam, Filbercie? - Wygładził palto i obejrzał się krytycznie w lustrze.

- Bardzo elegancko, sir.

Spojrzał na służącego nieco podejrzliwie i ruszył do drzwi. Po drodze wyjął goździk z

bukietu. Matka codziennie kazała stawiać je niemal we wszystkich pokojach. Oberwał długą łodyżkę i wpiął kwiat w butonierkę.

Coś niesłychanego! Flirtowała z nim w najlepsze, ale wszystkie jej wysiłki pozostały niezauważone.

Gdyby lord Drummond był zwykłym adoratorem, już by ją błagał o rękę, pomyślała z irytacją. Nie mogła zrozumieć, dlaczego tak przebiegły i doświadczony polityk ignoruje jej względy i komplementy. No i traktuje ją jak dziecko. Jak wnuczkę!

- Niech pani lepiej popatrzy na sztuczne ognie - mruknął, kiedy chciała poprosić go do tańca. - Jajestem na to za stary.

Dąsała się, obrażała, a potem próbowała go czarować, przybierając wdzięczne pozy.

Przechylała się przez balustradę, żeby zerwać i powąchać gałązkę kwitnącej wiśni. Kątem oka widziała, że gawędził ze starymi damami i kilkoma cudzoziemskimi dygnitarzami. Weranda, gdzie siedzieli, wychodziła na bujne ogrody Devonshire House. Nie zwracał na nią uwagi.

Zacisnęła zęby, skrzyżowała ręce i gapiła się na te przeklęte fajerwerki.

Wpół do dziewiątej pałac i Tower zatrzęsły się od potężnej salwy. Odgłos kościelnych dzwonów stłumił dźwięki uroczego Haydnowskiego menueta, granego przez orkiestrę w sali balowej. Cała Anglia radowała się tego dnia zaślubinami ślicznej, okrągłutkiej i uwielbianej przez wszystkich księżniczki Charlotty z księciem Leopoldem von Saxe-Coburg. Było to, jak powszechnie uważano, małżeństwo z miłości.

Westchnęła lekko na samą myśl o czymś podobnym. Ona miała swój plan.

Postanowiła zdobyć wolność.

Przez kilka ostatnich tygodni, spędzonych na północy, a potem w Londynie, między gburowatym, leciwym mężem stanu a olśniewającą debutantką nawiązała się nieoczekiwana przyjaźń. Lekarz lorda, doktor Cross, zdradził jej w zaufaniu, że jest jedyną osobą, której

udało się przez ostatnie dwadzieścia lat skłonić hrabiego Drummonda do śmiechu. Zdoła więc urzeczywistnić swój zamiar, jeżeli lord zrozumie, że należy brać okazywane mu względy serio.

A tymczasem, w całym tym radosnym zgiełku, czuła się samotna. Przeniosła wzrok z fajerwerków na księżyc. Znowu był w pełni. Z trudem mogła uwierzyć, że już cały miesiąc upłynął od jej przygody w dzielnicy ruder. Patrzyła w zadumie na ogrody Devonshire House, dopóki nie zapadł zmrok. Ze wszystkich znanych jej londyńskich pałaców ten miał najpiękniejszy widok. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, rozpościerał się przed nią wspaniały park, pełen strzyżonych drzew. Ogrody Devonshire graniczyły z parkiem Lansdowne House, a za nimi widniały drzewa w centrum Berkeley Square.

W ciemności jeszcze mocniej pachniały bzy, drzewka wiśniowe i jaśminy. Precyzyjnie wytyczone ścieżki obsadzono konwaliami i krzewami różanymi, które właśnie pączkowały. Stała przy balustradzie, a wieczorny wietrzyk poruszał lekko jej balową suknię z wysokim stanem w delikatnym kolorze kwiatów migdału. Usłyszała śmiechy i tupot. To kilka bliskich przyjaciółek Daphne Taylor podeszło do otwartego francuskiego okna. Dziewczęta zbliżyły się do niej, potrząsając angielkami i się wachlując.

- Ach, tutaj jesteś, Jacindo! Chodź z nami! - zawołała Helena i podbiegła ku niej, szeleszcząc strojem z różowej tafty. Za nią ruszyła Amelia, cała w falbanach z żółtego indyjskiego muślinu.

- Tu się ukryła!

- Owszem. O co chodzi?

Odkąd rozeszły się wieści, że nie wyjdzie za Griffitha, nastąpiło coś dziwnego.

Daphne nagle zapragnęła uchodzić za jej przyjaciółkę od serca!

Jacinda nie była głupia. Nie zmyliła jej ta udawana czułość. Oznaczała tylko tyle, że

Daphne bardzo chciała wydać się za lana. Jacinda nie miała zamiaru bawić się w swatkę. Nie byłoby to uczciwe wobec przyjaciela rodziny.

- Łamałyśmy sobie głowy, gdzie się podziałas! - Wysoka, smukła, rudowłosa Daphne miała na sobie bladozielony strój z cienkiego jak pajęczyna atlasu. Krótkie, bufiaste rękawki i rąbek sukni zdobił haft w różowe róże. - Chyba nie poczułaś się słabo, moja droga? - spytała troskliwie.

- Nie, po prostu chciałam zaczerpnąć świeżego powietrza - odparła grzecznie.

- Chodź z nami! Dlaczego uciekasz z przyjęcia? Zgadnij, kto się pojawił! - Daphne uśmiechnęła się dyskretnie. - Lord Griffith! Właśnie przyszedł z twoją bratową, lady Lucien. Chyba powinniśmy się z nim przywitać? - Z chichotem pociągnęła ją za rękę, nie czekając na odpowiedź.

- Dokąd pani idzie, moja droga? - spytał z rozbawieniem lord Drummond.

- Sama nie wiem.

- Wkrótce ją panu zwrócimy, milordzie - zapewniła go Helena.

Jacinda postawiła kieliszek z winem na balustradzie i pozwoliła się uprowadzić nowym „przyjaciółkom”. Daphne torowała jej drogę w tłumie. Helena i Amelia postępowały o krok za nimi. Po kojącym mroku ogrodu oślepiło ją jaskrawe światło kandelabrow zwisających spomiędzy sztukaterii sufitu. W każdym paliły się dwa tuziny białych świec. Blask ich zwielokrotniały wielkie lustra w złożonych ramach.

Na balu panował ogromny tłok, bo gościnność księcia Devonshire zawsze była ogromna. Dziewczęta musiały zatoczyć wielki krąg, by dotrzeć do lorda Griffitha, który właśnie gawędził z Alice, Robertem i Bel. Przechodząc przez salon, gdzie rozstawiono stoliki z napojami orzeźwiającymi i do wista, spostrzegły Aleca. Siedział przy jednym z krytych zielonym suknom stołów. Kule postawił obok krzesła i grał właśnie z trzema starymi, groźnie

wyglądającymi wdowami, bezwstydnie czarując je oraz zgarniając ich wygrane. A ponieważ był ulubieńcem młodych dam, musiały się zatrzymać i pozdrowić go. Posłał Jacindzie figlarny uśmiech, puszczając mimo uszu pytania o złamaną kostkę.

- Jesteś wprost bezwstydnym - powiedziała, patrząc na niego ostro.

Lizzie czuwała nad nim niczym kwoka, ubrana w skromną sukienkę koloru morskiej wody, obszytą kremową koronką. Mimo ładnego wyglądu i zgrabnej figury zawsze jakoś wtapiała się w tło. Woląca zresztą, żeby tak było, W tej chwili, choć zazwyczaj gniewała się rzadko, wyglądała, jakby miała zamiar chwycić jedną z kul Aleca i rzucić nią w dziewczęta, które jawnie go uwodziły. Podeszła do Jacindy. Przywitały się, a potem obydwie przyglądały się Alecowi.

- Co za łotr!

- Wiem - westchnęła Lizzie - ale nie potrafię się na niego gniewać! - Pokiwała głową ze smutkiem. - Miałam nadzieję, że przestanie grywać nocami, bo wtedy stawki są o wiele wyższe. Boję się jednak, że to go tylko jeszcze bardziej wciąga!

- Czy musi postępować tak niemądrze? Przecież Robert ostrzegał go, że przestanie wypłacać mu pieniądze.

Lizzie spojrzała na nią nerwowo, a potem zniżyła głos do szeptu.

- Robert tak zrobił, Jas, przynajmniej częściowo. Kiedy ty byłaś na wsi. Alec zwierzył mi się z tego parę dni temu. Robert groził, że nie da mu więcej ani pensa, dopóki Alec nie udowodni, że potrafi obejść się bez gry przez cały miesiąc. Alec znowu wiele przegrał u Brooksów. No i obaj strasznie się pokłócili. Nie mogę mieć pretensji do Roberta. Ktoś musi Aleca nauczyć rozumu, ale... sama już nie wiem! Nie mogę znieść, kiedy jest nieszczęśliwy.

- Moja droga, Alec zawsze zrobi to, co chce. Nie możemy go ratować.

- Rozumiem. Ja tylko się boję, że wplącze się w jakąś kabałę.

- Dla mnie ważniejsze jest, żebyś ty się w nic nie wplątała.

- Ja też się tym martwiłam, panno Uciekalska! - docięła jej Lizzie, a potem spojrzała wrogo na rozbawione dziewczęta. -Czy pomożesz mi odegnąć stąd te gadatliwe smarkule o kurzych mózdkach?

Jacinda roześmiała się, rozbawiona. Lizzie pospieszyła do Aleca, podczas gdy ona zabrała „smarkule” na drugą stronę sali balowej. Przeciskały się przez coraz gęstszy tłum, póki nie dotarły wreszcie do jej krewnych.

Daphne i jej przyjaciółki ukłoniły się od razu i zaczęły prawić paniom komplementy na temat strojów. Zaraz potem otoczyły ciasnym kręgiem Griffitha. Ian wydawał się zmieszany nadskakiwaniem mu przez trzy piękne i młode debiutantki. Robert patrzył na to, nieźle się bawiąc, a Bel i Alice ucałowały Jacindę.

Alice, żona Luciena, była drobną eteryczną osobką o żywych błękitnych oczach i jasnych włosach o rudawym odcieniu. Włożyła atlasową suknię w brzoskwińowym kolorze, doskonale pasującą do jej śmietankowej cery. Bel, księżna Hawkscliffe, uważana za jedną z najatrakcyjniejszych dam, nosiła jedwabny, różowy strój, którego rękawy uszyto z przejrzystej krepy. Wyglądała w nim jak łaskawa, życzliwa bogini ze swymi płowymi włosami i oczami koloru bławatków. Wraz z Robertem - majestatycznym, czarnowłosym i ciemnookim - stanowili przepiękną parę.

- Dobrze się bawisz, Jacindo? - spytała Alice.

- Wyśmienicie. A gdzie podziewa się twój mąż?

- Ma jakieś kłopoty ze zbiorami w Somerset - odparła z uśmiechem bratowa.

Jacinda nie widziała jeszcze Revell Court, lecz wiedziała, że Lucien odziedziczył tam po swoim prawdziwym ojcu zrujnowany pałac z czasów króla Jakuba.

- Czy to wasze pierwsze zbiory?

- Tak, ale rządcą, którego Lucien wynajął, nie dał sobie rady. Zabrakło żniwiarzy, dzierżawcy zaczęli narzekać. Nie wiem, dlaczego wszystko poszło na opak. Lucien zresztą wcale nie chciał tam jechać, ale powiedziałam, że jeśli ten człowiek sfuszerował robotę, może to zagrozić całości zbiorów. Lucien spróbuje jakoś się wykaraskać z tego wszystkiego przed początkiem sianokosów.

- Na pewno sobie poradzi.

- Doprawdy? - spytała Alice ze śmiechem. - Chciałabym mieć twoją pewność! Lucien nie potrafi prowadzić gospodarstwa. Gdyby nie dzieci, pojechałabym razem z nim, ale uważam, że musi sam się czegoś nauczyć. Szczęściem Ian był na tyle uprzejmy, żeby mi towarzyszyć dziś wieczór zamiast męża. - Alice spojrzała ku markizowi. Był najwyraźniej zakłopotany zachowaniem Daphne i jej przyjaciółek.

- Och, on jest najlepszym z ludzi - zawtórowała jej Bel, najwyraźniej chcąc dociąć Jacindzie.

- A wiesz, że... - Alice spojrzała na nią chytrze - ma niezwykle kształtne łydki?

- Na pewno niepotrzebne mu żadne sztuczne wyściółki - zawtórowała jej Bel.

- Och, nieznośne jesteście obydwie! - Jacinda złała je szeptem. - Przecież za niego nie wychodzę!

Wszystkie ze śmiechem sącyły wino, obserwując lorda Griffitha, który miał wyraźnie dosyć oblegających go dziewcząt, dwa razy od niego młodszych. Spojrzał na Alice i Bel, błagając o pomoc.

Obydwie jednak uśmiechnęły się tylko, szczerze ubawione jego zażenowaniem.

- Stanowczo musimy ożenić tego biedaka, nie uważasz? - spytała Alice. - Jeśli nie z Jacindą, to z kimkolwiek innym.

- Znam przynajmniej jedną chętną - mruknęła Jacinda. Alice spojrzała z rezerwą na

Daphne, marszcząc nos.

- Och, nie. Z tą nigdy.

-Ja też tak uważam. - Bel owinęła płowe pasmo włosów wokół palca i przeniosła powoli wzrok gdzie indziej. - A gdyby Jacinda zmieniła zamiar? Wiesz przecież, Alice, że nieraz się jej to zdarza.

- Istotnie.

Zirytowana żarcikami Jacinda szybko zmieniła temat, pytając Alice o dzieci, Harry'ego i Pippę. Alice raczyła ją właśnie relacją o ostatnim przeziębieniu córeczki, gdy sam gospodarz złożył im szarmancki ukłon.

Jeśli wśród towarzystwa uganiano się za jakimś kawalerem do wzięcia gorliwiej niż za lordem Griffithem, był nim niewątpliwie dwudziestosześcioletni książę Devonshire. Miał bardzo stary tytuł, mnóstwo pieniędzy i był całkiem przystojnym mężczyzną. Gdy uściskał dłoń Griffithowi, natarczywe dziewczęta nie wiedziały już, któremu bardziej nadskakiwać. Jacinda zaczęła się nawet zastanawiać, czy ktoś w pobliżu nie ma soli trzeźwiących, bo Amelii najwyraźniej by się przydały.

- Miło nam pana widzieć, Devonshire - przywitał się z nim Robert. - Dziękujemy za zaproszenie.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Dobrze się państwo bawią?

- Doskonale. Bal jest wspaniały - odparła serdecznie Bel.

- Będzie jeszcze wspanialszy, jeśli panie zechcą z nami zatańczyć.

Panie roześmiały się w odpowiedzi na tę ripostę.

- Nie wiem, czy poznali już państwo naszego nowego gościa. - Książę spojrział przez ramię i skinął na osobę, którą zasłaniał Jacindzie tłum gości. - Pozwolą państwo, że im przedstawię Williama Albrighta, hrabiego Rackford.

Jacinda czekała, aż nieznajomy podejdzie bliżej. Nazwisko obito się jej o uszy, bo Amelia i Helena nieraz już z podnieceniem wspominały o tajemniczym młodzieńcu, który pojawił się w towarzystwie podczas jej pobytu na wsi. Był bogaty, przystojny i najwyraźniej stanowił świetną partię, choć, jak paplały, chichocząc raz po raz, miał w sobie coś dziwnego i groźnego. Rodzina długo uważała go za zmarłego, odkąd zaginął za młodu, lecz teraz, mimo że powrócił do Londynu cały i zdrowy, nie chciał zdradzić, gdzie był ani co robił przez cały ten czas.

Oczywiście to milczenie natychmiast sprawiło, że towarzystwo zaczęło snuć rozmaite teorie: że pod fałszywym nazwiskiem zaciągnął się na statek, że walczył w wojnie z Napoleonem lub przebywał gdzieś na rubieżach indyjskich. Dziewczęta uważały wprawdzie, że każda z tych historii jest doskonałym usprawiedliwieniem jego szorstkich manier, ale czyż to nie okropne, tak wystawiać na próbę ciekawość dobrze urodzonych ludzi?

Jacinda po cichu sądziła, że dawał do zrozumienia, by postronni pilnowali swego nosa. Jediną pewną rzeczą, jaką się dało o nim powiedzieć, był fakt, że kobiety wręcz omdlewały na jego widok, a dandysi zielenieli z zazdrości. Nie wiedziała, czy w ogóle chce go poznać. Wyglądało na to, że jest człowiekiem niełatwym w obejściu.

Nowo przybyły właśnie wyłonił się z tłumu i podszedł do nich. Jacindzie wszystko zawirowało przed oczami. Nie. Niemożliwe!

Żołądek podjechał jej do gardła jak wtedy, gdy jej rasowy wierzchowiec przesadził na polowaniu przeszło dwumetrową rozpadlinę. Sala balowa zakręciła się wokół niej niby zamglona, barwna plama. Zaparło jej dech.

Lord Rackford? O nie! Billy Blade!

A może umysł spletał jej figła? W odrętwieniu patrzyła, jak gość wita się po kolei ze wszystkimi członkami jej rodziny. Czowała, że zaraz upadnie zemdlona. Od razu go poznała,

choć nie było to łatwe.

Płowa czupryna, zaczesana teraz gładko do tyłu, odsłaniała wspaniale wyrzeźbione rysy twarzy. Od wykrochmalonego halsztuka po lśniące czarne buty wyglądał jak dżentelmen. Ale Jacinda pamiętała pokrytą łącie pogańskimi tatuażami skórę. Dopiero widok szkarłatnego goździka w butonierce, takiego samego jak wtedy, gdy zjawił się niegdyś w Knight House, wytrącił ją z oszołomienia.

Boże święty, kryminalista wślizgnął się do wyższych sfer! Z jej przyczyny!

Gorset wydał się jej nagle za ciasny. Gorączkowo rozglądała się naokoło. Teraz jej samej przydałyby się sole trzeźwiące!

Gdy w panice zastanawiała się, co robić, Blade wymieniał właśnie uścisk dłoni z Griffithem, przyglądając mu się bystro. Jacinda miała chęć uciec, zanim dojdzie do jej prezentacji. Niestety było za późno.

- A to - oznajmił księżę Devonshire, zbliżając się ku niej - uroczą Jacinda Knight.

Wysoki, świetnie zbudowany i piękny niczym półbóg, elegancki „nieznajomy” spojrzawszy jej przebiegle prosto w oczy, składając uprzejmy ukłon.

- Miło mi panią poznać, milady.

Wzdrygnęła się. W tych słowach usłyszała intymną, wręcz pieszczotliwą intonację.

Wyglądał inaczej, ale głęboki ton jego głosu nie zmienił się, a oczy nadal błyszczały, zielonkawe i hipnotyzujące.

Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Przeszła go tylko spojrzeniem. Nie umiała sobie nawet wyobrazić, co on tutaj robi.

Nie słyszała nic poza szalonym biciem własnego serca. Przedstawiano ją na wielu europejskich dworach, ale teraz nie wiedziała, jak się zachować. Starła się opanować i nie zemdleć, kiedy uniósł jej dłoń, by ją ucałować.

Twarz nie zdradzała żadnych emocji, ale zuchwałe spojrzenie znów nią zawładnęło.

Błyszczała w nim iskra szaleńczego, zawadiackiego humoru, ale i ostrzeżenie, że grozi im niebezpieczeństwo, gdyby ktokolwiek zrozumiał, że już się znają. Uścisnął jej palce, mocno, choć dyskretnie.

- Milady, czy mogę panią prosić do tańca?

Zdołała tylko wyjąkać coś nieskładnie.

Zuchwały jak zawsze, uznał to za przyzwolenie. Ujął ją za nadgarstek i skinął zebrany, jakby nigdy już nie miał zamiaru zwrócić jej bliskim. Poprowadził ją za sobą.

Obejrzała się z przerażeniem, ale nie miała wyboru, musiała za nim pójść.

Torował drogę pośród tłumu, idąc o krok przed nią. Otaczała go ta sama aura przywódcy, jaką pamiętała z dzielnicy ruder. Zaraz potem poczuła, że znajduje się na parkiecie w jego objęciach. Orkiestra zaczynała właśnie grać walca.

- Umie pan tańczyć? - zdumiała się, odzyskując nagle mowę. W tych okolicznościach pytanie wydawało się absurdalne.

- Niezupełnie - odparł, rozglądając się czujnie po sali - ale dla pani gotów jestem zrobić z siebie błazna.

- Błaze!

- Rackford - poprawił ją łagodnie. - Musi mnie pani wesprzeć, moja miła. Zdaje się, że to będzie tak... - Położył jej dłoń na swoim ramieniu i uśmiechnął się do niej z zaborczym błyskiem w oku. Potem podał jej lewą dłoń i czekał, by ją ujęła.

Jacinda, kompletnie zagubiona, spojrzała na jego rękę, a potem znów na niego.

- Obciął pan włosy - powiedziała oszołomiona. Uśmiechnął się, choć w sposób nieco wymuszony.

- Nie martw się, Dalilo, nie straciłem swojej siły.

- Co pan tu robi?!

- Jacindo, moja droga, wyjaśnię pani wszystko, ale stratuję nas tańczące debutantki, jeśli zaraz nie ruszymy się z miejsca.

- Ależ mnie nie wolno tańczyć walca! Robert gotów dostać jakiegoś ataku.

- Biorę na siebie całą odpowiedzialność - mruknął porozumiewawczo. - Proszę ująć mnie za rękę.

Spojrzała na jego dłoń, przypominając sobie, jak wtedy, w zaułku, pomagał jej wstać z kupy śmieci. Miał wówczas szorstkie, zrogowaciałe ręce, brudne i pokryte zaschniętą krwią.

Teraz osłaniały je nieskazitelne białe rękawiczki.

Powoli, ostrożnie, z bijącym sercem, podała mu dłoń.

- O, już lepiej - powiedział półgłosem. - Mój Boże, ależ pani jest... świetlista. - Objął ją nieco mocniej w talii.

Dreszcz, który ją przeszył, sprawił, że oszołomienie minęło. Jego miejsce zajęły gniew, niedowierzanie i zażenowanie.

- Co ty tu, u licha, robisz? - wyszeptała.

- Poszerzam moje horyzonty, można by rzec. - Zręcznie ruszył do tańca, posyłając jej zagadkowy uśmiech.

- A więc zrobiłeś to, czego się bałam. - Czowała przeraźliwy skurcz w żołądku. -

Sprzedajesz moje diamenty, żeby się tutaj dostać. Planujesz jakiś śmiały rabunek. Bo tak właśnie jest, prawda?

- Przejrzałaś moje zamiary. Widziałaś może obrazy w galerii Devonshire'a? Mógłbym dzięki nim zyskać fortunę...

- Oszalałeś! - krzyknęła przerażona. - Nie wolno ci! Odejdź stąd i więcej nie wracaj.

Złapią cię... i powieszają. Wierz mi, to ci się nie uda!

- Dlaczego? Przecież nie doniesiesz na mnie. W końcu - znów objął ją trochę mocniej
- ja też mógłbym coś niecoś powiedzieć o tobie. Nie zapomniałem, jak mi było z tobą dobrze - mruknął, pochylając głowę tak nisko, że niemal trącił jej nos swoim. Bił od niego zapach mydła i wody kolońskiej. - Chociaż nie zdołaliśmy doprowadzić tego do końca. Mogę cię nauczyć wielu przyjemniejszych rzeczy.
- Nie wspominaj nawet o tamtej nocy!
- Dlaczego? Dostałaś, czego chciałaś. Ja nie, przecież wiesz. - Błysnął w uśmiechu zębami.
- Blade...
- Rackford.
- Obojętne, jak się teraz nazywasz, nigdy tego nie dopniesz! Doprawdy, to okrucieństwo z twojej strony, żeby wmawiać lordowi i lady Truro, że jesteś ich zaginionym synem!
- Jacindo, kochanie moje, ja nim naprawdę jestem. Spojrzała na niego. Patrzył tak otwarcie i szczerze, że zrozumiała. Chyba nie kłamał.
- Ale... jak to możliwe?
- Zwyczajnie. Daję słowo.
- Rozgniewała ją ta lekceważąca odpowiedź.
- Na mój honor - roześmiał się - przestałem być wyrzutkiem. Przeobraziłem się całkowicie. Dziwne, ile człowiek może zrobić, kiedy stanie wobec groźby stryczka - dodał sardonicznie.
- Stryczka?
- Chcieli mnie powiesić. Zostałem aresztowany i wtrącony do Newgate. Za nic nie chciałbym tam wrócić - mruknął pod nosem.

- Złapano cię?

- To robota O'Della. Zastraszył Eddiego i wydusił z niego informację, gdzie zamierzam się włamać. A potem po prostu powiedział policji, gdzie mają na mnie czekać. Prosty sposób pozbycia się Ognistych Sokołów. Tylko że ja jeszcze nie skończyłem z Szakalami, zapewniam cię.

Jacinda wpatrywała się w niego z zamętem w głowie, kiedy wirowali w takt muzyki.

Być może to tylko zgrabna historyjka, ale nie mogła się oprzeć chęci wysłuchania jej do końca.

- O'Dell chyba nie odważył się skrzywdzić chłopca?

- Nie, nastraszył go tylko, ale sama wiesz, jaki jest Eddie Knykieć. Niełatwo dać mu radę. Posłałem go do szkoły z internatem jako anonimowy dobroczyńca. Mam nadzieję, że coś z niego jeszcze wyrośnie.

- Co się stało z Nate'em i resztą?

- Zesłano ich do Australii. Właśnie dlatego się tu znalazłem. Mieli nas wszystkich powiesić, więc musiałem powiedzieć, kim naprawdę jestem.

- Kim rzekomo jesteś! Nie będę ci pomagać w szaleńczych planach. Jeśli ktokolwiek przejrzy twoją grę, znajdziesz się w prawdziwych kłopotach.

- Jacindo, mówię prawdę, spróbuj to wreszcie zrozumieć! -powiedział łagodniejszym tonem, widząc jej przerażenie. - Dlatego nie mogłem ci wówczas powiedzieć, jak się naprawdę nazywam. Musiałem trzymać to w tajemnicy przez wiele lat. Nikt nie wiedział o moim pochodzeniu. Ci ludzie nigdy by mnie nie przyjęli do siebie. Nie pamiętasz, jak ci mówiłem, że ja też uciekłem z domu?

- Ale... ale to nie może być prawda. Ten okropny ojciec, który cię maltretował, to... markiz Truro?

- We własnej osobie.

- Nie wierzę!

- Zeszłej zimy zmarł mój starszy brat. Zostałem dziedzicem.

- Żartujesz!

- Nie - odparł tak zimno, że dreszcz przebiegł jej po plecach. Zdołała jedynie przytaknąć. W głowie kręciło się jej i od wyjaśnień, i od tańca. -Wciąż mi nie wierzysz? - spytał po chwili bezbarwnym tonem.

- Nie wiem, jak mogłabym ci uwierzyć! Kiedy cię poznałam, byłeś przestępcą. -

Przyłapała się na myśli, że powinna mówić ciszej, i popatrzyła wokół nerwowo, chcąc się upewnić, że nikt ich nie słyszał.

Patrzył pośepnie gdzieś ponad jej głową, obserwując tłum. -Jeśli tak, to po co zostawiłaś mi diamentowy naszyjnik? Zaczerwieniła się.

- Wolałabym spytać, dlaczego nie sprzedałaś tej nieszczęsnej koliai, tylko powróciłaś do rabunku? Gdyby twoi ludzie rzeczywiście byli w potrzebie, wystarczyłoby ci pieniędzy.

- Nie potrafiłem tego zrobić. - Odwrócił wzrok.

- Dlaczego? Nikt z twoich kompanów nie chciał go kupić?

- Nie. Nie chciałem jałmużny, Jacindo. Wolałem ci go oddać. Dlatego poszedłem do Hyde Parku. Chyba pamiętasz?

- Owszem. - Przypomniała sobie, jak go wtedy potraktowała, wbrew własnym pragnieniom, a potem również i to, że udaremnił jej ucieczkę do Francji. - Czy mógłbyś w takim razie oddać mi go przy najbliższej okazji?

Zacisnął wargi.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Jest w pałacu Taylorów. Słowo honoru! - zaprotestował, gdy spojrzała na niego szyderczo. - Wrzuciłem go do wazy w sypialni pana domu, kiedy dwudziestu policjantów nakryło nas podczas kradzieży.

- Czy to znaczy, że moje diamenty ma Daphne Taylor?!

Ledwie ośmielił się na nią spojrzeć.

- Blade!

- Rackford. Jacindo, w końcu zrobiłem to dla ciebie!

- Coś niesłychanego! I pomyśleć, że przez chwilę naprawdę ci uwierzyłam! Co za bzdury!

- A jak według ciebie wygląda prawda?

- Usłyszałeś coś o zaginionym synu lorda Truro i postanowiłeś się pod niego podszyc.

A mój naszyjnik sprzedałeś, żeby tego dopiąć.

- W takim razie spytaj mego ojca! On dobrze wie, kim jestem. Spytaj Luciena! Od dawna zna prawdę. No i, dla twojej wiadomości, nie wypuścili mnie z Newgate ot tak sobie. Muszę informować Bow Street o najgorszych przestępcach Londynu. Sądzisz, że lubię robić sobie wrogów z takich ludzi?

- Niczym nie ryzykujesz. Mówiłeś przecież, że mają cię za zmarłego.

- No i umrę, jeśli dowiedzą się, że żyję. Nie jestem kłamcą. A gdybym cię nawet okłamał, co z tego? Przecież i ty nienawidzisz „nadętych hipokrytów”, którzy podle traktowali twoją matkę. O ile sobie przypominam, właśnie z tego powodu zdecydowałaś się na ucieczkę.

- O ile sobie przypominam, właśnie tyją udaremniłeś.

- Wciąż nie rozumiesz, że zrobiłem to dla twojego dobra?

- Sama decyduję, co jest dla mnie dobre.

Zacisnął szczęki, próbując pohamować gniew, a potem stanowczo pokręcił głową.

- Jacindo, moja zuchwała panno! Nie wiesz o jednym. - Przyciągnął ją do siebie tak blisko, że musnął oddechem kędziory nad jej uchem. - Moglibyśmy teraz być razem.

Słyszałem, że zerwałaś zaręczyny z Griffithem. Cieszę się, że poszłaś za moją radą. On by cię nigdy nie zdołał poskromić. No i tylko my dwoje możemy przejrzeć tych wszystkich nadętych głupców na wskroś. Połączmy się. Co ty na to? Zachowalibyśmy na zawsze w tajemnicy nasze sekrety.

A więc o to mu chodziło! Odsunęła się od niego zdumiona. Gniew narastał w niej z każdą chwilą.

- Nasze sekrety?

- Moją przeszłość i twoją... niebezpieczną słabość. - Uśmiechnął się zuchwale.

Zamarła z półotwartymi ustami. Najwyraźniej areszt i pobyt w więzieniu nie zmieniły jego arogancji.

- Naprawdę chcesz się ze mną ożenić? Ot tak?

Wzruszył ramionami.

- Właśnie. Ot tak.

- Chcesz mnie mieć na oku, upewnić się, że cię nie wydam? - W głosie Jacindy

słychać było narastające oburzenie. - Miałbyś mnie kontrolować, jak robią to moi bracia?

Tego właśnie chcesz?

- Jacindo, poczekaj...

- Nie, to ty poczekasz. - Pokręciła energicznie głową. - Coś się zmieniło, odkąd

odwiozłeś mnie do rodziny. Dla twojej wiadomości: znalazłam sobie kogoś innego!

Myślała już, że Rackford wybuchnie, tak pociemniała mu twarz i zeszywniały mięśnie. Wyczuła to pod leżącą mu na ramieniu dłonią. Ale nie. Nie pomylił kroków, przeczekał wzburzenie.

Z wykalkulowanym błyskiem w oku zmusił się do nieszczerzego uśmiechu, a potem wzruszył lekko ramionami.

- No cóż, niech będzie, jak ma być, ale obydwójce dobrze wiemy, że pragniesz tylko mnie.

Zdumiała ją jego męska arogancja.

- Mówisz niesłychane rzeczy.

Zaśmiał się cicho i szepnął jej wprost do ucha:

- Bynajmniej, milady. Małżeństwo ze mną miałoby niebagatelne zalety. - Jego ciepły oddech sprawił, że przeszedł ją dreszcz. - Boisz się, że okażesz się taka sama, jak twoja matka, ale możesz być pewna, że zaspokoilibym twoje pragnienia. Nie przyszłoby ci do głowy schodzić z drogi cnoty!

- Och! - Wyrwała się z jego objęć na skraju parkietu tanecznego i wybiegła na werandę. Była wściekła.

Paliły ją policzki na wspomnienie nocy w jego pokoju i pragnień, które w niej wtedy obudził. Był okropny, nie do zniesienia! Musi uciec jak najdalej od niego, zanim ktoś dostrzeże jej gwałtowną reakcję. Musi odzyskać zimną krew.

Rackford czy też Blade podążył jednak za nią.

- Jacindo!

- Zostaw mnie! Nie jesteś dżentelmenem!

Zaśmiał się tylko.

Próbując przed nim uciec, zbiegła po niskich stopniach do ogrodu, lecz wkrótce ją dopędził, stawiając szybkie, długie kroki po zarośniętej trawą ścieżce. Podążali ku porosłej pnącymi różami altance.

- Jacindo, przeklęta dziewczyno, nie odrzucaj mnie, kiedy ofiarowuję ci siebie i tytuł jak na srebrnej tacy. Obydwoje wiemy, że należysz do mnie.

- Prędzej umrę!

- Powiedz, kto jest tym szczęściarzem.

- Nie twój interes.

-Jeśli to Acer Loring, wybiję ci go z głowy!

- Nie, nie on! - odparła ostro. - Odejdź!

- W takim razie kto?

- Nie znasz go! - Ścieżka urwała się nagle i Jacinda stanęła przed fontanną w małym ogrodowym wnętrzu o „ścianach” uformowanych z wysokich żywopłotów.

Zatrzymała się, nie wiedząc, w którą stronę pójść. Objął ją od tyłu mocnymi ramionami i nim zdolała nabrać tchu, obrócił ją do siebie, a potem pocałował.

- Przestań w tej chwili! - Protestowała, lecz otwierając usta, zachęciła go tylko do głębszego pocałunku. Jęknęła cicho i objęła go w pasie, drugą ręką zachłannie otoczyła kark.

Och, znała już jego dotyk, jego zapach. Billy... Przywarł do niej jeszcze mocniej.

Zmusiła się, aby przestać oddawać mu pocałunki. Uśmiechnął się przewrotnie.

- Chodź, milady. - Głos miał schrypnięty. Przesunął końcami palców po jej policzku, odchylił jej głowę do tyłu i zmusił, żeby spojrzała mu w oczy. - Przywitaj mnie, jak należy.

Powoli schylił głowę i pocałował rozchylone wargi. Nie znalazła w sobie siły, żeby zaprotestować, kiedy wniknął w jej usta. Oplotła mu szyję ramionami.

- Billy...

Wyjął z butonierki czerwony goździk i powiódł jedwabistymi płatkami po policzku Jacindy, nadal ją całując. Włożył jej ostrożnie kwiat za ucho. Delikatność tego gestu była ujmująca. Pogładziła gładko wygolony podbródek, wplotła palce w jego włosy... Gdy poczuła, że dotyka jej piersi, nagle wróciła jej przytomność. To szaleństwo! Oderwała się od niego, oddychając ciężko. Kiedy chciał ją do siebie ponownie przyciągnąć, odepchnęła go.

- Nie! Nie chcę ciebie!

Rozzłościło go to. Poczłł gniew.

- Więc kto jest wybrańcem? - warknął.

- Lord Drummond.

- Nie znam go, ale pewnie szybko się spotkamy. Jak sądzisz, co zrobi, kiedy mu opowiem o twojej wizycie na Bainbridge Street? Albo o tym, co próbowałaś zrobić w dorożce, żebym ci pozwolił uciec do Francji?

- Nie próbuj mi grozić! - syknęła. - Obydwoje w tym tkwimy, Blade. Jeśli piśniesz choć słowo lordowi Drummondowi albo komukolwiek innemu, opowiem całej socjecie o twojej przeszłości i plugawej, złodziejskiej bandzie.

Spojrzał na nią z rozbawieniem.

- No, moja miła, punkt dla ciebie. Nauczyłaś się czegoś w dzielnicy nędzy.

- To ty mi powiedziałaś, że powinnam się nauczyć myśleć jak złodziej. Trzymaj się z dala ode mnie, a ja obiecuję, że nie będę ci wchodzić w drogę, zgoda? To przez ciebie musiałam wrócić do tego życia. Jeśli mam tkwić w nim niby w klatce, zamierzam przynajmniej wyciągnąć z tego jak najwięcej korzyści.

- Nie potrafię się trzymać z dala od ciebie. To jedyna rzecz, której nie mogę obiecać.

Już się odwracała, żeby odejść, kiedy chwycił ją za ramię i zatrzymał.

- Chcę, żebyś była moja, Jacindo. Będę cię miał w taki czy inny sposób.

- Spróbuj tylko! Moi bracia szybko sobie z tobą poradzą. Gościsz w moim świecie i

jeżeli staniesz mi na drodze, lordzie Rackford, to pożałujesz. - Po tych słowach rzuciła goździk na ziemię i pobiegła przez ogród, wracając do rozjarzonej światłem sali balowej.

Wszystko spartaczył. Przeklinał się w duchu z tego powodu, patrząc w ślad za nią. Nie był pewien, co teraz pocznie, ale gniewało go, że ta narwana dzierlatka znowu go odrzuciła.

Widział, jak idzie po ścieżce, cała drżąca, jak kołyszą się jej loki w takt kroków, a przejrzysta suknia faluje wokół nóg. Podbiegła do werandy i zniknęła we wnętrzu.

Westchnął przeciągle. Usiłował przeczesać włosy palcami, zapominając, że ostrzygł je krótko. Co za szkoda.

Lord Drummond. Któż to taki, u diabła?

Z pomrukiem irytacji rozluźnił wykrochmalony halsztuk, a potem wrócił do pałacu

Devonshire'a. Nadepnął przy tym na leżący na trawie goździk. Przy francuskim oknie przystanął. Znowu poczuł, że nie należy do tego miejsca. Pokrzyżowano mu plany. W tym pełnym blichtru świecie co krok czyhały na niego pułapki. Czuł się obcy i postępował niezręcznie.

Rozglądał się za swoją złotowłosą upragnioną zdobyczą i spojrział odruchowo ku miejscu, gdzie stała jej rodzina. Musi się dowiedzieć, kto jest tym ideałem. Kogo uznała za godnego swojej ręki. Przedzierał się przez ciżbę, póki nie dostrzegł gospodarza gawędzącego z grupką gości. Devonshire mógłby mu powiedzieć coś o Drummondzie. U boku młodego księcia zniósł cierpliwie drugą turę prezentacji, ukłonów i ściskania rąk. Mężczyzn zapewnił, że jest zachwycony możliwością poznania ich obwieszonych diamentami żon. Każdy z nich jednakowo mierzył go wzrokiem i z chęcią wysłuchiwał komplementów na temat własnych córek czy siostrzenic. Nie wiedzieli, że już wybrał sobie żonę. Obojętne, czy go chciała, czy

nie.

Najdyskretniej, jak potrafił, odciągnął Devonshire'a na bok. Księżę wskazał miejsce, gdzie wciąż jeszcze stał klan Knightów, Rackford ledwie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Nie żartuje pan? - wyrwało mu się.

Devonshire zaprzeczył z całą otwartością.

- Czy to lord Drummond z Home Office? - Chciał się ostatecznie upewnić.

- Ależ tak.

Nazwisko nic mu nie mówiło, póki nie zobaczył człowieka. Nie, to było niemożliwe, nieprawdopodobne. Co ona, u licha, sobie myśli?

Olśniewająca młoda Jacinda, o której myślał już, że należy do niego, uczepiona była ramienia mężczyzny, który liczył sobie co najmniej siedemdziesiąt lat. Człowieka znanego jako jeden z najgorszych ciemiężców w rządzie lorda Liverpoola. Jawnie flirtowała z tym starym despotą! Widział, jak się hałaśliwie śmieje, trzepoce rzęsami, zalotnie wstrząsa śliczną główką i zawzięcie porusza wachlarzem.

Chyba straciła rozum. Woląta tego starego łajdaka od niego?

Nietrudno będzie odbić ją temu zgrzybiałemu starcowi! Zwalisty, kanciasty lord

Drummond nie wyglądał na cherlawego staruszka, ale był pomarszczony i pożółkły, a siwe włosy miał równie szare jak własny frak. Okulary w okrągłych oprawkach połyskiwały w świetle świec, jakby lord knuł właśnie jakąś dworską intrygę lub obmyślał nowy sposób na to, by gnębić ubogich ludzi.

Zdumione spojrzenie Rackforda ponownie spoczęło na Jacindzie. Przypomniawszy sobie, jak z pasją opowiadała o pragnieniu swobody. Zakpił wtedy, radząc jej, żeby wyszła za jakiegoś starego łajdaka. Powoli coś zaczęło mu świtać. Spojrzał na nią, zaskoczony. Ty sprytna mała łobuzico, bezczelna, podstępna lisico, znalazłaś klucz do swojej klatki!

Jedyny mąż, który odpowiadał Jacindzie, to martwy mąż.

Stał jak oniemiały. Przedtem gotów był roześmiać jej się w twarz. Teraz rozumiał, że ten staruch był o wiele groźniejszym rywalem, niż sądził na początku. Zagrożeniem nie był on sam, lecz to, co mógł dać Jacindzie.

Wolność.

To, co on, Rackford, odebrał dziewczynie, zwracając ją rodzinie.

Parsknął urwanym, sarkastycznym śmiechem, który szybko zamarł, gdy zrozumiał, że musi się liczyć z nowymi okolicznościami, które psują mu szyki. Jacinda, jakby czując na sobie jego wzrok, spojrzała ku niemu przelotnie ponad brzegiem wachlarza. Na moment wstrzymał dech, tak mocno przyciągały go te czarne oczy.

Pokręcił nieznacznie głową, jakby to miało być sardoniczne upomnienie: „wszystko na nic, pragniesz mnie zbyt mocno”. Niesforny loczek na samym środku jej czoła podskoczył, kiedy pokręciła głową ze wzgardą i zwróciła wzrok gdzie indziej. Zarumieniła się jednak.

Leciwy wielbiciel podprowadził ją ku cudzoziemskim dygnitarzom, którzy licznie przybyli na królewskie zaślubiny.

Nękany gniewem i wątpliwościami Rackford obserwował tę niedobraną parę tak długo, jak mógł wytrzymać - przez jakieś dziesięć sekund - a potem wyszedł, nie żegnając się z nikim.

Miał dosyć tych przeklętych uprzejmości.

Najwyższy czas zająć się wreszcie Szakalami.

Szarpiąc za węzeł halsztuka, wskoczył do nowej, niesłychanie kosztownej kariolki, którą kupił mu ojciec. W ten sposób zapewne usiłował uśmierzyć nękające go wyrzuty sumienia. W końcu przez lata nie żałował synowi pięści.

Stajenny był przerażony, gdy Rackford pędził w kariolce przez ulice Londynu. Była o

wiele lżejsza i szybsza od ciężkich pojazdów, z którymi miał dotąd do czynienia, toteż o mało jej nie wywrócił, przejeżdżając przez skrzyżowanie Piccadilly i St. James Street. Spostrzegł, jak stajenny w wysiłkiem przetyka ślinę, i zrozumiał, że jest o włos od wyładowania swego gniewu na Bogu ducha winnych koniach. A przecież nie był kimś takim jak ojciec. Opanował się więc i resztę drogi do domu, wielkiej, ponurej rezydencji na Lincoln's Inn Fields, przebył dużo wolniej. Boże, co za uparta dziewczyna! Problem w tym, że nie była mu obojętna, choć wolałby, żeby tak było. To szaleństwo pragnąć podobnej kobiety. Nawet Lucien uważał, że jest nieobliczalna. Znękany, pełen gniewu, zajechał przed wysoki, ceglany budynek wzniesiony osiemdziesiąt lat wcześniej przez George'a Dance'a Młodszeo.

Wyskoczył z kariolki, pozostawiając troskę o konie stajennemu. Sługa odprowadził pojazd do stajni najbliższą wąską uliczką. Rackford wszedł na schody od frontu, z nawyku oglądając się za siebie. Z tyłu za nim pozostał zadrzewiony plac, dawniej miejsce publicznych egzekucji, teraz ciemny i pełen spokoju. Inne rezydencje leżały w pobliżu, choć w należytej odległości. Wyglądały niczym wdowy wspominające młode lata. Budowle przetrwały, lecz ich otoczenie zmieniło się i mocno podupadło. Nawet ładny budynek teatru na pobliskiej Portugal Street przeistoczył się w wytwórnię porcelany. Towarzystwo wolało teraz mieszkać w Mayfair. Patrząc z okna swego apartamentu na piętrze, mógł dostrzec skrawek swego dawnego terenu w dzielnicy ruder.

Jeśli nawet miał powód, żeby osiąść w ojcowskiej rezydencji, to nie chciał o tym myśleć. Zresztą ten stary łotr przebywał głównie w Kornwalii, polując na lisy. Nie fatygował się nawet, by przybyć do stolicy na inauguracyjną sesję parlamentu. Rackford wiedział jednak, że śledzi z daleka poczynania rodziny.

Zaskoczyło go, że Gerald, kamerdyner, otworzył przed nim drzwi z kordialnym ukłonem.

- Dobry wieczór, Geraldzie. Czy ojciec w domu?

- Nie, Jego Lordowska Mość poszedł do klubu. Czy mam po coś posłać?

- Nie, niczego mi nie potrzeba. - Wciąż nie potrafił się przyzwycząić do tego, że ma służbę, która wszystko za niego robi.

Nie mógł również przywyknąć do traktowania jej w zwyczajowy sposób.

- Dziękuję, stary - powiedział, poklepując kordialnie sługę po ramieniu.

- Oczy... oczywiście, milordzie - odparł zaskoczony służący, gdy Rackford skierował się ku szerokim mahoniowym schodom, wiodącym do jego apartamentu.

Był już na wysokości pierwszego piętra i zamierzał wejść na drugie, kiedy ktoś zawołał słabym głosem:

- Williamie!

Od razu poznał ten bezradny ton. Usiłował zdusić w sobie długo żywioną, zaprawioną goryczą niechęć. Zatrzymał się na podeście i odwrócił ku matce, która cicho wysunęła się z położonego piętro niżej salonu. Markiza Truro i St. Austell, niegdyś olśniewająca piękność, miała teraz około pięćdziesiątki i była kruchą, przywiedłą kobietą. Kiedy jako chłopiec błądził ulicami Londynu, chwytala go nieraz bolesna tęsknota za domem i zapachem matki, a raczej jej kosmetyków: za kadzidlana wonią czernidla do rzęs i brwi, aromatem białej henny, którą rozjaśniała sobie włosy, talku, który zapewniał jej mlecznobiałą cerę, i rózu. Czasami widywał, jak go nakładała miękkim pędzelkiem z wielbłądziej sierści. Nie umiając powstrzymać męża od pastwienia się nad młodszym synem, uciekała od przykrej rzeczywistości i zajmowała się jedynie swoją urodą.

Rackford nie miał zamiaru jej wybaczyć, ale starał się tego nie okazywać, jakby z obawy, że ta eteryczna istota się załamie.

Złożył jej ukłon.

- Dobry wieczór, madame.

- Wcześniej dziś wróciłeś do domu.

Do domu? Zdziwiło go to. Czy to rzeczywiście był jego dom?

Matka wyszła na korytarz. Miała wysoko osadzone kości policzkowe. W świetle kandelabrow cienie pod nimi pogłębiły się jeszcze bardziej.

- Nie podobał ci się bal u księcia Devonshire?

Patrzył na nią, hamując się z trudem. Miał ochotę burknąć, żeby go zostawiła w spokoju, że teraz już za późno, że nigdy nie będzie między nimi przyjacielskiej zażyłości. W końcu jedynie wzruszył ramionami.

- Rozboliła mnie głowa.

Nie zdołał ukryć ironicznego tonu, ale matka i tak go nie zauważyła. Zainteresowała ją żywo wzmianka o fizycznej dolegliwości, bo choroby były jej drugą pasją. Silne bóle głowy zawsze stanowiły wymówkę, która pozwalała jej zamykać się w swoich pokojach, gdy czuła nadciągającą awanturę. Opuszczała go, kiedy najbardziej potrzebował sprzymierzeńca w świecie dorosłych. Często mawiała, że jej nerwy nie znoszą krzyku. Rackford teraz, kiedy sam już dorósł, pojął jej rozumowanie. Jeśli nie widziała, co się działo, to tym samym nigdy się to nie zdarzyło.

- Zadzwoń, żeby przyniesiono ci coś na ból głowy.

- Dziękuję, madame. Wystarczy, że się położę.

- Och. - Rozczarowała ją odmowa. Delikatne ramiona obwisły. Nie pozwolił jej okazać macierzyńskiej troski. - Jak sobie życzysz, Williamie.

- Dobranoc, milady.

- Dobra... noc - odparła słabym głosem. Rackford odwrócił się i resztę stopni przebył jak najszybciej.

W okazałym apartamencie na drugim piętrze mrok bawialni rozświetlały świeczniki ustawione na dwóch stolikach o nogach w kształcie zwierzęcych łap z pazurami. Przyćmiony blask świec przenikał przez drobne dziurki cynowych osłon.

Zamknął za sobą drzwi i pociągnął za sznur dzwonka. Filbert wysłucha polecenia i doniesie o wszystkim markizowi. Musi się to wydać całkiem naturalne.

Sługa szybko się zjawił, zapalił świece, a potem zdjął z Rackforda wieczorowy strój.

Gdy ściągnął już długie, białe kalesony i wełniane pończochy, podał mu szlafrok z kosztownego, błękitnego ałtasu. Rackford wsunął ręce w rękawy, a potem kilkakrotnie poruszył ramionami, żeby fałdy obszernego stroju ułożyły się na ciele. Następnie wziął do ręki jedną z książek o Indiach. Czytał je, żeby utrzymać dobre towarzystwo w mniemaniu, iż tam właśnie przebywał przez wszystkie te lata, i niespiesznie przeszedł z nią przez pokój z cynowym lichtarzem w drugiej dłoni.

Od niechcenia zażądał brandy - Filbert natychmiast podał mu szklanę.

- To wszystko - rzekł obojętnie do lokaja.

- Doskonale, milordzie. - Filbert skłonił się i cicho wycofał za drzwi.

Rackford nasłuchiwał odgłosu jego kroków w korytarzu, lecz lokaj najwyraźniej tkwił nadal pod drzwiami. Bez wątpienia szpiegował go.

Rackford, zdając sobie z tego sprawę, powoli popijał brandy, przerzucał kartki książki i w dalszym ciągu krążył po pokoju. Sługa wreszcie odszedł, zadowolony, że Rackford nie robi nic, co mogłoby zirytować jego pana. Gdy ucichło echo jego kroków, Rackford poniechał lektury, odłożył książkę na stół i zamknął drzwi na klucz. Szlafrok zafalował na nim, kiedy przeszedł z sypialni do garderoby.

Po kilku minutach wyszedł stamtąd w zwykłych spodniach i butach, prostej koszuli i luźnym czarnym płaszczu. Podszedł cicho do jednego ze stolików i wyjął ze skrytki nóż.

Zatrzymał się, żeby odsunąć ciężką okienną zasłonę i rzucił okiem na ulicę. Chciał się przekonać, czy nie ma tam jakiegoś agenta z Bow Street, który miał za zadanie go śledzić.

Z satysfakcją stwierdził, że najprawdopodobniej zgubił swoich „stróżów” podczas powrotu z Devonshire House. Sposób, w jaki opuścił bal, okazał się nadszpiewanie korzystny. Agenci zapewne nadal tkwili przed pałacem księcia. Z napięciem spojrzął w mroczne niebo i ku Bainbridge Street.

Pozwolił zasłonie opaść i zdmuchnął świece.

Chwilę później wymknął się z domu bocznym wejściem, wspiął na mur ogrodowy i lekko zeskoczył po drugiej stronie.

Nareszcie poczuł się wolny. Przyzwyczajony był do robienia, co mu się żywnie podoba. Nigdy nie zdawał nikomu sprawy ze swoich poczynań. Dlatego ostatni miesiąc wydawał mu się piekłem. Znow znalazł się we władzy ojca, śledzili go agenci i własny sługa.

Wciąż też czuł się niepewnie wśród ludzi z towarzystwa, tak łasego na wszelkie plotki.

Wiedział, że jego postępowanie nie jest słuszne. Przed samym sobą usprawiedliwiał się tym, że zamierza zabijać Szakali, a nie bratać się z nimi. W gruncie rzeczy nie łamie więc danego Weldonowi słowa. Zniknął w najbliższej uliczce, idąc ku St. Giles.

Pół godziny później siedział na dachu, w miejscu, gdzie sam niegdyś nakazywał tkwić czujkom.

Mocno ich przerzedziło, pomyślał, gdy doliczył się piętnastu Szakali na ulicy i przed sklepem z ginem, dawną siedzibą Ognistych Sokołów.

Na jego korzyść działało jedynie to, że wrogowie mieli go za zmarłego. Spojrzął w dół, tam, gdzie trwała zabawa tej nocy, kiedy przyprowadził Jacindę do dzielnicy ruder.

Mięśnie mu zeszywniały, kiedy zrozumiał, że Szakale całkowicie podporządkowali sobie zagarnięte terytorium.

Przymrużył oczy ze złości, gdy ujrzał, jak O'Dell dumnie krąży wokół budynku z muszkietem na ramieniu i butelką ginu w ręce. Najwyraźniej władza uderzyła mu do głowy, bo obrzucał obelgami swoich ludzi. Ciągłe się cieszył ze sposobu, w jaki wydał Ogniste Sokoły w ręce agentów z Bow Street. Pozbył się wrogów i umocnił własną pozycję za jednym zamachem. Policja nic mu nie mogła zrobić, skoro okazał się dla niej użyteczny.

Rackford zauważył, że otacza go czterech rośliwych mężczyzn. Goryle, pomyślał. Być przywódcą w dzielnicy ruder wcale nie jest bezpiecznie. Powiódł wzrokiem po splądrowanym placu i twarz mu pociemniała z gniewu. Cóż oni zrobili z tym miejscem? Skład rozkradziono, a budynek, wraz z jego osobliwym wystrojem, znajdował się w opłakanym stanie. Szyby miał powybijane, młynki zwisały krzywo na splątanych sznurach, drzwi ledwie się trzymały na zawiasach. Wpadł w furię na ten widok. Zaczęło go nękać poczucie winy. Zdradził swoich ludzi, a sam żył w luksusie.

Tej nocy nie mógł się jednak odpłacić. Dobrze wiedział, co powinien robić. Co prawda wolałby stanąć z nimi do walki twarzą w twarz, ale wobec liczebnej przewagi przeciwnika byłoby to szaleństwem. Zamierzał skłócić Szakali między sobą. W ten sposób banda uległaby rozpadowi od wewnątrz, a on potem mógłby kolejno likwidować jej członków.

Oczy mu rozbłysły, gdy O'Dell wskazał kilku swoim fagasom starą, opustoszałą wozownię przylegającą do obecnej siedziby Szakali. O'Dell nie wiedział, że porzucona wozownia łączy się z budynkiem, z którego obserwował go Rackford, dzięki złodziejskiej zapadni. Takie ukryte przejścia były częste w londyńskich dzielnicach nędzy.

Jako chłopiec starał się wbić sobie w pamięć jak najwięcej podobnych miejsc. Szybko się zorientował, że - odwrotnie niż w znanym porzekadle - złodzieje bynajmniej nie są leniwi. Całe pokolenia londyńskich mętów trudyli się, budując klaustrofobiczne tunele pomiędzy

domami, wierząc otwory w ceglanych ścianach na tyle szerokie, by można się przez nie precysnąć, a potem zakryć je opuszczaną klapą. Istniały podwójne sufity i szafy bez tylnych ścian, a także skrytki pod podłogą, skąd można się było przedostać na zaplecze jakiejś uliczki - wszystko po to, żeby umożliwić złodziejom ucieczkę.

Uzbrojony w tę wiedzę, wiedział teraz, jak ma się dostać do swojej dawnej siedziby i jak z niej wyjść, nim którykolwiek z Szakali w ogóle spostrzeże, że tam był.

Wyciągnął zza pasa nóż i zniknął wśród ciemności. Kilka minut później poruszał się ostrożnie w głuchoj ciszy, która zalegała opuszczoną wozownię. Słabe światło księżyca przenikało do środka przez wysoko umieszczone narożne okienka. Dobrze znał drogę. W powietrzu wisiał gęsty pył. Pod ścianami przemykały szczury.

Z nożem, trzymanym między zębami, wspiał się po drabinie na strych, podpełził do drzwi zapadowych i bezszelestnie przedostał się do fortecy Szakali.

Miał pewien plan, który opierał się na obmyślanej z góry strategii. Potrzebny mu był także łut szczęścia. Musiał wybrać takie pomieszczenie, do którego nie musiałby się włamywać. Zdecydował się na jedno z nich dopiero wtedy, gdy dotarł do pokoi zajmowanych przez najważniejszych członków bandy.

Pierwszym z nich był Flash, najprzystojniejszy z szajki. Czarnowłosa i błękitnooki, podśpiewywał pod nosem nieprzyzwoity kuplet z jakiegoś teatryku. Stał przed lustrem, starannie rozczesując i przystrzygając baczki. Rackford po cichu spuścił się na dół i chwycił błyszczący zegarek na długim łańcuszku, który leżał na komodzie. Bez wątplenia Flash ukradł go komuś na ulicy. Urwał zwrotkę w połowie, dokładnie lustrując włosy wyrastające mu z nozdrzy. W chwilę później zaintonował wesoło następną linijkę. Rackford wycofał się tą samą drogą, którą przyszedł.

W kolejnym narożniku budynku drugi z Szakali, Baumer, wpadł w jego sidła.

Rackford zastał tego osiłka na barłózeniu się z potężną, rozłożystą ulicznicą. Żadne z nich nie spostrzegło, że wślizgnął się do mrocznego pokoju.

Na palcach podszedł do sterty porzuconej odzieży i sięgnął po małą, skórzaną sakiewkę, a na jej miejscu położył ukradziony Flashowi zegarek. Obejrzał się za siebie, gdy posapywania pary gigantów przybrały na sile, i niepostrzeżenie umknął. Żałował tylko, że nie będzie mu dane zobaczyć, jak Baumer sięga po mieszek, żeby zapłacić swojej wybrance.

Wreszcie znalazł się przy pokoiku na poddaszu, gdzie zamieszkał Krwawy Fred.

Nawet O'Dell bał się trochę tego człowieka. Raz po raz przebywał w Bedlam. Korytarz był pusty, bo reszta gangu wolała omijać Freddiego z daleka.

Kiedy Rackford poczuł woń palonego opium przenikającą przez szparę pod drzwiami, wiedział już, jak to rozegrać. Należało skłócić Baumera i Krwawego Freda. Znakomity pomysł!

Otworzył drzwi i spokojnie wszedł do środka.

Niski, żyłasty Fred z rudym wiechciem włosów i kozią bródką siedział na podłodze, patrząc bezmyślnie przed siebie niewidzącymi oczami. Wodna fajka leżała przy nim, przewrócona na bok. Powoli, z najwyższym wysiłkiem spojrzął na niego.

- Cześć, Fred - odezwał się cichym głosem Rackford, usiłując uniknąć wszelkich gwałtownych ruchów.

- Blade? - na twarzy Freda, spiętej, o zaostrzonych rysach, zarysowało się zaskoczenie. - Myślałem, że nie żyjesz!

- No, bo nie żyję i właśnie dlatego mogłem tutaj przyjść.

- To... to ty jesteś... widmem? - Półprzytomny mężczyzna z przestraczem oparł się plecami o łóżko. - A kysz!

- Nie bój się mnie, Freddie, Patrz, przyniosłem ci prezent.

- Mnie? Dlaczego?

- Bo ty i ja mamy tego samego wroga.

- Do... do czego... ty pijesz?

- Wkrótce się dowiesz. Masz, to dla ciebie. - Rackford pokiwał mu przed nosem sakiewką Baumera, a potem cisnął ją Freddiemu. Brzęknęła, padając na podłogę.

- Dlaczego dajesz mi tę forszę, Blade? - Fred z wysiłkiem macał wokoło, chcąc znaleźć sakiewkę. - Jeszcze nikt czegoś takiego nie zrobił.

- Zaslugujesz na nią.

- To ci dopiero! - sapnął Fred, gapiąc się na monety, które wysypały się między jego rozłożone szeroko nogi.

Rackford, korzystając z tego, że uwaga Szakala skierowana była na co innego, zręcznie zabrał mu drewniane pudełeczko, wypełnione najlepszym tureckim opium.

Powoli wycofał się z pokoju i poszedł podłożyć pudełeczko w największym z pomieszczeń, które niegdyś należało do niego. Teraz zajmował je O'Dell.

Uciekł stamtąd, uradowany własnym sukcesem. Już niedługo szajka odkryje kradzieżę i Szakale skoczą sobie do gardeł. A jeśli nawet Krwawy Fred będzie się upierał, że widział ducha Billy'ego Blade'a, reszta uzna to za halucynację nałogowego opiumisty.

Poczuł się pewnie i swobodnie, całkiem jak w swoim poprzednim wcieleniu.

Nieoczekiwanie zatęsknił za dawnymi kompanami, zwłaszcza za Nate'em, Odegnął jednak tęsknotę. Nie mógł sobie na nią pozwolić. Zrobił dla druhów wszystko, co było w jego mocy.

Teraz był samotny. Sam jak palec, pozbawiony kogokolwiek, komu mógłby zaufać.

Satysfakcja ze zwycięstwa się rozviała.

Uchwycił się wozu rozwożącego piwo, co nieraz robił, gdy był młodszy. Po jakichś dwudziestu minutach ponownie stanął przed ojcowską rezydencją. Wspiął się jeszcze raz po

murze i wrócił do swojej złotej klatki.

Następnego dnia Jacinda zaraz po śniadaniu wybrała się do biblioteki na rogu St. James Street i Pall Mail. Chciała dowiedzieć się czegoś o lordzie Rackford, sprawdzić jego tytuł w herbarzu Debretta. Wszystkie młode damy, mające co nieco oleju w głowie, wiedziały, że właśnie to szacowne dzieło dostarczy im wiedzy o pochodzeniu i przeszłości ich wielbicieli, jak również innych osób. Przerzucała cieniutkie kartki masywnego tomu tak gwałtownie, jakby jej życie od tego zależało.

Skoro Lucien nadal tkwił w swojej posiadłości na zachodzie, opasła księga była jej ostatnią nadzieją na potwierdzenie opowieści Blade'a. Damy, które miały nad nią czuwać, również zajęły się lekturą. Panna Hood siedła przy wielkim okrągłym stole i zagłębiła się w ostatnim numerze „La Belle Assemblee”. Kapelusz miała starannie zawiązany pod brodą, a na przedramieniu zawieszony złożony parasol. Lizzie, która oderwała się nareszcie od pielęgnacji Aleca, nigdy nie traciła okazji, żeby rzucić okiem na książki.

Założywszy okulary, szukała właśnie na półkach nowomodnych niemieckich filozofów, a gdy natrafiła na dzieło Goethego, wydała radosny okrzyk, który zmącił ciszę czytelników.

- Sza! - upomniał ją bibliotekarz.

- Och, przepraszam - szepnęła z roztargnieniem, cała czerwona.

Jacinda spojrzała na nią z rozbawieniem. Lizzie pokazywała jej Goethego z taką ekscytacją, że Jacinda tylko pokiwała głową, uśmiechając się z rozbawieniem do niepoprawnej sawantki. Stosunki między nimi zaczęły wracać do normy, odkąd zwierzyła się przyjaciółce ze wszystkiego.

Zeszłej nocy, gdy wrócili z balu, Alec dokuczał jej bez przerwy z tego powodu, że zatańczyła walca z lordem Rackfordem. Wzbudziło to niemałe zaskoczenie, nie mówiąc już o

żywym zaniepokojeniu Roberta.

Jacinda sądziła, że zdołała się uwolnić od podejrzeń, gdyż Bel ułagodziła niezadowolonego księcia. Ale później, kiedy kładła się spać, Lizzie przybiegła do niej w nocnej bieliźnie i zaczęła ją wypytywać.

W końcu Jacinda opowiedziała jej wszystko. No, prawie wszystko o tym, jak poznała Billy'ego. Przyznała się też do jednego jedyne go pocałunku, ale nawet najbliższej przyjaciółce nie śmiała wyjawić, do czego jeszcze się posunęli. Siedziały razem na łóżku, popijając czekoladę, i rozmawiały niemal do rana.

Poczuła się potem o wiele lepiej. Owszem, należało to zrobić już wcześniej, ale Lizzie zanadto wzięła sobie do serca jej postępek i pogniwała się na nią. Jacinda nie miała pewności, jak przyjęłaby jej opowieść bez upiększeń. Prócz tego Blade wyraźnie nie spodobał się Lizzie już podczas pierwszej wizyty w Knight House i nadal budził jej nieufność. Jeśli jednak zdołał ją powstrzymać od ucieczki i odwiózł bezpiecznie do rodziny, należało dać mu szansę. Jacinda była pewna dyskrecji przyjaciółki. Nawet gdyby Blade kłamał, Lizzie nie wydałaby go w ręce sprawiedliwości.

Przerzucała więc z bijącym sercem te karty u Debretta, które poświęcone były rodowi Albrightów, i wodziła palcem po wąskich kolumnach druku.

„Albright, lord William Spencer, urodzony 1788 w Perranporth, Kornwalia. Drugi syn markiza Truro i St. Austell. Kształcony w Eton. Zaginął w 1801 roku. Uznany za zmarłego”.

- No i?...

Uniosła głowę znad stronic. Lizzie stała obok niej z pytającym wyrazem twarzy.

Jacinda, z zakłopotaniem, wskazała jej odpowiedni paragraf.

Lizzie przeczytała go, zdjęła okulary, spojrzała najpierw na pannę Hood, a potem na

Jacindę, i orzekła:

- Wygląda na to, że mówił prawdę.

Jacinda przygryzła wargę. Ciekawe. Nie wiedziała, czy może dać wiarę jego opowieściom, ale musiała przyznać, że nagłe pojawienie się Rackforda wzbudziło niezaprzeczone podniecenie.

Czy jego nieprawdopodobna historia była prawdziwa? Jeśli istotnie był synem markiza, to jak trafił między złodziei? Naprawdę wyparł się swojej pozycji, żeby się zemścić na ojcu?

- Co zamierzasz zrobić? - spytała Lizzie, gdy Jacinda w końcu zamknęła z trzaskiem książkę.

- Zmuszę go do mówienia - oświadczyła z determinacją. - Muszę wiedzieć wszystko.

- Doprawdy, to nie fair z jego strony, żeby ani słowem nie wspomnieć, gdzie się podziewał przez piętnaście lat - mruknął gniewnie George Winthrop znad portwajnu.

- Nonsens, George - wycedził Acer Loring z wyniosłym uśmiechem. - Jeżeli Rackford chce być tajemniczy, wolno mu. Założę się, że swoim milczeniem dostarczył towarzystwu rozrywki, jakiej nie miało co najmniej od miesiąca, kiedy to Byron wypadł z łask socjety.

Obydwaj parsknęli cichym śmiechem.

- Chociaż muszę przyznać - ciągnął Acer, drapiąc się po gładko wygolonym policzku - że można by się zastanawiać, czy nasz nowy przyjaciel nie ma czegoś do ukrycia. Co ty na to, Rackford?

Grupka modnie ubranych dandysów czekała z niecierpliwością na odpowiedź.

Rackford chętnie by ich pozabijał, lecz zdołał powściągnąć gniew. I tak miał sporo szczęścia - żaden nie rozpoznał w nim obszarpańca, z którego natrzęsali się w Hyde Parku.

Uśmiechnął się nieszczercze, ale nie dał się sprowokować. Tylko na to czekali.

Nie wolno ci popełnić błędu, ostrzegał się w duchu. Loring doprowadzał go do szewskiej pasji. Ze też musieli się na niego uwziąć akurat w salonie lady Sudeby! W odróżnieniu od Cullena O'Della i jego Szakali, gładki, ulizany Acer Loring i jemu podobni doskonale umieli atakować jak podstępne gady. Rackford zbyt krótko obracał się pomiędzy arystokracją, żeby wiedzieć, jakiej reakcji od niego oczekiwano czy jak ma się bronić przeciw błazeńskim insynuacjom i obraźliwym docinkom. W dzielnicy nędzy, gdzie od ludzkiego szacunku zależało wszystko, musiałyby zabić za dużo mniejszą zniewagę. Kiedy poprzednio zbył burknięciem jednego z zuchwałych lalusiów, Acer zaczął się z niego naigrawać, mówiąc, że nie zna się na żartach. Zrozumiał, że próbują go sprowokować do wybuchu w nadziei, że zrobi z siebie durnia.

Nie ośmielił się zaatakować go otwarcie. Bali się go, czuł to. Tylko liczebna przewaga dodawała im tupetu. Musiał więc jakoś znieść ich docinki i czekać, aż reszta gości przybędzie na popołudniowe party do lady Sudeby.

Przyszedł tutaj tylko dlatego, że miał nadzieję ujrzeć Jacindę i pomówić z nią raz jeszcze. Zeszłej nocy wszystko spartaczył. Bał się jednak, że te rozpieszczone bękarty spróbują poniżyć go w jej obecności, zupełnie jak wtedy w parku.

Acer zaczął się chełpić swoim rasowym wierzchowcem. Rackford znów spojrzał ku drzwiom. Tylko nadzieja, że zobaczy Jacindę, powstrzymywała go od opuszczenia tego miejsca. Niestety nie pozostałoby to niezauważone. Kilka dam zaczęło go już wypytywać, dlaczego tak wcześnie opuścił wczoraj bal w Devonshire House.

Mężczyźni wspominali pobyt w Oksfordzie, dobrze wiedząc, że z nimi nie studiował.

Mnóstwo aluzji do kultury antycznej i łacińskie maksymy zdeorientowały go kompletnie.

Całkiem się pogubił, kiedy Acer i George zamienili między sobą kilka słów po francusku, śledząc kątem oka, czy zrozumiał, co mówią. Tkwił pomiędzy nimi, czując się jak idiota.

Wniosek nasuwał się sam - był ignoranckim prostakiem.

Nieźle.

Potem obydwaj zaczęli się dopytywać, kto szył mu ubranie.

- Zdaje się, że Stulz - odparł dość niezręcznie.

- Nie jest pan pewien, kto to robił? - zdumiał się George.

Acer roześmiał się, lustrując go wzrokiem.

- Doprawdy, Rackford, co za pomysł, żeby włożyć purpurową kamizelkę! Pański lokaj zasłużył na baty za to, że pozwolił panu wyjść z domu tak ubranym! Wieczorem nosi się tylko czerń i biel. Nie wie pan o tym?

- Tak? - Usiłował przyjąć impertynenckie słowa pobłaźliwie, ale że w każdej chwili spodziewał się Jacindy, ubodły go. Lękał się, że i ona spojrzy na niego ironicznie, choć rozglądając się po salonie, uznał, że jest ubrany równie dobrze, jak inni. W końcu ojciec zamówił jego stroje u Stulza. Jednorzędowy surdut i spodnie były konserwatywne, z czarnego jedwabiu, halsztuk- bez zarzutu, a przekłete buty wyczyszczone do połysku. No i co w tym złego, że włożył kolorową kamizelkę? Dlaczego, do licha, musi wyglądać dokładnie tak samo, jak inni? Ciekawe, co te bubki powiedziałyby na temat jego tatuaży!

- Dżentelmen powinien się ubierać u Westona na Conduit Street. Tylko on umie skroić strój, jak należy - pouczył go Acer. - Buty kupuje się u Hoby'ego, kapelusze u Locka.

Wszystko inne jest barbarzyńskie.

- No cóż, najwyraźniej mam w sobie coś z barbarzyńcy - ostrzegł ich z uśmiechem.

Jego cierpliwość była na wyczerpaniu.

- Racja - przytaknął Acer.

Rozległ się cały chór „ochów” i „achów” wszystkich tych, którzy chcieli zrobić na nim dobre wrażenie. Acer też się uśmiechnął nieszczercze, nieświadomy, jak niewiele

brakowało, by Rackford pchnął go na najbliższą ścianę.

W tejże chwili Jacinda, niby jego anioł stróż, weszła do salonu.

Serce zabiło mu gwałtowniej, kiedy ujrzał, jak z uroczym uśmiechem wita się z gośćmi. Niesforne złociste kędziory przytrzymała wstążka schodząca niemal nad samo lewe oko, pomarańczowa, jedwabna suknia obszyta była białą koronką. Szyję zdobił tylko pojedynczy sznur pereł, na rękach miała długie, białe, atlasowe rękawiczki. Barwny indyjski szal, który mienił się złotem, brązem i czerwienią, spływał z ramion, falując wokół smukłej figury.

Rackford oniemiał na widok głęboko wyciętego dekoltu. Nie mógł oderwać oczu od śmietankowej skóry, miękko wygiętego w łuk kręgosłupa, subtelnego zarysu ramion. Szal spływał po plecach aż do pasa, kiedy sunęła wzdłuż salonu.

Pozdrawiała gości serdecznie, co zrobiło na nim większe wrażenie niż wszystkie jej narzekania tamtej pamiętnej nocy.

Szybko otrząsnął się z początkowego oszołomienia. Wiedział, że Jacinda nim pogardza, ale sam fakt, że mógł ją zobaczyć, wpłynął na niego kojąco. Łatwiej mu teraz było się ruszać, łatwiej oddychać. Patrzył na nią zachłannie. Była ucieleśnieniem finezji. Każdy rozumny mężczyzna powinien o niej zapomnieć, gdyby go potraktowała tak, jak jego zeszłego wieczoru, lecz - paradoksalnie - właśnie z tego powodu Rackford pragnął jej jeszcze bardziej.

Serce załomotało mu, gdy jej rodzina wkroczyła do salonu. Nigdzie nie zauważył lorda Drummonda. Po chwili, która dłużyła mu się nieznośnie, Jacinda zbliżyła się do nich. Towarzyszyła jej jakaś młoda dziewczyna. Niestety nie zwracała na niego uwagi. O tak, wyraźnie wyczuwał bijący od niej chłód. Dandysi obsypywali ją komplementami, które zbywała śmiechem, mówiąc, że są absurdalne, i żartowała sobie z nich wesoło.

- Jas - spytał przeciągle Acer - co myślisz o kamizelce Rackforda?

Pozostali parsknęli śmiechem.

Powiodła po nim znudzonym spojrzeniem.

Popatrzył z nienawiścią na Loringa. Wiedział, że zaraz nastąpi chwila jego upokorzenia. Głupio postąpił, trzeba było wyjść wcześniej.

Jacinda obojętnie wzruszyła ramionami, odwracając się ku Loringowi.

- O co właściwie chodzi? -Jest purpurowa!

- Przecież widzę.

- To zbyt agresywny kolor.

Jacinda przez dłuższą chwilę mierzyła go wzrokiem, który ledwie potrafił wytrzymać.

Chętnie schowałby się pod ziemię. Nagle dostrzegł w jej spojrzeniu jakby iskierkę współczucia.

- Alec wcale tak nie uważa - pouczyła Acera powściągliwym tonem, wskazując ruchem głowy jasnowłosego mężczyznę o kulach.

Dandysi aż jęknęli.

- Czyżby lord Alec nosił ten kolor? - spytał zaniepokojony George Winthrop.

- Dziś nie, głuptasie, ale wspominał w zeszłym tygodniu, że zamówił taką. Będzie robił panu konkurencję, Rackford. - Uśmiechnęła się do niego dyskretnie, a oczy jej błysnęły porozumiewawczo. - Mój brat zawsze lubi wyprzedzać innych. To prawdziwa wyrocznia w sprawach mody.

Wiedział, że skłamała, żeby mu przyjść z pomocą i że zrobiła to niechętnie, o czym świadczyło przelotne, pełne wyrzutu spojrzenie. Mógł tylko na nią patrzeć z najwyższym zachwytem. Już chciała odejść razem z przyjaciółką, gdy postanowił działać.

- Lady Jacindo - zatrzymał ją - czy widziała już pani Canaletta lady Sudeby? -

Wskazał malowidło.

Podążyła wzrokiem za jego ręką. Nad gzymsem kominka wisiał w całej swojej świetlistej wspaniałości pejzaż włoskiego mistrza.

- Och, cudowny! - szepnęła jej towarzyszka, podchodząc bliżej.

Jacinda z trudem ukryła zaskoczenie.

- Ach, rzeczywiście! Słyszałam, że to płótno skradziono.

- Lady Sudeby dopiero co powiedziała nam - wzruszył ramionami, choć oczy mu się śmiały - że jakiś anonimowy dobroczyńca zdołał je odzyskać i zwrócić.

- Anonimowy dobroczyńca?

- Nie inaczej.

- Jakież to tajemnicze! Bardzo się cieszę, że obraz zwrócono właścicielowi... - Urwała, rzucając mu przebiegłe spojrzenie. - Nie wiedziałam, że zna pan lady Sudeby.

- To moja ciotka - odparł sucho. - Bliźniacza siostra mojej matki.

Zamrugła oczami ze zdumienia, a potem szybko przygryzła wargę, żeby ukryć radość.

- Niech pan pozwoli, moja najdroższa przyjaciółka, panna Elizabeth Carlisle.

Skłonił się przed jej towarzyszką.

- Panno Carlisle, bardzo mi miło.

- Jak się pan miewa, milordzie? - szepnęła z ukłonem. Poczul, że przypatruje mu się pilnie, kiedy pochylił się nad jej dłonią. Bodaj by go ziemia pochłonęła! „Najdroższa przyjaciółka” najwyraźniej pragnęła wyrobić sobie zdanie, czy wart jest względów jaśnie pani. Oznaczało to, że Jacinda naopowiadała jej o nim Bóg wie co, może nawet wspomniała o wczorajszych propozycjach.

Niech licho porwie kobiety! Nie potrafią trzymać języka za zębami. Te plotki mogą

niestety rozstrzygnąć o jego szansach u Jacindy.

Gdy znów się wyprostował, spojrzał na nią, zirytowany jej zachowaniem. Miał jedynie nadzieję, że panna Carlisle umie dochować tajemnicy.

Podano do stołu. Jacinda łaskawie przyjęła jego ramię i pozwoliła się zaprowadzić na miejsce. W luksusowo urządzonej jadalni blask kandelabrow odbijał się w pięknych srebrach i barwnie malowanej porcelanie. Rackford podsunął dziewczynie krzesło, czekając, aż usiądzie. Musnął palcami jej obnażone plecy i poczuł, że przebiegł ją dreszcz po tym przypadkowym dotknięciu.

- Wyglądasz zachwycająco - szepnął tak cicho, żeby słyszała go tylko ona.

Spojrzała na niego wyniośle. To było ostrzeżenie i upomnienie zarazem. Skinął jej głową i odszukał własne krzesło. Szybko się przekonał, że jego niemądra ciotka otoczyła go kobietami, które nigdy nie sprzeciwiłyby się konwenansom.

Jacinda siedziała naprzeciwko, dwa miejsca dalej. Srebrna zastawa przywiodła mu nagle na myśl instrumenty chirurga. Spojrzał na nią z odrazą.

Acer siedział tuż przy nim i przyglądał się mu z zaciekawieniem, jakby podejrzewał, że Rackford nie potrafi się posługiwać mnóstwem dziwnie wyglądających łyżeczek i widelczyków. Gdy wniesiono pierwsze danie, zrozumiał, obserwując innych, że obowiązek krojenia mięsa, które postawiono akurat przed nim, należy do mężczyzn.

Zerknął na dymiący udziec barani, ujął długi, ząbkowany nóż i spojrzał groźnie na Loringa. Nie potrzebował słów, żeby wyrazić nimi ostrzeżenie. Acerowi zrzędła mina, kiedy ujrzał, jak Rackford kroi pieczyście. Billy nie bez przyczyny nosił przydomek Blade! Miał nadzieję, że dandys zrozumie, co mu chciał w ten sposób przekazać.

Skończywszy, wbił w barani comber nóż niczym ozdobę i podał półmisek siedzącym koło niego debiutantkom. Spostrzegł, że Jacinda patrzy na niego ze zdenerwowaniem.

Wzruszył ramionami. Odwróciła wzrok, kręcąc głową.

Trzeba się było zabrać do jedzenia. Nie ze wszystkim potrafił sobie poradzić i znowu poczuł się jak uczestnik jakiejś oszukańczej gry. Nie wiedział, którym ze srebrnych sztuców powinien się posłużyć. Rzucił rozpaczliwe spojrzenie na innych gości. Wreszcie dostrzegł, że Jacinda zerka na niego znacząco.

Ktoś siedzący obok zadał jej pytanie. Z uśmiechem podjęła konwersację, a jednocześnie sięgnęła powoli po drugi widelec od lewej i pokręciła nim w palcach. Z ulgą dokonał właściwego wyboru. Dostrzegł, że przełomie spojrzała na niego, upewniając się, że nie popełnił kolejnego faux pas.

W jakiś dziwny, niewytłumaczony sposób zdołała przeprowadzić go przez wszystkie rafy trzygodzinnego obiadu, póki ten się wreszcie nie skończył. Damy się wycofały. Mężczyźni pozostali przy stole dłużej, popijając portwajn i sherry. Poznał wtedy Aleca Knighta, człowieka mniej więcej w jego wieku, i polubił go od razu.

W końcu wszyscy goście spotkali się ponownie w salonie, gdzie rozstawiono stoliki do wista. Debiutantki wołały popisywać się talentami muzycznymi przy pianoforte, grając lub śpiewając z akompaniamentem. Rackford stał w głębi, wsparty o ścianę, z kieliszkiem mocnego wina. Czekał na popis Jacindy, lecz ta wołała kręcić się to tu, to tam po całym zatłoczonym salonie.

Spojrzał jej w oczy, gdy przechodziła obok, ale ona tylko skromnie stanęła na uboczu, sącząc powoli wino. Udawał, że słucha muzyki, ale w istocie obchodziła go wyłącznie Jacinda.

Był tak blisko i nie mógł jej dotknąć. Co za tortura!

- Dziękuję za pomoc - powiedział półgłosem.

Zatrzepotała wachlarzem, nie patrząc na niego.

- Wiem, że ma mnie pan za głupiutką trzpiotkę, ale czasem moje trywialne

doświadczenie bywa pożyteczne.

- Nigdy bym pani nie nazwał głupiutką trzpiotką. - O tak, zrobiłby z niej użytek. Na

wiele sposobów. Za każdy z nich wymierzyłaby mu policzek.

- Czy ta uprzejmość oznacza, że postanowiła mi pani uwierzyć?

- Nie.

- A więc dlaczego mi pani pomogła?

- Stwierdziłam, że wstrzymam się z osądem do powrotu Luciena. I tylko tyle.

- To ładnie z pani strony.

- W każdym razie wstrzymam się z nim, póki nie... - Westchnęła. Udając, że przygląda

się jednej z debiutantek, spojrzała na niego ostrzegawczo. - Nie mam zbyt wiele czasu, ale

proszę nie sądzić, że chcę pana zniechęcić. Pańska sytuacja przedstawia się żałośnie. Nie

zdoła pan poradzić sobie w towarzystwie. Z powodów, których na razie nie chcę ujawniać,

gotowa jestem panu pomóc. Proszę mnie odwiedzić jutro o pierwszej.

Był zaskoczony, nie wiedział, co powiedzieć. Jacinda rzuciła mu zachęcające

spojrzenie, a potem odeszła, gawędząc po drodze z różnymi osobami.

Popatrzył w ślad za nią. Czy rzeczywiście jego sytuacja przedstawiała się żałośnie? I

jak ktokolwiek mógł uznać podobne słowa za zachętę? Zdusił cisnący mu się na usta uśmiech

i nadal popijał swoją sherry. Był zbyt szczęśliwy, żeby się czymkolwiek przejmować.

Nazajutrz, za pięć pierwsza, wspaniały czarny powóz z herbem Albrightów na drzwiczkach wjechał przez wielką bramę Knight House. Jacinda stała w oknie i patrzyła przez nie dostatecznie długo, by zauważyć, że woźnica i lokaje mają na sobie brązowe liberie z białymi koronkowymi żabotami oraz czarne trój graniaste kapelusze. Czarną uprząż czterech wspaniale dobranych karych koni zdobiły piękne, czerwone hafty, migocące w słońcu.

Podniecona, pobiegła do salonu, aby powitać gościa.

Wątpiła jednak, czy Rackford ma na tyle obycia, aby zauważyć, że zaproszono go w porze zarezerwowanej na odwiedziny najbardziej zaufanych przyjaciół. Ceremonialne wizyty składano bowiem w godzinach popołudniowych. Chciała go zachęcić do opowiedzenia o sobie, ale nagle przyszło jej do głowy, że może jej to zająć cały dzień. Pogoda była słoneczna, postanowiła więc, że wybiorą się do Green Park, gdzie będą mogli porozmawiać na osobności. Zawczasu pozbyła się panny Hood, wysyłając ją z domu pod jakimś błahym pozorem. Miała jej towarzyszyć Lizzie, o wiele sympatyczniejsza przyzwoitka niż czujna i sroga guwernantka.

Słyszała, jak Walsh na dole otwiera drzwi, wślizgnęła się zatem do salonu, gdzie Bel i Lizzie siedziały przy szyciu. Pospiesznie usadowiła się we wdzięcznej pozie na sofie, wyglądając dokładnie suknię. Lizzie, wtajemniczona, spojrzała na nią żywo, lecz Bel, skupiona na swojej robótce, starannie nawlekała igłę. Na szczęście Robert bawił u White'ów, chociaż jego obecność z pewnością nie byłaby przeszkodą dla Billy'ego Blade'a.

Serce zabiło jej żywiej, gdy usłyszała pewne siebie, mocne kroki Rackforda, a jeszcze wcześniej pełne godności, dostojne stąpanie Walsh'a po krętych marmurowych schodach. Po chwili kamerdyner zastukał do drzwi salonu i otworzył.

Wszedł, odsunął się na bok i złożył ukłon Bel, pani domu.

- Wasza miłość, przybył lord Rackford.

Może coś z niego będzie, pomyślała, patrząc na przybyłego z uznaniem. Ubrał się bowiem - z pewną niedbałą elegancją - w dwurzędowy żakiet o głębokiej barwie ciemnego błękitu, nieskazitelnie białą kamizelkę, wytworny halsztuk i przylegające do ciała spodnie w śmietankowobeżowym odcieniu.

Uchylił cylindra i wszedł do środka, pozdrawiając damy we właściwej kolejności. W jednej ręce trzymał laseczkę zakończoną srebrną gałką, w drugiej zaś ogromny bukiet, który podał jej z ukłonem.

- Jakie to miłe z pana strony! - zawołała Bel. Lizzie również patrzyła na kwiaty z zachwytem. Jacinda zarumieniła się, wciągając w nozdrza ich aromat. Gdy inni wymieniali grzeczności, poprosiła służbę, żeby wstawiono bukiet do wazonu. Bez trudu uzyskała też zgodę Bel na spacer z gościem w towarzystwie Lizzie. Najlepsza przyjaciółka zagłębiła się w lekturze, idąc o kilka kroków przed nimi, zbyt honorowa, by podsłuchiwać.

- Czy zamierza pani doprowadzić mnie do szaleństwa, czy też postępuje pani tak z natury? - spytał przenikliwym szeptem, z uznaniem przyglądając się starannie wybranej sukni spacerowej z małym, dopasowanym i stanowczo zbyt śmiało wydekoltowanym stanikiem oraz długą, białą spódnicą. Ponieważ strój miał krótkie rękawki, Jacinda włożyła do niego długie, białe rękawiczki i przejrzysty różowy szal udrapowany zręcznie na ramionach. Jego koniec, falując na wietrze, sięgał jego skóry.

- Ależ Williamie - skarciła go, po raz pierwszy zwracając się do niego po imieniu. Zerknęła na niego spod okrągłego kapelusika, przybranego sztucznymi żonkilami i różowymi wstążkami.

Uśmiechnął się ze skruchą, ale też i z rozbawieniem.

- Znakomicie. Już więcej nie będę.

Siliła się, żeby zachować pozory chłodu, ale puls uderzył jej mocniej. Zagłębili się w park, stąpając po obsadzonej drzewami ścieżce. Rackford podpierał się laseczką. Jacinda robiła to samo, posługując się parasolem.

- Dziękuję za kwiaty.

- To najskromniejszy wyraz wdzięczności za wczorajszą pomoc. Nie spodziewałem się jej zresztą.

- Przecież to takie proste! Jako dama mam obowiązek pomagać słabszym. Proszę mi wybaczyć te słowa, ale bez tego zostałby pan wręcz pożarty żywcem. A więc zdecydowałam się panu pomóc, lordzie Rackford. Dlatego też zaprosiłam tu pana.

- Pomóc mi? W jaki sposób?

- Ucywilizuję pana.

- A, rozumiem. - Uśmiechnął się niewyraźnie. - Intrygująca propozycja.

- Sądzę, że może się też okazać interesująca.

- Zostanę pilnym uczniem, milady. Będę woskiem w pani rękach.

Jacinda nie była tego pewna. Każde jego słowo brzmiało jak podszyte jakąś zuchwałą, cyniczną insynuacją. A może ponosi ją wyobraźnia. Postanowiła pominąć to milczeniem.

- Nim zaczniemy, muszę się jednak wszystkiego dowiedzieć.

- Co pani ma na myśli, mówiąc „wszystko”?

- Chcę poznać pańską przeszłość.

- Już ją pani poznała.

- Niezupełnie. Jakim sposobem młodszy syn lorda Truro po ucieczce z domu został przywódcą Ognistych Sokołów? Co zaszło między tymi wydarzeniami?

- To nie ma nic wspólnego z pani zamiarem „ucywilizowania” mnie.

- Rzeczywiście - przyznała z niewinnym uśmieszkiem. - To jedynie zapłata, jakiej

żadam za moje usługi.

- Usługi? Nie mam ochoty, żeby mi ktoś usługiwał, milady.

- Ależ musi mi pan powiedzieć, bo inaczej umrę z ciekawości!

- W porządku. Jeśli tak, pozna pani moją niewesołą historię, lecz najpierw zadam pani jedno pytanie.

- Jakie? - spytała podejrzliwie.

Obrócił się ku niej i stanął tak, żeby widzieć jej twarz.

- Nie uważa pani, że to okrucieństwo wykorzystywać w ten sposób starego człowieka?

Oskarżenie zdumiało ją. Wiedziała, że Rackford ma na myśli lorda Drummonda.

- Wcale go nie wykorzystuję.

- Właśnie że tak.

- Nie!

- Nie dam sobie wmówić, że się pani w nim zakochała. Obydwoje wiemy, o co naprawdę chodzi. O pani wolność.

Spojrzała na niego z zakłopotaniem.

- A zatem pan... odgadł mój zamiar?

Skinął głową.

- To bardzo ryzykowne. On także mógłby się domyślić pani prawdziwych motywów. I co wtedy?

Odwróciła się od niego ze złością.

- Nic podobnego. Między mną a nim nie byłoby żadnych sentymentalnych nonsensów.

Lord Drummond nie jest głupcem. Miałby za to towarzystwo na starość. Był zresztą niegdyś wielbicielem mojej matki. Teraz jest samotnym starym człowiekiem, o którego nikt nie dba.

Dałabym mu szczęście.

- A czy on by je pani dał?

- Nie potrzebuję, żeby mężczyzna dawał mi szczęście, lordzie Rackford.

- A miłość?

- Miłość? - zaśmiała się krótko. - To jedyny luksus, na który mnie nie stać.

- No, no - rzekł miękko, ale z wyrzutem - cóż się stało z moją małą romantyczką?

- Zna pan to przysłowie? „Lepiej być pieszczoszką starego niżli niewolnicą młodego”

- wyrecytowała z błyskiem w oku.

- W takim razie niech pani za niego wyjdzie - prychnął. - Za oschłego, głupiego starucha. A on sprawi, że przestanie pani czuć cokolwiek. Nie pojmuję, dlaczego wolność aż tyle dla pani znaczy.

- Powiem panu, dlaczego. Bo nie mam zamiaru kochać kogoś tylko po to, żeby mnie potem porzucił - odparła ostro. Zdając sobie sprawę, że zabrzmiało to bardziej porywczo, niż zamierzała, spuściła oczy. Utkwiła wzrok w ścieżce.

- Porzucić?

- Tak - odparła zgryźliwie. Przez chwilę próbowała się pohamować, ale nie zdołała tego zrobić. - Dobrze wiem, jacy są mężowie z towarzystwa. Jeden w drugiego taki sam! Dają swoim żonom piękne domy, a potem trzymają je w nich jak w klatkach pod pozorem, że chcą im zapewnić bezpieczeństwo. Sami podróżują po świecie, mają przygody, wiodą ciekawe życie. Kobietom zostają partyjki kart, wieczorki i ploteczki przy herbatce. Nie, dziękuję! Nie zmarnuję życia na udawaniu, że interesuje mnie tylko najnowszy fason kapeluszy i największy skandal miesiąca. Chcę żyć, jak mi się podoba, na własną rękę, nie tłumacząc się przed nikim. A jeżeli w tym celu musiałabym poślubić starca, zrobię tak. Im szybciej, tym lepiej! - Urwała nagle, zdając sobie sprawę, że niemal krzyczy, z falującą piersią i zaczerwieniona. - Przepraszam - wykrztusiła i odwróciła się, zgnębiona i przerażona swoim

wybuchem. Rackford łagodnym ruchem ujął ją za ramię.

- Gdyby pani wyszła za mnie - powiedział półgłosem, zaglądając jej w oczy -

zabrałbym panią ze sobą, jeśli przyszłaby mi ochota na podróż.

- Nie, Billy - odparła z bólem, odsuwając jego rękę. - Niech pan tak na mnie nie patrzy

i nie wspomina o małżeństwie. Ja jedynie przysporzyłabym panu bólu. Mogę być z panem w

przyjaźni, a pan może moją przyjaźń przyjąć albo odrzucić. Jeśli się pan na to nie godzi...

- Powoli, moja droga. - Rackford zniżył głos, ponownie zaglądając jej w oczy. - Nie

bój się mnie. Zrobię... co tylko będziesz chciała.

Odwzajemniła mu się równie przenikliwym spojrzeniem. Zaofiarował jej przyjaźń.

Kiwnął głową i na potwierdzenie swoich słów ujął ją za rękę, chcąc iść dalej. Jacinda nie

ruszyła się z miejsca.

Patrzył na nią pytająco przez dłuższą chwilę, a potem przysunął się bliżej i uniosł

palcem lok opadający jej na twarz.

Drgnęła i przymknęła oczy, przesuwając policzkiem po jego dłoni.

-Billy...

- Słucham.

Kiedy znowu uniosła powieki, spojrzeli na siebie nawzajem, Zatrzymała wzrok na

jego wargach, a potem odruchowo przylgnęła do niego. Nagle ciche „hm!” rozległo się parę

metrów dalej.

Dyskretne ostrzeżenie Lizzie wyrwało obydwójce z transu. Jacinda popatrzyła na nią z

zakłopotaniem, lecz Lizzie znów schowała nos w książce, jak gdyby nigdy nic.

Zarumieniona Jacinda zmięta w palcach koniuszek szala i odchrząknęła.

- Proszę mi wybaczyć, nie wiem, dlaczego właściwie rozmowa zeszła na moje

prywatne sprawy. Miałam przecież usłyszeć, jak się pan znalazł w złodziejskiej szajce.

Spojrzał na jej przyzwoitkę, a potem, z nieco sztucznym uśmiechem, spytał:

- Dlaczego panna Carlisle również nie miałyby tego usłyszeć? Oszczędziłoby to pani fadygi powtarzania jej później wszystkiego...

Koralowe wargi Jacindy ułożyły się w kształt litery O. Ku jego satysfakcji i rozbawieniu nie próbowała mu się nawet przeciwstawiać, tylko z nadąsaną miną skinęła na przyjaciółkę.

Doprawdy, ubawią się obie pierwszorzędnie jego kosztem, pomyślał z sarkazmem.

Jednak był rad, kiedy obydwie zasiadły na ławce i nieruchomo, niczym posłuszne kotki, czekały na jego opowieść.

Wzruszyła go ich troska i dlatego starał się złagodzić brutalność swoich

młodzieńczych perypetii, całkiem jakby opowiadał im jakąś historię wyczytaną w książce.

Nie rozwodził się więc nad opisem tego, jak dotkliwie pobił go ojciec tego pamiętnego dnia.

Skupił się raczej na tym, jak z Kornwalii przedostał się do Londynu, unikając głównych traktów i wędrując nocami, żeby umknąć ludziom, których ojciec wysłał jego śladem. Mówił o swojej pierwszej samotnej nocy spędzonej wśród korzeni starego dębu, gdy wstrząsany dreszczami wpatrywał się w księżyc. Ciemnobłękitne chmury wokół niego przypomniały mu ukochane morze z jego fokami, syrenami i starymi legendami. Wspomnił, jak przysiągł, że już nigdy jego noga nie postanie w Kornwalii. A potem jak ruszył do Londynu, żeby szukać tam lepszego losu.

Dziewczęta słuchały go w napięciu i ze wzruszeniem.

Przez kilka dni uparcie szedł na wschód, polami albo bocznymi drogami, pijąc wodę z wiejskich studni. Odkrył, że pani Landry, kucharka, wsunęła mu ukradkiem do tobołka małą sakiewkę z pieniędzmi - zapewne połową oszczędności całego życia. Chociaż starał się ich nie wydawać, szybko się skończyły, a brzuch bolał go z głodu tego dnia, kiedy wreszcie

dotarł do wiosek pod Londynem. Wyglądał załóżnie, był wynędzniały, zmoknięty, a oko wciąż jeszcze okolone było siniakiem. Niezdrową ciekawość wzbudziły w nim wtedy zwłoki przestępców, powieszonych na szczycie pobliskiego pagórka, których nie zdjęto z szubienicy ku przestrodze. Kiedy miał już dość patrzenia, jak dyndają na sznurach, ruszył ku miastu, zastanawiając się, co tam będzie robił.

Myślał o zaciągnięciu się do armii, ale szybko zrozumiał, że musiałby pokazać oficerowi świadectwo urodzenia. Rekrut musiał mieć piętnaście lat, a on liczył ich sobie tylko trzynaście. Próbował nająć się do pracy przy koniach, lecz dorośli dżokeje sięgali mu ledwie do brody; był za wysoki. Kiedy chciał zyskać jakieś uczciwe zajęcie, dowiedział się, że najpierw powinien zgłosić się do urzędnika miejskiego i znaleźć sobie mistrza, a potem terminować u niego przez siedem lat. Nie starczyło mu cierpliwości.

Nie miał co jeść, zabrakło mu pieniędzy i pomysłów. Schronił się przed deszczem w karczmie, gdzie życzliwy szynkarz powiedział mu o pobliskiej cegielni, gdzie mógłby zarobić na wikt i mieszkanie jako najemnik. Poszedł, gdzie mu wskazano, i bez trudu znalazł cegielnię, wielką i pełną ludzi. Zdołał w niej przepracować tylko jeden dzień.

Kiedy tylko ujrzał kierujących chłopcami nadzorców, od razu wiedział, że długo tam nie wytrzyma. Ale nie miał wyboru, postanowił nauczyć się wyrobu cegieł, „wysoki wzrost i mocna budowa sprawiły, że go przyjęto.

Praca ta, jak wyjaśnił dziewczętom, była prosta. Polegała głównie na ostrożnym przenoszeniu świeżo uformowanych cegieł w dość odległe miejsce, gdzie miały się suszyć. Dźwigali je więc tam i z powrotem, w długim rzędzie, niczym mrówki. Była to brudna i ciężka robota dla chuderlawych chłopców w wieku dojrzewania. Chociaż nie wolno im było rozmawiać ze sobą, jeden z kolegów szybko zwrócił jego uwagę - słabowity, kędzierzawy sierota w zielonym ubraniu z przytułku. Nie mógł sobie poradzić z ciężkimi cegłami i wciąż

je upuszczał, a one zamieniały się w wilgotną stertę mazi.

Dziewczęta chciwie słuchały, kiedy im opisywał, jak trudno mu było wytrzymać, gdy wielki, opasły nadzorca łajał nieszczęśnika za niezdarność.

- Kiedy zobaczyłem, że znów go uderzył, coś we mnie pękło.

Obydwie westchnęły. Pokiwał głową i powiedział im, jak cisnął wilgotną cegłą w nadzorcę.

- Trafiła go w plecy, aż się zachwiał, i zabrudziła mu koszulę.

Rozwścieczony nadzorca był przeszło pół metra wyższy od niego, ale nie pohamowało to gniewu Billy'ego Albrighta.

„Zostaw go w spokoju!”, wrzasnął.

Właściciel cegielni wybiegł ze swego kantoru i przedarł się przez szereg chłopców.

Sierotę z przytułku i jego samego zabrano tam, nawymyślano, ile wlezie, i wyrzucono z pracy.

-W ten właśnie sposób - zakończył - poznałem Nate'a Hawkinsa. Cały czas narzekał, że przeze mnie stracił posiadłość - Rackford powiedział to z uśmiechem. - Ale przyłgnęliśmy do siebie. Był sierotą, lecz wolałby zdechnąć niż wrócić do przytułku. W końcu stary szynkarz, Sam Burroughs, zatrudnił nas jako pomocników w karczmie. Spaliśmy u niego na górze w przybudówce, razem z kurami i kozami, ale było nam tam dobrze, bo mieliśmy życzliwego pracodawcę i jedzenia w bród.

Pewnej deszczowej nocy zawitali tam trzej mężczyźni w czarnych płaszczach.

Natychmiast rozpoznał w nich służących ojca. Pytali starego Sama, czy nie widział jasnowłosego trzynastolatka o zielonych oczach. Billy po cichu wycofał się na zaplecze, postawił tacę z kufkami na podłodze, szarpnął Nate'a za koszulę i uciekli.

Zawędrowali do samego centrum miasta, żeby żebrnąć o żywność. Po kilku dniach

zdołali się zaciągnąć na łódź rybacką. Przydzielono im najgorsze zadania: smołowanie pokładu, patroszenie ryb i czyszczenie dna.

- Nate nienawidził tej pracy. Kapitan był porządnym człowiekiem, ale załoga prostacka. Baliśmy się ich i szybko okazało się, że nie bez racji.

Po dwóch tygodniach morderczej harówki dostali po kilka szylingów i pozwolono im zejść na ląd. Tej samej nocy doszło do kłótni między nimi a pijanym matem. Dziewczęta oniemiały, gdy im opisał, jak wyciągnął nóż i chciał chłopcom zabrać wypłatę.

- Nie mieliśmy wyboru, trzeba mu było oddać pieniądze. Groził nam, że jeśli poskarżymy się komuś, wypruje z nas flaki i nakarmi nimi ryby.

- Okropność! - wykrzyknęła Jacinda.

- Uznaliśmy, że mądrzej będzie nie wracać już na łódź. O świcie siedzieliśmy nad brzegiem rzeki, rozmyślając o naszym losie. I wtedy zobaczyliśmy, jak w porze odpływu brodzą w wodzie wynędzniali smarkacze.

Byli to najbiedniejsi z biednych, żebrzące dzieci, które każdego dnia przeszukiwały wybrzeże, próbując znaleźć zgubione monety, bryłki węgla, które spadły z barek, czy w ogóle cokolwiek wartościowego, co mogłyby odsprzedać za parę groszy. Tego ranka Billy i Nate, nie wiedząc, co ze sobą począć, zakasali spodnie i przyłączyli się do nich. Wkrótce potem podszedł do nich młody chłopak.

- Co tu robicie, łobuzy? - spytał wojowniczo. - Jestem Cullen O'Dell i to mój kawałek brzegu!

Zrobił na nich duże wrażenie. Rodowity londyńczyk, urodzony i wychowany w stolicy, wiedział, jak sobie dać radę. Choć poznali go przy grzebaniu w mule, było to dla niego jedynie uboczne zajęcie. Zwykł twierdzić, że zręczny chłopiec może żyć w tym mieście po królewsku. Ku ich zaskoczeniu zaofiarował im pomoc, kiedy mu opowiedzieli o sobie.

Znał pewnego zacnego starego dżentelmena, który gotów byłby im zapewnić wikt i nocleg.

Nie bardzo mu wprawdzie wierzyli, lecz poszli za nim. Miejsce, o którym wspominał, okazało się zapuszczoną rudera, a zajęciem starszego pana było kształcenie młodych złodziei.

Dopóki dzieci, pozostające pod jego wątpliwą opieką, przynosiły mu sakiewki, zegarki, jedwabne chustki i inne zdobycze, dawał im do woli chleba, mleka czy rosółu, żeby mogły przeżyć, a także kąt do spania.

- Mój Boże! - westchnęły obydwie.

- Tego samego dnia Nate i ja poszliśmy razem z innymi obejrzeć egzekucję w

Newgate. Pamiętam to, jakby zdarzyło się wczoraj. Zebrały się tam setki ludzi. Nigdy przedtem nie widziałem, jak kogoś wieszają, ale pouczono nas, że mamy się nie gapić na widowisko, tylko uczyć się od O'Della i innych.

Chłopcy wmieszali się w tłum i okradali gapiów. Rackford pamiętał, jak skręcało go ze strachu, że ich złapią, ale wszystkim udało się uciec. Uznali to nawet za zabawne. Młodzi złodzieje nie czuli ironii losu w fakcie, że okradają londyńczyków podczas wieszania trzech rabusiów, ale on i Nate - owszem.

Po skończonej „robocie” wrócili wszyscy do rudery. Złodzieje gawędzili między sobą o tym, jak bardzo rad będzie stary pan, tylko Billy milczał, przerażony tym, co mogło im grozić, gdyby ich przyłapano.

- Spytałem ich nagle, dlaczego oddają cały łup opiekunowi, skoro to oni ponoszą całe ryzyko. Zastanowili się, kiedy im wyjaśniłem, że wydatki na żywność i dom są zaledwie drobną częścią wartości zdobyczy.

Ci chłopcy nie umieli nawet liczyć i nie mieli pojęcia, ile są warte kradzione przez nich rzeczy. Głodni i ubodzy, nie wiedzieli też, że jedzenie, które im wydziela stary człowiek, jest skąpe i nędzne.

- Byli pełni złości, kiedy im to wyjaśniłem. A kiedy się dowiedzieli, ile nieświadomie stracili, oddając mu wszystko, i ile by za to można kupić, właśnie O'Dell doszedł do wniosku, że już nie powinniśmy tam wracać, tylko założyć własną bandę. I tak zrobiliśmy.

- Boże święty! - wykrzyknęły.

- Był pan w jednej szajce z O'Dellem? - spytała Jacinda.

Rackford przytaknął.

- Był kutym na cztery nogi ulicznikiem, ja chodziłem do szkół. Dawało nam to przewagę nad innymi. Ja wymyślałem rozmaite sztuczki, a O'Dell nakazywał reszcie, żeby je wcielali w życie.

- Jakie sztuczki? - spytała z uśmiechem Jacinda.

- Niech trochę pomyślę. - Potarł podbródek. - Najbardziej lubiłem udawać kominiarczyków. Wchodziliśmy do domów pod pozorem czyszczenia kominów, ale w istocie sprawdzaliśmy, czy da się tam włamać. Patrzyliśmy, gdzie są wyjścia i wejścia, gdzie mieszkańcy trzymają wartościowe przedmioty i czy mają psa. Takie rzeczy.

Dziewczęta zaśmiały się, nieco zgorszone.

- Dopóki ja byłem mózgiem szajki, a O'Dell jej ramieniem, wszystko szło dobrze, ale pewnej nocy to się zmieniło.

- Co się stało?

Milczał przez chwilę, dobierając starannie słowa. Nie chciał urazić ich uczuć, wspominając mężczyzn, którzy mogą posłużyć się dzieckiem, nawet chłopcem, we własnych niecnym celach.

W gruncie rzeczy żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, jak łatwo można ich skrzywdzić. Spali w swojej kryjówce, starym warsztacie nad rzeką. Nikt nie usłyszał, jak w środku nocy wkradł się tam mężczyzna, zwany Żółtą Laską.

Wszyscy ulicznicy wiedzieli, że należy trzymać się z dala od tego człowieka. Zyskał swój przydomek dlatego, że zawsze miał ze sobą elegancką żółtą laseczkę. Paznokciec na jego małym palcu był pomalowany i to nim się posługiwał, kiedy zażywał tabaki. Billy często widział, jak krążył pomiędzy karciarskimi spelunkami i podejrzanymi burdelami.

Tej nocy coś go wyrwało ze snu. Zerwał się na wpół przytomny i ze zgrozą spostrzegł, że Żółta Laska przykłada nóż do szyi O'Della, zmuszając go, żeby poszedł za nim. Wciąż jeszcze pamiętał stężałą, zalaną łzami twarz O'Della.

Zerwał się z wrzaskiem i, co było raczej niemądre, rzucił się do ataku. Żółta Laska przestraszył się i O'Dell zdołał odepchnąć jego rękę. Mężczyzna próbował uciec, lecz Billy skoczył na niego, sięgając po jego nóż. Walka trwała krótko, bo krzyk obudził resztę chłopców. Wszyscy wrzeszczeli. O'Dell złapał osławioną żółtą laseczkę i zaczął nią łać jej właściciela. Następną rzeczą, którą Billy sobie przypominał, był nóż trzymany w ręce. Gdy dandys sięgnął do kieszeni po pistolet, Billy dźgnął go w szyję.

- Lordzie Rackford... - Jacinda delikatnie dotknęła jego ramienia. Powrócił do rzeczywistości. - Co się wtedy stało? - powtórzyła.

Uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Ktoś zaatakował O'Della, a ja go uratowałem.

Czarne oczy Jacindy błysnęły, jakby przeczuła, że przemilczał najgorsze, ale nie nalegała.

- Od tego czasu inni widzieli przywódcę we mnie. O'Dell nie zniósł tego upokorzenia.

Zawsze uważał, że to on z nas dwóch ma więcej krzepy. No i znenawidził mnie. W końcu porzucił naszą bandę i stał się przywódcą innej, nowej. Reszty dokonała nędza. Nękała go całe życie, aż w końcu zniszczyła. Co było dalej, już panie wiedzą.

Dziewczęta spojrzały na siebie, a potem na niego. Jacinda pogładziła go po ramieniu

ze współczuciem.

- Przykro mi, że życie tak się z panem obeszło, Billy.

- Mnie też - dodała cicho Lizzie.

- Teraz lepiej mi się wiedzie - powiedział, siląc się, żeby wypadło to pogodnie. - Co prawda znalazłem się znowu we władzy ojca, ale Nate i pozostali żyją. Tylko to się liczy. -

Spojrzał zaszępioty gdzieś w przestrzeń, usiłując się pozbyć poczucia winy. - Wynająłem przez pośrednika pewną posiadłość w Australii. Zamierzam ją kupić i założyć tam plantację, tak żeby mogli odbywać karę w miejscu, gdzie będą traktowani po ludzku. Tyle że muszę działać jako anonimowy dobroczyńca. Nigdy się już nie zobaczymy. Ogłoszono przecież, że „Billy Blade nie żyje”.

- To smutne - szepnęła Jacinda. - Byli panu bliscy.

- W każdym razie uratowałem ich od stryczka. Ale nadal -patrzył, zamyślony, na poruszane wiatrem gałęzie - wydaje mi się, że to za mało. Ja siedzę sobie w parku z dwiema pięknymi damami, a oni, zakuci w kajdany, popłynęli tam na jakimś statku--więzieniu.

- Zrobił pan, co mógł - uznała Lizzie.

- Ocalił im pan życie - zawtórowała jej Jacinda.

- Wie pan, co należałoby zrobić? - spytała nagle Lizzie.

- No co?

Lizzie spojrzała przed siebie, przygryzając palec.

- Coś podobnego, Lizzie wpadła na jakąś myśl! - zawołała z ożywieniem Jacinda. -

Czy mówiłam panu, że ona jest prawdziwym geniuszem?

- Nic mi pani o tym nie wspominała.

- Kiedy już pan kupi tę plantację, należy tam wysłać nauczyciela, żeby ich wyedukował. Rzemieślnicy nauczą ich godziwych zajęć. Tym sposobem, kiedy odbędą

wyrok, znajdują nowe miejsce w życiu.

- Hm. Obawiam się, że sobie nie poradzą. To nie chłopcy. Nie można nauczyć starego psa nowych sztuczek.

- Kiedy Lizzie świta pomysł, zazwyczaj okazuje się trafny. Zgadza się z nią - wtrąciła się Jacinda. - A poza tym... jest jeszcze coś, co może ich całkowicie odmienić.

- Co takiego?

- Zony. Trzeba tam posłać kobiety.

Rackford i Lizzie jednocześnie wybuchnęli śmiechem.

- Zony?!

- Dlaczego nie? Przecież ktoś, kto musi dbać o żonę i dzieci, będzie mniej skłonny ryzykować życiem jako przestępca. Ma więcej do stracenia. Założę się, że za kilka lat przeobraziliby się w godziwych ludzi.

- Może istotnie tak by się stało - mruknął Rackford. Uradowała go myśl, że Nate, Sarge, Plaherty, Andrews i cała reszta mogliby się stać mężami i ojcami. Spojrzał na Jacindę. Wyglądała właśnie suknię i wyglądała na zadowoloną. - Myślę, że obydwie panie są genialne.

Dziewczęta wymieniły rozbawione spojrzenia. Spodobał im się ten komplement.

Była to przyjaźń spleciona z pożądaniem. W następnych tygodniach Jacinda robiła, co mogła, żeby „ucywilizować” Rackforda, choć w gruncie rzeczy wcale nie chciała go całkowicie poskramiać. Nie, nie teraz, kiedy wręcz się pławiła w jego podniecających, choć niebezpiecznych względach. Flirtował z nią otwarcie, kiedy tylko nadarzyła mu się sposobność. I chociaż udawała, że ją to drażni, bardzo jej odpowiadało, że jest obiektem jego ciągłych zabiegów.

Uznała, że nie będzie brać tych uwodzicielskich zapędów zbyt serio, ale dodawały one jej życiu atrakcyjności, której przedtem zdecydowanie mu brakowało. Gdy choć przez chwilę pozostawali sami, zawsze starał się jej dotknąć - gładził jej policzek, żartobliwie pociągał za pasemko włosów albo z galanterią całował ją w rękę. Tak się jakoś dziwnie składało, że nigdy nie miała powodu, żeby głośno zaprotestować, mimo że niekiedy ostentacyjnie okazywała gniew, gdy komplementy stawały się niebezpiecznie śmiałe. Stanowczo należało trzymać go w ryzach.

Na szczęście obecność Lizzie pomagała jej łagodzić napięcie, które sprawiało, że stale coś iskrzyło między nimi. Owinął sobie wokół palca pannę Hood, ale najlepiej czuł się w męskim towarzystwie. W końcu nawet jej bracia zaczęli traktować go przyjaźnie (choć nie bez rezerwy), zresztą głównie dzięki temu, że Lucien ręczył za jego charakter.

Nie wiedziała jednak, czy wyjawiał im już swoje zamiary i czy poprosił Roberta, by wolno mu było ubiegać się o nią...

Rackford nie miał wyboru. Jacinda nie skończyła jeszcze dwudziestu jeden lat, nie mogła więc wyjść za mąż bez zgody opiekunów. Nie mówiąc już o tym, że zastęp groźnych starszych braci zdolny był położyć kres jego zalotom, nim się jeszcze na dobre rozpoczęły. Nie chciał robić sobie z nich wrogów. Wiedział, że jedynym wyjściem z sytuacji jest działać

otwarcie, udowodnić swoją wartość i zyskać sobie ich uznanie, a tym samym zrównać się z nimi.

Poprosił zatem o spotkanie z księciem Hawkscliffe w dniu, w którym, jak się wcześniej upewnił, Jacinda miała pójść na zakupy ze swoją bratową i uroczą panną Carlisle. Być może Hawkscliffe domyślał się powodu wizyty, gdyż, kiedy Rackford wszedł do jego gabinetu, zastał tam czterech z pięciu braci. Brakowało tylko lorda Jacka Knighta, drugiego z kolei brata. Dowiedział się później, że był czarną owcą w rodzinie, trudno się więc dziwić, że wówczas się tam nie zjawił. Zresztą nikt nie wiedział, gdzie się podziewa.

Na szczęście zobaczył Luciena i Aleca, którzy już go zaakceptowali. Hawkscliffe spoglądał na niego ze sceptycyzmem w czarnych oczach. Na szczęście przedstawił go księciu ten z braci, którego zawsze najbardziej martwił jego los - bliźniak Luciena, Damien, hrabia Winterley. Ten jasnooki pułkownik, doświadczony żołnierz, przywiózł właśnie do Londynu swoją żonę Mirandę, żeby mogła się wybrać na zakupy z resztą pań. Winterley zamienił z nim uścisk dłoni, lecz przyglądał mu się potem długo i uważnie, jakby był niezadowolony z nowego rekruta w swoim regimencie. Mimo to chciał mu dać szansę, gdyż Billy Blade pomógł mu kiedyś ocalić żonę.

Po tym spotkaniu wielogodzinne przesłuchiwanie przez sir Anthony'ego Weldona i jego agentów z Bow Street wydało mu się dziecinną igraszką. Wiedział, że nie jest faworytem braci. Silił się jednak, by zrobić na nich wrażenie kogoś godnego ich siostry, chociaż nie był lordem Griffithem.

Czuł się nieswojo, opowiadając im o swojej przeszłości - dużo dokładniej niż przedtem dziewczętom w parku. Musiał wyjawić, jak katował go ojciec, żeby zrozumieli, że nie uciekł z domu bez powodu. Opowiedział też, jak żył później w St. Giles, pomagając setkom ludzi, chociaż trzeba przyznać, że robił to za zdobyte pieniądze. Jak zapobiegał

walkom pomiędzy szajkami, w których młodzi ludzie wymordowywali się wzajemnie, jak próbował siłą narzucić ład w dzielnicy nędzy, odkąd znalazła się pod jego kontrolą.

Nie wiedział, czy to się dla nich liczy i czy mu wierzą. Jednak kiedy Lucien powiedział im, że to właśnie on natknął się na Jacindę i odwiózł ją bezpiecznie tej samej nocy do domu, wymienili spojrzenia.

Potem Lucien wspomniał o jego tajnej współpracy z Bow Street, która już się przyczyniła do licznych aresztowań. Falszerze pieniędzy, pokątni lichwiarze, właściciele nielegalnych domów gry, złodzieje koni, banda zbójców grasujących na drogach, czarnorynkowi dostawcy, morderca do wynajęcia, szantażysta i paru podpalaczy, którzy za pieniądze wywoływali pożary, żeby komuś umożliwić podjęcie odszkodowania - wszyscy znaleźli się pod kluczem dzięki jego informacjom.

Po wysłuchaniu tego wszystkiego Hawkscliffe i Winterley spojrzeli na niego z dużo większym uznaniem.

Wreszcie radca prawny markiza Truro przedłożył im dokumenty, które ustalały wartość jego majątku oraz dzierżaw mających należeć w przyszłości do rodziny Rackfordów. Sporządzono je na życzenie ojca, który nakazał mu się starać o żonę. Gdy Hawkscliffe je przeglądał, Alec uśmiechnął się ironicznie.

- Teraz już wiem, od kogo będę pożyczał pieniądze!

- Alec! - syknął groźnie książę.

- Och, przecież ja tylko żartowałem, Rób - odparł lekceważąco.

Hawkscliffe bębnił jeszcze przez chwilę palcami po blacie biurka, patrząc na dokumenty, a potem rozejrzał się po gabinecie. Najpierw spojrział na Luciena, który krótko skinął głową, potem na Damiena - ten jedynie lekko wzruszył ramionami i zasiadł głębiej w fotelu. Wreszcie zerknął na Aleca, który ze znużeniem obracał w palcach monetę.

Hawkscliffe odłożył ostatecznie papiery, złożył dłonie, łącząc ze sobą czubki palców, i jeszcze przez chwilę mierzył go wzrokiem.

- Bardzo dobrze - odezwał się w końcu i kiwnął głową. - Może się pan o nią starać, ale ostrzegamy, jeden niewłaściwy ruch...

- Rozumiem, Wasza Miłość. I dziękuję. Milordzie, wdzięczny jestem, że zechciał mi pan poświęcić czas.

Wszyscy wstali. Szykował się do wyjścia.

- Napije pan z nami brandy? - zaprosił go ksiązę, wychodząc zza biurka.

- Chętnie, Wasza Miłość. Dziękuję.

- Może się pan do mnie zwracać po nazwisku.

Wciąż jeszcze zdumiewała go ich zgoda, gdy Alec wychylił się z fotela ku niemu, wsparty na kulach.

- Nie mogę się wprost doczekać, kiedy to oznajmimy tej niemądrej smarkuli.

- Nie! - zawołał gwałtownie Rackford, może trochę zbyt ostro, podczas gdy pozostali zmierzali już ku drzwiom. - Przepraszam, ale... - Rozejrzał się wokoło zaniepokojony. - Nie wolno jej o tym mówić. Przynajmniej jeszcze nie teraz!

- Dlaczego? - Lucien spojrzał na niego z zaskoczeniem.

- Lady Jacinda jest kapryśną, nieobliczalną istotą. Jeśli będzie ją pan ku mnie popychał, zwróci się w inną stronę. Obawiam się, że nie lubi, żeby... dyktować jej, co ma robić.

Po chwili milczenia bracia wybuchnęli śmiechem.

- Ależ panowie... - Rackford zmarszczył gniewnie czoło.

- Dzielny z pana człowiek. - Damien klepnął go po ramieniu. - Niech panu Bóg sprzyja!

Uzyskał więc zezwolenie braci. Teraz musiał zdobyć serce i zaufanie Jacindy. Sezon trwał w najlepsze, przebywał z nią więc jak najczęściej, pragnąc rozegrać tę partię według jej reguł. Nadskakiwał Jacindzie niczym najbardziej oddany *cavalier sergente*, napełniał kieliszek szampanem, otwierał okno, gdy było jej za gorąco, podawał okrycie, kiedy czuła chłód, asystował jej nawet podczas najnudniej szych, wlokących się bez końca partii wista i tracił mnóstwo pieniędzy tylko po to, by siedzieć naprzeciw niej.

Ona zaś łagodziła jego odczucia wobec ojca, które graniczyły z wrogością. Któregoś razu Rackford miał wyjść z domu, żeby niemal cały dzień spędzić na wizycie u niej, kiedy przechodząc przez salonik zauważył, że Truro na wpół siedzi, na wpół leży w fotelu, odziany tylko w szlafrok, ze stopą w pantoflu wspartą o sofę i plasterkami ogórka na oczach. Na małym stoliku obok stały filiżanka mocnej kawy i flakonik z proszkami od bólu głowy.

Markiz tak długo się nie poruszał, że zaniepokoiło go to. Przystanął.

- Ojczy...

- Czego chcesz? - rozległ się w odpowiedzi obcesowy pomruk. Najwyraźniej lord Truro drzemał. Nie uniósł głowy.

- Czy nic ci nie dolega?

- Nigdy nie czułem się lepiej - mknął markiz.

Rackford, wbrew sobie samemu, zdobył się na wymuszony uśmiech.

- Źle spałeś?

- Chyba tak. Nie mogę sobie przypomnieć.

Rackford zatrzymał się w drzwiach i walczył ze sobą przez chwilę. Wreszcie się przemógł.

- Ojczy, chciałbym po południu pójść do Tatta i kupić odpowiedniego wierzchowca.

- Wydaj, ile chcesz, Williamie. Już ci przecież mówiłem.

- Owszem, tylko że... zastanawiałem się, czy nie poszedłbyś ze mną. - Sam nie mógł uwierzyć, że mówi coś takiego, że się na to zdecydował. - Zawsze miałeś dobre oko do koni. Przez dłuższą chwilę markiz nawet nie drgnął.

Rackford z trudem przełknął ślinę i w napięciu czekał na odpowiedź, całkiem jak mały chłopiec, którym kiedyś był, a który marzył o pochwie wygłoszonej przez strasznego ojca.

- Nie dzisiaj, synu. Coś ze mną nie tak.

Rackford pochylił głowę po tej odprawie. Czuł, że wzbiera w nim gniew.

Truro zdjął z przekrwionych oczu płatki ogórka.

- Może jutro?

Jedyną odpowiedzią było trzaśnięcie drzwi. Rackford pojechał do Knight House swoją kariolką. Choć wciąż czuł rozgoryczenie po tym, jak go potraktował ojciec, wiedział, że ułagodzi go widok ślicznej twarzy Jacindy. Czekająca na niego. Walsh szybko go do niej poprowadził. Dystyngowany kamerdyner znał Rackforda z poprzednich tygodni.

- Dzień dobry, milordzie - powitał gościa z godnością, otwierając przed nim drzwi.

William pozdrowił go, uchylając kapelusza, i dał się zaprowadzić do salonu, przystając, żeby pozdrowić księżną i delikatnie uszczypnąć w policzek małego Morleya, którego trzymała na ręku piastunka.

Rozumiał, że jeszcze nie uznano go za jednego z Knightów, ale też nigdy dotąd nie wiedział, co to znaczy być częścią rodziny. I nie potrafił sobie wyobrazić, że spędzi resztę życia z jakąś kobietą.

Z każdym dniem czuł, że coraz lepiej poznaje Jacindę, że świetnie się rozumieją. Lubił jej kapryśne poczucie humoru i miękkie, delikatny dotyk, kiedy poprawiała mu halsztuk albo przypadkowo ocierała się o niego biodrem - jak wtedy, gdy odebrała mu w Hyde Parku wodze kariolki, by później objechać nią w szaleńczym tempie cały Ring, chcąc mu pokazać, jak się

to robi.

W gruncie rzeczy nie miała pojęcia, jak bliski był tego, żeby chwycić ją w ramiona.

Wciąż jednak pozostawał jej posłusznym sługą, przyciąganym przez nią niczym planeta przez gwiazdę. Jacinda była wszakże jedyną osobą, która uparcie nie dostrzegała, że jej „przyjaciel”

Rackford jawnie się do niej zaleca.

- Nie, mój drogi, musisz poczekać w holu, dopóki nie usłyszysz swojego nazwiska.

Tom, proszę, powtórzmy to jeszcze jeden raz - poleciła lokajowi.

- Tak, milady - odparł znękany sługa.

Jacinda i Lizzie siedziały w salonie na kanapie, ucząc Rackforda prawideł etykiety, rozbawione jego irytacją.

- Czuję się jak tresowany niedźwiedź - mruknął, wycofując się na korytarz.

Lokaj również się cofnął i ponownie otworzył drzwi, a potem wkroczył do środka, skierował się ku Jacindzie i oznajmił:

- Lord Rackford, milady.

Rackford, czekając na sygnał, wszedł umiarkowanym krokiem do salonu i skłonił się przed nią.

- Nie tak nisko - pouczyła go, podając mu z uśmiechem rękę. - Bardzo mi miło, monsieur!

- Witam, mademoiselle. - Nachylił się nad jej dłoń. - Przestań się uśmiechać albo ci przetrzępię skórę - mruknął na tyle głośno, żeby mogła usłyszeć.

- Czyż on nie jest uroczy? - zwróciła się radośnie do Lizzie.

- Witam, miss Carlisle. - Rackford powtórzył swój elegancki ukłon.

- Wspaniale pan to robi, milordzie.

- Zechce się pan poczęstować? - Jacinda wskazała wdzięcznym ruchem herbatę,

sandwicze, biskwity i owoce, specjalnie przygotowane z okazji ich „ćwiczeń”.

Rackford zerknął z ukosa na zastawiony stół.

Lizzie przyglądała się z łagodnym rozbawieniem, jak Jacinda sprawdza, czy Rackford zna przeznaczenie każdego ze sztuców. Mimo poirytowanych pomruków, przyswajał sobie reguły dobrego zachowania.

Wysiłki Jacindy i Lizzie w celu jego „ucywilizowania” obejmowały też wyprawy do galerii i muzeów oraz nowo założonej filharmonii londyńskiej. Wszyscy troje chodzili też do Ackermanna na wykłady polityków, ekonomistów, botaników, lingwistów, archeologów powracających spod piramid, a nawet przyrodników, którzy rozprawiali o wykopaliskach skamielin. Rackford miał żywe zamiłowanie do nauki, co cieszyło Jacindę, która wiedziała, że musiał przerwać edukację w młodym wieku.

Szybko jednak stwierdziła, że mimo wszelkich nauk nie stanie się on kimś innym.

Zawsze gdzieś będzie w nim tkwiła cząstka szorstkiego, brutalnego, a nawet przewrotnego mężczyzny, który od początku ją fascynował. Pewnego dnia przysłał jej prezent, zawinięty w karbowaną bibułę z krótką odręczną notatką: „Zobaczyłem to w trafice i zaraz pomyślałem o Tobie. Baw się dobrze. R.”.

Kiedy rozpakowała paczuszkę, znalazła w środku niebieską książeczkę z wyuzdanymi rysunkami, wyobrażającymi różne rodzaje pozycji miłosnych. Przewalała go wtedy w myśli łobuzem, ale pilnie się przyjrzała każdej stronie. Na marginesach widniały jego sprośne komentarze. Jacinda, mimo że niejednej nocy marzyła o jego tatuowanym ciele, nie chciała myśleć o tym, by dać mu się skusić.

Nadal śniła o tym, że pewnego dnia stanie się tak wolna, jak olśniewająca lady

Campion. Ze zdoła pobić dobre towarzystwo jego własną bronią, biorąc tym samym odwet za krzywdę matki. Nie potrafiła zrezygnować z tych planów, choć Billy zdołał poruszyć jej serce

i sprawił, że się uśmiechała. Zazwyczaj był to zresztą uśmiech nieco cierpki.

Mimo że spędzała coraz więcej czasu z Rackfordem i grupą przyjaciół, których zdołał sobie zjednać, spotykała Drummonda na wielu balach, wieczorkach, przejażdżkach łodzią i przyjęciach.

W czerwcu Rackford oznajmił, że kupił plantację w Australii i polecił swemu agentowi odnaleźć wszystkich jego byłych wspólników. Chciał mieć pewność, że znajdą się razem w jednym miejscu.

Pewnego dnia spotkał starych znajomych w Hyde Parku, gdzie Jacinda znów szalała po Ringu w jego kariolce. Siedział obok niej, ubawiony tym „pokazem”. Z zaróżowionymi od wiatru i podniecenia policzkami zatrzymała gwałtownie lekki, elegancki powozik, gdy dwóch młodych ludzi zaczęło żywo machać ku niemu ręką.

- Co to za jedni? - spytała, gdy on patrzył na nich zaskoczony.

- O mój Boże - zdołał tylko wyszeptać, a potem zeskokczył z kariolki z szerokim uśmiechem.

Jeden z młodzieńców był ciemnowłosy i miał raczej anemiczny wygląd. Drugi szczyił się czupryną rudą jak marchewka. Ze zdumieniem patrzyła, jak serdecznie się witają.

- O rety, przecież to Billy Albright, spójrz tylko! Przyjechaliśmy do Londynu, a tu rozeszła się wieść, że powróciłeś!

- Przez cały czas wierzyliśmy, że żyjesz! Słowo daję!

- Pojednałeś się z ojcem? - zapytał ze zdumieniem ciemnowłosy.

Rackford skinął wprawdzie głową, ale spojrzał na niego dziwnie, jakby chciał mu nakazać milczenie. Potem przedstawił obydwu mężczyznom Jacindzie.

Jak wyjaśnił, Reg Bentinck i Justin Church byli jego przyjaciółmi z krótkiego pobytu w Eton. Dziewczyna dostrzegła jednak w jego spojrzeniu cień niepokoju. Spytała później, czy

coś się stało, lecz on zbył ją, próbując skraść jej całusa.

Nazajutrz obaj sympatyczni młodzieńcy towarzyszyli jej przy kolejnej próbie

„ukulturalnienia” Rackforda. Jacinda i Lizzie wybrały się z nim, żeby obejrzyć marmury lorda

Elgina, umieszczone przez właściciela w specjalnym pawilonie obok jego londyńskiej

rezydencji. Właśnie pod czujnym okiem panny Hood opuszczali Knight House, gdy nadeszły

przyjaciółki - Daphne, Helena i Amelia, z własną guwernantką. Od razu zaczęły się dzielić

ploteczkami z Jacindą. Zaprosiła je więc na wspólną wyprawę i wkrótce wszyscy, po

uiszczeniu kilku szylingów opłaty, weszli do pawilonu. Nieduży, podstarzały człowieczek

wyjaśnił im, jak lord Elgin i jego pomocnicy zdołali zdjąć naturalnej wielkości statuy z fryzu

w Partenonie. Jego Lordowska Mość, nie szczędząc pieniędzy, kazał przewieźć je morzem do

Anglii, gdzie można im było zapewnić należytą opiekę.

Jacinda wolała się przyglądać, jak panowie Church i Bentinck nadskakują Lizzie.

Obydwaj młodzi ludzie wydawali się zafascynowani jej urokiem. Potem zaś Amelia i Hellie

odciągnęły ją na bok.

- Nie uwierysz, co zrobiła Daphne - szepnęła Amelia. - Tylko nikomu nie mów!

- Nie powiem. No i co takiego zrobiła? Obydwie zachichotały.

- Rzuciła się na lorda Griffitha... - zaczęła Amelia.

- A on ją odepchnął! - dokończyła Helena.

- Chyba żartujecie?

- Ani trochę. Doszło do tego zeszłego wieczoru w teatrze! Och, biedny Ian, pomyślała

ze smutkiem Jacinda. -Właśnie od niej wracamy. Boże, Daphne po prostu szaleje! - ciągnęła

Amelia z przewrotną uciechą. - A już miała ogłosić zaręczyny na rodzinnym balu w przyszłą

sobotę! Chyba dostałaś od niej zaproszenie?

Jacinda przytaknęła, starając się nie okazać kłębiących się w niej uczuć. Rackford też

otrzymał zaproszenie na ten bal! Uśmiechnął się wtedy do niej z szelmowskim błyskiem w oczach.

- Pójdziemy odkraść twoje diamenty - obiecał jej szeptem.

- Przypominasz sobie, jak podczas zeszłego sezonu próbowała złowić księcia

Devonshire? Daphne koniecznie chce poślubić kogoś znacznego, co najmniej markiza.

Powiedz lordowi Rackfordowi, żeby się miał na baczności.

- Powiem - obiecała. Spojrzała na niego i zaskoczona przekonała się, że patrzy na rzeźby z wściekłością. Zaintrygowana wykręciła się od dalszej rozmowy.

- Co się stało?

Wskazał ruchem głowy na przewodnika. Jacinda zaczęła pilnie słuchać słów staruszka.

- Kolekcję przejmie w lecie tego roku British Museum po wypłaceniu całej sumy...

- Czy czegoś nie dosłyszałam? - spytała zaniepokojona.

- Rząd kupił te bzdurne rzeźby za trzydzieści pięć tysięcy funtów. Trzydzieści pięć tysięcy! I to wtedy, gdy połowa ludności nie może wyżywić swoich rodzin! - Rackford urwał, jakby gniew nie pozwolił mu mówić dalej, i tylko pokiwał głową. - Może pani wielbiciel, lord Drummond, mógłby to usprawiedliwić, ale ta torysowska logika do mnie nie trafia. Proszę mi wybaczyć, milady. - Złożył jej krótki ukłon, odwrócił się gwałtownie i wyszedł z pawilonu.

Jacinda spojrzała w ślad za nim zaskoczona. Nigdy nie można było przewidzieć, co sprowokuje go do wybuchu.

Lizzie dołączyła do niej chwilę później, również zachmurzona i poczerwieniała ze złości.

- Boże, co się z wami dzieje?! - zawołała Jacinda.

- Chodźmy stąd! To po prostu zbrodnia, żeby tak okaleczyć Partenon! - sarkała,

rzucając ostatnie spojrzenie na rzeźby. - Lord Elgin jest zwykłym rabusiem!

Jacinda ociągała się z odejściem.

- Ależ one są piękne, Lizzie. Jakże to, przecież jesteśmy Brytyjkami! Czy można było pozwolić, żeby uległy zniszczeniu?

Uczony skłonił się przed nią z uznaniem, lecz Lizzie zawołała od drzwi niecierpliwie:

- Szybciej, milady! Powóz czeka!

Jacinda wyszła, nie przestając się zdumiewać osobliwą reakcją przyjaciółki.

Rackford był jednak rad, że Jacinda zabrała go na tę wycieczkę, i wrócił do domu w dobrym nastroju. Nowe życie pozwalało mu walczyć z niesprawiedliwością tak samo zacięcie, jak w dzielnicy ruder. Tu jednak mógł to robić zgodnie z prawem i na większą skalę.

Teraz już nie będzie musiał bezsilnie dusić się ze złości z powodu nonsensownych wydatków torysowskiego gabinetu czy bezdusznej polityki. Jutro spotka się z partią radykałów. To właściwe dla niego miejsce. Będzie mógł otwarcie działać i zrobić dla ludzi coś większego i ważniejszego niż dotąd.

Przywódcy radykałów przyjęli go z otwartymi ramionami mimo jego arystokratycznego pochodzenia, zdając sobie sprawę, jak dużo dla nich znaczy poparcie przyszłego markiza. Wielu z nich było kupcami, przemysłowcami, wzbogaconymi ludźmi z gminu albo też wywodzili się z drobnej szlachty, jak Reg i Justin. Znajdowało się jednak wśród nich również kilku autentycznych parów.

Jacinda kręciła co prawda nosem na ten wybór, kiedy jej później powiedział, że przystał do radykałów. Wolałaby aby wybrał postępową, lecz mimo to arystokratyczną partię wigów, tylko że jego zdaniem nie szli oni dostatecznie daleko w żądaniu reform. Jej obiekcje nie powstrzymały go jednak, podobnie jak para agentów Bow Street przyczajona pod jego domem nie powstrzymała go od regularnego wyślizgiwania się stamtąd, żeby siać zamęt

wśród Szakali.

Nie mówił o tym Jacindzie. Był pewien jej dezaprobaty. Zapewne przypuszczała, że po prostu donosi na O'Della, jak donosił na wielu innych spośród jego towarzyszy. Ale w tym wypadku było inaczej. Nie, on chciał dostać łotra we własne ręce.

Był bezlitosny, gdyż postanowił skończyć to zadanie, nim poślubi Jacinę. Chciał zatrzaskać za sobą drzwi na zawsze, zerwać z mroczną przeszłością, skoro rysowała się przed nim olśniewająca przyszłość.

Jacinda mogła sobie być upartą dzierlatką, ale on uważał, że to się zmieni, gdy zdoła zdobyć jej zaufanie. Jego cierpliwość była już jednak na wyczerpaniu. Jacinda wciąż nie chciała przyznać, że są dla siebie stworzeni.

Oczywiście znał przyczyny. Pragnęła wolności i bała się należeć do niego, chociaż wiedziała, że i tak w końcu ją zdobędzie. Kiedy pokazał jej blizny po walkach, jakie stoczył na ulicach, wzruszyła go szczerze, gdyż przejęła się tym, jakby był dzieckiem, głaskała go i całowała. Sprawilo mu to przyjemność. I nadal nie mógł się uwolnić od erotycznych myśli. Im szybciej o tych rzeczach zapomni, tym lepiej.

Jacinda poznała jego rodziców na wielkim bankiecie i balu wydanym w następną sobotę przez rodziców Daphne, lorda i lady Erhard.

Przystojny, choć wyglądający na hulakę markiz i jego nieobecna duchem, krucha, z przesadną starannością ubrana żona zjawili się, co rzadko czynili, wśród towarzystwa. Jacinda nie potrafiła zachować się wobec Truro swobodnie, wiedząc, jak traktował własnego syna. Siedząc naprzeciwko tego tyrana przy bogato nakrytym stole, patrzyła na niego tak chłodno, że zaczęło go to irytować. Nieustannie też sprzeciwiała się wygłaszanym przez niego opiniom. Chociaż ten najwyraźniej nie śmiał jej skarcić, przynajmniej nie wobec innych. W konsekwencji zaczął pić coraz więcej i w końcu przestał w ogóle spoglądać w jej stronę. Kiedyś Truro się domyśli, że Jacinda wie o jego postępkach. Markizę oceniła jako godną wzgardy, skoro nie zrobiła nic, żeby uchronić dziecko przed przemocą ze strony pijanego ojca.

W salonie, po obiedzie, zauważyła, że Daphne zaczęła nadskakiwać markizie, ostentacyjnie chwając jej białą, naszywaną cekinami suknię. Ach tak, przecież Amelia i Hellie ją ostrzegały! Taktyka Daphne wydawała się dość oczywista. Zamierzała zrobić dobre wrażenie na jego rodzicach, tak żeby zaczęli go namawiać, aby wybrał ją za żonę. Ledwie słuchała, co mówi do niej lord Drummond o swoich ostatnich sukcesach w golfie. Czekwała na sygnał Rackforda.

- Mój wynik wyniósł...

- Gratuluję - mruknęła, patrząc na Daphne, która właśnie uśmiechała się promiennie do Rackforda.

Stał odwrócony plecami do Jacindy, nie mogła więc śledzić jego reakcji na flirciarskie zabiegi Daphne. Chyba nie będzie taki głupi, żeby nabrać się na urodę i nie dostrzec

paskudnego charakteru.

Zrzęła jej nieco mina, bo Daphne zdołała porwać go do tańca, beztrąsko porzucając towarzystwo Loringa. Acer był tym zawiedziony, bo od dawna kochał się bez pamięci w rudowłosej piękności. Jacinda zacisnęła wargi i gniewnie poruszyła wachlarzem, widząc, jak Rackford się kłania, a Daphne wdzieczy do niego.

Gdyby przynajmniej nie wyglądał dziś wieczór tak wspaniale... jak każdego innego wieczoru! Świece w kinkietach rzucały złoty blask na jego gładko zaczesane jasne włosy. Objęła wzrokiem szerokie barki, obcisły, granatowy frak, smukłą talię i biodra, długie nogi w czarnych spodniach. Doprawdy, im dłużej się znają, tym wydaje się przystojniejszy! Wiedziała już teraz, co oznacza każdy z jego uśmiechów, jak i to, że każda zmiana odcienia zielonych tęczy odpowiada zmianie nastroju. Pamiętała je wszystkie. Kiedy miał oczy jasnozielone jak jabłka, był w żartobliwym humorze. Szmaragdowe stawały się, kiedy coś go wzburzyło, a głęboka, szarozielona barwa oznaczała, że rozmyśla o czymś i należy go zostawić w spokoju.

Taniec się skończył i Rackford odprowadził Daphne na miejsce. Jacinda nie potrafiła ukryć uśmiechu satysfakcji, widząc, że zmierzał w jej stronę. Przeciskając się przez ciżbę, rzucił jej spojrzenie uwodzicielskie i figlarne zarazem. Zawsze trzymał się z dala od niej, gdy w pobliżu stał lord Drummond, obawiając się, że nie potrafi się zdobyć na uprzejmość wobec niego. Teraz jednak mieli do wypełnienia szczególną misję, podszedł więc do Jacindy, nie dbając o obecność „starego łajdaka”, i złożył jej bardzo poprawny ukłon.

Ucieszyło ją to, ale skinęła mu obojętnie głową i przedstawiła lordowi Drummondowi.

Rackford się ukłonił.

Gburowaty stary polityk zadarł wysoko podbródek i przyjrzał mu się uważnie przez okulary.

- A więc pan jest tym obiecującym radykałem, o którym ostatnio głośno w całym Londynie?

Rackford spojrział niespokojnie na Jacindę.

- Owszem, milordzie, idee lorda Broughama zrobiły na mnie wielkie wrażenie.

- To tylko zwykły podżegacz, chłopcze. Nie ufam takiej błyskotliwości. Trzymaj się z dala od niego. Gdyby Brougham postawił na swoim, wszyscy mówilibyśmy sobie na ty!

- Z całym szacunkiem, sir, wolę oceniać ludzi po ich czynach, a nie według urodzenia.

- Czy to z Indii przywiózł pan takie zakichane poglądy, chłopcze? - spytał wyraźnie zirytowany Drummond.

- Sir, byłbym wdzięczny, gdyby nie używał pan podobnych wyrażeń przy młodej damie - odparł Rackford z zadziwiająco zimną krwią.

Po mnóstwie zgoła niedżentelmeńskich powiedzonek, jakich wobec niej używał Billy Blade, Jacinda omal nie parsknęła śmiechem. Widocznie „ucywilizowała” Rackforda skuteczniej, niż się spodziewała.

- Cóż to ma znaczyć?! - burknął lord.

- Przepraszam, że przerywam - powiedział gładko William - chciałbym prosić panią o chwilę rozmowy.

- Proszę mi wybaczyć, milordzie... - zwróciła się do Drummonda.

Nim stary dżentelmen zdołał się zdobyć na odpowiedź, Rackford ujął ją stanowczym ruchem za rękę i wyprowadził na oświetloną przez księżyc werandę. Ciepło czerwcowej nocy sprawiło, że wilgotna suknia kleiła się jej do ciała.

- Nie powinieneś być traktować go tak nieuprzejmie.

- Nieuprzejmie? Powinien się cieszyć, że nie oberwał!

Może to pogoda sprawiła, że byli tacy rozdrażnieni?

- Nie mogę uwierzyć, że nadal chcesz złowić tego starego torysowskiego oprawcę.

Słowo daję, że zacznam brać to do siebie - mruknął, pociągając szybko łyk wina. - Gdybyś go zresztą cokolwiek obchodziła, już by odpowiedział na twoje zabiegi. Biegasz za nim przez cały sezon!

- Wybacz, nigdy nie narzucałam się żadnemu mężczyźnie - syknęła z pogardą. - Jedyną kobietą, która robi to dzisiaj wieczoru, jest Daphne. Po prostu rzuciła się na ciebie!

- Co ja słyszę? Czyżbyś była o mnie zazdrosna, moja miła? - Uśmiechnął się zuchwale.

- Chcesz odzyskać moje diamenty czy nie?

Uśmiechnął się szeroko, biorąc ją pod brodę.

- Tak, to rozumiem! Odważna dziewczynka! Pamiętasz wszystko, co ci mówiłem?

Przytaknęła bez słowa.

- Więc idziemy! - Wskazał na salę balową i wielkie schody za nią.

- Dobrze. - Wyprostowała się, zamknęła z trzaskiem wachlarz i przybrała minę osoby wytwornej, lecz znudzonej.

Zaciskając usta, żeby się nie rozeźmiać, weszła na salę i przecisnęła się przez tłum ku schodom, witając po drodze znajomych i życząc im miłego wieczoru. Trzepocząc nonszalancko wachlarzem, zdołała przedostać się do westybulu. Potem wspięła się na obszerne, dwubiegowe schody. Jeden z prywatnych salonów na piętrze przeznaczono dla dam jako miejsce odpoczynku - udała, że zmierza w tamtym kierunku. Serce jej waliło, ale przyglądała tylko włosy i powoli weszła na piętro.

Musiała ukraść własne diamenty! Słyszał ktoś kiedy coś podobnego?

W połowie drogi dostrzegła Rackforda, który w ślad za nią przeszedł przez westybul.

Dokładnie tak, jak ustalili. Szarmancko ustąpił z drogi Alecowi Knightowi, kuśtykającemu o

szczudłach, i pomógł mu wejść do salonu. Stamtąd, jak jej mówił, małe białe drzwi prowadziły na schody dla służby. Pamiętał rozkład domu z nocy, kiedy dokonał tu włamania. Żeby wśliznąć się do pomieszczeń dla służby, powinna była nieco wcześniej spotkać się z nim na trzecim piętrze.

Na wyższych kondygnacjach panowała cisza, czasem tylko przemknęła tamtędy jakaś zaaferowana pokojówka czy lokaj, a z przeznaczonego dla dam pomieszczenia dobiegały wybuchy śmiechu. Jacinda spokojnie szła korytarzem i, wyczekując odpowiedniej chwili, rozglądała się na prawo i lewo. W końcu zebrała suknię i po cichu weszła w drugi korytarz. Oczy jej rozblęły na myśl o przygodzie. Wspięła się po kolejnych schodach na trzecie piętro. Drgnęła, gdy jeden ze stopni zaskrzypiał pod jej stopą. Stłumiony odgłos gwaru przycichł, kiedy biegiem przebyła resztę drogi i znalazła się w skrzydle, w którym były prywatne apartamenty. Stąpając na palcach, szukała sypialni pana domu.

Bała się, że ktoś ją może dostrzec, ale policzki miała zaróżowione z podniecenia.

Omam nie podskoczyła, gdy z cienia wyłonił się Rackford. Zdołała zdusić krzyk strachu. Ujął ją za ramię i pociągnął za sobą.

- Sza! - ostrzegł ją. Musiała zakryć usta ręką, żeby stłumić chichot. Położył palec na wargach, ale w jego zielonych oczach widniało rozbawienie.

- Nie mogę uwierzyć, że naprawdę to robimy - szepnęła.

- Przecież to twoje własne diamenty. Wcale ich nie kradniemy.

- Ale wszystko wydaje mi się takie zabawne!

- Chodźmy prędzej - mruknął, patrząc na nią spod oka.

Podreptała za nim na palcach, gdy bezszelestnie przechodził przez korytarz.

- Jaka kara grozi za kradzież własnych diamentów?

- Spróbuj wziąć to wszystko trochę bardziej serio - syknął, a potem wszedł w inny,

elegancko urządzony korytarz po lewej. - Musimy odszukać zachodni narożnik!

Korytarz słabo oświetlały świece, umieszczone wzdłuż ścian na konsolach, w regularnych odstępach. Wskazał jej podwójne, białe drzwi na samym końcu.

- W tym pokoju straciłem wolność.

Jacinda zdrętwiała, słysząc jakiś ruch, gdzieś niedaleko.

- Ktoś idzie!

- Uciekajmy! - Chwycił ją za rękę. Zielone oczy rozbliły, gdy kroki stały się głośniejsze.

Wspólnie biegli ku podwójnym białym drzwiom. Podtrzymując rękami tren sukni, obejrzała się przez ramię. Zza rogu wytoczył się wózek z herbatą, pchany przez służącego.

Rackford ledwie zdążył otworzyć drzwi i wpaść do pokoju, pociągając ją za sobą. Zamknął je bez najmniejszego szmeru.

- Gdzie one...

- Sza!

Obydwoje zamarli bez ruchu. Jacinda wstrzymywała oddech, dopóki służący z wózkiem się nie oddalił. Gdy jej wzrok przywykł do ciemności, poza drzwiami znów rozległ się odgłos kroków.

Jacinda przycisnęła dłoń do piersi i wsparła się o drzwi, patrząc na Rackforda z przerażeniem.

Pokręcił głową, a jego białe zęby błysnęły w ciemności.

- Są zamknięte.

- Boże, ależ ty masz na mnie zły wpływ!

Uśmiechnął się. Podeszła za nim do mahoniowego postumentu pod oknem. Stała na nim wielka chińska waza. Rackford zdjął ją i obrócił do góry dnem, wytrząsając z wnętrza

naszyjnik.

- Eureka! - mruknął. - Znalazłem! Chodźmy stąd.

- Oddaj mi mój naszyjnik, łobuzie. - Ze zduszonym śmiechem sięgnęła mu do kieszeni, lecz on zatrzymał jej rękę i obrócił Jacindę tak, że stanęła plecami do drzwi.

Spojrzała na niego z wymuszonym uśmiechem. - Co ty robisz?

Ujął jedną ręką klamkę, a drugą naszyjnik, którym pomachał jej przed oczami.

- Chcesz go mieć? Chodź, weź go sobie!

Próbowała wyrwać mu kolię z garści, ale Rackford, z przekornym uśmiechem, uniósł ją jeszcze wyżej. Diamenty połyskiwały w mroku.

- Billy!

- Nie chcesz takiego pięknego naszyjnika?

- Chcę - odparła wyzywająco, unosząc podbródek.

Przysunął się bliżej. Księżyc rzucił zza okna srebrzystą poświatę na jego twarz.

- Pocałuj mnie, a będzie twój.

Cofnęła się, rzucając mu coś, co uważała za nieugięte spojrzenie. Niestety zawisło ono na jego wargach, co zepsuło cały efekt.

- Przecież on jest mój.

- Nie, nie, milady, dałaś go mnie! - Błysnął zielonymi oczami, owinął sobie kolię wokół palców, eksponując jej piękno. - Ale zwrócę ci go, jeżeli mnie pocałujesz.

Wydęła wargi i się zaczerwieniła.

- Ależ, lordzie Rackford, przecież jesteśmy przyjaciółmi! - W takim razie... będzie to przyjacielski pocałunek. Przysunął się jeszcze bliżej i przechylił lekko głowę. Czuła, że znalazła się całkowicie pod jego urokiem.

- No, może... jeden.

Musnął jej usta wargami, aż przeszedł ją dreszcz. Potem jednak pocałunek stał się głębszy, a on pogładził jej szyję w sposób tak uwodzicielski, że jęknęła cicho i całym ciałem wsparła się o drzwi. Zamknęła oczy. Namiętność pozbawiła ją rozsądku. Cieszyła się, że ma się o co oprzeć, bo ugiwały się pod nią kolana.

Rackford przeciągnął końcem palca po jej szyi aż do dekoltu. Pierś Jacindy zafalowała pod tym dotknięciem. Jego ciepła, zręczna ręka wślizgnęła się za gors sukni i objęła pierś. Zaczerpnęła chciwie tchu, gdy jego kciuk dotknął sutka.

Przez chwilę pragnęła zedrzyć wszystko, co miała na sobie, i mu się oddać. Ależ jej zawrócił w głowie! Jak łatwo byłoby zrobić to wtedy, tamtej nocy w dzielnicy ruder, kiedy sądziła, że go nigdy więcej nie zobaczy, kiedy nie pociągnęłoby to za sobą żadnych następstw. Ale teraz takie postępowanie pociągało za sobą ryzyko złożenia całej jej przyszłości w ręce tego mężczyzny. Jeśli w sali balowej zauważą ich nieobecność, jeśli ktoś zacznie ich szukać i znajdą ich w tej mrocznej sypialni, będzie musiała go poślubić. Albo pogodzić się z wykluczeniem z towarzystwa. Serce waliło jej jak młotem, rozdarte pomiędzy pragnieniem a strachem.

Wciąż jeszcze chciała być panią swojego przeznaczenia, ale w grę wchodziła też duma. Na balu u księcia Devonshire przysięgła sobie, że nigdy nie straci kontroli nad swoimi uczuciami. Para małżeńska staje się jednością wobec prawa i wobec Boga. Matka biadała nad tym w wielu swoich artykułach. Jako przyjaciółka Rackforda Jacinda była mu równa. Teraz jednak czuła, że traci kontrolę nad sobą, w miarę jak ścigał jej długie, białe rękawiczki, gładząc skórę ramion.

Może wystarczy mu ten jeden jedyny raz, pomyślała zrozpaczona. Może to tylko chęć łowów przyciąga go do niej? W takim razie po cóż miałyby się kompromitować? Jeśli odpowiednio to rozegra, będzie mogła jednocześnie zjeść ciastko i mieć je,

podpowiedział jej jakiś pragmatyczny, choć pełen zepsucia głos. Gdyby poślubiła starego Drummonda i szybko została wdową, mogłaby po prostu wziąć sobie lorda Rackforda za kochanka. Ale dopiero później...

Całe jej ciało drgnęło, gdy jego ręka powoli dotknęła jej brzucha.

- Mam cię znów zadowolić? - mruknął cicho, najwyraźniej pragnąc tego samego co ona.

Nie miała siły zaprotestować. Pocałowała go, kiedy jego palce wcisnęły cienki muślin sukni między jej nogi. Znowu jęknęła z ustami tuż przy jego wargach; innej zgody nie było trzeba. Boże, jak ona tego pragnęła!

Ukląkł powoli, wodząc dłońmi wzdłuż jej ciała, od bioder po kostki, a potem jego ręka wślizgnęła się pod suknię. Przycisnęła głowę do drzwi i z przymkniętymi oczami zanurzyła palce w jego włosach, gdy całował jej brzuch przez suknię, unosząc ją powoli.

Serce w niej załomotało, kiedy odchylił głowę do tyłu i spojrzał jej w oczy. Dotknęła ręką jego stwardniałych, ostrych rysów. Opuścił potem powieki, pochylił głowę i przywarł do jej ciała. I zrobił to, co zrobił. Nigdy nie doznała tak zdumiewających wrażeń, jak wówczas, gdy całował ją tam, w tamtą dziewiczą cząstkę ciała, jakby składając hołd jej kobiecości.

Oglądała już co prawda taki obrazek w bezwstydnym niebieskiej książeczce, którą jej podarował, ale nawet sobie nie wyobrażała czegoś takiego. Jego palce wniknęły w nią, dotykając jej czule.

Och, jakie to cudowne, pomyślała, dysząc ciężko i kurczowo trzymając się klamki, żeby nie upaść.

Nie wiedziała, jak wiele czasu upłynęło, ale doprowadził ją do potężnego, sięgającego samego dna spazmu.

- Billy, Billy, och Boże, Billy! -jęczała.

Przywarła do niego rozgorączkowana, zachwycona. Cały niepokój, strach i kontrola nad sobą uleciały gdzieś w wirze cudownych wrażeń.

Podniósł się i objął ją delikatnie ramionami. Teraz obydwójce opierali się o drzwi, póki nie oprzytomniała. Pocałował jej włosy, a potem pochwycił wpół, obrócił ją dookoła i założył jej na szyję diamentowy naszyjnik. Stała, drżąc od jego bliskości. Palce Rackforda przesuwały się po jej karku, szukając zamka. Nigdy nie czuła się tak zelektryzowana czyjąś obecnością.

Udając swawolną psotnicę, dotknęła lekko twardej, pulsującej męskości, którą wyczuła, gdy stał za nią, mozoląc się nad zapięciem naszyjnika. Nabrał gwałtownie tchu. Spojrzała na niego przez ramię, zafascynowana.

Nie odejmując dłoni, obróciła się ku niemu.

- Co ty właściwie chcesz zrobić? - spytał zdławionym głosem, patrząc na nią chciwie.

Nie odpowiedziała, zaabsorbowana kolejnym odkryciem. Mogła wyczuć, jak jego ciało zmienia się pod jej dotknięciem. Powstrzymał ją, chwytając za rękę. Zdziwiło ją, jak wielkie i mocne są jego dłonie w porównaniu z jej małymi i delikatnymi rękami, gdy splotła jego palce ze swoimi. Nachylił się i po raz drugi pocałował ją mocno, powoli.

Kiedy znów się odezwał, muskając wargami jej usta, jego głos był aksamitnym szeptem.

- Czy wiesz, że zrobiłbym dla ciebie wszystko?

- Billy - wymówiła jego imię ledwo dosłyszalnie, obejmując go w pasie. Położyła mu głowę na piersi, zachwycona jego uściskiem.

Objął ją jeszcze mocniej i ucałował jej włosy, a potem odczekał chwilę.

- Nigdy się z nikim tak nie czułem, Jacindo. - Powiedział to miękko, ostrożnie. -

Chciałem, żebyś to wiedziała.

Odsunęła się nieco od niego i odchyliła głowę do tyłu, żeby zajrzeć mu w oczy.

Patrzył na nią szczerze, ale i czujnie, jakby czekając na jej reakcję. Powoli uniosła dłoń i powiodła nią po gładko wygolonym policzku. Przymknął oczy, poddając się delikatnemu dotknięciu. Przyglądała mu się uważnie, jakby odkrywając go po raz pierwszy. Narastało w niej zdumienie, pojęła wreszcie, że był jedynym mężczyzną, który traktował ją jak równą sobie. Uznała, że obok Lizzie jest to jej najbliższy przyjaciel. Jeśli jednak miała być uczciwa wobec siebie, był też czymś więcej niż tylko przyjacielem. Kimś o wiele bliższym.

Nagle odwrócił głowę i ucałował jej dłoń z sardonicznym uśmiechem.

- Dosyć tortur - mruknął. - Chodźmy z tego piekła.

Nie potrafiła znaleźć żadnych słów, więc jedynie przytaknęła milcząco, gdy otworzył drzwi, rozejrzał się na wszystkie strony, a następnie kiwnął na nią. Razem wyszli na korytarz.

Trochę poniewczasie zaczęła się niepokoić, czy ktoś nie odkrył ich nieobecności. Z pewnością lord Drummond zastanawia się, gdzie przepadła razem z Rackfordem.

Wkrótce się rozdzielili. Jacinda powróciła na bal tą samą drogą, którą przyszła, on zaś skierował się ku korytarzowi dla służby. Skradł jej szybki, pożegnalny pocałunek, nim otworzył kuchenne drzwi, którymi dostał się na górę.

- Hej, ślicznotko - powiedział półgłosem, gdy zatrzymała się, chcąc się przejrzeć w jednym z luster zawieszonych nad konsolami w westybulu.

Z niepewnym uśmiechem odwróciła się, a on jeszcze raz wysunął głowę zza drzwi dla służby.

- Co?

- Jesteś słodsza niż cukierek - szepnął, posyłając jej z daleka pocałunek.

Westchnęła zmieszana, lecz nim zdążyła odpowiedzieć, zniknął w półmroku. Słyszała tylko cichnący odgłos jego kroków. Z lekkim uśmiechem odwróciła się ku oświetlonemu

świecą zwierciadłu i ze skrywaną satysfakcją spojrzała na naszyjnik, który znowu spoczywał na jej piersiach. Potrząsnęła głową na widok swego odbicia. Ten nędznik zostawił ją ze zmierzwionymi włosami, pomiętym odzieniem i zarumienioną twarzą!

Szybko przyglądała fryzurę i obciągnęła suknię, a potem wślizgnęła się do sali balowej, stąpając tak lekko, jakby ledwo dotykała ziemi.

Należała do niego. O tak. Czy chciała się do tego przyznać, czy nie, to jego zadziorne, kędzierzawe kochanie nareszcie czuło to samo, co jego nękało już od wielu tygodni. Był tego pewien. Uśmiechając się do siebie, niemal biegiem wpadł na frontowe schody ojcowskiego domu.

Było już późno, a on dopiero co wrócił z balu u Taylorów. Jak zwykle Gerald zdołał otworzyć mu drzwi, nim jeszcze zdążył do nich zapukać. Zatrzymał się przed wejściem, żeby strzepnąć popiół z cygara. Matka nazywała palenie „przebrzydłym nałogiem”, ale mężczyzna musi w końcu mieć swoje drobne grzeszki.

Jakżeby się teraz pragnął znaleźć w jakimś kawalerskim apartamencie, najlepiej na drugim końcu miasta, ale sir Anthony Weldon i oficerowie z Bow Street, którzy z nim współpracowali, chcieli, żeby mieszkał właśnie tutaj, gdzie łatwiej im było mieć go na oku - nie tylko dla własnej wygody, ale i po to, by zapewnić mu ochronę teraz, kiedy posłał tak wielu szubrawców do Newgate. Do tych luksusowych kawalerskich mieszkań, jak twierdzili policjanci, zbyt wiele osób miało swobodny dostęp.

Kiedy szedł do siebie, myślami znów wrócił do Jacindy.

Dzisiaj podjął wielkie ryzyko, ale cieszył się z tego. Och, te reguły dobrego wychowania są po prostu nieznośne! Trzeba się namęczyć jak potępieniec, żeby przez chwilę pobyć sam na sam z dziewczyną. W dzielnicy ruder dziewczęta miały o wiele więcej swobody, mogły spędzać swój wolny czas, jak chciały, a jeśli podobał się im jakiś chłopak,

nie skąpiły mu swoich łask. Nie nawykł do wszystkich tych przeszkód, które piętrzyły się przed nim: przyzwoitek, guwernantek, groźnych braci, czujnych ma-tron. Wierzył jednak, że dzisiaj zjednął sobie Jacindę. Chyba zrozumiała, że będzie im razem dobrze.

Ale jeszcze nie teraz! Potrzebował odpoczynku jak nigdy. Nie pozwolił, żeby go dotykała, bo wiedział, że zadowoli go dopiero odebranie jej dziewictwa. Jego przyszła żona nie powinna go stracić przed ślubem. Albo wkrótce będzie ją miał, albo postrada zmysły z powodu niespełnionych nadziei. Ostatnio zbyt wiele czasu zajmowało mu fantazjowanie o tym, jak ją rozbiera, rozwiązując wszystkie te wdzięczne kokardy i powoli zdejmując z niej lekkie, delikatne części odzienia, jedną po drugiej...

- Williamie!

Chrapliwy głos wdarł się nagle w jego myśli. Korytarzem zmierzał ku niemu ojciec.

Rozwiązany halsztuk zwisał mu niedbale z szyi, twarz była purpurowa z pijaństwa. Mało brakowało, żeby się szyderczo uśmiechnął na widok markiza, pamiętając, jak niechętnie traktowała go Jacinda podczas uroczystego bankietu.

Ochota do śmiechu przeszła mu jednak, gdy dojrzał agresywny błysk w pociemniałych zielonych oczach. Znał dobrze ten pijacki wzrok, choć nie widział go przez całe lata.

Natychmiast zrobił się czujny. Ojciec zbliżał się ku niemu chwiejnym krokiem.

- Rzuć zaraz to cygaro, podły bękarcie! - warknął. - Dobrze wiesz, że twoja matka zabrania palenia w domu. Masz mnie słuchać, kiedy jesteś pod moim dachem!

Rackford mierzył go przez chwilę wzrokiem. Najwyraźniej ojciec nie zdawał sobie sprawy, że syn jest teraz znacznie wyższy od niego i bardziej muskularny. Nie mówiąc o tym, że przez piętnaście lat musiał walczyć o życie.

Wysiłki Jacindy wywarły jednak pewien skutek, bo chociaż wszystkie mięśnie miał napięte niby struny, zdołał mimo to odpowiedzieć ojcu, jak przystało dżentelmenowi. W sieni

stało małe drzewko cytrynowe w donicy. Spokojnie podszedł ku niemu i zgasił cygaro w ziemi, a potem się wyprostował.

- Proszę mi wybaczyć. Nie wiedziałem, że to komuś przeszkadza.

- Mnie diabelnie przeszkadza!

Ależ z niego gbur, pomyślał sobie.

- No i palnę ci prosto z mostu, że coś innego też mi przeszkadza - ciągnął agresywnie ojciec, a jego błyszczące od alkoholu oczy rozbłyły jeszcze mocniej. - Ta bezwstydna smarkula Hawkscliffe'ów, za którą ciągle oczami wodzisz!

Rackford spojrział na niego z gniewem.

- Milordzie - ostrzegł - nie pozwolę, żeby ubliżać tej damie w mojej obecności.

- Jaka tam z niej dama! - parsknął Truro. - Lepiej o niej zapomnij! Dałeś mi słowo, że ożenisz się jak najprędzej, a już minęły dwa miesiące. Czas, żebyś dotrzymał danego przyrzeczenia. Mówiłem z lordem Erhardem o jego córce. Tej rudej, piersiastej. No i doszliśmy do porozumienia. Poślubisz ją.

- Daphne Taylor?

- Tak, właśnie ją. - Markiz spojrział na niego złośliwie spod oka.

- Ojczy, ta dziewczyna jest istną harpią. Jeśli się ożenię, to z lady Jacindą. - Jeżeli wreszcie zmądrzeje, dodał w myśli.

- Akurat.

Rackford zeszywniał na te słowa.

- Dlaczego? Lady Jacinda wywodzi się ze znakomitej rodziny. - Zupełnie jakby chodziło o kupno mlecznej krowy, pomyślał cynicznie. - Jest piękna, zdrowa i ma sto tysięcy funtów posagu. - To powinno zrobić na ojcu wrażenie.

- Nie dbam o to, ile przeklętych tysięcy ma w posagu - wybełkotał pogardliwie Truro.

- Wstrętna, pyszałkowata dziewczka! Nie podoba mi się!

- Ale mnie się podoba. - Rackford usiłował trzymać swój gniew na wodzy. Ty też jej się nie podobasz, pomyślał o ojcu.

- Nie widzisz, że będzie z niej puszczańska, ty głupcze?! Całkiem jak jej matka! Mój syn nie będzie się parzył z byle dziwką!

- Dość tego! - krzyknął ojcu prosto w twarz, tracąc cierpliwość.

Truro z warknięciem zamierzył się na niego. Rackford chwycił go mocno za nadgarstek prawą ręką. Reakcja nadeszła równie sprawnie, jak odruchowo. Przerzucił markiza przez ramię chwytem, którego się nauczył w niezliczonych ulicznych bójkach. Ojciec wyleciał w górę i padł bez tchu plecami na marmurową posadzkę korytarza, rozplaszczając się na niej.

Rackford stanął nad nim z morderczym błyskiem w oczach i przydeptał mu stopą krtań. W ułamku sekundy mignęły mu w pamięci własne, dawne cierpienia.

- Teraz już wiesz, jak łatwo mógłbym cię zabić?! - syknął przez zaciśnięte zęby.

Ojciec wpatrywał się w niego ze strachem w oczach. Rackford poczuł na ten widok dziką, przemijającą satysfakcję.

- Dlaczego... - zaczął, lecz słowa utknęły mu w gardle. Duma nie pozwoliła zadać pytań, które nadal, po tylu latach, tkwiły w nim jak cierń. Dlaczego mnie nienawidzisz? Co zrobiłem, żeby zasłużyć na takie traktowanie? W czym się na mnie zawiodłeś? - O mnie możesz mówić, co tylko chcesz, ale jeśli jeszcze raz usłyszę, że uwłaczasz mojej przyszłej żonie, to daję słowo, nigdy nie zapomnisz nauczki. - Zdjął nogę z ojcowskiego gardła i zmusił się, żeby stamtąd odejść.

Ojciec dźwignął się na nogi i wykrzykiwał za nim obelgi, przypominając mu, że jest nicponiem, nikczemnikiem, głupcem, gałganem niezdatnym do niczego, diabelskim

pomiotem.

- Lepiej było zostawić cię w Newgate, żebyś tam zgnił! Niech już raczej nasz ród zginie, niż żeby taki nędznik jak ty miał go przedłużyć!

Ubawił go ten grad szaleńczych, okrutnych słów, ale gdy dotarł do swego apartamentu, drżał cały. Radosny nastrój, w którym powrócił z balu, się ulotnił.

Rozejrzał się po ciemnym i cichym pokoju. Co on tu właściwie robi? Nie zapalił świecy, ale od razu podszedł, znużony, do łóżka. Przytłoczyła go przeszłość. Długo leżał, patrząc w sufit. Nic nie był wart, tak. Zapomniany od dawna ból wzmógł się teraz i zawładnął jego ciałem. Nie było od niego ucieczki. Skaza tkwiła w nim samym. Czy ktoś go kiedykolwiek pokocha?

W mroku jaśniało tylko jedno światło. Była nim Jacinda, lecz na samą myśl o niej ból przybrał na sile. A jeśli wszystko, co ojciec powiedział, jest prawdą? Jak ona mogłaby pokochać kogoś takiego? Czegóż on się spodziewa?

Mógł dać jej cielesną satysfakcję, ale nadał pozostawał nikim i z pewnością nie zasługiwał na jej miłość. Był tak znękany, że niemal poczuł łzy pod powiekami. Szybko siadł na łóżku, usiłując zwalczyć słabość. Zerwał się na nogi. Przypominał sobie jej życzliwość, serdeczne pytania, sposób, w jaki na niego patrzyła. Nigdy nie patrzyła tak na kogoś innego! No i diamenty, oczywiście. Przecież zostawiła mu je bez żadnego przymusu, z własnej woli. Dostrzegła w nim coś dobrego.

Myliła się, powtarzał mu jakiś podstępny głos wewnątrz. Nie jesteś nic wart. Jesteś niczym.

Nie wiedział, któremu z tych głosów ma wierzyć. Z gniewnym pomrukiem szarpnął za halsztuk i zaczął krążyć po pokoju. Podszedł do okna, uniósł zasłonę i wyjrzał, żeby sprawdzić, czy na ulicy nie ma jego stróżów. Wezbrała w nim wściekłość.

Opuścił zasłonę i poszedł się przebrać.

Kilka minut później wyjął ulubiony nóż ze skrytki w szufladzie. Spojrzał na czarne niebo za oknem.

Najwyższy czas, żeby rozpocząć łowy na Szakali.

Wkrótce skradał się w ciemnościach, panujących w dzielnicy ruder. Zapomniał o gniewie na ojca, kiedy prześlizgiwał się wąskim zaułkiem między budynkami, zmierzając ku opuszczonej wozowni, przez którą przedostawał się do swojej byłej siedziby.

W dzielnicy panował spokój. I to było trochę niepokojące.

Być może część ludzi O'Della uciekła od niego. Rackford wiedział, że mieli powody.

Zaczęło się od tego, że Krwawy Fred narobił zamieszania, plotąc o widmie Billy'ego Blade'a. Do Rackforda dotarły słuchy, że O'Dell wsadził Freda z powrotem do Bedlam, gdzie trzymano go odtąd w zakratowanej celi. Ale złe już się stało.

W dzielnicy zapanował chaos. Dokładnie tak, jak to sobie zaplanował, gang Szakali zniszczyły wewnętrzne walki. Władza nad ludźmi powoli wymykała się O'Dellowi z rąk.

Baumer i Flash pozabijali się nawzajem podczas kłótni o zegarek. Po kilku nocnych wizytach Rackforda trzech innych Szakali znaleziono martwych albo w ich pokojach, albo w pobliskich ciemnych uliczkach. Wszyscy z nich brali udział w gwałcie na córce Murphy'ego.

Wielu innych zdezerterowało, bo każdy w St. Giles już wiedział, że Szakali tropi i kolejno wykańcza duch Billy'ego Blade'a. Po dzielnicy krążyły najdziwsze plotki, wyolbrzymione przez niepiśmiennych londyńskich prostaków i przesądnych Irlandczyków.

Ludzie prześcigali się wzajemnie w wymyślaniu historii. Połowa mieszkańców okolicznych ruder twierdziła, że widziała jego ducha w rozmaitych miejscach, lecz o tej samej porze. Powiadali, że Blade powraca z grobu, aby dotrzymać danego słowa, że pomści niewinną dziewczynę.

Krążyły wieści, że choć widmo potrafi poderżnąć komuś gardło, to bać się go powinni tylko niegodziwcy. Pojawiało się jakoby na kilka sekund, zostawiając za sobą, jako jedyny ślad, rozsypane płatki czerwonego goździka.

Jeśli nawet O'Dell nie wierzył w duchy, wierzyli w nie jego ludzie, a to pomagało pokonać Szakali.

Skulony za opuszczoną wozownią, rozejrzał się wokoło, czy nikt go nie widział, i wślizgnął się do środka. W tejże chwili ktoś zdzielił go w tył głowy.

Krzyknął donośnie, na wpół oślepiiony bólem, a wtedy trzech mężczyzn rzuciło się na niego, chcąc go powalić na ziemię. Walczył o to, żeby nie upaść, z głową pełną oślepiającego bólu. Nie mógł niczego dojrzeć w ciemnościach, poczuł tylko, że ktoś uderzył go pięścią w brzuch, tak że zgiął się wpół. Szamotał się z nimi na oślep, nie chcąc, żeby znaleźli jego broń. Ktoś podstawił mu nogę i w następnej chwili Rackford legł z twarzą w starych trocinach. Czuł, że jeden z napastników postawił mu stopę na czaszce. Bluznął stekiem przekleństw, ale zyskał tylko tyle, że but przycisnął jeszcze mocniej jego głowę. Otarł się policzkiem o brudną ziemię. Wykręcono mu ręce do tyłu.

- Niech to diabli, on nie umarł!

- Trzymaj go.

- O'Dell miał rację, Blade żyje!

- Już niedługo.

Ktoś koło niego splunął, a potem czyjeś ręce chwyciły go z obu stron pod ramiona i postawiły na nogi. Krwawiąc z kącika ust, Rackford uniósł głowę i znalazł się oko w oko z Tyburnem Timem, prawą ręką O'Della.

- Cześć, Blade. Wyglądasz inaczej niż przedtem. A widzę, ściałeś te swoje piękne włosy! O'Dell podetnie ci gardło.

Nie odezwał się ani słowem, spojrzał mu tylko zimno w oczy.

Twarz Tima wykrzywiła się w okrutnym uśmiechu.

- Zarozumialec z ciebie. Jak zawsze. Wiedzieliśmy, że kiedyś cię dopadniemy. - Tim

rąbnął go z całej siły w brzuch. - To za Jonesa, bękarcie!

Cios odebrał mu oddech. Ci, którzy trzymali go pod rękę, dźwignęli go znowu na znak Tima.

- Zabierzcie go stąd.

Został na wpół przywleczony, na wpół przeniesiony do swojej dawnej siedziby i wrzucony do spiżarni na parterze. Drzwi zamknięto na klucz. Dwóch Szakali zostało, żeby go pilnować. Tyburn Tim pobiegł szukać O'Della.

Z głową pękającą od bólu zaczął powoli pełznąć po ziemi. Zdołał jakoś wstać, a potem ciężko usiadł. Wszystko wokół niego wirowało. Boże, czym oni go walnęli? Czuł, jak ciepły strumyczek krwi spływa mu po karku z rany na głowie. Przewidzieli jego posunięcia. Był nieostrożny, a może tylko arogancki? Nie przypuszczał, że O'Dell okaże się na tyle bystry, żeby odkryć, któredy się tu przedostawał. Lecz jedno było dla niego oczywiste, nawet w tym oszołomieniu. Jeśli się stąd nie wydostanie, to koniec z nim. Sięgnął po nóż, ale z przygnębieniem stwierdził, że udało im się pozbawić go broni.

Jeden ze strażników, stojący całkiem niedaleko, trzymał jego ulubiony nóż i drwił z niego.

- Ech, teraz znowu jesteś starym Billym. Co, Blade?

Powiódł wzrokiem po spiżarni, próbując się zorientować, gdzie go wsadzono.

Wiedział, że znajdowała się koło magazynu, niedaleko miejsca załadunku, gdzie przyprowadził Jacinę tej nocy, kiedy ją znalazł w uliczce. A gdyby tak...

Jego wzrok powędrował ku podłodze na środku pomieszczenia. Pamiętał, że również i ono miało ukryte przejście. W podłodze była kłapa. Przypomniał sobie o niej, bo kiedyś Eddie wyskoczył stamtąd wesoło akurat wtedy, kiedy on zabawiał się w najlepsze z hożą i chętną dziewczyną.

Gdyby jakoś poradził sobie ze strażnikami, mógłby w okamgnieniu uciec przez zimne i wilgotne przejście pod fundamentami. Myśl o ucieczce przed Cullenem O'Dellem przejmowała go co prawda wstrętem, ale był bezbronny i ranny. Jeśli nie mógł walczyć, musiał uciekać.

W tejże chwili drzwi się otworzyły. Rackford uniósł głowę, lecz zamiast Tyburna Tima i O'Della wszedł przez nie ostrożnie młody Oliver Strayhorn. Był to nowy członek bandy Szakali, wysoki, szczupły chłopak o poważnym wyglądzie, czarnych włosach i orzechowych oczach. Dwójka strażników poniechała szyderstw.

Rackford słyszał, że Strayhorn zyskał sobie uznanie dzięki inteligencji i wrodzonym zdolnościom przywódczym. Młodzieniec podszedł do niego miarowym krokiem.

- To ty jesteś ten wielki Blade? Wreszcie się spotykamy. Rackford nie odpowiedział.

- Dużo o tobie słyszałem.

- Pewnie nic dobrego.

Strayhorn otaksował go spojrzeniem.

- Wręcz przeciwnie. Przewodziłeś największej bandzie na północ od Tamizy.

Stworzyłeś ją zresztą sam jeden.

Skinął głową. Ogniste Sokoły powstały z połączenia kilku różnych szajek, włączając w to jego własną, Tomahawki, oraz Ogniste Smoki z Clerkenwell.

- Nawet najbliżsi kompani O'Della przyznają, że wiedziałeś, jak dojść do pieniędzy - odezwał się Strayhorn, nadal patrząc prosto na niego.

- To wymaga czasu. - Rackford próbował się skoncentrować na rozmowie, mimo pękającej z bólu głowy. - I odwagi, i trochę rozumu. To wszystko. A co ty o tym sądzisz?

Przecież jesteś jednym z najbliższych kumpli O'Della.

Strayhorn pokręcił głową, jakby chciał dać mu do zrozumienia, że niekoniecznie.

Rackford przypomniał sobie o porzekadle: „Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem”.

Może obydwaj sobie pomogą?

Wysoki młodzieniec wstał bez słowa i wyszedł, kiwnąwszy mu na odchodnym głową.

Drzwi zamknęły się za nim. Chociaż Rackford przypuszczał, że Strayhorn przyszedł, chcąc się przekonać, czy nie może mu w czymś pomóc, wiedział aż za dobrze, że w dzielnicy ruder pierwsze przykazanie brzmiało: „Myśl zawsze o sobie”. Nie chciał, żeby jego los zależał od knowań Strayhorna czy litości O'Della, bo ten ostatni jej nie miał. Musiał się jak najprędzej stąd wydostać.

Nieznacznie przesunął dłonią wzdłuż spoin w deskach podłogi i wyczuł, że jedna z nich lekko ustępuje pod palcami. Była gruba i zmurszała, ale nie przybito jej gwoździami.

Mogła się okazać poręczną bronią, podobnie jak kłapa. Zerknął na strażników.

Poprosił ich słabym głosem o wodę. Podeszli do niego, szczerząc zęby.

- Chce ci się pić, ty przeklęty bękarcie? -Jeden z nich zaczął rozpinąć spodnie. -Już ja ci się dam napić...

Rackford nagłym ruchem chwycił deskę i podciął im nią nogi. Obraz Jacindy dodał mu odwagi. Jednego z drabów walnął deską po raz drugi, żeby mieć pewność, że nie wstanie.

Drugiego kopnął w brzuch, a potem wyrwał kolejne trzy deski i wskoczył w ciasną norę, lądując na zimnych, kamiennych płytach. Nim jego prześladowcy zdążyli się pozbierać, wydostał się z budynku i popędził przed siebie labiryntem nędznych uliczek.

Słyszał, że Szakale gonią za nim. Dyszał ciężko. Nie oglądał się za siebie. Słyszał z daleka tupot stóp i głosy. Rozpoznał tylko jeden z nich. Był to głos O'Della.

- Łapać go! Dalej, za nim! Już ja cię dostanę, Blade, ty draniu!

Skręcił za róg i nadal biegł przed siebie. Rana zaczęła mocniej krwawić. Z każdym krokiem czuł coraz większą słabość i zawroty głowy. Bał się, że straci przytomność. Szarpnął

kurczowo za drzwi starej budy wciśniętej między dwa budynki i wpadł do środka, zamykając je cicho za sobą. Przycupnął przy ścianie, próbując oddychać jak najciszej. Słyszał nawoływania:

- Za nim! Jazda! Tędy!

Szakale rozdzielili się i popędzili w dwóch różnych kierunkach. Wiedział jednak, że nie zapuszczą się zbyt daleko i szybko wrócą, a on jest zbyt osłabiony, żeby się bronić. Usiadł na ziemi, wsparł się o ścianę i zamknął oczy. Zimny pot spływał mu po twarzy. Odpoczynek przyniósł mu na początku wielką ulgę, lecz później zalała go nowa fala dotkliwego bólu. Z grymasem zmusił się, żeby wstać.

Uchylił drzwi i stwierdził, że ulica jest pusta. Resztką sił wyslizgnął się z szopy i na wpół biegnąc, na wpół idąc, przebył drogę do Lincoln's Inn Fields. Nate, stary przyjacielu, pomyślał, gdy jakiś czas później padł na łóżko, potrzebowałbym dziś twojej pomocy. Nie zmieniając nawet zakrwawionego odzienia, zamknął oczy i pozwolił ogarnąć się ciemności.

Wstał koło południa, czując się, jakby go stratował tabun dzikich koni. Ciało miał sztywne i obolałe, wszędzie poznaczone siniakami. Bolał go brzuch, w który dostał kilka kopniaków, a tył głowy pulsował dotkliwie. Na szczęście rana już się zasklepiła. Czym oni go, u licha, uderzyli?

Zażądał kawy i kanapek zamiast zwykłego obfitego śniadania, i długo siedział w kąpieli, zmywając zaschniętą krew z włosów. Każdą najdrobniejszą nawet cząstką ciała tęsknił za Jacindą i jej miękkim, czułym dotykiem.

Najbardziej dokuczała mu jednak świadomość klęski i upokorzenia. Przypomniawszy sobie o bójce z ojcem, po której wymknął się do dzielnicy ruder, żeby wyładować gniew.

Filbert, zapytany o markiza, odpowiedział, że Truro wyjechał rankiem do Kornwalii, zabierając ze sobą matkę.

Rad, że wreszcie dał ojcu nauczkę, zanurzył się głęboko w niklowanej wannie, czekając, aż zacznie działać środek przeciwbólowy. Gdy poczuł się lepiej, ubrał się i udał do Jacindy. Jeden jej uśmiech uleczy wszystkie jego cierpienia.

Jechał kariolką do Knight House wolniej niż zwykle i mniej uczęszczaną trasą, zastanawiając się, jak wytłumaczy swoje rany i siniaki. Sumienie nakazywało mu powiedzieć prawdę, lecz ode-gnał od siebie tę myśl. Będzie musiał skłamać.

Walsh wpuścił go do pałacu. Rackford zdjął kapelusz i pozdrowił sługę jak co dzień, lecz gdy tylko wszedł do wyłożonego białym marmurem westybulu, rozległ się z piętra zrozpaczony głos Jacindy:

- Rackford? Och, jak dobrze, że pan przyszedł!

Spojrzał w górę i zobaczył ją przechyloną przez poręcz wielkich spiralnych schodów.

Była zaczerwieniona i włosy miała w nieładzie. Natychmiast zapomniał o wszystkich swoich dolegliwościach, pojmując, że wydarzyło się coś bardzo złego.

Zbiegła ku niemu ze łzami w oczach.

- Co się stało?

Nie odpowiedziała mu, tylko rzuciła się pędem przez westybul i padła mu w ramiona ze szlochem, obejmując go mocno.

- Moja droga, co się z tobą dzieje? - szepnął i przytulił ją mocno do siebie.

Walsh chrząknął z dezaprobatą, lecz Jacinda nie zważała na niego.

- Och, Billy, w końcu do tego doszło! Coś okropnego!

- Do czego, kochanie? - spytał, unosząc jej podbródek końcami palców. Po krągłych policzkach Jacindy spływały łzy.

- Lizzie... - wybuchnęła. - Alec zrobił straszną rzecz!

- Dobry Boże!

- Chodź, wyjaśnię ci po drodze. Musimy do niej pójść. - Ujęła go za rękę i pociągnęła za sobą. - Jeszcze nigdy nie widziałam jej w takim stanie! - wyznała przerażona, gdy wspólnie wspinali się po schodach. - Pakuje swoje rzeczy i mówi, że nas opuszcza. Myślę, że jest gotowa to zrobić! Może ty potrafiłbyś ją uspokoić? - spytała z lękiem. - Wiesz przecież, jak ona cię lubi.

- Oczywiście. Zrobię, co będę mógł.

Wsparła mu głowę o ramię.

- Jesteś taki dobry! Boję się, że będę musiała powiedzieć o wszystkim Robertowi, choć Lizzie nie pozwala mi pisać mu ani słowa!

- Kochanie, ale co właściwie się stało? - spytał, starając się nie okazywać zniecierpliwienia.

Jacinda przystanęła na szczycie schodów.

- Nie powiesz nikomu?

- Jasne, że nie. Chcę ci tylko pomóc.

- Wszystko przez Aleca! Prawda wyszła w końcu na jaw. Wcale nie złamał sobie kostki z powodu zakładu! To coś o wiele poważniejszego. Nie chciał się nikomu przyznać, że przegrał w karty o wiele więcej, niż mówił. Robert ograniczył mu pensję, więc poszedł do jakiegoś nikczemnego lichwiarza i się zapożyczył. Kiedy jednak przyszło do spłacania długu, nie był w stanie tego zrobić. Zażądał więc dłuższego terminu, ale lichwiarz odmówił i nastął na niego kilku zbirów, żeby wydusili z niego zapłatę. Złamali mu nogę. To miało być ostrzeżenie, że jeśli nie zapłaci, następnym razem będzie musiał pożegnać się z życiem.

Rackforda ogarnęła wściekłość.

- Proszę się nie martwić, milady. Zaraz się tym zajmę. Miewałem już do czynienia z lichwiarzami. Wiem, jak sobie radzić z podobnymi nikczemnikami.

Zatrzymała go, kładąc mu łagodnie dłoń na ramieniu.

- To jeszcze nie wszystko! - Chwyliła się z jękiem za głowę. - Boże, skrzyłabym mu kark ze złości, że nie powiedział wszystkiego Robertowi ani bliźniakom. Nic go bardziej nie drażni niż konieczność proszenia braci o pomoc! Nawet Lizzie się nie przyznał. Zrobił to dopiero zeszłego wieczoru, bo kiedy byliśmy w teatrze, sama ich zobaczyła i usłyszała, jak mu grożą. Przyszli żądać od niego spłaty długu.

- Tutaj, do pałacu?! - spytał półgłosem, blednąc z gniewu na samą myśl o niebezpieczeństwie, na jakie wystawieni byli obie dziewczęta i mały Morley.

Jacinda przytaknęła.

- Lizzie mówi, że podeszli pod samą bramę. Siedziała z Alekiem na werandzie i grała z nim w wista, kiedy pojawili się tam i zaczęli mu urągać przez kratę. Udało mu się ich pozbyć, ale Lizzie zażądała od niego wyjaśnień. Była wprost nieprzytomna ze strachu, bo grozili mu śmiercią. Dopiero wtedy wyjawiał, w jakich opałach się znalazł.

- Przypuszczam, że Lizzie natychmiast zawiadomiła o wszystkim księcia?

- Nie. Alec zmusił ją do zachowania sekretu. Lizzie nigdy by nie złamała słowa, a już zwłaszcza danego Alecowi. Następnego dnia poszła do Roberta i poprosiła, żeby wolno jej było podjąć wszystkie pieniądze pozostawione przez ojca, bo zamierza zrobić coś, o czym myślała od lat. Chce kupować stare, rzadkie książki i poddawać je konserwacji, a potem sprzedawać bibliofilom. Powiedziała mu, że na początek kupi jakieś stare, średniowieczne manuskrypty czy coś w tym rodzaju. W każdym razie Robert dokładnie ją wypytał i zadowolony z odpowiedzi, zgodził się przekazać jej odpowiednie dokumenty, mimo że Lizzie skończy dwadzieścia jeden lat dopiero we wrześniu. Niedużo tego było, ale... - oczy Jacindy znów napełniły się łzami - oddała wszystko Alecowi, żeby ratować mu życie.

- A on znów wszystko przegrał?

- Nie. Chyba z początku nie chciał nawet wziąć od niej tych pieniędzy, ale w końcu to zrobił. Lizzie mówiła, że dała mu je rano o dziesiątej. Nie pokazywał się aż do następnego ranka. Później zajrzał tutaj i znów wyszedł. W końcu wyznał, że nie jest w stanie uczynić czegoś takiego.

- Nie dziwię mu się - mruknął Rackford. Byłby to przecież dyshonor dla każdego mężczyzny. - Oddał jej te pieniądze? Może znalazł inny sposób spłacenia lichwiarza? Mógłbym mu pomóc...

- Och, znalazł sposób, oczywiście. - Jacinda zbladła i odwróciła wzrok. - Alec... to znaczy... - Policzki Jacindy z białych stały się czerwone.

- No mów...

Po chwili, z bólem, spojrzała na niego ponownie.

- Długi mojego brata spłaciła lady Campion - wyszeptwała. - Och, Billy, tego dnia, gdy zwrócił Lizzie pieniądze, powiedział jej otwarcie, że spędził z baronessą noc i że będzie ją nadal odwiedzał... w najbliższej przyszłości.

- Jak Lizzie to przyjęła? - Jest zdruzgotana.

Objął ją i przytulił, kiedy się rozsłochała. Trzymał ją przez chwilę w objęciach, a potem ostrożnie pocałował we włosy.

- Chodźmy do niej.

Jacinda kiwnęła głową, pociągając nosem. Po drodze Rackford zastanawiał się, czy w ogóle można było coś jeszcze zrobić w tej sprawie.

W końcu Alec nie ukrywał niczego przed Lizzie, sam powiedział jej prawdę. Mimo całego okrucieństwa jego postępków, Rackford bez trudu pojął, jak musiała go zawstydzić ofiara Lizzie - jawny dowód, że znalazł się na samym dnie.

Lepiej już było poświęcić resztki szacunku dla siebie i stać się utrzymankiem bogatej,

światowej baronessy niż stracić cały honor, przyjmując pomoc niewinnej dziewczyny, która go uwielbiała, i pociągnąć ją za sobą w bagno.

- Może poczekaś tutaj? - poprosiła Jacinda, kiedy doszli do innych, znacznie skromniejszych schodów. Założyła włosy za uszy, miała zaczerwienione oczy. - Nasze pokoje są na górze. Spróbuję ją namówić, żeby do nas zeszła.

Czekał więc, krążąc w kółko. Z góry dolatywał go błagalny głos Jacindy. Mógł też dosłyszeć krótkie, pełne wzburzenia odpowiedzi Lizzie, przerywane rozdzierającym łkaniem.

- Proszę cię, Lizzie, zejść i przywitaj się z Rackfordem.

- Nie mogę. Muszę się spakować. Przepróż go w moim imieniu.

- Gdzie ty się wybierasz?

- Odwiedzić panią Hastings w Yorku. - Urywane słowa, rzucane przez Lizzie, przejęły go do głębi. Potem w jej głosie zabrzmiał nagle gniew. - Założę antykwariat! On... on jeszcze zobaczy... Ja mu pokażę, co potrafię! A kiedy się wzbogacę, jeszcze się będzie przede mną czołgał na klęczkach, ta... ta męska dziwka! A ja mu się wtedy zaśmieję w nos! Niech tylko poczeka!

- Dobry Boże - westchnął cicho Rackford i nie dbając o to, co powie Jacinda, wszedł do pokoju Lizzie.

- Witam - powiedział łagodnie do poblądłej, zapłakanej sawantki.

Na jego widok ponownie zaczęła szlochać. Rackford nie odezwał się więcej, tylko ją objął, pozwalając jej solidnie się wyplakać na jego ramieniu.

Jacinda próbowała ją pocieszyć.

- Wolałabym go nigdy nie ujrzeć! I nigdy nie powinnam była o nim marzyć - mówiła

Lizzie przez łzy. - W końcu to... to syn księcia, a mój ojciec był tylko rządcą! Dobrze wiem, dlaczego Alec zawsze nazywał mnie Kruszyńką. Tak właśnie o mnie myślał, jako o małej nic

nieznaczącej istocie. Jestem dla niego nikim! Od zawsze! Nie trzeba się było wywyższać ponad stan!

- Och, Lizzie, przecież dobrze wiesz, że jego prawdziwy ojciec był jedynie aktorem - upomniała ją łagodnie Jacinda i serdecznie pogłaskała po ramieniu.

- Gdzie on teraz jest? - spytał cicho Rackford.

- U White'a - wyszeptała Lizzie przez łyzy.

- Pójdę z nim porozmawiać.

- Nie ma tu już nic do powiedzenia.

- Pozwól mu spróbować, Lizzie - prosiła ją Jacinda. Spojrzała z nadzieją na

Rackforda. Nie zastanawiał się dłużej. Chciał, żeby zobaczyła w nim bohatera.

Zdecydowany był zrobić użytek ze wszystkich rycerskich maksym, które mu obie

wpoili. Odprowadził Lizzie do najbliższego fotela i pomógł się w nim usadowić, a potem

zostawił ją pod opieką Jacindy i wyszedł, żeby nauczyć rozumu rozwiązłego fircyka.

Klub White'a znajdował się niedaleko, na tej samej ulicy, droga nie zabrała mu więc

dużo czasu. Szybko wypatrzył Ale-ca wśród wielu innych młodych dandysów popijających

brandy. Podszedł do jego stolika pod wykuszowym oknem. Alec nie wytrzymał

oskarżycielskiego spojrzenia i w jego ciemnoniebieskich oczach pojawiło się coś w rodzaju

poczucia winy.

- Niech nas panowie na chwilę zostawią samych - zwrócił się do kompanów Aleca.

Młodzi utracjusze najeżyli się, słysząc słowa aroganckiego intruza, lecz Alec lekkim

ruchem ręki kazał im się oddalić. Uczynili to niechętnie.

- A więc - wycedził, gdy Rackford wsparł dłonie na błyszczącym dębowym stoliku i

zmierzył go wzrokiem - moja siostrzyczka napuściła na mnie swoje groźne psisko. Czy

przychodzi pan wyzwać mnie na pojedynek, Rackford?

- Po cóż miałbym to robić?

- Nie wiem, w tym właśnie rzecz. Nie wiadomo, co z panem począć, jak pan może zareagować. Zakryta karta.

- Powinienem uznać te słowa za komplement, skoro pochodzą od gracza o pańskiej reputacji.

Alec uśmiechnął się krzywo.

- Kiedyś rzeczywiście cieszyłem się pewną reputacją, ale szczęście mnie opuściło, Rackford. Teraz mogę już tylko przegrywać.

- Może pan utracić coś więcej niż szczęście, jeśli natychmiast nie wróci pan do domu i nie przeprosi pewnej młodej damy.

- Mam ją przeproszać? Co takiego zrobiłem?

- Złamał jej pan serce.

Alec milczał przez chwilę.

- Lizzie Carlisle zasługuje na kogoś dużo lepszego ode mnie.

Rackford wziął z tacy czysty kieliszek i nalał sobie brandy.

- Może uda mi się w czymś pomóc. Jeśli to kwestia pieniędzy, mógłbym zaproponować pożyczkę.

- Dziękuję, ale znalazłem się w całkiem nowej sytuacji. Słyszał pan chyba? -

odparował jego słowa Alec z bezwzględny cynizmem. - I jest to całkiem przyjemne, jeśli mężczyzna może się tak wyrazić.

- I jeśli mężczyzna może potem sam ze sobą wytrzymać.

- Nie usłyszysz pan ode mnie narzekań.

- Dlaczego chce pan upokorzyć dziewczynę, która szczerze pana kocha?

Alec wymamrotał coś niechętnie pod nosem, patrząc w sufit.

- Kruszyńska jest wspaniałym, ufnym niewiniątkiem, Rackford. Ma mnóstwo książkowej wiedzy, ale ani źdźbła zdrowego rozsądku.

- To nieprawda. Panna Carlisle jest bardzo inteligentną młodą kobietą.

- Jeśli mnie kocha, to nią nie jest! - prychnął Alec. - Zapewniam, że teraz będzie mądrzejsza.

Rackford z wolna wstał, nie spuszczać go z oczu.

- Otrząśnij się, człowieku. Nie bądź głupcem. Jeśli ją teraz stracisz, będziesz tego żałował przez resztę życia.

Cała zuchwałość opuściła Aleca. Przygarbił się w fotelu, patrząc w przestrzeń, a potem pokręcił głową z rezygnacją.

- Proszę jej powiedzieć, że mi przykro.

- Niech pan sam jej to powie. - Rackford spojrzał na niego ostro, odwrócił się i wyszedł.

- Nie powinnaś wyjeżdżać - nalegała Jacinda. Ona i Rackford odprowadzali Lizzie do dylizansu.

- Muszę to zrobić, nim przestanę panować nad sobą. Kto wie, co mnie teraz czeka? A prócz tego jadę tylko do Yorku - uspokajała ją przyjaciółka tak samo, jak czyniła to zawsze, odkąd się znały. Zmusiła się do uśmiechu. - Już czas, żebym opuściła Knight House.

- Tylko na krótko - upierała się Jacinda. - I obiecaj mi, że napiszesz!

- Oczywiście.

- Przykro mi, że nie potrafiłem go namówić do zmiany decyzji - powiedział cicho Rackford. - Alec to zaślepiony głupiec.

Objęła go ze smutnym uśmiechem.

- Och, lordzie Rackford, oby wszyscy mężczyźni byli tacy jak pan! A ponieważ

próbował pan mi pomóc, jest pan dla mnie rycerzem bez skazy.

Wzruszony, ucałował ją w policzek i pomógł wsiąść do dylizansu. Jacinda wzdrygnęła się, spoglądając na pozostałych pasażerów. Uparta Lizzie nie chciała wynająć karetki pocztowej, obstając przy odbyciu podróży w pojeździe stosownym, jak podkreśliła, do jej stanu.

- Dbajcie o siebie obydwójce - poleciła, ściskając dłoń Jacindy przez otwarte okienko.

- Obiecujemy - zapewnił ją Rackford, odciągając Jacindę od pojazdu, bo woźnica właśnie ruszał.

Długo machali jej na pożegnanie. Kiedy dylizans zniknął im z oczu, Jacinda dostrzegła, że Rackford przypatruje jej się z uwagą.

Spróbowała się uśmiechnąć.

- No cóż. Pojechała.

- Da sobie radę - mruknął, ujmując jej dłoń. Uniósł ją do ust, żeby ucałować palce. -

Chodźmy.

Pomógł jej wsiąść do kariolki i zabrał do Guntera na lody. Potem, widząc, że nadal jest przybita, zawiózł ją na Primrose Hill, z dala od wszelkiego zgiełku. U stóp wzgórza zostawił kariolkę pod opieką stajennego.

Nie znajdowali się wprawdzie w ciemnej sypialni, jak wtedy na balu, i wszystko działo się w biały dzień, ale nie miała teraz przyzwoitki, sytuacja była więc nieco niestosowna. Nagle, w ciągu jednego dnia, okazało się, że życie należy brać bardziej serio.

Musiała uporządkować swoje myśli. Wiedziała tylko jedno - że cieszy ją towarzystwo Rackforda. Jego spokojna, mocna, kojąca obecność. Weszli razem na szczyt pagórka, pokonując łąki pełne kwiatów.

Słońce zachodziło. Siedzieli obok siebie pod starym, rozłożystym dębem, wśród

gęstych traw, i patrzyli na widniejący w dali Londyn; obydwójce jednakowo zamyśleni.

U stóp wzgórza rozłożyła się z piknikiem rodzina puciołowatych sklepikarzy. Na kocu stały koszyki z prowiantem, a troje rozbrykanych dzieci turlało się w dół po stoku. Ich śmiechy docierały aż do Jacindy i Rackforda. Poza tym mieli Primrose Hill wyłącznie dla siebie.

Jacinda spostrzegła, że Rackford przygląda się jej w milczeniu. Rdzawy blask zachodu oświetlał jego ciemną cerę, łagodził ostrość rysów. Złotawe iskierki tańczyły w tajemniczych, zielonych oczach.

- Jak się czujesz? - spytał półgłosem.

- Już dobrze. Pozostałeś mi ty, prawda? - Sięgnęła po jego dłoń i uścisnęła ją, uśmiechając się smutno.

Zaskoczyły go jej słowa.

- Oczywiście - odparł, ale krew napłynęła mu do twarzy.

Odruchowo pogładziła go po policzku.

- Drogi lordzie Rackford. - Westchnęła, po czym na chwilę zamilkła. - Powinnam ci o czymś powiedzieć.

Uniósł brwi ze zdziwieniem. -Jestem ci wdzięczna.

- Za co?

- Czy muszę o tym mówić? - Zarumieniła się odruchowo.

- Ach, myślisz o tamtej nocy? - Ugryzł jabłko, które przedtem otarł o surdut.

Rumieniec Jacindy stał się jeszcze wyraźniejszy.

- Nie, chociaż była cudowna. - Znów urwała. - Chciałam powiedzieć, że wdzięczna ci jestem za to, że nie pozwoliłeś mi wtedy uciec.

Przyglądał jej się uważnie. Przełknął jabłko z wysiłkiem.

- Słucham?

Nachyliła się i urwała źdźbło trawy. Łoki opadły jej nisko na twarz.

- Miałaś rację. Niełatwo mi przychodzi to mówić, ale powinnam być z tobą szczerą. -

Zmusiła się, żeby na niego spojrzeć, i uśmiechnęła się mimo smutku. - Nie rozumiałam

wtedy, że moja ucieczka miałaby straszliwe skutki. - Spoważniała. - Dzięki tobie uniknęłam

skłócenia z rodziną, a nic nie jest teraz dla mnie ważniejsze niż ona. Och, przepraszam! -

zawołała. - Wybacz mi...

- Co? - spytał z kamienną miną.

- Powiedziałam to, wcale się nie zastanawiając, a tymczasem twoja rodzina...

- Truro i jego żona? - Wzruszył ramionami i prychnął, wspierając się w trawie na

łokciu. - Może płynie w nas ta sama krew, ale to nie jest moja rodzina. - Przypatrywał się jej

przez dłuższą chwilę. - Ty nią jesteś.

I odgryzł obojętnie kolejny kęs jabłka. Chrupnęło głośno, smakowicie.

Zaparło jej dech po tych słowach. Czowała, że nadal na nią patrzy. Nie wiedziała, co

począć, gdy nagle zdała sobie sprawę, że bez Lizzie, przyzwoitki i gromady ciekawskich

gości nic już nie hamuje ich pragnień. Ze nie muszą ich w sobie tłumić.

Rackford podsunął jej jabłko i z uwagą obserwował grę uczuć na jej twarzy. Serce

zabiło jej szybciej; rozchyliła usta, żeby odgryźć słodki, wilgotny kęs.

Przypatrywał się jej, kiedy go żuła, a gdy tylko skończyła, zamknął jej usta głębokim,

pełnym pożądania pocałunkiem. Wszystkie myśli uleciały jej z głowy. Położyła rękę na jego

ramieniu, żeby zyskać jakieś oparcie wśród tej burzy wrażeń, jak wtedy, kiedy tańczyli walca.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i żarliwie oddała pocałunek, a on ułożył ją w wysokiej

miękkiej trawie na posłaniu ze stokrotek, pierwiosnków i jaskrów.

Każdy ruch wzmagił podniecenie. Oplotła go ramionami, a jej ręce, w białych

rękawiczkach, przesuwały się chciwie wzdłuż jego pleców. Głęboki, świadczący o zadowoleniu pomruk ośmielił ją. Całowała go teraz jeszcze gwałtowniej, gładziła muskularną pierś, ciesząc się jego siłą.

Czy naprawdę chciałyby żyć tak jak lady Campion? Myśląc tylko o sobie, o swoich egoistycznych przyjemnościach, nie dbając o to, że może kogoś zranić?

Całkiem jak matka.

Przebierała palcami w jego włosach, kiedy nagle drgnął i syknął. Zamarła bez ruchu.

- Co ci jest? - wydyszała.

- Nic takiego. Pocałuj mnie. - Wyciągnął ku niej rękę, lecz pohamowała go.

- Kochany, nie możemy.

- Właśnie że możemy. - A jeżeli ktoś nas zobaczy?

- Och, w porządku. - Zachmurzył się.

- Czy coś ci się stało? Zraniłeś się w głowę? - spytała, gdy znów usiedli.

- Drobiazg. To głupstwo. - Potarł obolałe miejsce, zupełnie jak mały chłopiec.

- Och, Rackford, coś ty sobie zrobił? Pozwól, niech się temu przyjrzę.

Wymamrotał pod nosem, że to nic ważnego, lecz gdy Jacinda ujrzała ledwie zasklepioną ranę, jęknęła głośno.

- Billy! - zawołała, obejmując go. - Powiedz mi w tej chwili, co się stało z twoją głową!

- Nic takiego - zaprotestował, kradnąc jej całusa. - Williamie!

- To dosyć żenujące. - Williamie Spencerze!

- Nadziałem się na... gwóźdź.

- Gwóźdź?!

- W stajni - wyjaśnił z niewinną miną. - Koń mnie potracił i straciłem równowagę, a

tam w jednym miejscu sterczy wielki gwóźdź, na którym stajenny wiesz uprząż. Mówiłem ci, że to głupie.

Przez chwilę patrzyła na niego przenikliwie.

- Czy zrobił ci to twój ojciec? -Kto?

- Twój ojciec.

- Nie! Nic podobnego.

- Dajesz słowo?

- Mój ojciec nie miał z tym nic wspólnego.

Przytuliła się do niego, a on położył jej głowę na kolanach i westchnął z zadowolenia.

- Musisz uważać na ten szkaradny gwóźdź. - Spojrzała na niego, przesuwając czubkiem palca po grzbiecie lekko zagiętego nosa, a potem pochyliła się i ucałowała gwiazdzistą bliznę na jego skroni.

Zamknął oczy i uśmiechnął się lekko.

Gdy leżał w jej ramionach, Jacindzie przypomniało się ich pierwsze spotkanie w uliczce. Nie mogła się nadziwić, że przestał się jej opierać - niczym porywczy ogier, którego można ułagodzić tylko dotykiem jej dłoni. Umiała to docenić, bo wiedziała, że lata okrutnych doświadczeń uczyniły go bezwzględny. Otwierał się przed nią. Nawet teraz mogła wyczuć, jak łatwo go zranić. Zdumiało ją, że tak bardzo jej ufa, podczas gdy ona nie była pewna, czy może ufać samej sobie. Pragnęła go i wcale nie lekceważyła jego potrzeb, wiedziała przecież, ile wycierpiał. Ale choć zmieniły się jej uczucia względem niego, nie opuszczały jej strach i niepewność. Kimże była, żeby kochać takiego mężczyznę? Cóż to za odpowiedzialność! Co taka niemądra i rozpieszczona smarkula jak ona wiedziała o poświęceniu? A jeśli okaże się podobna do matki? A jeśli go zrani tak, jak matka raniła ojca? Jeśli skrzywdzi swego ukochanego Billy'ego, mimo że wie, jak bardzo potrzebuje miłości i jak kruche jest jego

zaufanie?

Spojrzała na niego i nagle lęk zniknął. Czowała tylko czułość. Obiecała sobie, że nigdy, przenigdy nie zrani tego człowieka. Jakże mogłaby to zrobić, skoro był wszystkim, czego pragnęła?

Odegnęła pogmatwane myśli i mocniej oplótła go ramionami, wspierając podbródek na jego ramieniu.

Wspólnie patrzyli, jak gaśnie blask zachodu, a jego barwy nikną w leniwie płynącej rzece. Po zapadnięciu nocy Londyn zniknął wśród gwiazd. Świerszcze grały na łąkach.

- Jas...

Uśmiechnęła się lekko na dźwięk tego miękkiego i zarazem głębokiego głosu, który wymówił jej imię.

- O co chodzi, Billy?

- Ja... - urwał, patrząc jej w twarz. Przygłodziła jasny lok nad swoim czołem. - Tak?...

- Chyba lepiej, żebyś wróciła do domu - mruknął, wstając pospiesznie. - Robi się późno.

Zmarszczyła brwi. Najwyraźniej chciał powiedzieć coś innego, ale się przed tym powstrzymał. Ujęła go za rękę, kiedy wstał, i pozwoliła, żeby pomógł się jej podnieść. Ze wzruszającym oddaniem i troską sprowadził ją ze wzgórza.

Chyba zrobiłam z niego dżentelmena, uznała z cierpkim humorem, gdy podsadzał ją do kariolki. Sam ujął lejce i cmoknął na konie, odwożąc ją do domu.

Co za szkoda, pomyślała z rozbawieniem, wodząc wzrokiem po jego postaci - od eleganckiego cylindra, przez nieskazitelny halsztuk, aż do wytwornego brązowego fraka - że bardziej mi się podobał jako barbarzyńca!

Miał wyrzuty sumienia, że okłamał Jacindę, ale wczorajszy wieczór nie był odpowiedni, by jej opowiadać o jego wyprawach w głąb dzielnicy ruder. Dostatecznie ją już przygnębiło pożegnanie z Lizzie. Postanowił traktować ją jak najdelikatniej i okazywać jej wszelkie względy. Potrzebowała wsparcia, które mógł jej dać, a nie szokującej rewelacji, że złamał dane Weldonowi słowo i noc w noc toczył dzikie walki z przestępcami. Na pewno też nie powinna była wiedzieć, że go schwytano i że musiał ratować się ucieczką.

Chciał jak najszybciej wyrównać rachunki, ale musiał poczekać z powrotem do St.

Giles, dopóki jego rany nie zaczną się goić. W gruncie rzeczy, kiedy zyskał pewność, że ma Jacindę wyłącznie dla siebie, nie spieszyło mu się już tak bardzo do zemsty. Istniała przecież możliwość, że nie wróci z wyprawy do dzielnicy nędzy.

Przez następne kilka dni niemal bez przerwy przebywali ze sobą. Jacinda poniechała wprawdzie myśli o poślubieniu lorda Drummonda, ale nie ufała jeszcze w pełni pogłębiającemu się uczuciu do niego.

Rackford zdawał sobie sprawę, że Jacinda podziwiała wcześniej lady Champion, lecz gdy ta wzięła sobie Aleca za kochanka, i tym samym nieświadomie skrzywdziła Lizzie, podobny model życia stracił uznanie w jej oczach, mimo że nie wyraziła tego otwarcie.

Dokładnie tak powinno się stać, stwierdził, próbując powściągnąć własne pragnienia, z każdą godziną dotkliwsze. Prędzej go piekło pochłonie, niż pozwoli się Jacindzie stać taką dziwką! Lady Champion już dwa razy próbowała mu się narzucać, odkąd wszedł w kręgi socjety. Miał jednak na tyle rozumu, żeby nie zwierzać się z tego Jacindzie. Nie był pewien, jak by zareagowała. Niestety, istniała możliwość, że pozna prawdę z innego źródła.

Jemu zaś dostatecznie dużo kłopotów przysparzała Daphne Taylor.

Miał szczęście, że Jacinda tak starannie wpajała mu reguły dobrego wychowania, bo

inaczej musiałby się ożenić z tą dzierlatką ładnych parę tygodni temu. Rudowłosa harpia kilkakrotnie próbowała się znaleźć z nim sam na sam w niedwuznacznej sytuacji.

Przypuszczał, że nęcił ją jego tytuł i fakt, że był przystojny, ale ona sama zupełnie go nie pociągała. Usiłowała nawet pocałować go ukradkiem, ale nie dopuścił do tego. I nieustannie próbował podsunąć ją Acerowi Loringowi.

Ten nieznośny dandys był jedynym, któremu udawało się poskromić natrętą ślicznotkę. Razem tworzyliby wspaniałą parę. Niestety, Loring nie miał tytułu ani odpowiedniej pozycji i nawet jeśli podobał się Daphne, to kręciła na niego nosem dla samej zasady.

Nic więc dziwnego, że fakt, iż uganiała się za Rackfordem, doprowadzał Acera do szaleństwa.

Tej nocy u Almacka Daphne ubłagała Rackforda, żeby z nią zatańczył. Uległ jej namowom, bo nie wypadało, żeby był partnerem Jacindy więcej niż dwa razy. Pierwszy raz zatańczył z nią skwapliwie już wcześniej. Drugi taniec zostawił sobie na sam koniec.

Kwadrans po jedenastej orkiestra zaintonowała żywego walca. Daphne zaś, co musiał jej przyznać, tańczyła zwinnie i z gracją.

Spojrzała na niego jak w ekstazie - zapewne udawanej. Próbował właśnie nawiązać z nią jakąś rozmowę, gdy nagle, kiedy okrążali w tańcu salę, dostrzegł kątem oka, że Jacinda rozmawia z lordem Drummondem. Na ten widok wezbrał w nim gniew. Znowu widzi ją z tym starym torysem! Wzburzyło go to i przestał nad sobą panować.

- Lordzie Rackford, doprawdy, dusi mnie pan niczym pyton! - zapiszczała Daphne.

Nie zauważył, że zbyt mocno przyciągnął ją do siebie! Natychmiast rozluźnił uścisk.

- Bardzo przepraszam.

Daphne uśmiechnęła się figlarnie.

- Mógłby mnie pan obejmować mocniej, ale, na Boga, nie tutaj, gdzie wszyscy na nas patrzą!

Wargi ułożyły mu się w uśmiech, lecz oczy pozostały gniewne. Wiedział, jak zagubiona czuje się Jacinda bez macierzyńskiej troskliwości najlepszej przyjaciółki. Dlatego zachowywał się wobec niej idealnie po dżentelmeńsku. Dokładał starań, żeby pohamować niecierpliwość i nie wywierać na nią żadnego nacisku. Ignorował własne, coraz silniejsze pragnienia. A tymczasem ona znów otwarcie flirtuje z tym starym łajdakiem, najwyraźniej chcąc zostać drugą lady Champion!

- Lordzie Rackford!

Przeniósł wzrok z Jacindy na Daphne.

- Czy dobrze się pan czuje?

Popatrzył na dziewczynę, którą wszyscy uważali za królową piękności w tym sezonie, a która zaciekle usiłowała go złowić. Zastanowił się nagle, czyjego złotowłosej ukochanej nie jest zbyt łatwo?

Jacinda już wcześniej wydawała się być o niego zazdrosna. Może teraz, kiedy zobaczy, jak flirtuje z inną, wytrąci ją to z tego samozadowolenia? Dobrze jej tak, pomyślał ze złością, nie zdając sobie sprawy, jak bliskie urzeczywistnienia były jego zamiary.

Daphne aż pomrukiwała z zadowolenia, kiedy mocniej objął jej smukłą talię i położył drugą dłoń tuż nad jej biodrem. Uśmiechnął się do niej, a potem głośno roześmiał z jakiegoś błahaego żarciku, który opowiedziała. W tańcu zbliżyli się do miejsca, gdzie stała Jacinda z tym swoim starym łajdakiem. Śmiech Rackforda wzbudził jej uwagę. Spozrzegł to kątem oka, udając, że cały czas wpatruje się w Daphne.

- Kiedyż pan do mnie zawita na pogawędkę? Doprawdy, przykro mi, że jestem tak zanedbywana - powiedziała, wydymając wargi.

- Próbowałem, miss Taylor, ale nigdy nie zdołałem sobie utorować drogi wśród tłumu wielbicieli pod pani drzwiami.

- Wcale pan nie próbował! Jestem tego pewna. - Tu zrobiła krótką pauzę. - Za to zawsze krąży pan koło Knight House. Wie pan chyba, że to niebezpieczny rejon?

- Co pani ma na myśli?

- Z pewnością słyszał pan o poprzedniej księżnej Hawkscliffe i jej haniebnej rozwiązłości.

- Istotnie, coś mi się obilo o uszy.

- Gdyby nie moja matka i jej przyjaciele, ta okropna kobieta nadal byłaby wśród nas i razila towarzystwo swoją obecnością. Wystarczy już, że musimy tolerować jej córkę. - Spojrzała na niego wyzywająco, ale nie dał się sprowokować.

Znał kobiety na tyle, żeby zrozumieć, że broniąc Jacindy, wzmógłby jedynie złośliwość Daphne. Niestety, nie zadowolila się jego dyplomatycznym milczeniem.

- Wie pan, wszyscy uważają, że będzie taka sama jak matka. Tylko głupiec mógłby w niej widzieć materiał na żonę.

- Ludziom czasem zdarza się mylić, moja droga.

- Biedny lordzie Rackford, oby nie zawróciły panu w głowie jej wdzięki! Pod maską piękności kryje się niekiedy podłość.

- Szczera prawda - przytaknął jej ironicznie, lecz Daphne ani w głowie nie postało, że aluzja może dotyczyć jej samej. Spojrzał ukradkiem na Jacindę i z zadowoleniem dostrzegł, że obserwuje ich uważnie.

Nie zorientował się za to - dopóki orkiestra nie przestała grać - że on sam zwrócił uwagę Acera Loringa. Dandys dopiero co przybył na bal ze swojego klubu - podpity, skory do zaczepek, a także, niezgodnie ze swoimi pedantycznymi nawykami, raczej niestarannie

odziany. Kiedy przebrzmiały ostatnie dźwięki walca, zaczął się chwiejnie przepychać między tancerzami, idąc prosto ku Rackfordowi i Daphne. Wrogie spojrzenie i władcza mina mówiły wyraźnie, że ma dość patrzenia, jak Daphne narzuca się temu niewychowanemu intruzowi.

Gdy Rackford ujrzał, że Loring zmierza ku niemu nachmurzony, wzdurliwy i z mętnym pijackim spojrzeniem, poczuł się tak, jakby ujrzał przed sobą własnego ojca. Truro miał ten sam wyraz twarzy, kiedy starli się kilka dni wcześniej. Zbity z tropu tą zbieżnością, nie zareagował od razu, gdy Acer pchnął go ze słowami:

- Dlaczego się od niej nie odczepisz?!

- Acer! - krzyknęła Daphne, szczerze ucieszona myślą, że dwóch mężczyzn ma zamiar o nią walczyć.

Rackford nie zauważał niespokojnych spojrzeń i szeptów. Ludzie wokół nich zaczęli się cofać.

- Słyszysz, co mówię?! - ciągnął Acer. - Mam w nosie twój zakichany tytuł! Jesteś barbarzyńskim ignorantem i masz się trzymać od niej z daleka!

Kiedy Acer pchnął go po raz drugi, Rackford nie zdołał się już pohamować.

Po pierwszym ciosie Acer zatoczył się na księcia Wellingtona, który stał w pobliżu.

Daphne odskoczyła w tył, krzycząc piskliwie.

- Uderzył pan Acera!

- Ma szczęście, że go nie zabiłem za to, jak mnie znieważał podczas całego sezonu!

- Wynoś się stąd! - wrzasnął Acer, próbując utrzymać się na nogach. Strużka krwi spływała mu z kącika warg. Jego szkliste, pełne złości oczy spoczęły na Daphne. - Prędzej zdechnę, niż wyjdiesz za innego, a co dopiero za tego szubrawca!

- Nie mam nic przeciw temu, żebyś zdechł! - warknął Rackford zbyt wściekły, by

wziąć pod uwagę, że zwycięzca spod Waterloo i pół tuzina innych ludzi krzyczą, żeby dał

spokój.

Rzucił się na Acera, powalając go jednym potężnym uderzeniem. Mężczyźni naokoło wstrzymali dech, damy piszczały. W wytwornej sali balowej doszło do bójki! Rackford stanął właśnie nad dandysem, który przy każdej sposobności wystawiał go na pośmiewisko, i odstąpił w tył, żeby wymierzyć mu kolejny cios, kiedy kobieca ręka chwyciła go za ramię.

- Billy, tak nie wolno!

Odepchnął ją od siebie odruchowo i się odwrócił. Zobaczył, że rozgniewana Jacinda patrzy na niego rozkazująco. Krew pulsowała mu w uszach tak mocno, że nie mógł dosłyszeć jej słów, lecz pałające czarne oczy i stanowczy ton powstrzymały go.

- Przestań. Posłuchaj mnie. On na to nie zasługuje. Po prostu jest zazdrosny.

- Zazdrosny?! - krzyknął donośnie, wydzierając się z jej uścisku. Nie mógł już pohamować słów, które cisnęły mu się na usta. - Jemu wolno być zazdrosnym, a mnie nie?

Mam dosyć tej gry!

- Jakiej gry? - spytała ledwo dosłyszalnie, blednąc.

- Chcesz mnie rzucić na kolana! Pozwalasz sobie na wiele, wiedząc, że cię ubóstwiam, aleja nie będę czekać w nieskończoność! - ostrzegł ją gniewnie, chociaż w głębi duszy wiedział, że to nieprawda.

Jacinda znieruchomiała.

- Lordzie Rackford, pan się zapomina!

Ostry ton sprawił, że oprzytomniał. To nie była Kornwalia, a już na pewno nie dzielnica ruder.

Daphne rzuciła się ku oszołomionemu, krwawiącemu Acerowi, a Rackford powiódł spojrzeniem po sali i wszystkich tych zdrętwiałych ze strachu, zrozumiiałych ludziach, którzy patrzyli na niego, jakby był wściekłym psem.

Po chwili roześmiał się gorzko, ze wstrętem. Za bardzo się odsłonił.

- Przepraszam, milady. - Zmusił się, żeby spojrzeć jej w oczy. - Zrobiła pani, co mogła, ale pewne bestie nigdy nie opuszczają dżungli. Ja taki właśnie jestem i takim pozostanę. Proszę mi wybaczyć. - Złożył jej zuchwały ukłon, a potem wyszedł, z uniesioną głową i gniewną twarzą. Ustępowano mu z drogi.

Wszystko skończone, pomyślał, upokorzony do głębi. Zalecał się do niej, spełniał każde jej życzenie, ale w jednej krótkiej chwili wszystko poszło na marne. Stracił nad sobą kontrolę. Całkiem jak jego ojciec.

Musiał to zrobić. Jeszcze dzisiejszej nocy. Czekał niespokojnie na swój powóz, zapalił cygaro. Ręce drżały mu jeszcze po wybuchu wściekłości, a w głowie monotonnie pobrzmiwało: podlec, głupek, nic niewart nicpoń. Jak mógł do tego stopnia stracić panowanie nad sobą? I to u Almacka! O Boże! Jacinda już go nie zechce. Nie wybaczy mu sceny, jaką urządził na balu. Powiedziała mu przecież tamtej pierwszej nocy, że nigdy nie pozwoli, żeby dobre towarzystwo ujrzało ją uwikłaną w skandal. Został sam.

Starał się o niej nie myśleć. Teraz trzeba było trzymać gniew na wodzy. Dzisiejszej nocy albo zabije O'Della, albo sam zginie. Nieważne, który z nich przeżyje.

Jacinda stała, patrząc w ślad za nim, pośrodku sali balowej, oszołomiona i skonsternowana. Nie wiedziała, ile osób zdołało dosłyszeć jego gniewne słowa. Nie wiedziała też, czy ktoś zauważył, że nazwała go Billym, co zdradzało istniejącą między nimi poufałość.

Już samo to wystarczyłoby, żeby wywołać skandal, ale w tej chwili mogła tylko stać bez ruchu, zaszokowana jego przerażającymi słowami. Czyżby on tak rozumiał jej wahania?

Spojrzała na salę, gdzie bardzo blada, wstrząśnięta Daphne siedziała przy Acerze Loringu, który mówił coś do niej z przejęciem. Daphne patrzyła na niego z podziwem. Potem otarła mu zakrwawione wargi własną chusteczką.

Widok tych dwojga sprawił, że nieoczekiwanie poczuła jakiś dziwny żal. Och, co ja tu robię, pomyślała z rozpaczą. Rackford już wyszedł, a tymczasem ona w jednej chwili pojęła, jak wygląda prawda. Po prostu jej potrzebował. Nikomu innemu nigdy wcześniej nie była potrzebna.

Nagle poczuła czyjąś dłoń na ramieniu. Starczy głos wdarł się w jej myśli.

- Martwi się pani? - Drgnęła gwałtownie. To był lord Drummond. - Można się było spodziewać czegoś takiego po pani młodym narwańcu - parsknął z kieliszka portwajnu.

- Acer Loring jawnie znieważył lorda Rackforda - mknęła gniewnie.

- Ale z tego radykała jest narwaniec, tak czy owak. Nie ufam mu. I pani też nie powinna mu ufać.

Zmarszczyła brwi, raz na zawsze porzucając zamiar uwiedzenia tego starego kretyna.

Oczami wyobraźni ujrzała lady Champion powożącą w Hyde Parku swoim faetonem z wąsatym dragonem u boku, lecz obraz ten szybko się rozwiął. Nie takiego życia pragnęła.

Nie mogła już dłużej zapierać się uczuć względem Rackforda. Nawet jeśli musiała zaakceptować jego autorytet jako męża i siebie w roli wiernej, oddanej żony. Bo ona także go potrzebowała. Może jego miłość już ją uratowała od stania się dokładną kopią matki?

Georgiana nigdy nie ścierpiałaby władzy żadnego mężczyzny nad sobą. Było to zarówno jej powodem do chwały, jak i przyczyną upadku.

- Bardzo mnie dziwi - burknął lord Drummond - że Hawkscliffe, taki skądinąd wymagający, pozwolił się starać o panią komuś, kto nie chce się przyznać, gdzie przebywał przez ostatnie piętnaście lat. Powiadam pani, że ten chłopak to niebezpieczny intrygant!

- Lordzie Drummond - przerwała mu wyniośle, prostując się jak struna - proszę się wyrażać z większym szacunkiem o moim przyszłym mężu! - Po tych słowach strząsnęła z siebie jego rękę, odwróciła się gwałtownie i odeszła. Suknia zafalowała wokół jej figury.

- A to dopiero! Co za impertynencja! Mąż? Zacietrzewiony gałgan, ot, co! Lady

Jacindo! Gdzież pani idzie?

Zignorowała jego gniewny bełkot i pospieszyła prosto przed siebie, nie oglądając się.

Czuła jednocześnie radość i lęk, gdy przeciskała się z pośpiechem przez bywalców Almacka.

Kręciło się jej w głowie, ale czuła, że jest wolna, wręcz niewiarygodnie wolna. Oby tylko

zdołała odnaleźć Rackforda, czekającego na swoją kariolkę! Musiała mu powiedzieć, co

czuje.

Mogła się bez trudu domyślić, jak zareaguje. Oczywiście stracił do niej cierpliwość,

ale była pewna, że go odzyska, jeśli mu powie, że go kocha. I że jest wreszcie gotowa mu się

oddać. Może wybaczy jej, że zbyt wiele myślała o własnych rozterkach, a za mało o tym, jaki

był dla niej czuły i dobry?

Gdy zmierzała ku drzwiom, pragnęła tylko jednego -jak najprędzej go odnaleźć. Nagle

natknęła się na jego starych przyjaciół, Rega Bentincka i Justina Churcha.

- Lady Jacindo!

- Dobry wieczór panom. - Pozdrowiła ich nerwowo, próbując ukryć zniecierpliwienie.

Po cóż oni właściwie zastąpili jej drogę? -Jakże się panowie bawili?

- Musimy z panią pomówić.

- Trochę mi się spieszy...

- Ach, to potrwa tylko chwilę. - Reg nachylił się ku niej. -Słyszeliśmy, że Rackford

mówił pani coś o dżungli! A więc tam właśnie był przez cały ten czas! W dżungli indyjskiej,

prawda? Domyślałem się tego!

- Panie Bentinck...

- Proszę nam o tym powiedzieć! Przecież jesteśmy jego przyjaciółmi. Jeżeli Rackford

nie chce nam tego zdradzić, powinna to zrobić pani. A zatem był w Indiach, nieprawdaż? -

spytał wręcz błagalnie Justin. - Nie powtórzmy tego nikomu.

- Doprawdy, nie wiem.

- A może pani chciałaby usłyszeć coś w zamian o naszym wspólnym znajomym?

Zastanowił ją jego tajemniczy ton. Spojrzała mu w oczy.

- O co chodzi?

Obydwaj spojrzeli na siebie z niewesołymi minami. Po chwili Justyn odezwał się, zniżając głos:

- Widzi pani, my byliśmy u niego tej nocy... kiedy uciekł z domu.

- Co takiego? - wyszeptała, oniemiała ze zdumienia.

- Pani nam powie, gdzie był przez cały ten czas, a my pani wyjawimy, co widzieliśmy tamtej... okropnej nocy w Torcarrow - mruknął cicho Reg.

Patrzyła na niego zirytowana i zafascynowana.

- Byli tam panowie? Naprawdę?

Obydwaj przytaknęli.

Nie dziwiło jej teraz, dlaczego Rackford zawsze starał się trzymać ją z dala od przyjaciół z dzieciństwa, jakby chciał mieć pewność, że nigdy nie będzie z nimi rozmawiała pod jego nieobecność.

Ogromnie pragnęła się dowiedzieć, co wówczas widzieli, lecz pokręciła głową.

- Nie mogę. Dałam słowo, że zachowam to w sekrecie. Prócz tego myślę, że lepiej będzie, żeby on sam panom o tym powiedział, kiedy uzna to za stosowne.

Obydwaj zaprotestowali, ale pozostała nieugięta. Wprawdzie nękała ją ciekawość, ale rozumiała, że w zamian za ich rewelacje musiałaby im zdradzić kryminalną przeszłość

Billy'ego, a to było wykluczone. Niezależnie od ich lojalności nie wolno jej pisać o tym ani słowa. Nie może zawieść jego zaufania, zdobyła je z takim trudem.

- Proszę mi wybaczyć, muszę już iść. - Wyminęła ich pospiesznie, wybiegając prosto w jasną, księżycową noc. Niestety Rackford już odjechał.

Wróciła do sali balowej i wymawiając się bólem głowy, poprosiła Roberta, żeby wolno jej było wrócić do domu. Zaraz po przybyciu do Knight House spytała, czy nie zostawiono dla niej jakiejś wiadomości. Miała nadzieję, że Rackford pożałował swego wybuchu i przysłał przeprosiny. Walsh jednak zaprzeczył.

Przygnębiona i zdezorientowana poszła do swojego pokoju, gdzie służąca, Ann, pomogła jej zdjąć wytworną suknię balową. Jacinda narzuciła na siebie jedwabny szlafrok i odprawiła pokojówkę. Przez jakiś czas siedziała beczynn timer. Spojrzała przelotnie w lustro, nękana ciekawością, co Reg i Justin widzieli tamtej nocy w Torcarrow i dlaczego właściwie Rackford nie chciał, żeby się z nimi spotykała. Myślała, że powiedział jej wszystko. Zbyt niespokojna, żeby trwać w bezruchu, wstała i wyjrzała przez okno sypialni. Odsunawszy zasłonę, patrzyła przez chwilę na miasto, a potem coś sobie postanowiła. Nie mogła jednak czekać z tym do rana. Musiała go zobaczyć. Musiała znaleźć się przy nim. Jeszcze tej nocy. Pozwoliła opaść zasłonie i poszła się przebrać.

Przypomniała sobie, co mówił jej tamtej pamiętnej nocy. Zdjęła całą biżuterię i włożyła swoją najskromniejszą suknię. Wzięła drobne, żeby mieć czym zapłacić doróżkarzowi, a potem z najniższej szuflady komody wyjęła obite aksamitem puzderko z drewna tekowego i wyciągnęła z niego elegancki, damski pistolecik, który Damien przysłał jej z Hiszpanii.

Trzymała go przez chwilę w dłoni, przypatrując mu się w świetle księżyca. Ten pistolet był raczej dziełem sztuki niż bronią, cały zrobiony z połyskliwego toledańskiego srebra. Kolba, gdzie wryto jej inicjały, wykładana była masą perłową.

Damien, wiedząc, jak Jacinda uwielbia strzelanie do celu, przysłał ten prezent z myślą

o jej debiucie, na którym z powodu wojny nie mógł być obecny. W dołączonym do podarunku liściku żartobliwie wyjaśnił, że skoro nie może w Londynie osobiście bronić jej przed rojem wielbicieli, których z pewnością nie zabraknie, to przynajmniej postarał się ją zaopatrzyć w solidną broń, aby mogła trzymać ich na dystans. Gwintowana lufa była blisko osiem centymetrów dłuższa niż pojedynkowe pistolety Aleca, co sprawiało, że łatwiej można było z tej broni trafić do celu, znajdującego się w pewnej odległości.

Jacinda wsunęła pistolet za cholewkę buta i narzuciła na suknię obszerny płaszcz z kapturem. Rackford, o czym myślała z rosnącym podnieceniem, będzie bez wątpienia rad, że zastosowała się do wszystkich jego zaleceń.

Kaptur krył w ciemności jej twarz. Wyślizgnęła się z domu przez drzwi werandy i przemknęła przez ogród, całkiem jak w noc swojej ucieczki. Tym razem robiła to z lekkim sercem, wiedząc, że idzie się spotkać z ukochanym. Nie mogła się doczekać, żeby ujrzeć jego minę, kiedy powie mu, że go kocha.

Skinęła na pierwszego dorożkarza, który minął ją na St. James Street, i kazała się zawieźć na Lincoln's Inn Fields. Kiedy powóz stanął przed domem lorda i lady Truro, spostrzegła dwóch agentów z Bow Street, którym zlecono chronić Rackforda. Przygryzła wargę i namyślała się, jak usprawiedliwić swój przyjazd, żeby nie wzięli jej za młodą damę z wyższych sfer, uwikłaną w jakiś skandal.

Kiedy wysiadała z dorożki, dostrzegła, że coś porusza się w ciemnościach wzdłuż budynku, jakieś dwadzieścia metrów od niej. Zwinna, muskularna sylwetka przeskoczyła przez mur ogrodu i zniknęła bezszelestnie. Czyżby to był on?

Zniknął jej z oczu niczym złodziej. Po cóż, do licha, wymyka się ukradkiem z własnego domu?

- Czego pani tu szuka, miss? - spytał jeden z agentów, zbliżając się do niej.

Spojrzała na niego obojętnie.

- Niczego - odparła. -Jedziemy gdzie indziej. W tamtą stronę! - poleciła dorożkarzowi.

Agent uchylił kapelusza, mierząc ją podejrzliwym wzrokiem. Gdy dorożka ruszyła,

Jacinda zaczęła rozglądać się za Rackfordem.

- O'Dell!

Jego gromki głos odbijał się echem od ceglanych budynków i mrocznych uliczek brukowanych kocimi łbami.

Wreszcie przestał się kryć i otwarcie przybył na swe dawne terytorium.

Nie miał w ręku żadnej broni, chociaż zatknął za pas noże. Stanął przed frontem budynku na szeroko rozstawionych nogach.

Skończył z atakami z ukrycia. Jacinda zerwie z nim nieodwołalnie po upokorzeniu, jakiego z jego przyczyny doznała u Al-macka. Był tego pewien. Nic się już więcej dla niego nie liczyło. Nadszedł czas, żeby z tym skończyć.

- O'Dell! - ryknął znowu. - Wyłaż i zmierz się ze mną, ty tchórze!

Krzyki Rackforda wywabiły Szakali ze sklepu z ginem. Zbliżali się ku niemu ostrożnie, jakby sądzili, że oszalał. Mierzyło w niego co najmniej dziesięć luf, lecz żaden z bandytów nie strzelił, tak byli zaskoczeni jego najściem. Zapewne wietrzyli tu jakiś podstęp. Skierował uwagę głównie na świtę O'Della i jego przybocznych, dobrze wiedząc, że już od jakiegoś czasu prowodyr nie potrafił utrzymać kontroli nad swoimi ludźmi. Zdecydowany był jawnie go upokorzyć.

- Hej, wy tam! Pozwolicie O'Dellowi kryć się za waszymi plecami?

Zaczęli niespokojnie przestępować z nogi na nogę.

- Gdzie on się kryje? Boi się pokazać?

Nie było odpowiedzi.

- I to ma być wasz przywódca? - spytał władczo. - W takim razie byłoby wam lepiej bez niego. Ściągnął na was same kłopoty. To nie jest wódz, tylko zbir. A w dodatku tchórz!

- Tutaj nie ma tchórzy, Blade! - huknął wyzywająco Tyburn Tim.

Pozostali przytaknęli mu, spięci i wystraszeni.

- Nie ma? To dlaczego żaden z was mu nie powie, żeby tu przyszedł i skończył całą sprawę, jak na mężczyznę przystało? Tylko on. Ze mną.

- Co ja widzę, toż to wielki Billy Blade! - O'Dell wyszedł buńczuczny krokiem ze sklepu z ginem. Na jego pociągłej twarzy malowała się wprawdzie wzgarda, ale w oczach widniał lęk. - Wracasz z za grobu, żeby mnie pouczać, co?

Rackford uśmiechnął się nieznacznie, ale i groźnie.

O'Dell powiódł wzrokiem po swoich ludziach.

-Jazda, zabijcie go.

Nikt się nie ruszył. Jedyne Tyburn Tim wyciągnął broń, biorąc Rackforda na cel, lecz

Oliver Strayhorn skierował lufę jego pistoletu ku ziemi.

- Zabij go sam, O'Dell - stwierdził chłodno. - Coś mi się widzi, że to sprawa między wami dwoma. Chyba że naprawdę się go boisz.

- Ty podły bękarcie - syknął O'Dell. - Nie boję się nikogo, a już zwłaszcza jego!

- Dobra. W takim razie niech to będzie uczciwa walka. - Strayhorn jednym krótkim skinieniem nakazał pozostałym cofnąć się o parę kroków i opuścić broń.

Rackford spojrzał na niego z uznaniem. Potem jego wzrok spoczął na O'Dellu. Kiedy przywódca Szakali spojrzał na swoich ludzi, zrozumiał, że znalazł się w nie byle jakich opałach.

W walce z Rackfordem mógł zginąć, ale gdyby się od niej uchylił, nieodwołalnie straciłby posłuch i przywództwo.

- Jazda stąd - wymamrotał do reszty z ponurą determinacją.

- Dalej! - Rzucił swój pistolet Tyburnowi Timowi, wyszarpnął z pochwy nóż i stanął w bojowej pozycji. Obydwaj zaczęli się ku sobie skradać, okrążając się wzajemnie i śledząc jeden drugiego.

O'Dell rzucił się na niego ruchem szybkim jak błyskawica. Rackford uchylił się zręcznie, a potem dokonał gwałtownego wypadu w przód, rewanżując się takim samym ciosem. O'Dell zdołał go uniknąć. Jego też kształciła dzielnica ruder.

Cały świat wokół zawirował, a twarze gapiących się na nich ludzi zlały się w jedną wielką, zamgloną plamę.

- Gdzieś ty się podziewał, Blade, że tak straciłeś na bystrości? - zadrwił z niego O'Dell.

Rackford odpowiedział mu nieartykułowanym warknięciem. Obydwaj zwarli się ze sobą i potoczyli po ziemi. Rackford silił się, żeby przygwoździć nadgarstek O'Della do kocich łbów. Jego przeciwnik walczył jak wcielony diabeł. Mięśnie mieli napięte jak struny. Rackfordowi spływał z czoła pot i dotkliwie go piekł, wnikając do oczu. Czubek noża O'Della zadrasnął mu brodę. Zaklął i przygniótł mu rękę do ziemi, lecz O'Dell zdołał kopnąć go w brzuch i przewrócić. Mimo że cios odrzucił go, zdołał się jednak podnieść i stanąć w gotowości.

O'Dell wyprostował się i otarł przedramieniem spocone czoło, a potem uśmiechnął się krzywo.

- Zbliź się tu, Billy! Jak tym razem odwalisz kitę, to już na dobre. Utnę ci wtedy łeb i powieszę go sobie na ścianie jako trofeum. - Szaleńczy rechot O'Della odbił się echem od fasad ceglanych budynków. Głupie zuchwalstwo przeciwnika przejęło Rackforda wstrętem. Groźba była groteskowa, ale Billy zrozumiał teraz, w jaki sposób O'Dell zdołał zastraszyć

Eddiego Knykcia.

Przypomniał sobie nagle jego odwiedziny w Newgate i okrąglą brudną buzię malca tak wyraziście, jakby to było wczoraj. Znów zabrzmiał mu w uszach piskliwy głosik:

„Powiedział, że jak go nie posłucham, to obedrze mnie ze skóry!”

Zawrzał w nim gniew. O'Dell był w lepszej formie, niż przypuszczał, ale gdy Billy wspomniał to posiniaczone, zastraszone, niekochane dziecko, poczuł przyływ nowych sił.

Ruszył do ataku pewnym krokiem, nieustępliwie, zmuszając O'Della do cofnięcia się.

Nie dbał o ciosy, którymi tamten usiłował się bronić, uchylając się od nich z piorunującą szybkością. Ostrze jego noża dwukrotnie, raz za razem, wbiło się w ramię O'Della, a potem w jego bok, z chyżością i precyzją. O'Dell zaklął i spróbował go odrzucić w tył energicznym kopniakiem, ale Rackford zdołał chwycić go za nogę i wykręcić ją. O'Dell runął na ziemię z pełnym furii wrzaskiem. Nóż z brzękiem wyleciał mu z ręki.

Rackford z miejsca odrzucił go kopnięciem poza zasięg O'Della.

- Och, ty draniu! - ryknął Tyburn Tim i chciał skoczyć na niego, lecz Strayhorn i jego stronnicy nie pozwolili na to.

Rackford zbliżał się powoli do swego wroga. O'Dell, siedząc na ziemi, utkwiał w nim wzrok. Dyszał ciężko.

- Rusz się tam który! Zróbcie coś! - rozkazał swoim ludziom. Strayhorn ich powstrzymał.

- Przegrałeś w uczciwej walce, O'Dell. Prawdę mówiąc, mamy cię już wszyscy powyżej uszu.

- Zabiję cię! - rzucił mu O'Dell.

- Nikogo już więcej nie zabijesz - mruknął z cicha Rackford.

O'Dell wrzasnął przeraźliwie, gdy Rackford złapał go za włosy i odchylił mu głowę w

tył, przykładając nóż do gardła.

- Poczekaj! - wysapał O'Dell. -Jezu, nie rób tego, Blade! Ja... ja ci w końcu nigdy nie zrobiłem nic złego!

Rackford odchylił mu głowę jeszcze bardziej do tyłu, O'Dell powtórnie wrzasnął, a w oczach zamigotał mu dziki strach. Szakale wymienili między sobą niepewne spojrzenia.

Przywódca, przed którym drżeli, okazał się tchórzem.

- Wtargnąłeś na mój teren. Przez ciebie złapano wielu z nas. Byłeś moim przyjacielem, ale zdradziłeś mnie. Ty i twoi nędzni kompani nieludzko traktowaliście ludzi, których wziąłem pod ochronę. A co spotkało córkę Murphy'ego?

- Ona sama tego chciała!

Dźgnął O'Della w szyję za te słowa. Rana nie była głęboka, ale krwawiła dostatecznie mocno, żeby zaczął błagać o darowanie mu życia.

- Nie możesz mnie zabić, Blade! Ani ty, ani Nate nie dalibyście sobie rady sami.

Przyjąłem was do bandy, nauczyłem wszystkiego. Tamtej nocy... to nie ja zawiniłem, tylko

Żółta Laska! - wyszeptał i zaczął szlochać.

Rackford się zawahał. Pamiętał, jak przerażony był podczas tej strasznej nocy O'Dell.

Poczuł nagle litość. W pewnej mierze, choć nie wiedział dlaczego, uważał, że ponosi odpowiedzialność za jego postęпки.

Chwycił go za brodę, żeby zadać ostateczny cios, ale ręce zaczęły mu drżeć, a determinacja osłabła.

- Niech cię diabli! Dlaczego w takim razie nie zostałeś ze mną, Nate'em i resztą?

Szanowalibyśmy cię!

- Nie zabijaj mnie, Blade, na miłość boską! Przecież już raz ocaliłeś mi życie!

Powoli rozluźnił chwyt i puścił włosy O'Della. Ramiona unosiły mu się i opadały,

dyszał ciężko od natłoku gwałtownych uczuć. Gniew, litość i żal splotły się ze sobą. Nie potrafił tak ot, po prostu poderżnąć z zimną krwią gardła temu żalosnemu nędznikowi. Nie był w stanie tego zrobić - ani teraz, ani nigdy. O'Dell przegrał, był złamany, upokorzony wobec własnych ludzi i bezbronny. No i przyjaźnili się niegdyś. W głębi serca nigdy go naprawdę nie nienawidził, już raczej był wściekły na siebie, że nie potrafi z nim skończyć.

- Strayhorn! - zawołał.

Wysoki młodzieniec wystąpił naprzód i spojrzał na niego pytająco.

- Za głowy O'Della i Tyburna Tima wyznaczono wysoką nagrodę. Odstaw ich na Bow Street, a dostaniesz te pieniądze.

Strayhorn szybko skinął głową.

- Owszem, zrobię tak. Daję ci na to moje słowo.

- A więc nie mam tu już chyba nic więcej do roboty. - Rackford rzucił ostatnie, pożegnalne spojrzenie na swoją dawną siedzibę, a potem schował nóż i odwrócił się tyłem, zamierzając odejść.

Nie wiedział, że O'Dell sięgnął po pistolet, ukryty w zanadrzu. Nim Strayhorn zdołał go powstrzymać, O'Dell, nadal siedząc na ziemi, wymierzył broń w jego plecy.

Wtedy huknął strzał.

Rackford wykonał błyskawiczny zwrot. O'Dell osuwał się na ziemię, trafiony w głowę.

Kto strzelał? Wszyscy rozejrzeli się ze zdumieniem. Rackford na widok pistoletu w dłoni O'Della sądził przez moment, że sam się zabił.

- O tam, w górze! - wrzasnął ktoś. Rackford uniósł wzrok i ujrzał smukłą sylwetkę na dachu naprzeciwko, gdzie dawniej sam umieszczał czujki. Ciemna postać strzelca, widoczna na tle gwiazdzistego nieba, miała na sobie obszerny płaszcz, którego połami lekko poruszał

nocny wiatr. Gdy na nią patrzył, odrzuciła kaptur do tyłu. Ze zdumieniem ujrzał długie, rozwiane loki, obrzeżone poświatą księżyca.

Jacinda!

- Co, u diabła! - rozległ się pełen wściekłości głos. W mgnieniu oka Tyburn Tim wydarł jednemu ze stronników Strayhorn broń i wycelował prosto w nią.

Rackford bez zastanowienia wyrwał nóż z pochwy i rzucił się na niego. Strzał trafił w próżnię, a ostrze noża utkwilo między żebrami Tima, który ponownie zawył. W tejże chwili druga kula wyszczerbiła ceglana fasadę tuż pod miejscem, gdzie stała Jacinda.

Rackford był pewien, że dziewczyna ani nie drgnęła.

- Chodź do mnie, Blade! - krzyknęła z furją. - Chcę cię zaraz mieć z powrotem!

Strayhorn zwrócił się do niego nie bez pewnego rozbawienia:

- Na twoim miejscu posłuchałbym jej.

Rackford z uśmiechem pełnym zdumienia spojrział raz jeszcze na triumfalną postać.

Złote włosy, połyskujące w blasku księżyca, nadawały jej wygląd najpotężniejszej, najpiękniejszej, najjaśniejszej gwiazdy na całym firmamencie.

Przyszła po niego.

Ocaliła mu życie.

Ta dżierlatka!

Jacinda wydostała się w ciemnościach ze starego, opuszczonego budynku - zbiegając pędem z kilku kondygnacji schodów i starając się ominąć pajęczyny, pokrywające poręcze - a potem wypadła na zewnątrz. Dokładnie w tej samej chwili, kiedy Rackford zdołał dotrzeć do drzwi.

Rzuciła mu się na szyję, obejmując go mocno, opiekuńczo. A gdy się już znalazła w jego ramionach, wspięła się na palce i pocałowała go gwałtownie kilka razy w same usta.

Oddawał jej pocałunki z równym zapalem. Zacisnęła powieki, broniąc się przed łzami.

Nie wiedziała, czy ma się gniewać na niego za to, że wystawił się na takie niebezpieczeństwo, czy też szaleć z radości, że ocalał.

Rozchyliła wargi, prowokując do bardziej zachłannych pocałunków i wodziła rękami po jego muskularnym ciele, żeby raz jeszcze upewnić się, że jakimś cudem nic mu się nie stało. Nadal nie docierało do niej, że to ona, Jacinda Knight, zabiła zdradzieckiego Cullena O'Della. Widziała, jak unosił broń, żeby strzelić Rackfordowi w plecy. Nie miała żadnych wyrzutów sumienia z powodu śmierci tego szubrawca.

Rackford ujął jej twarz w obydwie dłonie i próbował zajrzeć w oczy.

- Skąd się tu, u licha, wzięłaś?

- Wyjaśnię ci wszystko w dorożce.

Zaprowadziła go pospiesznie do zaułka, gdzie wciąż czekał wynajęty przez nią wcześniej pojazd. Słyszała, jak woźnica przemawia do konia, próbując opanować strach przed tą niebezpieczną dzielnicą Londynu:

- Spokój, Piorun, nie bój się, toż to tylko uliczny kot! Gdy obydwójce dopadli dorożki, spojrzał na nią z ulgą.

- O rany, psze pani, jak dobrze, że pani cała i zdrowa! Wcisnęła mu woreczek z

drobnymi jako zapłatę. -Wieź nas z powrotem na Lincoln's Inn Fields! -Już się robi, psze pani!

Rackford otworzył przed nią drzwiczki. Wskoczyli do ciemnego wnętrza. Pojazd natychmiast ruszył.

- Ale ty krwawisz! - zawołała przerażona. Gdy opadł koło niej na siedzenie, dojrzała draśnięcie na brodzie.

- Drobiazg - mruknął, ocierając zranione miejsce rękawem.

Jacinda przyjrzała się uważnie skaleczeniu i odetchnęła swobodniej, gdy się przekonała, że to najpoważniejsze z jego obrażeń. Ucałowała go w policzek.

Bez uprzedzenia przytulił ją mocno do siebie.

-Jak zdołałaś tego dokonać? Nie wiedziałem, że tak świetnie strzelasz! Dziewczyno, trafiłaś go między oczy z odległości dobrych dwudziestu metrów, i to przy słabym świetle! Skrzywiła się, choć pochwała sprawiła jej satysfakcję.

- Och, sprzyjało mi szczęście, to wszystko. Moi bracia rywalizują ze mną, strzelając z opaską na oczach. Nieważne! To ty byłeś wspaniały! Co za odwaga, co za siła! - mówiła z zachwytem, przysuwając się bliżej niego. - No i co za męstwo!

- Męstwo? - powtórzył za nią.

- Jak najbardziej. - I z uśmiechem odpięła najwyższy guzik jego koszuli. - Jacindo!

- No, co? - mruknęła, zabierając się do drugiego guzika.

- Co ty, u licha, robisz?

Z westchnieniem podniosła się i, zbierając suknię wokół siebie, siadła mu na kolanach. Objęła go za szyję, zaglądając mu w oczy.

- Och, Billy, to, co się dzisiaj wieczór zdarzyło u Almacka, otrzeźwiło mnie. -

Spuściła głowę. - Wyszłam stamtąd wkrótce po tobie...

- Przepraszam, że tak pospiesznie uciekłem - przerwał jej z przygnębieniem. -

Straciłem kontrolę nad sobą. Nie powinienem był pozwolić, żeby Acer Loring wyprowadził mnie z równowagi. Przepraszam cię też za to, co wtedy powiedziałem..

Położyła mu delikatnie palec na wargach.

- Acer zasłużył na karę i ja też. Niech licho porwie Almacka i wszystkie te nadęte damy! Jeśli cię tam nie chcą, ja również więcej do Almacka nie pójdę. Wolę już siedzieć w dzielnicy ruder na dachu albo nawet na księżycu, ale z tobą. Kocham cię, Billy - dodała cicho.

- Musiałam pójść za tobą i powiedzieć ci to. A jeśli przypadkiem nadal tego chcesz - tu zawahała się, lecz zjrzała mu z nadzieją w oczy - czy zrobiłbyś mi ten zaszczyt i wziął mnie za żonę?

Spojrzał na nią oszołomiony.

- To ty... mnie kochasz?

Energicznie potaknęła, cała zarumieniona.

- I chcesz za mnie wyjść? Naprawdę? - Chwycił ją za ramiona. - Jesteś pewna?

- Nigdy w całym moim życiu nie byłam niczego bardziej pewna.

Z uśmiechem, pełnym zdumienia, pchnął ją na poduszki i przytulił do siebie, mruknąwszy wesoło:

- A więc wyjdiesz za mnie w końcu, mój ty wspaniały strzelcu?

- Wyjdę.

- Słowo?

- Słowo.

- I będziesz mnie kochać?

- Zawsze.

- I przyrzekasz mi posłuszeństwo? - spytał sceptycznie.

Zmrużyła oczy z łobuzerskim uśmiechem.

- Nie żądajmy od siebie za wiele.

Zaśmiał się cicho, lecz zaraz posmutniał.

- Czy to rzeczywistość, czy sen? Bo jeśli sen, to wcale nie chcę się budzić.

- Rzeczywistość. Kocham cię, Billy. Nic tego nigdy nie zmieni. Pójdę za tobą wszędzie, żeby dbać o ciebie, czy tego chcesz, czy nie.

Ujął ją za rękę i przycisnął jej dłoń do swojej piersi, patrząc na nią z oddaniem.

- Milady ~ szepnął -jesteś panią mojego serca.

- Zatrąszczę się o nie, jak należy. - Przymknęła oczy i pocałowała go w czoło, tuż nad gwiazdzistą blizną. Kiedy się cofnęła, jego oczy nabrały odcienia ciemnej zieleni, niczym sosnowy las. Położyła mu z czułością dłoń na policzku. - Co ci jest, kochany? - spytała łagodnie.

- Mogłabyś mieć każdego. Nie wiem, co ty właściwie we mnie widzisz.

- Mojego dobrego przyjaciela, Rackforda. I mojego barbarzyńskiego Blade'a.

Mężczyznę, którego uwielbiam. Pocałuj mnie - westchnęła.

I zrobił to, biorąc ją delikatnie w ramiona. Rozchyliła mu koszulę, wdychając ciepły, męski zapach, woń jego ciała.

- Czy twój ojciec wyjechał do Kornwalii? - spytała szeptem między jednym pocałunkiem a drugim.

- Tak.

- Twoja matka także?

- Mhm... - mruknął, całując ją w szyję. Jego ręce sięgnęły niżej. - Mam teraz dom... tylko dla siebie.

Objęła jego szerokie barki.

- Pozwól mi zostać z tobą na noc.

Zadrzał z przejęcia, słysząc ten szept, ale musiał o to spytać:

- Jesteś pewna, że tego chcesz?

Przytaknęła z wolna. Pełne zażenowania spojrzenie i przyspieszony puls mówiły, że go pragnie.

Zielone oczy Rackforda rozbłysły mocniej po tej milczącej odpowiedzi.

- W takim razie zgoda, milady. Uznaj to za zaproszenie.

Obydwoje aż drżeli z niecierpliwości. Wargi Rackforda nabrzmiały od pocałunków, włosy miał w nieładzie. Ledwie woźnica zatrzymał się przed rezydencją, on już wyskoczył z dorożki, żeby spuścić Jacindzie metalowe schodki. Zaniósł ją do domu w ramionach, całując przez cały czas.

- Trzeba otworzyć bramę! - szepnął między dwoma pocałunkami, gdy dorożka odjeżdżała. Tętent kopyt rozległ się echem w nocnej ciszy. Jacinda mocowała się z kutą w żelazie kratą. Ledwie zdołała sobie z nią poradzić, gdy podeszli do nich agenci z Bow Street, pilnujący budynku.

- Lordzie Rackford... nie wiedzieliśmy, że nie ma pana w domu.

- Wyszedłem tylnym wyjściem - odparł gładko. - W końcu mężczyzna może chyba czasem zaprosić do siebie dziewczynę, nie?

Agenci spojrzeli na siebie z rozbawieniem. Jacinda poczuła złość, kiedy zrozumiała, że Rackford chce, by uchodziła za prostytutkę.

- No, no - zbeształ go dobrotliwie niższy z agentów. - Wasza Lordowska Mość nie powinien się nigdzie oddalać bez powiadamiania nas. Tak sobie życzy sir Anthony.

- Ech, panowie, przecież mam dwadzieścia osiem lat i nie jestem święty.

Roześmiali się.

- W porządku. Ma pan dobry gust, milordzie!

- A dużo ona bierze? - spytał kpiąco drugi.

- Proszę mi wierzyć, nie moglibyście sobie panowie na nią pozwolić - odparł, również ze śmiechem. Zaśmiał się jeszcze głośniej, kiedy zgorszona Jacinda wymierzyła mu policzek.

Ułagodził ją lekkim pocałunkiem, który po chwili stał się gorętszy. Ani ona, ani

Rackford nie zważali na nikogo po drodze do sypialni. Ani na kamerdynera, który otworzył

im drzwi frontowe, ani na zgorszoną gospodynię, która gapiała się z otwartymi ustami, jak

Jego Lordowska Mość wnosi dziewczynę po szerokich, majestatycznych schodach.

Wkrótce znaleźli się w jego apartamencie. W przyćmionym świetle wzrok Jacindy

prześlizgnął się po amfiladzie wspaniale urządzonych wnętrz, po obitych jedwabiem

ścianach, ciężkich błękitnych kotarach i perskich dywanach. W bawialni stały eleganckie,

oszczędne w formie meble w najnowszym stylu. Zapomniała o tym wszystkim, gdy Rackford

zaprowadził ją do sypialni.

Zatrzymała się w progu, patrząc na masywne łoże. Kilkakrotnie wodziła wzrokiem od

mebla do Rackforda i z powrotem. Czowała dreszcz podniecenia. To tam utraci swoje

dziewictwo!

Było doprawdy godne cesarza, z potężnym baldachimem i drapowanymi zasłonami z

błękitnego aksamitu, w tym samym odcieniu, co kotary na oknach. Medaliony z

wyobrażeniami rzymskich bóstw zdobiły wezglowie z ciemnego palisandru. Rackford zapalił

świecę. Jacinda zdjęła płaszcz.

Uśmiechnął się czule na widok jej szeroko otwartych ze zdumienia oczu. Dotknął jej

policzka uspokajającym gestem, a potem objął spojrzeniem całą postać. Podążając za jego

wzrokiem, spojrzała na swoją bawełnianą suknię. Wygładziła ją na sobie i popatrzyła znów na

niego, niepewnie. Była to z pewnością najskromniejsza suknia, w jakiej kiedykolwiek mu się

pokazała. Gdyby wiedziała, że właśnie dzisiejszej nocy wydarzy się ten pierwszy raz, włożyłaby najwytworniejszą! Biały jedwab i klejnoty... Rackford lekko uszczypnął ją w podbródek.

- Wyglądasz przepięknie - skomplementował ją, zupełnie jakby czytał w jej myślach.

Uśmiechnęła się przygnębiona.

- W gruncie rzeczy... jeszcze bardziej mi się podobasz właśnie taka. Onieśmieliłabyś mężczyznę, wystrojona jak bogini.

- Naprawdę? - spytała. Sprawilo jej to przyjemność. Uśmiechnął się nieznacznie i zaczął ściągać kurtkę.

- Niech ci to czasem nie uderzy do głowy - zażartował.

Zrzuciła wysokie buty, a on podszedł do umywalki w kącie, nalał trochę wody do miski i zdjął przez głowę koszulę.

Jacinda przygryzła wargę. Nie miała dziś zamiaru opierać się urokowi tego fascynującego ciała - potężnego, twardego, smukłego, smagłego i wytatuowanego.

Podeszła do niego, gdy nachylał się nad umywalką, opłukując twarz i ciało po walce.

Przesunęła dłonią po zgiętych plecach, a potem obwiodła palcem kontur feniksa w locie, widniejącego pomiędzy ramionami. Skórę miał ciepłą i gładką. Wyczuła, że jej dotyk sprawia mu przyjemność.

Wzięła ręcznik, wiszący na stojaku obok, zwilżyła go w misce i wyżeła nadmiar wody. Gdy Rackford się podniósł i odwrócił ku niej, wsparty o gotowalnię z tyłu, powoli wytarła mu pierś, szyję i brzuch wilgotną tkaniną. Przeciągnęła nią po potężnie umięśnionych barkach i silnych ramionach. Jego zielone oczy rozblęły.

Czuła na sobie ten palący wzrok, gdy po raz drugi zwilżyła ręcznik, lecz wówczas, nim zdążyła się odwrócić, stanął tuż za nią, zanurzając twarz w jej włosach, i objął ją w pasie.

Kiedy drugą ręką otoczył jej szyję, położyła mu głowę na ramieniu, prosząc o pocałunek.

Pozwolił włosom Jacindy opaść nisko, a potem zręcznymi palcami zdjął z niej suknię, szybko sobie radząc z rzędem miedzianych haftek na plecach.

- Boże, tak długo cię pragnąłem - wyszeptał, ściągając z niej stanik i całując wygiętą w łuk szyję.

Gdy suknia opadła na podłogę, przestąpiła przez jej skraj i powoli zbliżyła się do łóżka, zdejmując z siebie cieniutką białą koszulę. W samych tylko podwiązkach i białych pończochach usiadła na łóżku, rumieniąc się na widok jego męskości. Mimo to uniosła dłoń i dotknęła jej czubkami palców.

Drgnął, a jego pierś zafalowała. Odstąpił nieco w tył, żeby pozbyć się reszty odzienia.

Jacinda położyła się na łóżku i z podbródkiem wspartym na ręce patrzyła, jak ściąga ubranie, a potem kładzie się obok niej, zagarniając ją łagodnie pod siebie.

Przy pierwszym zetknięciu się ich ciał zaparło jej dech. Twardy tors przycisnął jej piersi. Mogła wyczuć, jak mocno uderza jego serce.

W chwili, kiedy powiódł ustami wzdłuż jej ciała, nie było już odwrotu. Pocałunek zawładnął nią całą, a dotyk rąk oczarował, rozsiewając wszędzie miękkie ciepło. Pragnęła tego od dawna, śniła o zapamiętaniu się w jego ramionach.

Po chwili odsunął się trochę i zaczął przyglądać jej piersiom, bawić się nimi, ścisnąć je. Uśmiechnęła się błogo, kiedy je całował. Potem jego pocałunki sięgnęły niżej, a dłoń zawędrowała pomiędzy jej uda.

Z drzeniem próbowała zrobić to samo, dotykając go tam to lekko, to znów mocniej.

Powstrzymał ją i przycisnął plecami do posłania.

- Już jesteś gotowa, kochanie.

Oplotła rękami jego szyję.

- Kocham cię - wydyszała.

- I ja ciebie też, milady.

Poczuła, jak jego męskość unosi się i pulsuje, gdy znalazł się pomiędzy jej udami.

- Jacindo - szepnął, wymawiając jej imię tak, jakby było magicznym zaklęciem. -

Kocham cię bardziej, niż mogłabyś to sobie kiedykolwiek wyobrazić.

Gdy wnikał w nią, poczuła, że nigdy nie pragnęła niczego mocniej niż tego właśnie mężczyzny. Krzyknęła słabo, odrzucając głowę na poduszki, kiedy odbierał jej dziewictwo.

Wreszcie stali się jednością, chociaż to bolało. Wtedy poczuła spóźniony strach. Czy mądrze postąpiła? Może popełniła błąd? Czy on istotnie kochają tak mocno, jak sądziła? Już po chwili uspokoił te obawy.

Jego lękliwie wyszeptane przeprosiny zamknęły krąg oszałamiających doznań. Gładził ją po włosach. Szeptał miłosne słowa.

- Chcę cię zawsze kochać, Jacindo. Wiesz o tym, prawda? Nigdy cię nie porzucę.

Tobie jednej ufam. Ty mi okazałaś pomoc, ty się o mnie troszczyłaś. Bez ciebie zginąłbym z kretesem w tym przeklętym towarzystwie! Ale ty mnie uratowałaś. Mój aniele! Moja złota bogini! Potrzeba mi ciebie, Jacindo. Nigdy mnie nie opuszczaj!

Poczuła, że łzy napływają jej do oczu, kiedy mówił, jaka jest piękna, i bawił się jej włosami, czekając, aż jej ciało dopasuje się do niego. Szeptał, że kocha zapach jej skóry, jej chód, jej śmiech i jej oczy, słodsze i ciemniejsze nawet od czekolady.

Wreszcie obróciła się ku niemu bez słowa, napotkała jego wzrok, a potem musnęła jego wargi swoimi. Było to pełne wahania zaproszenie. Odwzajemnił jej pocałunek, lekko, bez pośpiechu, i splótł jej palce z własnymi. Drugą ręką dotknęła go ostrożnie, sunąc nią w górę i w dół po jego boku, jakby badając te smukłe, muskularne kształty.

Wreszcie spojrzała mu w oczy, gotowa, skwapliwa, spragniona. Pocałował ją jeszcze

raz i był to pocałunek sięgający głębiej niż przedtem. Nigdy sobie nie wyobrażała, że całkowite oddanie może okazać się czymś równie cudownym.

Uchwycił mocno jej uda, ucząc ją, jak ma objąć nimi jego nogi. Pomruk zadowolenia sprawił, że dreszcz wstrząsnął całym jej ciałem. Oplotła ramionami jego szyję i z fascynacją patrzyła, jak unosi się na dłoniach, żeby kochać się z nią.

Jasne włosy miał potargane, ciało pokryte warstewką potu. Sięgnął pomiędzy ich ciała i powiódł czubkiem palca po jej najbardziej sekretnym miejscu. Kiedy otworzyła oczy i ponownie spojrzała na niego, twarz miał pełną błogości, a powieki mocno zaciśnięte.

Przywarła do niego, chcąc go pocałować, gdy poczuła, że nadchodzi chwila ostatecznego spełnienia.

- Billy - wyszeptała z ustami tuż przy jego wargach, kiedy to się zbliżało. - Och, na miły Bóg, kochany, nie przerywaj!

Nie przerwał, a w niej po kolei eksplodowała jedna błyszcząca i migocąca gwiazda po drugiej. Jęknęła donośnie i wypowiedziała jego imię, kiedy opadał na nią ciężko. Czowała pulsowanie jego męskości. Była już cała obolała, kiedy opadł na nią zadyszany i jeszcze raz wyszeptał, że ją kocha, a potem ucałował jej policzek z chłopięcą czułością i wsparł głowę na jej piersiach.

Wzięła w ramiona swego zasypiającego Adonisa w całym jego pogańskim splendorze.

Znużona głowa legła jej na ramieniu, a ona spoglądała w górę, na sufit, długo nie mogąc otrząsnąć się ze zdumienia. Nigdy nie doznała niczego, co mogłoby się równać z namacalną wręcz więzią ich miłosnego zbliżenia, tak ciepłą i tak mocną. Czy przedtem w ogóle żyła?

Teraz, kiedy mu się oddała, równało się to jakby ponownym narodzinom.

Jego dłoń pieściła ją wszędzie, jakby pragnął utwierdzić się w tytule własności do każdej cząsteczki ciała tej kobiety, z którą spędził noc.

Czuła, że on rości sobie do niej prawo. I ku jej wielkiemu zaskoczeniu było to uczucie wspaniałe.

Rackford obudził się następnego ranka z błogim uczuciem odprężenia, cudownie wypoczęty. Przez kilka minut było mu tak dobrze, że nie chciało mu się wstać. Pod przykryciem ciało zachowało ciepło, lecz zziębły mu obnażone ramiona i ręce.

Padał drobny deszczyk. Z zamkniętymi oczami nasłuchiwał łagodnego bębnienia kropli. Przez uchylone okno dolatywała z ulicy świeża, czysta woń deszczu, zraszającego trawniki, oraz poranny świergot ptaków. Przeciągnął się z lekkim pomrukiem i ponownie opadł na poduszki. Był zakochany, a świat wydawał mu się po prostu cudowny.

Wyciągnął rękę, żeby sprawdzić, czy Jacinda spoczywa w zmiętoszonej pościeli, czy też wszystko mu się tylko przyśniło. Dziw nad dziwy, naprawdę tam była. Leżała przy nim. Miała zgrabne ciało, godne nimfy, i jasne włosy rozsypane na poduszce. Ciemne, gęste rzęsy rzucały cień na krągłe policzki. Przez chwilę podziwiał pełen wdzięku profil i delikatne, różowe wargi.

Poczuł gwałtowny przypływ radości, gdy pomyślał o tym, że go kocha. I w dodatku zgodziła się wyjść za niego! Przysunął się do niej, pełen oddania i czułości. Jacinda westchnęła, kiedy wziął ją w ramiona.

Gdy wdychał zapach jej włosów, wiedział, że nareszcie zyskał spokój i że ten spokój nigdy go już nie opuści. Tkwił w nim głęboko, niby podziemne źródło. Jak gdyby wszystkie łązy, których nigdy nie wylał, przeobraziły się w tę życiodajną wodę - krystaliczną, świeżą i czystą.

Czuł, że Jacinda zaczyna się nieznacznie poruszać pod dotykiem jego dłoni.

Pocałował ją w ucho, gładząc łuk jej bioder. Wygięła lekko plecy. Krągłe pośladki otarły się o jego wzniesioną męskość. Nie mógł się temu oprzeć.

- Och, Rackford! - skarciła go z uśmiechem, choć nadal nie otwierała oczu.

- Dzień dobry - mruknął, przeciągając umyślnie słowa powitania. - Co chciałabyś

dostać na śniadanie?

- A co proponujesz? Zaśmiał się głośno.

- Boże, jak ja cię kocham!

- Kogo, mnie? - spytała niewinnie i przewróciła się na plecy.

- Tak, ciebie. - Pocałował ją w czubek nosa.

Roześmiała się, gdy sunął powoli dłonią w dół po jej ciele. Nadąsała się lekko, ale nie zaprotestowała.

- Doprawdy, dopiero co się obudziłam. Muszę okropnie wyglądać!

- Wyglądasz wspaniale, moja miła.

- Co za pochlebca! - Przetarła oczy i ziewnęła. - W każdym razie jestem pewna, że nikt z porządnych ludzi nie robi „tego” rano.

- Może cię to zdziwi, ale jest inaczej.

Kiedy wyczuł, że jest już gotowa „to” zrobić, dźwignął się na dłoniach i przez chwilę patrzył na swoje ciało. Uniosła brwi i pokręciła głową.

- Co z ciebie za barbarzyńca!

- Ale kochasz mnie właśnie dlatego. - Udając gniew, obrócił ją ponownie na wznak.

Przekomarzał się z nią i podporządkowywał ją sobie, całując jej giętkie ciało.

Dziewczęcy śmiech szybko zmienił się w pojękiwanie. Pościel owinęła mu się wokół

łędźwi, gdy przewracali się po łóżku. W końcu Jacinda znalazła się na nim - i natychmiast się jej to spodobało.

Z chytrym uśmieszkiem namówiła go, żeby siadł, opierając się o wezglowie. Serce w

nim zamarło, lecz walczył z podnieceniem, kiedy usadowiła się na nim okrakiem i powoli

opuszczała się coraz niżej. Objął mocno jej biodra, a ona oplótła go ramionami i przyciągnęła

bliżej siebie. Pocałował ją w szyję, gdy zaczęła poruszać się na nim.

- Boże, jak ja cię kocham - szepnął zdławionym głosem.

Przymknęła oczy z łagodnym jękiem narastającej ekstazy.

Deszcz przybrał na sile, stał się rzęsiasty. Rackford pozwolił jej kierować każdym swoim ruchem. Odchyliła głowę w tył, poruszając się na nim w omdlewającym, głębokim rytmie, a z każdym jej ruchem rozkosz przenikała go do głębi. Z żadną kobietą nie doświadczył czegoś podobnego. Zrobiłby dla niej wszystko; mógłby zabić, mógłby oddać za nią życie.

Zaczęła się poruszać jeszcze szybciej, coraz gwałtowniej, aż legł zupełnie płasko na łóżku. Kręcone, jedwabiste włosy opadły jej na ramiona w dzikim nieładzie, gdy przyspieszyła tempo; twarde, młode piersi podskakiwały. Zaciśnął zęby, opóźniając własną reakcję, póki nie rozbrzmiał jej donośny krzyk. Na głośny dźwięk własnego imienia nie potrafił się już dłużej pohamować i zatonął w jej uniesieniu niby w ciepłym morzu. Poddał się jej całkowicie i niczego więcej nie czuł poza dotykiem, poza wonią tej kobiety, jego przyjaciółki, jego przyszłej żony.

Kiedy emocje opadły, legli w swoich objęciach niczym para rozbitków, wyrzuconych z wraku na brzeg. Zanurzył palce w jej włosach. Ona otoczyła ramionami jego szyję.

- Jacindo - wyszeptał po chwili, która wydawała mu się całymi godzinami niebiańskiego spokoju.

- Billy... - wymruczała.

- Czy mówiłem ci, że lubię twoje imię? Jest jak dźwięk dzwonu kościelnego, niesionego wiosennym wiatrem.

Uniosła głowę znad jego torsu i zamiast odpowiedzi pocałowała grzbiet orlego nosa, a po chwili, jakby po namyśle, także gwiazdzistą bliznę na skroni.

Jego uśmiech ustąpił wtedy miejsca zadumie. Kiedy zesunęła się niżej i z powrotem wsparła głowę na jego piersi, poczuł, że ciało muskają mu jej długie rzęsy. Coś w nim wtedy zadrgało, coś niewielkiego, ale nowego i pełnego nadziei. Coś, co sprawiło, że nagle zapragnął śpiewać i szlochać jednocześnie. Nie zrobił tego, tylko objął ją mocno, przypominając sobie, że ta krucha istota, niby jakaś potężna królowa wróżek, ocaliła mu zeszłej nocy życie, a nawet więcej, bo jego duszę. I jak podejrzewał, była tego świadoma.

- Jak myślisz, która godzina? - mruknęła.

- Już chyba siódma. - Kiedy jednak wsparł się na łokciu i wyciągnął szyję, żeby dojrzeć tarczę stojącego na gzymsie kominka zegara, zdrętwiał z przerażenia.

- Dziesiąta!

Zerwała się, pełna zgrozy.

- Dziesiąta?! Dobry Boże! Muszę natychmiast znaleźć się w domu! Moja służąca budzi mnie codziennie o wpół do jedenastej!

W popłochu wyskoczyli obydwójce z łóżka, wciągając na siebie jak najspieszniej odzienie, żeby mogła znaleźć się w Knight House, nim książę i służba odkryją jej nieobecność.

- O Boże miłosierny - jęknęła i skryła się za parawanem, żeby się umyć.

Rackford był gotów do wyjścia po trzech minutach. Jacinda wynurzyła się zza parawanu już w sukni. Poprosiła o zapięcie haftek, z którymi uporał się nadzwyczaj szybko. Potem poprawiła mu halsztuk. Znała wprawdzie tylko jeden sposób wiązania go w wytworny węzeł, zwany dyliżansem pocztowym, ale mając pięciu braci, nabrała w tym dużej wprawy. Ręce trzęsły się jej jednak na myśl, że mogą ich przyłapać.

Pospiesznie wsiedli do kariolki i na złamanie karku popędzili ku St. James Street przez Green Park. Deszcz przestał padać, ale niebo pozostało szare. Rackford rozpiął czarny,

skórzany daszek nad pojazdem na wypadek, gdyby znów zaczęło kropić.

- Udawaj, że wstałaś wcześniej i poszłaś na spacer po parku - pouczył ją. - A ja znajdę sposób, żeby zatrzymać Hawkscliffe'a.

-W jaki sposób?

- Po prostu poproszę go o twoją rękę.

- Och! - Jacinda aż westchnęła, ale potem jej twarz rozjaśnił uśmiech niby słońce, które wyjrzało zza chmur.

Wymienili ostatni, szybki pocałunek, nim wysiadła z kariolki w Green Park pod osłoną drzew. Rackford pojechał w stronę pałacu, ona zaś powędrowała przez park. Gdy tylko została sama, rozejrzała się wokoło i z radosnym śmiechem zawirowała wokół własnej osi z szeroko rozpostartymi ramionami. Och, miłość to coś cudownego! Kiedyż ona zdoła powiedzieć Lizzie, że wychodzi za Rackforda?

On tymczasem zajechał pod Knight House, jakby chciał tam złożyć zwykłą wizytę.

Walsh pozdrowił go przy wejściu jak zwykle, lecz tym razem Rackford, po zdjęciu kapelusza, zapytał kamerdynera, czyjego Wysokość książę jest akurat w domu. Z miejsca wprowadzono go do gabinetu Roberta.

Książę z poważną miną wymienił z nim uścisk dłoni.

- Co mogę dla pana zrobić?

Rackford odchrząknął z namysłem, usiłując dać Jacindzie jak najwięcej czasu.

- Wasza Wysokość, przyszedłem prosić o rękę lady Jacindy. Mam nadzieję, że tym razem moja prośba zostanie życzliwie wysłuchana.

- Pojmuję. - Hawkscliffe spojrzał na niego przenikliwie. -Czy jest pan pewien, że moja siostra powita to z zadowoleniem? Nawet po pańskiej wczorajszej burdzie u Almacka?

Doprawdy, co za szokująca awantura!

Rackford zwiesił głowę ze skruchą.

- Przepraszam za nią, Wasza Miłość, ale pan Loring ciężko mnie zniewazył.

- Dlaczego w takim razie nie wyzwał go pan po prostu na pojedynek?

- Nie miałby w nim żadnych szans - odparł z brutalną szczerością.

Książę odczekał chwilę i uśmiechnął się dyskretnie.

- Czy pan kocha moją siostrę?

Otwarcie zadane pytanie zaskoczyło go. Nie wiedział, co na nie odrzec, ogarnęło go zażenowanie. Jakby nie było tego dość, poczuł, że się czerwieni. Hawkscliffe się zmarszczył.

- Kocham ją - przyznał Rackford. - Nawet nie sądziłem, że można kogoś kochać tak bardzo.

Po tych słowach spuścił oczy, czując, że Hawkscliffe przypatruje mu się wnikliwie i po raz ostatni go ocenia. Zmusił się, żeby unieść głowę i spokojnie wytrzymać spojrzenie.

Książę w końcu skinął głową, a potem zadzwonił na kamerdynera.

- Proszę tu sprowadzić lady Jacindę - zażądał. Gdy Walsh wyszedł, raz jeszcze zmierzył Rackforda wzrokiem. - Mam nadzieję, że pan podjął tę decyzję świadomie. Jacinda jest wyjątkowo niesforną osobką. Czy da pan sobie z nią radę?

Upłynęło kilka minut, a Jacindy nadal nie było. Rackford zaczął się niepokoić, czy przypadkiem nie została przyłapana podczas próby wślizgnięcia się do domu.

- Gdzież ona się podziewa? - mruknął zirytowany książę.

- Czy nie przyszedłem aby trochę za wcześnie? - spytał ostrożnie. - Może lepiej wrócić tu później?

- Z pewnością nie! Nie jestem kimś aż tak bezdusznym, Rackford, bym nie rozumiał niepokoję młodego człowieka, który zamierza odbyć podobną rozmowę, i wcale się nie dziwię pańskiemu zdenerwowaniu. Przecież Jacinda musi jedynie wstać z łóżka! - Po raz

drugi niecierpliwie szarpnął sznur od dzwonka i w tejże chwili Jacinda wbiegła do gabinetu, zmieszana, z uroczym rozwichrzonymi włosami.

- Jestem, Robercie! Och... to lord Rackford! Co za niespodzianka! - wykrzyknęła trochę za głośno, cała w rumieńcach.

Okazała się doprawdy lichą aktorką! Rackford rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie, które mówiło, że ma się zachowywać naturalnie, bo w przeciwnym razie wszystko się wyda. Książę przez moment przyglądał się jej z czułością, a potem lekko się uśmiechnął.

- A więc, siostrzyczko, wezwałem cię tutaj, bo dziś rano otrzymałem wspaniałą ofertę od tego obiecującego młodego człowieka, który chce pojąć cię za żonę.

Udała, że zaparło jej dech z wrażenia. Wypadło to dosyć przekonująco.

- Hm - mruknął Hawkscliffe, przenosząc wzrok z jednego na drugie i z powrotem - czy mogę się spodziewać, że życzliwie powitasz oświadczyzny pana Rackforda?

- Och, tak! - wykrzyknęła, trochę może zbyt gorliwie. - To... to znaczy... tak. Bardzo... mi przyjemnie. - I robiąc jednocześnie wielkie oczy, potrząsnęła głową tak energicznie, że włosy opadły jej na ramiona.

Hawkscliffe zdziwił się nieco tym brakiem opanowania.

- Wybacz, jeśli moje pytanie wyda ci się może zbyt szczere, ale, jak rozumiem... jesteś zakochana w tym młodzieńcu?

- Tak. - Kiedy to mówiła, łzy nabiegły jej do oczu, a głos zadrżał.

Książę przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, aż wreszcie zrezygnował z dumnej pozy i roześmiał się serdecznie. Ciemne oczy, tak podobne do oczu Jacindy, zamgliły się lekko.

- W takim razie, moja droga - powiedział półgłosem - znalazłaś w końcu właściwego mężczyznę. Pobierzcie się i kochajcie z moim błogosławieństwem!

Jacinda po krótkim, radosnym szlochu zerwała się z fotela i podbiegła, żeby uściskać brata. Hawkscliffe objął ją z isticie ojcowską dumą i ucałował w czoło, a potem serdecznie ucisnął rękę Rackforda.

- Trzeba o tym oznajmić pozostałym - powiedziała chwilę później z westchnieniem, odzyskując panowanie nad sobą. - Och, gdyby tu była Lizzie! Spytam Bel, na kiedy ustalić termin ślubu. Miranda i Alice też mi chyba pomogą? Przede wszystkim powinniśmy się jednak naradzić z Bel. Ona jest w tym naprawdę bardzo dobra! Czy prędko mamy się pobrać? Jak myślisz? Co powinnam włożyć na siebie? Czy będziemy mieszkać koło Regent's Park, w jednej z tych nowych willi? Wszyscy zzielenieją z zazdrości! Chyba należałoby urządzić dziś wieczorem przyjęcie, żeby obwieścić o naszych zaręczynach!

- Jacindo! - zawołał książe, schylając głowę nad jakimś niezbyt ważnym listem leżącym na jego wielkim biurku, jakby potrzebował chwili na to, by uświadomić sobie, że musi komuś oddać siostrę. - Jeszcze jedno, nim zaczniesz robić sto rzeczy naraz i wybiegniesz stąd Bóg jeden wie gdzie.

- O co chodzi?

- Hm... jakby to powiedzieć... - zaczął życzliwym tonem, ale z pewną domieszką ironii

- otóż włożyłaś suknię na lewą stronę. - Rzucił Rackfordowi ostre, wiele mówiące spojrzenie, a potem odprawił ich gestem dłoni.

Trzy tygodnie później, pewnego przedpołudnia, Jacinda i Rackford pobrali się na prywatnej ceremonii w Knight House. Białe, dwuskrzydłowe drzwi otworzono na oścież, żeby zrobić miejsce około pięćdziesięciorgu gościom. Robert poprowadził Jacindę zaimprovizowanym przejściem poprzez tonący w kwiatach salon i oddał ją narzeczonemu. Lizzie, jej jedyna druhna, sentymentalnie siąkała nosem, gdy Rackford z głębokim przekonaniem wypowiedział swoje: „tak, chcę”, trochę może za mocno ujmując Jacindę pod

ramię.

Kątem oka dojrzała, że jej bratowe wymieniają rozrzewnione spojrzenia. Rackford oczarował je swoją powściągliwością, a chłopięcą wręcz żarliwością ujął sobie całą swoją nową rodzinę. Dlatego też z prawdziwą przykrością przyjęto decyzję jego rodziców, którzy nie przybyli na ślub. Markiza Truro znalazła wprawdzie jakąś wymówkę, lecz był to niewątpliwy afront.

Pastor zwrócił się do Jacindy z powagą:

- Czy ty, Jacindo Knight, chcesz pojąć tego oto mężczyznę za swego prawnie poślubionego małżonka, przyrzekając mu miłość, cześć i posłuszeństwo?

Obydwoje spojrzeli na siebie z niejakim powątpiewaniem, niepozbawionym jednak humoru.

- I... czy obydwójce przyrzekacie żyć wspólnie, tak w bogactwie, jak w biedzie, w chorobie i w zdrowiu?

Jacinda zrobiła długą pauzę. Rackford spojrział na nią ze strachem. Rzuciła mu łobuzerskie spojrzenie.

- Przypuszczam... że tak.

Pastor przyjął tę odpowiedź z pewnym zakłopotaniem. Lucien zakaszlał głośno, żeby zatuszować śmiech. Stał razem z nimi przed ołtarzem, bo Rackford poprosił, żeby był jego drużbą.

Ceremonia skończyła się za to całkiem jak należy. Pastor był rozpromieniony, panna młoda zarumieniona, a pan młody wyglądał, jakby pękał z dumy, ale wewnątrz niego kłębiły się rozmaite uczucia.

- Staliście się mężem i żoną. Może pan pocałować pannę młodą - dodał pastor.

Rackford zwrócił się ku niej z przewrotnym błyskiem w oku, lecz zdołał zachować

godną podziwu powściągliwość, ograniczając się do jednego jedyne serdecznego cmoknięcia. Rodzina i przyjaciele przyjęli z aplauzem składanie podpisów na akcie małżeństwa, a potem otoczyli ich tłumnie. Lizzie chwyciła Jacindę w objęcia. Rackford przyjął gratulacje od swej nowej rodziny z dyskretnym rumieńcem.

Po ślubie Bel kazała podać znakomite śniadanie, a po nim wspaniałe weselne ciasto.

Rackford często ujmował żonę za rękę, co sprawiło, że jeszcze mocniej czuła na palcu obecność małżeńskiej obrączki, która wiązała ją z nim na zawsze.

- Wprost nie mogę uwierzyć, że będziecie podróżować po kontynencie przez całe trzy miesiące! - zawołała Lizzie, wzdychając z lekką zazdrością.

- No, rzeczywiście! - zawtórowali jej Reg i Justin.

- Wiem, że może się to wydawać ekstrawaganckie, ale tyle właśnie czasu zajmie wybudowanie naszego nowego domu w Regens Park - wyjaśniła wesoło Jacinda.

- Przyjaciele Rackforda siedzieli przy stole razem z nimi. Jacinda nadzwyczaj miło przyjmowała względy, którymi obdarzali Lizzie. Aleca posadzono daleko, na drugim krańcu stołu, razem z lordem Griffithem, Damienem i Mirandą. Ostatnie kilka tygodni spędził w wiejskiej willi lady Champion. Pogratulował co prawda Rackfordowi, ale Jacinda przyjęła jego uściski chłodno. Złamana kostka zrosła się i Alec wyglądał równie zgrabnie i przystojnie, jak niegdyś, lecz spojrzenie błękitnych oczu nie było już tak wesołe, a w śmiechu pobrzmiwała gorzka nuta, na którą - jak uważała - solidnie sobie zasłużył.

Lizzie nie patrzyła nawet w jego stronę.

- To nadzwyczajne - mruknęła, starannie ukrywając zaciekawienie. - Gdzież się wybieracie?

- Wszędzie! Odbędziemy prawdziwą wielką podróż, prawda, kochanie? Rackford nigdy nie był za granicą. - Uśmiechnęła się do niego, ściskając porozumiewawczo jego dłoń. -

Paryż, Rzym, Florencja...

- Możecie w Calais natrafić na Acera i Daphne - bąknął Reg.

- Pojechali raczej na północ - poprawił go Justin.

- Do Gretna Green - przytaknęła mu Jacinda. - Słyszałam to od znajomych.

Wydarzył się bowiem największy skandal tego sezonu. Acer uprowadził Daphne po

bójce u Almacka! Helena i Amelia zdradziły jej, że to lady Erhard od samego początku tak

kierowała córką, aby zdobyła sobie utytułowanego męża. Jacinda powitała całe zdarzenie z

prawdziwą radością. Jeśli jakaś para idealnie do siebie pasowała, było nią właśnie tych dwoje.

- Najbardziej chciałbym zobaczyć Wenecję - wyznał Rackford. - Ciekaw jestem, czy

wygląda tak samo, jak na obrazach Canaletta. ~ Spojrzał chytrze na żonę, odgryzając kęs

kurczęcia.

- Oczywiście, zawitamy także do Wenecji. Powinniśmy tam kupić jakiś piękny obraz

do naszego nowego domu.

- Kupić? - spytał kpiarskim tonem.

- Ależ mój drogi... - zerknęła na niego z figlarną miną, upiła łyk wina z kieliszka i

nadał wyliczała: - Na końcu pojedziemy do Wiednia, a jeśli być może przedłużymy naszą

podróż, nawet do Petersburga!

- Wspaniale.

- Lizzie, stanowczo powinnaś pojechać z nami. Wiesz przecież, że chętnie byśmy cię

zabrali...

- Wołałabym nie psuć wam miodowego miesiąca - mknęła. - A poza tym ktoś na mnie

czeka w tym tygodniu. Nie powiem kto!

- Naprawdę?

Lizzie i stary profesor Alfred Hamilton, ojciec Bel, a niegdyś wykładowca Oksfordu,

spojrzeli na siebie z oddaniem. Stary uczoney podzielał namiętność Lizzie do książek, zwłaszcza bardzo starych.

- Niewątpliwie, droga panno Carlisle. A więc... kiedy, moja wspaniała młoda lady?

- Ależ miss Carlisle, proszę nie trzymać nas w niepewności - zaprotestował przyjaźnie Justin.

- Niechże pani powie! - prosił Reg.

- Nim wrócę do Yorkshire - wyjaśniła z uśmiechem - doktor Hamilton zapozna mnie z przedstawicielem pewnego wydawcy z Lipska. Szuka on kogoś, kto mógłby przekładać niemieckie rękopisy publikowane potem po angielsku.

- Czyżby ten wydawca chciał wynająć w tym celu damę? - zdumiała się Jacinda. - Cóż za dalekosiężne zamiary!

Lizzie uśmiechnęła się, choć z pewnym przymusem.

- Będę tłumaczyć je anonimowo, ale widzisz... - przysunęła się do niej - doktor

Hamilton dał mi do zrozumienia, że ten niemiecki wydawca nabył pewien rękopis, o którym nie należy zbyt głośno mówić. Palimy się wprost z ciekawości, co to wszystko może znaczyć.

Prawda, Alfredzie?

- W odpowiednim czasie, moja droga, cała rzecz się wyjaśni.

- Siwowłosy ojciec Bel uśmiechnął się, trzymając w zębach glinianą fajeczkę, której jednak nie zapalił.

Nagle żona Luciena, Alice, wystąpiła na środek pokoju.

- Panie i panowie, czy mogę coś powiedzieć?

- Słuchamy! - zawołał głośno Lucien, uciszając wszystkich naokoło.

Alice z uśmiechem odwróciła się ku stołowi, gdzie siedzieli nowożeńcy, składając im krótki ukłon.

- Lordzie i lady Rackford, z okazji waszego wesela chcemy teraz urządzić małe

przedstawienie. Mirando, użycz nam twego głosu!

Smukła kruczowłosa piękność podniosła się ze swojego krzesła i przeszła lekkim krokiem przez salon razem z Alice. Zony obydwu bliźniaków poczekały, póki nie zamilkł aplauz.

- Cicho już- skarciła zebranych Alice - bo wystraszyście nam wykonawców! - Skinęła na lokaja, który otworzył drzwi.

Do salonu weszły nianki ze swymi podopiecznymi: bratankiem i wychowankiem Alice, małym Harrym, baronem Glenwood, prawie pięcioletnim. Harry prowadził za rączkę dwuletniego hrabiego Morleya, zwanego przez matkę Bobbym. Dwaj mali lordowie zatrzymali się niepewnie na środku salonu. Byli starannie uczesani oraz ubrani w małe fraczki, spodenki i halsztuki.

Harry, pod czujnym okiem Alice, złożył wszystkim ukłon, przy czym o mało nie upadł jak długi. Jedna z nianieek postawiła roczną córeczkę Alice i Luciena, Pippę, na podłodze naprzeciwko jej kuzynków. Następnie, przy pomocy Mirandy, dzieci odśpiewały piosenkę pożegnalną, życząc Jacindzie i Rackfordowi szczęśliwego powrotu, choć Pippa jedynie kiwała bezwłosą główką do taktu i machała energicznie rączką.

Lucien, najwyraźniej wzruszony i uradowany, pokręcił głową, patrząc na córkę.

Harry'ego złapała w połowie piosenki trema, wsadził palec do buzi i niepewnie spojrzał na swoją wiekową nianię. Morley, poważny jak jego papa, robił, co mógł, patrząc na Mirandę i powtarzając po niej słowa.

- Brawo! - wykrzyknęła Miranda, kiedy piosenka dobiegła końca. Reszta rodziny poszła w jej ślady.

Pippa patrzyła z otwartą buzią na obecnych, oklaskiwana za wszystko, co robiła.

Harry rzucił się ku swemu ukochanemu stryjaskowi, Alecowi, a Morley podszedł do Jacindy i stał przy niej, popatrując na nią w milczeniu, póki nie wzięła go na kolana.

- To była wspaniała piosenka, Morley! Ślicznie dziś wyglądasz. Wiesz, kim jest ten pan? - spytała go, wskazując męża.

Dopiero wtedy uderzyło ją, jak dziwnie Rackford patrzy na jej braci bawiących się z własnymi dziećmi. Jeżeli elitarne kręgi były dla niego obcym światem, to pierwsze zetknięcie się z kochającą, bliską sobie rodziną zdumiało go jeszcze bardziej. Jego wzrok powoli łagodniał po wstrząsie, jakim najwyraźniej było dla niego objawienie serdecznej czułości okazywanej przez tych młodych ojców swoim małym pociechom. Lucien uczył Pippę, jak ma wycierać noski; zabawa ta wprawiła ją w stan prawdziwego zachwyty - a wszyscy wiedzieli, że jest oczkiem w głowie taty. Miranda pozwoliła nianiom przynieść do salonu także i kwilącą parkę dorodnych bliźniaków, żeby Jacinda mogła się pożegnać przed podróżą również z Edwardem i Andrew. Lizzie spytała, czy może potrzymać Andrew, a Damien podszedł do nich i objął Mirandę, pokazując jej z dumą, jak mocno Edward chwycił w piąstkę jego palec.

Kiedy Rackford spojrział pytająco na Jacindę, serce ścisnęło się jej na myśl, jak bardzo brakowało mu miłości w dzieciństwie. Nachyliła się ku niemu i ucałowała go delikatnie w policzek.

Wreszcie nadszedł czas opuścić Knight House. Najpierw mieli jechać do Dover, a potem przepłynąć się przez kanał La Manche wraz z trzema powozami - jednym dla siebie, drugim dla służby, a trzecim wyładowanym stertą bagaży, niezbędnych podczas tak długiej nieobecności. Jacinda szczerze pragnęła, aby Rackford delectował się tą podróżą. Jeśli chodzi o podobne okoliczności, pożegnania zazwyczaj bywają długie. Te nie stanowiły wyjątku. Dopiero po półgodzinie zdołali znaleźć się na progu westybulu. Gdy

Jacinda czekała na męża, który żartował akurat z Lucieniem i Alekiem, przydreptali do niej

Harry i Morley.

- Ciociu Jacindo! Ciociu Jacindo!

- Tak, moi drodzy? - spytała, schylając się, żeby ich przygarnąć.

- Znaleźliśmy list! - zawołał Morley.

- Upuściłaś go pod stół. - Harry podał jej kartkę z bardzo ważną miną.

- Dziękuję, chłopcy. - Odcisnięta w wosku pieczęć Truro świadczyła, że list musiał wypaść z kieszeni Rackfordowi.

- Co tam jest napisane? - spytał ze śmiertelną powagą Harry.

- To list do lorda Rackforda. Nie należy do niego zaglądać...

Tylko że on nigdy jej nie wyjawiał, co się stało tamtej nocy w Torcarrow, mimo że Reg i Justin o wszystkim wiedzieli. Poza tym list był już rozpieczętowany. Rzuciła okiem na duże litery nakreślone pospiesznie wytwornym charakterem pisma, lecz już po przeczytaniu pierwszej linijki wiedziała, że stało się coś bardzo złego. Niech lichy porwie zasady!

Przeczytała resztę.

Najdroższy Williamie

Czy nie otrzymałeś mego poprzedniego listu? Dotąd nie dostałam od Ciebie

odpowiedzi. Proszę, przyjedź! Wiem, że jesteś rozgniewany, ale jeśli masz choć trochę litości dla swojej matki, zrozumiesz, że potrzebuję Twojej obecności w tej ciężkiej chwili.

Lekarze mówią, że Twój ojciec już długo nie pożyje. Apopleksja odebrała mu władzę w lewej połowie ciała. Ostrzegają też, że drugi atak nadejdzie nieuchronnie. Puszczali mu krew i zrobili dla niego, co tylko mogli, ale każdego dnia z nim gorzej. Nie odmówisz przyjazdu, prawda? Czekam z niecierpliwością na Twoje przybycie.

Kochająca Cię szczerze

Matka

Jacinda przeczytała list po raz drugi, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Czyżby lord Truro był umierający? Potem przeniosła wzrok z zapisanej kartki na swego męża, który śmiał się i żartował z jej braćmi. Zęby słowem jej nie wspomnieć, że jego ojciec leży na łożu śmierci...

Szybko złożyła list i raczej pospiesznie zakończyła pożegnania, a potem poszła za Rackfordem do oczekującego na nich powozu.

- Do Dover! - polecił stangretowi, machając pogodnie dłonią jej krewnym, i podał Jacindzie rękę przy wsiadaniu do przyozdobionego festonami i wstęgami pojazdu.

Wyczuła w tym jakąś podskórną nieszczerłość. Zatrzymała się z nogą na schodku.

- Poczekaj z odjazdem. Jedną chwilę, proszę cię. Pozwolisz na słówko, mój mężu?

Wciągnęła go za rękę do powozu.

- Niecierpliwisz się, kochanie? - Rackford wskoczył do środka i opadł na przeciwległe siedzenie. Uśmiechnął się bez troski.

Z zaciśniętymi wargami podała mu list.

- Zgubiłeś go. Powiedz mi natychmiast, co się stało.

Uśmiech Rackforda zniknął. Odebrał od niej list i położył go obok siebie, a potem spojrzał na nią wyzywająco.

- Nic ważnego.

- Co się stało? - powtórzyła. Rackford patrzył gdzieś w bok.

- Ten stary łotr miał udar czy coś w tym rodzaju.

- Kiedy?

- Tydzień temu - westchnął z niechęcią. - Matka pisała mi, że Truro szalał ze złości przez kilka dni po tym, jak zawiadomiłem go o naszych zaręczynach. A potem rozżościł się

na któregoś ze służących o jakieś głupstwo i wpadł we wściekłość. Oczywiście po pijanemu.

Podobno wymyślał właśnie lokajowi, kiedy dostał ataku. Padł na ziemię, wijąc się w konwulsjach, i na cały dzień stracił przytomność. Kiedy ją odzyskał, lewą część ciała poraził mu już paraliż.

Patrzyła na niego oniemiała.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że mi o tym nawet nie wspomniałeś. Słuchaj...

- Co, Jacindo? - W jego głosie zabrzmiało znudzenie.

- Musimy tam pojechać.

- Nie. Wybieramy się na kontynent, moja droga. Obiecałem ci przecież. Nie pozwolę temu nędznikowi zniszczyć naszego miesiąca miodowego. Wszystko jest już ustalone.

- Podróż może poczekać. To jest coś ważniejszego. Musimy jechać do Kornwalii.

- Nie musimy. W końcu codziennie ktoś umiera. No i co z tego?

- Ale to twój ojciec.

- Jeszcze jeden powód, żeby tam nie jechać.

- Kochany, wiem, że masz wszelkie powody do gniewu na niego. Pomyśl jednak o matce. Nie możemy jej tak zostawić.

- Dlaczego? Tyle razy zostawiała mnie na łasce tego rzeźnika. Jakoś przeżyłem. Ona też zdoła to przeżyć.

- Rackford!

- Jacindo, za nic nie pojedę do Kornwalii. Oni na to nie zasługują. Ci ludzie cię znieważyli. Gdyby ojciec mógł z siebie wykrzesać choćby odrobinę życzliwości i przyjechał na nasz ślub, zamiast szaleć ze złości, bo sam wybrałem sobie żonę, nie dostałby tego ataku. A tymczasem zniszczył siebie samego. Choćbym nie wiem, co zrobił, i tak go diabli wezmą. Daj temu spokój. Jedziemy do Francji. - Rackford już miał zastukać w ściankę powozu, żeby

dać sygnał stangetowi, lecz Jacinda go powstrzymała.

- Bądź rozsądny! Jeśli on rzeczywiście umiera, to powinieneś po nim dziedziczyć. Czy nie lepiej rozmówić się z nim i upewnić, że wszystko w porządku? W testamencie mogą być jakieś zapisy, o których powinieneś wiedzieć.

- Nasi radcy prawni powiedzą mi o wszystkim.

- Może chociaż odpiszesz matce? Wydaje się zrozpaczona.

- Zawsze taka była, Jacindo. Wszystko wyolbrzymiała, żebym się tylko nad nią litował. Nie warto marnować czasu z jej powodu.

- Ale tym razem ma powody. Rackford, to może być twoja ostatnia szansa pojednania się z ojcem.

- To raczej on powinien był się pojednać ze mną - odparł z goryczą.

- Tak - szepnęła. - Właśnie o to mi chodzi.

- Przysiągłem sobie, że moja noga nie postanie więcej w Kornwalii.

- Tym razem to coś innego, mój kochany. Nie wiem, w jaki sposób mógłbyś tego uniknąć. Po śmierci ojca zostaniesz markizem Truro i St. Austell, a także właścicielem Torcarrow. A twój syn po tobie. Stąd bierze się pewna odpowiedzialność, a dobrze wiem, że mężczyzna, którego kocham, nie będzie się przed nią uchylał.

- Nie wiesz, czego ode mnie żądasz.

- Wiem. - Wyciągnęła rękę i gładziła go po ramieniu, nim nie znalazła właściwych słów. - Kiedy mi wreszcie zaufasz? Wiem, że Reg i Justin byli u ciebie tej nocy, kiedy uciekłeś z domu.

Poblądł lekko, a na jego twarzy odmalowało się zdumienie.

- Wiesz?

- Tak. Chcesz mi opowiedzieć, co się wtedy stało?

- O Boże, za nic.

- Tak też myślałam. - Przymknęła oczy, siląc się na cierpliwość. - Słuchaj, jestem głęboko przeświadczona, że musisz tam pojechać. Nie ze względu na dobro ojca, ale twoje własne i twoich przyszłych dzieci. Tej zabójczej nienawiści trzeba położyć kres.

Przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem w milczeniu. Jacinda widziała, że mąż walczy ze sobą. W zielonych oczach dojrzała gorycz i żal.

- Nie powinieneś, mój drogi, stawać przed takim problemem sam. Pojedziemy na kontynent, ale później.

Wszystko się w nim burzyło, ale gdy zachęciła go bez słów, ruchem głowy, wysiadł z powozu, żeby dać stangretowi nowe polecenia. Nie jechali już na wschód, do Dover, ale na zachód.

Do Kornwalii.

Odbyli tę podróż w ciągu czterech wyczerpujących dni, jadąc aż do dziesiątej w nocy, a potem wyruszając ponownie o świcie. To Rackford narzucił szybkie tempo, nie dlatego, żeby jak najszybciej dotrzeć do celu, tylko po to, żeby jak najprędzej mieć to wszystko za sobą. Był w ponurym nastroju i zachowywał się z rezerwą przez większą część drogi.

Narzekał na nędzne jadlo w zajazdach, na upał, na kurz, na nieustanne skrzypienie powozu i na nudę podczas wielogodzinnej jazdy.

- Nie tak sobie wyobrażałem nasz miesiąc miodowy! - powtarzał co jakiś czas.

Jacinda starała się traktować go wyrozumiale, wiedząc dobrze, jak trudny musi być dla niego powrót do miejsca, skąd dawno temu musiał uciec przed okrucieństwem i bezdusnością. Wydawał się nieco bardziej zadowolony, siedząc nieruchomo na dachu pojazdu wśród przytroczonych do niego bagaży, gdzie słońce prażyło mu prosto w twarz.

Wiedziała, że zbiera siły, żeby stanąć nie tylko oko w oko z ojcem, ale i z bolesnymi

wspomnieniami z przeszłości. Nie miała też pojęcia, jak zostanie przyjęta przez własnych teściów.

Na szczęście pogoda im sprzyjała, a trakty były na ogół dobre i pozwoliły im szybko dojechać do Exeter, potem jednak podróż zaczęła się dłużyć, bo wjechali na mniejsze, boczne drogi. Przejazd przez wyboisty Dartmoor był koszmarem, ale w końcu zdołali przebyć rzekę Tamar i znaleźć się w Kornwalii. Krajobraz stał się przyjemniejszy, choć na krótko, bo wkrótce wjechali w Bod-min Moor, niegościnną, rozległą ziemię o melancholijnym pięknie. Jacinda razem z Rackfordem wołała teraz siedzieć na dachu powozu, patrząc, jak cienie chmur rzeźbią wygląd obszernych dolin i smaganych wiatrem wzgórz.

Gdy zbliżali się do środka wąskiego półwyspu, Rackford powiedział jej, że St. Austell, miasto, od którego pochodził tytuł jego ojca, leży jakieś szesnaście kilometrów dalej na wschód. Znane było, jak mówił, ze swojej gęstej gliny, wywożonej regularnie do Midlands, gdzie robiono z niej najlepszą angielską porcelanę. Truro, duże miasto z wielką katedrą w stylu płomienistego gotyku, znajdowało się blisko dwadzieścia pięć kilometrów dalej na południe.

Czwartego dnia, o wpół do siódmej wieczorem, dotarli do małej rybackiej wioski Perranporth i wspinali się po stoku w górę, póki nie ujrzeli złowrogiej sylwetki zniszczonego przez sztormy, zamku, górującego nad wzburzonymi falami Atlantyku.

Jacinda spojrzała na Rackforda. Wpatrywał się bez słowa w Torcarrow z wyzwaniem w oczach. Wiatr targał jego płowymi włosami.

Obecność Jacindy pomogła mu zwalczyć diabelskie głosy, które szeptały wewnątrz jego głowy: jesteś nicponiem! Wpatrywał się z oddali w Torcarrow z zaciśniętymi pięściami, ogarnięty zaskakująco silnym, dzieciennym strachem. Robił, co mógł, żeby ukryć zamęt panujący w jego głowie. Kiedy ich trzy powozy toczyły się niczym karawana po długim podjeździe, Jacindzie wydało się, że wyczuwa narastającą w nim falę przygnębienia.

Ujęła jego rękę w obydwie swoje dłonie gestem milczącej pociechy, kiedy on robił wszystko, co mógł, żeby okiełznać swój smutek. Nie chciał, żeby ktokolwiek, nawet ona, dostrzegł łzy, których nie chciał wylewać nad wszystkim, co utracił w tym miejscu.

Zamiast tego wolał trzymać się kurczowo słodko-gorzkich wspomnień szczęśliwszych chwil. Wskazał na kępę drzew, gdzie wraz z bratem bujali się niegdyś na huśtawce, zarośniętą chwastami ogrodową glorię, w której znaleźli sówie gniazdo pełne piskląt. Czuł już odmienność powietrza, gdy zbliżyli się do oceanu: mocny wiatr i ostrą, ożywczą woń soli.

Wzbudziła w nim ona niezliczone wspomnienia.

Kiedy podjechali bliżej, nie odważył się pokazać Jacindzie rodzinnego grobowca.

Niewielki budynek o kształtach greckiej świątyni stał w alei dębowej koło stawu. Percy już w nim leżał, wraz z całą resztą przodków. Ojciec również tam spocznie, jeśli ten stary łotr uzna za stosowne wyciągnąć kopyta.

Wciąż jeszcze w to wątpił, mimo solennych zapewnień matki. Czy straszliwy Truro naprawdę umiera? Zawsze wydawał mu się czymś zbliżonym do wiecznotrwałych sił natury.

Jakże ten potężny, zły dzinn mógłby zakończyć życie?

Kiedy podjeżdżali pod wejście, Jacinda spojrzała na niego nerwowo.

- Znienawidzą mnie, prawda?

Ucałował jej dłoń.

- To nie ciebie zniechęcają, Jas, tylko tego, że nie mogą mi już narzucić swojej woli.

Nie daj się im.

Zdał sobie sprawę, że mimo iż odmówił przyjazdu, matka musiała uprzedzić służbę, że spodziewa się go lada moment, bo natychmiast wyszło im naprzeciw sześciu lokajów, formując szpaler gotów na jego przyjęcie, podczas gdy kamerdyner i stara przysadzista kobieta w fartuchu podbiegli do drzwi.

- Och, to panicz Billy! Panicz Billy wrócił do domu! - zawołała do reszty służby.

Jeszcze więcej służących pospiesznie wypadło przed budynek.

Rackford spojrział na nich z niedowierzaniem.

- Przecież to pani Landry, nasza stara kucharka! I Becket, kamerdyner! Nie mogę uwierzyć, że wciąż tu jeszcze są! - Wyskoczył prosto ku nim z powozu.

Jacinda ze wzruszeniem patrzyła na jego serdeczne powitanie ze sługami, którzy służyli jego rodzinie, zanim on sam się jeszcze urodził.

- Nasza kochana kucharka! Warto było tu przyjechać choćby po to, żeby panią zobaczyć!

Ścisnął z uniesieniem tęgawą staruszkę przez dłuższą chwilę, szepcząc jej do ucha podziękowania za woreczek monet, które wsunęła mu po cichu do tobołka w noc jego ucieczki. W jej niebieskich oczach widniało uwielbienie, kiedy poklepała go po policzku.

- Upieczęłłam coś specjalnego, żeby uczcić panicza przyjazd.

- Czy to może krem z bitej śmietany? - domyślił się.

- Z melasą! - odparła ze znajomością rzeczy. - Ulubiony panicza deser!

Odwrócił się nagle ku żonie, parszcząc śmiechem.

- Jacindo, kochanie, chodź tutaj, poznaj naszą kucharkę, panią Landry. Jeśli nigdy nie jadłaś prawdziwego kornwalijskiego kremu, to nie wiesz, czym jest życie! Całe hrabstwo

zazdrości jej tego deseru.

- Och, gdzież tam. Z panicza zawsze był straszny pochlebca! - burczała, ale z wyraźnym zadowoleniem. - Nie do wiary, jak panicz wyrósł!

Roześmiał się i przedstawił pozostałej służbie swoją piękną, młodą żonę. Zachwycali się nabożnie i jej urodą, i londyńskim obyciem, ale szybko ich sobie zjednała serdecznością.

Oni sami też jej się spodobali.

Wkrótce Becket pospiesznie wprowadził ich do domu.

- Pokoje pana i żony są już gotowe, lordzie Rackford. Proszę tędy! Markiza czeka na pana.

Zabawili w swoich pokojach tylko tyle, by się odświeżyć. Potem, spięci, poszli złożyć wyrazy uszanowania lady Truro.

Zawiadomiona o ich przyjeździe przez lokaja, wyszła im na spotkanie z sypialni chorego męża.

- Matko... - Rackford, starając się opanować irytację, złożył jej ukłon i ucałował z szacunkiem w policzek. - Jak się czujesz?

- Jestem zmęczona - przyznała z westchnieniem, które miało świadczyć o udęcie, jaką przeszła. - Ogromnie się jednak cieszę z twego przyjazdu, Williamie. Nie byłam pewna, czy zechcesz tu przybyć.

- Powinnaś podziękować za to mojej żonie.

Lady Truro spojrzała podejrzliwie na Jacindę.

Jacinda złożyła jej niski ukłon, pochylając głowę.

- Madame...

- Jak się pani miewa? - spytała chłodno matka Rackforda.

- Przykro mi bardzo z powodu cierpień, jakich doświadczył lord Truro. Musiała pani

przeżyć wiele trudnych chwil.

Pełne współczucia słowa zaskoczyły zarówno lady Truro, jak i jej syna. Coś podobnego! Jego żona potrafi być równie zręczna i dyplomatyczna, jak Lucien, jeśli tylko chce!

- Dziękuję pani, moja droga - odparła ostrożnie markiza. - Mam nadzieję, że będzie się pani u nas dobrze czuła. Ogrody właśnie kwitną, jeśli chciałaby się pani po nich przechadzać, a na plaży jest bardzo miło o tej porze roku, trzeba tylko pamiętać o parasolce, bo słońce mocno przypieka. To by zniszczyło pani śliczną cerę.

- Dziękuję serdecznie. Będę na to uważać.

Uznanie Rackforda rosło. Lady Truro spojrzała na mleczną karnację osiemnastoletniej Jacindy ze szczerą zawiścią, ale nic nie powiedziała.

Nie umknęło mu, że matka nie złożyła im gratulacji z okazji małżeństwa ani też nie wygłosiła wobec Jacindy choćby zdawkowej formułki „witamy w rodzinie”. Odsunął jednak od siebie to irytujące spostrzeżenie.

-Jak z nim?

- Bardzo jest słaby - odparła lady Truro i urwała. - No, a także zgnębiony. Trudno mu wyraźnie mówić z powodu paraliżu. Nie wolno ci go rozgniewać, Williamie.

- Nawet nie będę próbował, matko.

- Teraz jest u niego chirurg, pan Plimpton. Mówi, że Jego Lordowska Mość musi mieć spokój. Kolejny wybuch gniewu wywołałby drugi atak, a wtedy twój ojciec by umarł.

Rackford namyślał się przez dłuższą chwilę.

- Może nie powinienem tam wchodzić? Mógłby wpaść we wściekłość na sam mój widok.

- Och, jestem pewna, że rad będzie z twojego przyjazdu. Musisz go zobaczyć.

Przyjechałeś przecież z tak daleka.

- I to podczas mego miesiąca miodowego - powiedział, biorąc się pod boki.

- Ach, oczywiście. - Markiza odwróciła wzrok.

Zapadła kłopotliwa cisza.

Rackford spojrzął na Jacindę. Ledwo dostrzegalnie skinęła głową.

- No właśnie - mruknął. - Skończmy z tym wreszcie. Nie powinnaś tam ze mną wchodzić. Może cię spotkać coś nieprzyjemnego.

- Idę z tobą i koniec - oświadczyła stanowczo, ujmując go za rękę.

Szła o krok za nim, gdy otwierał drzwi, lecz Rackford puścił jej dłoń tuż po wkroczeniu do sypialni. Widok ojca sprawił, że zamarł w miejscu.

Chirurg bandażował właśnie ramię markiza po kolejnym puszczeniu krwi. Truro był śmiertelnie blady. Potężny niegdyś i straszliwy markiz nagle jakby zmałał, leżąc na wielkim łożu. Wyglądał tak, jakby między jego ostatnim widzeniem się z synem a obecnym upłynęło dwadzieścia lat, a nie kilka tygodni. Pokryta rdzawymi plamami skóra była teraz woskowo blada. Włosy posiwiały do końca podczas choroby. Policzki i oczy miał zapadnięte, a lewy kąt ust wykrzywiony w nieustannym grymasie.

Kiedy jego wzrok spoczął na Rackfordzie, oczy rozbłysły mu szmaragdową zielenią, pełne determinacji jak zawsze.

- Ach, sępy już się zlatują - syknął, bełkocząc niewiele mniej wyraźnie niż wtedy, kiedy był jeszcze zdrowy.

Jacindę zdumiała jego szydercza uwaga, lecz Rackford, choć rozděły mu się nozdrza, zachował zimną krew.

- Nie ciesz się tak, milordzie. Przyjechałem tu ze względu na matkę, a nie na ciebie. -

Wszedł do pokoju powolnym krokiem, nie zważając na nic.

Pan Plimpton spojrział na niego zaniepokojony.

- Za pozwoleniem, sir, Jego Lordowskiej Mości nie wolno teraz niepokoić.

- Wszelkie bękarty niepokoiły mnie, odkąd przyszedłem na świat - warknął Truro.

- Czy jestem bękartem, ojcze? Czy dlatego tak mnie nienawidzisz? - spytał Rackford uprzejmym tonem, opierając się o komodę z drewna atlasowego.

- Co masz na myśli?! - warknął markiz.

Jacinda patrzyła to na ojca, to na syna, mocno zakłopotana.

- Nie martw się, moja droga. Jestem jak najbardziej jego prawym synem. Czyż nie widzisz podobieństwa? - spytał gorzko jej mąż.

- Rackford! - ostrzegła go.

Spojrział na nią spod oka, a potem skrzyżował ręce na piersi i spuścił oczy, oddychając ciężko. Po co tu przybył? Żeby ojciec ostatni raz mógł go ranić i upokarzać? Tym razem w obecności żony! Wiedział, co było przyczyną gniewu Truro. Jego pycha nie mogła znieść, by ktokolwiek widział go w tym stanie, osłabłego i najwyraźniej ukaranego przez Boga za swoją brutalność. On sam też postępował równie bezwzględnie. Nie mógł znieść zniewag ojcowskich i przebył tę długą drogę tylko po to, żeby podjąć ogromne ryzyko udowodnienia raz jeszcze, iż jakaś mała, szalona jego cząstka... nic sobie z tego nie robi.

Jacinda spoglądała na niego ze zmartwieniem, a potem przerwała nieprzyjemną ciszę.

- Przykro nam z powodu pańskich cierpień, milordzie. Chcielibyśmy coś zrobić, żeby pomóc panu jak najszybciej odzyskać zdrowie.

- Ładnie powiedziane, ale ja nie jestem głupcem. - Truro przestał wpatrywać się w syna. Skupił swoją uwagę na Jacindzie.

Rackford natychmiast poczuł, że budzą się jego instynkty opiekuńcze.

- Przybyliście tylko po to, żeby mi się przypochebiać i upewnić się, czy wszystko

wam zostawię.

Może to dzięki wielu tygodniom prób obłaskawiania przeraźliwego zrzędy, lorda

Drummonda, zdołała odpowiedzieć uśmiechem na grubiaństwa Truro.

- Proszę nie mówić głupstw, milordzie. Mam w posagu sto tysięcy funtów i własną posiadłość w Hartfordshire, która jest majątkiem powierniczym. Zostawił mi ją jako prezent ślubny mój ojciec, ósmy książę Hawkscliffe - odparła stanowczym tonem, żeby przypomnieć mu o swojej pozycji - a był on bogaty jak Krezus, jeśli już mamy o tym mówić. Mój mąż i ja nie umrzemy z głodu.

- Sporo ma pani tupetu.

- Odparowuję tylko ciosy, milordzie. To wszystko.

- Przeklęta bezwstydnico!

- Ojczy - ostrzegł go Rackford przez zaciśnięte zęby - mówisz do mojej żony!

- Lord i lady Rackford powinni chyba stąd wyjść - zaniepokoił się Plimpton.

- Ach, niech zostaną - warknął Truro. - Nie przeszkadzają mi.

- Nie, ojczy. Powinieneś słuchać swego lekarza - odparł chłodno Rackford. -

Chodźmy, Jacindo.

Ale Jacinda nie poszła za mężem. Stała przy łóżku z rękami skrzyżowanymi na piersi i przypatrywała się im uważnie.

- Cóż to znowu, chce mi pani wleźć do łóżka?

- Ojczy! - powtórzył oburzony Rackford.

- Nie przestraszy mnie pan, bo niełatwo mnie czymś zaszokować - odparowała Jacinda.

- Nic dziwnego, skoro wiadomo, kim była pani matka.

- Tego już za wiele! - Rackford zląkł się, że to raczej on może paść ofiarą apopleksji,

jeśli ojciec raz jeszcze powie Jacindzie coś równie obraźliwego.

- W porządku - powiedziała sucho, widząc przerażenie męża. - Komentarze twego ojca są mi obojętne. Przynajmniej mówi mi wszystko w twarz. Prawdę rzekłszy, istny z niego ludojad, ale myślę, że... może on w ten sposób wyraża swoją życzliwość.

Wykrzywione usta markiza rozciągnęły się w czymś, co mogłoby uchodzić za uśmiech.

- Wynocha stąd, ty zuchwała dziwko!

- Hm - odparła sceptycznie - odpocznij sobie teraz, ludojadzie. Przy odrobinie szczęścia może staniesz się trochę miłszy.

Rackford objął ją i wręcz wyciągnął z pokoju chorego. Na korytarzu zbyła potok przeprosin lekceważącym śmiechem.

- Natychmiast wyjeżdżamy! - zawołał.

- Nonsens. Czy chcesz, żeby się cieszył, że udało mu się nas stąd obydwójce przepędzić w ciągu dziesięciu minut? Zaprowadź mnie do kuchni! Chcę wreszcie spróbować tego bajecznego kornwalijskiego deseru.

Popatrzył na nią przez moment, a potem wzruszył z rezygnacją ramionami, westchnął i pokiwał głową. Uśmiechnęła się i ujęła go pod ramię, a on odprowadził ją do królestwa pani Landry na tyłach domu.

Wkrótce siedzieli przy zniszczonym, topornym drewnianym stole kuchennym. Przez uchylone okna wpadała „wieczorna bryza. Dumna i rozpromieniona kucharka postawiła przed nimi dwie miseczki bitej śmietany, a potem poliała je ciepłą, ciemną melasą.

- Proszę, paniczu Billy Całkiem tak, jak pan lubił, tylko piętnaście lat później - dodała życzliwie. - Nie zdążył pan wtedy zjeść deseru.

- Och, legumina jest po prostu pyszna, pani Landry! - Jacinda była w siódmym niebie,

lecz Rackford mógł jedynie siedzieć nieruchomo, patrząc na swoją miseczkę przez napływające do oczu łzy.

Każdy szczegół tamtej okropnej nocy stanął mu jak żywy przed oczami z przeraźliwą wyrazistością. Nie zdawał sobie sprawy, że cały drży, póki nie zobaczył, jak trzęsie mu się ręka. Zacisnął kurczowo palce na rękojeści łyżeczki, jakby to była jakaś broń.

Patrzył w śmietaną poznaczoną melasą, lecz myślami był o tysiąc mil dalej.

- Billy? - Ton Jacindy nagle spowaźniał. Dotknęła łagodnie jego ramienia. - Co ci jest, kochanie?

- Wybacz mi, ale nie mogę jeść... przepraszam cię. - Wstał raptownie od stołu i odszedł, oślepiiony łzami, zaciskając zęby. Szloch dusił go w gardle, ale on nie chciał się poddać słabości.

- Billy!

Usłyszał trzaśnięcie drzwiami. Jacinda wyszła szybko w ślad za nim, lecz on cofnął się, gdy nadbiegła. Nie patrzył na nią, zmierzwił tylko włosy palcami.

- Zostaw mnie na chwilę samego. Muszę się przejść.

- Pójdę z tobą...

- Nie. Zaraz mi przejdzie. Spojrzała mu w twarz. - Jesteś pewien?

Popatrzył na nią tylko z ukosa i pokręcił głową. Z rękami w kieszeniach powłókł się w zapadającym zmierzchu ociężałymi krokami na plażę.

Jacinda z przygnębieniem spojrzała na jego szerokie barki, gdy odchodził.

Och, cóż to za rodzina, pomyślała. Widziała, że jest zdruzgotany. Nie miała zamiaru zostawiać go samego na więcej niż pięć minut. Starając się zapamiętać, w jakim kierunku poszedł, obróciła się na pięcie i zawróciła.

I ona, i pani Landry popatrzyły na siebie ze zmartwieniem. Jacinda podziękowała jej

za uprzejmość, a potem wróciła pod sypialnię Truro. Gdy cicho zapukała, otworzył jej chirurg. Markiz nadal był przytomny. Obiecała mu, że długo tu nie zabawi, więc ją wpuścił.

- Co, wracasz, żeby usłyszeć coś jeszcze raz? Czego chcesz tym razem? - spytał

markiz chrapliwie i bełkotliwie, kiedy siadła w fotelu przy łóżku.

- Chodzi o pana i pańskiego syna - odparła.

- Hm. Zakichany z niego uparciuch. Zawsze był zresztą taki!

- Milordzie, musi pan wiedzieć, że głęboko zranił pan Williama. Jest dobrym człowiekiem, a ja podejrzewam, że w głębi duszy jest pan z niego dumny.

Zignorowała parsknięcie, które miało być zaprzeczeniem.

- Błagam pana, niech pan mu to powie. Chirurg na pewno jasno panu uświadomił powagę pańskiego stanu. Może już nie być żadnej innej szansy. Mojemu mężowi niełatwo przyszło tu przybyć. Nalegam, żeby pan go wreszcie przeprosił.

- Przeprosił? - spytał trzęsącym się głosem. - Ty mała impertynencka łobuzico! -

Próbował usiąść na łóżku, lecz opadł na poduszki, krzywiąc się z bólu i spojrzał na nią z wściekłością. - Wie pani, czego mnie uczył mój ojciec, lady Rackford? „Nigdy nie przepraszaj! Na co ci się to przyda, kiedy jest za późno, a szkoda już się stała?”

- Wciąż jeszcze ma pan czas, żeby naprawić choćby część tej szkody, milordzie. Nie wiem, czy zasługuje pan na przebaczenie, ale wiem, że pański syn jest tutaj i chce od pana tylko jednego: życzliwego słowa.

- Uratowałem mu życie, czyż nie?! Wyciągnąłem go przecie z Newgate!

- Z jego punktu widzenia zrobił pan to dla własnych interesów, a nie z troski o niego.

- Troska o niego? - odwarknął. - Widziała pani tę kariolkę, którą mu kupiłem? Te

konie? Czy powiedział pani, że przyznałem mu pensję w wysokości stu pięćdziesięciu funtów tygodniowo?

- Czy naprawdę nie ma pan siły przyznać, że go pan kocha? Powiedzieć mu, że z radością dowiedział się pan, iż żyje? On tego nie dostrzega, ale mnie pan nie oszuka! Widzę, jak pan na niego patrzy. Wiem, że jest pan z niego dumny i że w jakiś przewrotny sposób kocha go pan. Ale skąd on ma o tym wiedzieć, skoro pan mu nic nie mówi? Z pewnością zdobędzie się pan na odwagę, żeby powiedzieć parę prostych słów, które mogą w jego oczach zmienić wszystko. Czy to zbyt wiele?

- Jest pani okrutna. - Truro spojrział gdzieś w przestrzeń i wsparł głowę o poduszkę. - Proszę mnie zostawić - mruknął po chwili. - Panie Plimpton, niech pan wskaże mojej synowej wyjście.

Jacindę tak zaskoczyło uznanie jej przez markiza za członka rodziny, że zamilkła i uścisnęła jego rękę - prawą, bo lewa leżała przy nim bezwładnie, zgięta od czasu udaru. Była to ta sama ręka, która kiedyś tak często raniła do krwi twarz Billy'ego. Zrobiła to pośpiesznie i w oczach błysnęły jej łzy; ledwie zdołała je powstrzymać.

- Niech Bóg się nad panem zlituje, lordzie Truro. Będę się za pana modliła.

I wyszła z sypialni. Suknia jej zaszeleściła na drewnianej posadzce. Potem zeszła na dół i zaczęła szukać Rackforda.

Bryza z miejsca rozwiała jej włosy i wdzięcznie poruszyła suknią. Jacinda zdołała przedrzeć się przez stado ciem, które kłębiły się wokół każdej z mosiężnych lamp przymocowanych po obu stronach wejścia. Na tle ciemnego, rozgwieżdżonego nieba śmigwały nietoperze. Przeszła przez oświetlony blaskiem księżyca ogród różany i po zmurszałych drewnianych schodkach zeszła na plażę.

Z dala od wybrzeża leżała wysepka z latarnią morską, której promienie padały na ciemne fale w wolnym, regularnym rytmie, lecz nie były na tyle silne, by przeniknąć ciemność okrywającą piaszczystą zatoczkę.

Ostrożnie stąpała po chwiejnych schodkach, trzymając się szorstkiej poręczy. Słyszała i czuła w sobie potęgę rozkołysanych fal uderzających o skały. Gdy jej oczy stopniowo przywykły do gęstniejącego mroku, zdołała dostrzec białą pianę w miejscu, gdzie fale się załamywały.

Kiedy stanęła już u stóp schodków, słaba poświata gwiazd pozwoliła jej rozróżnić osobliwe kształty skał wystających z piasku w formie łuków i mrocznych, sękatych filarów pokrytych aksamitną, zieloną powłoką porostów. Otaczający je piach był miękki i jasny. Tłumił też wszystkie dźwięki niczym gruba kołdra, nie bała się więc głośno nawoływać Rackforda, kiedy dojrzała go stojącego na dużej grupie czarnych skał nad bijącymi w nie falami.

Światło latarni morskiej ukazywało go w przelotnych błyskach. Stał wpatrzony w morze, zamyślony i posepny. Wiatr wichrzył mu włosy i marszczył luźne rękawy białej koszuli.

Jacinda przystanęła, żeby zdjąć buty i pończochy, a potem podeszła ku niemu po zimnym piasku. Zauważyła, że zdjął halsztuk. Był boso, podobnie jak ona, a czarne spodnie miał podwinięte do kolan. Płaszcz zostawił na krześle w kuchni pani Landry, rozpiął też kamizelkę. Rzucił do morza odłamki skalne, lecz zaniechał tego, gdy ujrzał, że się do niego zbliża.

Był wysoki, smukły, magnetycznie wręcz przystojny. Mężczyzna w szczytowym okresie swego życia. Gdy się jednak odwrócił ku niej, twarz miał znękaną, a oczy - zagubionego chłopca.

Nie była pewna, co ma mu powiedzieć. Pochylił się i wyciągnął ku niej rękę. Uniosła suknię powyżej kostek i przyjęła jego ciepły uścisk. Wciągnął ją na skały. Odetchnęła pełną pierśią, czując, że morska piana osiada jej na twarzy.

Ucałował ją w policzek, czując smak soli na jej skórze. Zamiast jednak cofnąć się, wsparł się czołem o jej czoło i przymknął oczy. Ujęła jego głowę w dłonie i trzymała ją delikatnie.

- Dobrze się czujesz? - szepnęła.

- Sam nie wiem. - Światło gwiazd wydobyło z mroku twarde płaszczyzny i kanty jego twarzy, kiedy spojrzał jej w oczy.

- Czy możesz mi coś wyjaśnić?

- Co, kochana? Spróbuję.

Patrząc mu nadal w oczy, pogładziła go po włosach.

- Tak bardzo chciałabym ci pomóc.

- Za co ty mnie kochasz? - spytał ledwo dosłyszalnie. Zaskoczyło ją to pytanie, ale serce miała pełne oddania.

Powiodła powoli dłonią po jego twarzy.

- Z wielu powodów. Bo jesteś rozumny, dzielny, lojalny, silny, czuły, łagodny, uczciwy, rycerski, czarujący, uprzejmy, cierpliwy, mądry, a także umiesz wybaczać.

Odwrócił się ku niej zdumiony, ale ona nie poniechała wyliczania.

- Zawsze dotrzymujesz słowa; rozśmieszasz mnie; słuchasz tego, co mam do powiedzenia; masz interesujące poglądy; jesteś niewiarygodnie przystojny; jesteś wspaniałym kochankiem... Mogłabym jeszcze długo ciągnąć tę listę.

Uśmiechnął się i odwrócił wzrok, nieco zmieszany.

- Uważam cię nie tylko za wspaniałego męża i dobrego przyjaciela, ale za wielkiego człowieka, którego przeznaczeniem jest zmieniać świat na lepsze. Zwłaszcza w imieniu tych, którzy nie mogą przemawiać własnym głosem. Dlatego za ciebie wyszłam. No i, oczywiście, także z powodu twoich tatuaży!

- Czy naprawdę jesteś o tym wszystkim przekonana? - spytał, patrząc na morze.

- Całym sercem - szepnęła, ogarniając go rękami. - Jesteś jednym z najlepszych ludzi, jakich spotkałam.

- Myślisz, że jestem dobry? - spytał zdziwiony.

- Oczywiście. A ty nie?

Wzruszył ramionami, a potem bez odpowiedzi położył jej głowę na ramieniu.

Jacinda założyła włosy za uszy i przyglądała się swoim palcom u nóg na poszczerbionej skale, a potem zerknęła na niego ostrożnie.

- Dlaczego mnie o to pytasz?

Przez chwilę nie odpowiadał, patrząc, jak światło latarni morskiej odbija się w błyszczącej niczym onyks wodzie.

-Ja po prostu... próbuję doszukać się w tym sensu.

Wyswobodził się z jej objęć i stał, wsparty lewą nogą o wyższą ze skał. Wsunął rękę do kieszeni, nadal wpatrując się w horyzont.

- Stałem tu, przypominając sobie, jakie to wszystko było złe. Próbowałem... przekonać siebie samego, niczym rozsądnego, dorosłego człowieka, że nie zasłużyłem na to.

- Och, Billy, oczywiście, że nie zasłużyłeś, mój miły. Byłeś tylko dzieckiem.

- Nie czułem się dzieckiem.

- Ale nim przecież byłeś.

-Jak on mógł robić coś podobnego?

Spojrzał z goryczą na Torcarrow, a potem na nią. W przypiływie nagłego gniewu zacisnął szczęki, a choć w jego wzroku było trochę zuchwalstwa, wiedziała, że wyczekuje jej odpowiedzi, rozpaczliwie pragnąc uwierzyć w samego siebie.

- Ludzkość, mój drogi, jest ślepa i szaloną paradą nędznych głupców - odparła - ludzie

nie są doskonali i czasami popełniają błędy. Nigdy nie wolno ci okłamywać samego siebie i uważać, że odrażające błędy twojego ojca były w jakikolwiek sposób zawinione przez ciebie.

Nie były!

Oczy mu rozblęły na te słowa, lecz nadal patrzył gdzieś w dal, kręcąc głową.

- Mówisz mi tak i wiem, że masz rację, ale chociaż pragnę ci uwierzyć, nie mogę się pozbyć wrażenia, że musiałem zrobić coś złego.

- Rozumiem, dlaczego tak myślisz, bo to, czego doznamy jako małe dzieci, tkwi w nas później przez całe życie. Ale na pewno, mój drogi, w jakimś odległym, skrytym zakątku twego serca musisz teraz lepiej o tym wiedzieć.

- Musiałem jednak coś zrobić, żeby na takie traktowanie zasłużyć. Ojciec nigdy nie postępował tak z Percym, tylko ze mną.

- Byłeś niewinny - upierała się. - Mówiąc ci, że zasługujesz na bicie, lord Truro mógł nie myśleć o swojej własnej, obciążającej go winie. Przenosząc ją na ciebie, mógł nie stawiać twarzą w twarz z okropnością przemocy wobec własnego dziecka.

- To nie fair - szepnął nagle. - On mnie po prostu maltretował. Na oczach Rega i Justina. Przyjechali tu wtedy razem ze mną na ferie. - Pokiwał głową. - A ja tylko wzięłem tę jego głupią lunetę!

Ze łzami w oczach zarzuciła mu ręce na szyję.

- Pozwól, żebym cię wspierała.

Gwałtownie się odwrócił, lecz nie zrobił nic, żeby odwzajemnić jej uścisk.

- Co ci się stało?

- Nie patrz na mnie tak.

- To znaczy jak?

- Jakbym był żalonym małym chłopcem, którego pragniesz ocalić. Jedną matkę już

mam.

Zamilkła i przestała go obejmować.

- Nie odpychaj mnie - poprosiła.

- Nienawidzę tego, że ty o tym wszystkim wiesz! - krzyknął. - To upokarzające!

Nienawidzę tego, że widziałas mnie tamtej nocy w uliczce, tej pierwszej nocy! Nie jestem dość dobry dla ciebie!

- Przestań. Kocham cię.

Milczał przez dłuższą chwilę. Światło latarni morskiej uwidocznilo burzę uczuć na jego twarzy, nim znów pogrzyła się w ciemnościach.

- Kochasz mnie? - spytał wyzywająco, posępnie. Poszedł bliżej.

- Wiesz przecież o tym. - Odchyliła głowę do tyłu, usiłując wytrzymać jego wzrok.

- W takim razie daj mi tego dowód. - Dotknął jej włosów, najpierw delikatnie, a później wczepił się w nie całą dłonią. - I to zaraz - rozkazał jej szeptem.

Stała bez ruchu. - Teraz? Tutaj?

- Tak. Natychmiast.

Zawahała się. Przestraszył ją swoją porywcznością, lecz gdy spojrzała w jego rozjarzone oczy, nie ośmieliła się powiedzieć „nie”, świadoma, jak wiele się kryje za tym zuchwałym żądaniem. Miał w sobie dumę i siłę wojownika, ale duma została dotkliwie zraniona. W jakiś dziwny sposób zrozumiała, że musiał potwierdzić tę siłę zaraz po tym, jak ujrzała go w roli bezradnego, bitego dziecka. Może próbował nawet ją odepchnąć, odstraszyć, tak by wypełniło się jego proroctwo, że nikt go nigdy nie pokocha. Nie zamierzała jednak pozwalać na coś podobnego. Obojętne, jakim kosztem.

Zaglądając w jego rozgniewane zielone oczy, wiedziała, że musi teraz działać ostrożnie.

- Znakomicie - szepnęła, unosząc dłoń, żeby pogłodzić go po udzie. - Jaką mnie pragniesz mieć?

Wytrzymał jej spojrzenie, z rozwianymi włosami, mroczny i niebezpieczny. Niemal podejrzliwie potraktował jej gotowość.

- Leżącą na plecach.

Ujął ją za rękę i sprowadził ze skały.

Stała na piasku, a potem położyła się powoli. William ukląkł między jej nogami i położył się na niej, całując ją zachłannie. Jedną z jej dłoni położył na swojej męskości, domagając się jej dotyku.

Przytłoczyła ją jego przemożna, pierwotna gwałtowność. Czowała, jak jego ręce wślizgują się zwinnie pod jej suknię i unoszą ją. Po chwili i w niej zaczęła narastać namiętność. Znow uniósł się i ukląknął nad nią. Zmierzwił włosy, kanciasta szczęka, szerokie ramiona rysowały się na tle blednącego nieba.

- Jakże posłuszną żoną się okazujesz - mruknął, wyswobadzając się ze spodni.

Wzdrygnęła się. Zabolał ją szyderczy ton, lecz postanowiła nie cofać się przed jego demonami. Jeśli pragnął się przekonać, jak daleko może sięgać jej miłość, nie zawiedzie go.

Posłusznie sięgnęła ku jego męskości. Pogłodził jej dłoń.

- Uwielbiasz to, prawda, moja mała bezwstydnico? - spytał.

- Kocham cię - poprawiła go.

- Ja nie jestem dobry, Jacindo. Nie wierz temu. Jestem mordercą i złodziejem. Mogę cię tylko rozczarować.

- Zaryzykuję - odparła.

Ciemnobrązowe rzęsy ocieniły jego oczy, gdy spuścił wzrok. Otoczył ją nogami i zagłębił się w jej ciele. Trwali tak - przez jakiś czas, radując się swoim złączeniem.

- Nigdy mnie nie zawiedziesz, Billy. Zawsze w ciebie wierzyłam - szepnęła, gdy głaskał jej włosy. - To dlatego zostawiłam ci ten diamentowy naszyjnik.

Sięgnął dłonią w dół, wynosząc ją na nowe szczyty. Potem ściągnęła go na siebie i przytrzymała, gdy obnażał wszystkie swoje stare rany i samotność duszy, gdy całował ją, nieśmiało z początku, a potem coraz gwałtowniej, coraz bardziej desperacko.

Jego ruchy wewnątrz niej przybrały na sile, w rytmie zgodnym z burzliwym biciem fal o skały. Raz za razem szeptał jej imię, a ona całowała jego umiłowaną, tak często posiniaczoną twarz, nie wiedząc, czy słony smak, który czuje, to łzy jego albo może jej, czy też morska piana. Wiedziała tylko tyle, że gdy obydwoje znaleźli się na skraju uniesienia, miała wzrok zamglony pożądaniem i cała zatopiła się w miłości do niego, on zaś drżał w porywach gwałtownych emocji.

- Przepraszam, Jacindo. Bardzo przepraszam.

- Nie, Billy, ty jesteś dobry. Kocham cię, mój miły.

Jęknął głucho, a jego uścisk wzmógł się z intensywnością godną imadła.

- Nigdy mnie nie porzucaj. Jesteś jedyną osobą na tej przeklętej ziemi, którą cokolwiek obchodzę -jęknął.

- Kocham cię, Billy, i zawsze będę kochać. Nigdy nikomu nie pozwolę cię skrzywdzić.

Zażądał schrypniętym, zadyszczanym głosem, żeby podążyła za nim, a ona mogła jedynie usłuchać go, skręcając się i wyginając w spazmie, on zaś podążył za nią w ciemność i błogość kilka sekund później.

Światło latarni morskiej znów padło na niego, ukazując upojenie widniejące na jego twarzy. Jego głębokie, pełne triumfu jęki zachwyciły ją. Potem legł w jej objęciach, cichy i wyczerpany. Jego uścisk rozgrzewał ją w chłodzie nocy. W końcu przekręcił się na bok i

uśmiechnął się smutno.

- O co ci chodzi? - szepnęła.

- Sam dobrze nie wiem. - Z czułością ujął w dłoń jedną z jej piersi. - Kazesz mi się zastanawiać, czy mógłbym cię oszukać, i jak w ogóle zdołałem cię zdobyć, skoro ty najwyraźniej potrafisz przejrzeć mnie na wskroś.

Uśmiechnęła się.

- Kiedy po raz pierwszy cię ujrzałam tamtej nocy w uliczce, wydałeś mi się wcieleniem Conrada. Od tej chwili zakochałam się w tobie.

- Kim, u licha, jest ten Conrad?

- To bohater *Korsarza*. No wiesz, z tego poematu Byrona.

- Tej twojej głupiej pirackiej książki?

- Wcale nie jest głupia! Conrad to wprawdzie pirat, ale dobry, a nie zły!

- Co za wymysły! Chcesz wiedzieć, kiedy ja się w tobie zakochałam?

- No, mów. - Przytuliła się do niego ze śmiechem.

Ujął ją za dłoń i delikatnie zacisnął ją w pięść, całując kostki jej palców.

- Wtedy, gdy dałaś Flaherty'emu po twarzy.

- W uliczce?! - krzyknęła.

Potaknął, śmiejąc się razem z nią i patrząc na nią uważnie.

- Siedziałaś tam, ty, królowa Saba, na kupie śmieci. I powiedziałaś: „Wygodnie mi tu!” Nigdy nie zapomnę, jak wtedy wyglądałaś. A potem, kiedy próbowałaś uciec, dałaś mu taki policzek, że aż go zamroczyło.

- Zasłużył na to.

- A ja sobie wówczas pomyślałem: ostrożnie chłopie, ona jest niebezpieczna!

- Niebezpieczna? Podoba mi się to! - Wygięta jak kotka, powstrzymując śmiech,

przekreśliła się w jego stronę.

Przyciągnął ją bliżej do siebie i spojrzał na ocean.

- Może powinniśmy spędzić tutaj całą noc, pod gwiazdami i księżycem...

- Nie sądzę, żebyśmy wiele wtedy spali, ty nienasycona bestio.

- To chyba świeże morskie powietrze tak działa - mruknął żartobliwie. - Budzi we mnie pirata.

Odeła wargi na te słowa. Zaśmiał się cicho i rzucił ją na plecy w piasek, a potem zaczął całować.

- Mm... - Przymknęła oczy i odwzajemniła mu pocałunek, lecz nagle doleciał do nich z góry czyjś głos:

- Lordzie Rackford! Lordzie i lady Rackford! Jesteście tam gdzie?!

- Boże święty! - jęknęła Jacinda, upewniając się gorączkowo, czy ma suknię opuszczoną do kostek.

- Nie denerwuj się. Nie mogą nas dojrzeć w tych ciemnościach - szepnął. - To chyba woła kamerdyner. Zejdź tu do nas, Becket! - zawołał głośno, przekrzykując huk fal. - Co się stało?

- Lord Truro chce, żeby pan zaraz do niego przyszedł. Proszę, niech się pan pospieszy, milordzie! Dostał drugiego ataku!

Bez dalszych ceregieli wstali i pospiesznie doprowadzili do porządku swoje ubrania, a potem sięgnęli po buty i pobiegli do zamku.

- Oj, paniczu Billy, tym razem to i wzrok mu odebrało! - Becket załamywał kościste dłonie, gdy obydwoje stanęli u szczytu rozchwierutanych schodków.

- Och, Boże - mruknął Rackford.

- Pan Plimpson się boi, że Jego Lordowska Mość nie doczeka rana. A on chce z panem

mówić!

Jacinda spojrzała ostro, pytająco na twarz Rackforda.

- Pomówię z nim - odparł z rezerwą.

Weszli szybko do środka i skierowali się w stronę północnego skrzydła, gdzie znajdowała się sypialnia markiza. Gdy szli korytarzem, wyslizgnęła się stamtąd matka Rackforda, płacząc cicho. Na ich widok rzuciła się synowi w ramiona.

- Och, Williamie! Czy on naprawdę umiera? Boję się, że już nadszedł jego czas!

- Uspokój się, matko - powiedział stanowczym tonem. - Jacindo, zechciej odprowadzić jaśnie panią do bawialni i podać jej kieliszek wina na uspokojenie nerwów. Pójdę do ojca i sam się przekonam, jak z nim jest.

- Proszę tędy, lady Truro. - Jacinda objęła kruche ramiona markizy i odprowadziła ją na dół.

Rackford zebrał wszystkie siły i wszedł do pokoju chorego.

- Williamie, czy to ty? - spytał ojciec chrapliwie.

- Tak, ja.

- Zbliź się tu. - Był to rozkaz, choć wypowiedziany bełkotliwie.

Przełknął z trudem ślinę i usłuchał. Wstrząsnął nim widok widmowego wręcz wyglądu ojca. Wymienił posępne spojrzenie z chirurgiem, a potem, widząc, że Plimpton rozkłada narzędzia, przygotowując się do kolejnego puszczenia krwi, zażądał:

- Proszę z tego zrezygnować! - I oddalił lekarza machnięciem dłoni. Twarz ojca pokrywała śmiertelna bladość. Zbyt wiele razy ją widział w dzielnicy ruder, żeby teraz mieć wątpliwości.

Markiz patrzył niewidzącymi oczami w przestrzeń.

- Chcę pomówić w cztery oczy z moim synem.

- Tak, milordzie. - Plimpton wycofał się pospiesznie.

- Czy już sobie poszedł? - spytał Truro.

- Tak. - Rackford siadł na krześle koło łóżka.

Truro dyszał ciężko.

- Ja... umieram, Williamie. Rackford nie wiedział, co na to odrzec.

- Tak, ojciec.

- Zaopiekuj się... matką...

- Zrobię to.

- Nie pozwól się oszukiwać dzierżawcom. Bóg jeden wie, jakiego jeszcze sposobu się chwycą.

Dobrze, że ojciec nie mógł już widzieć jego krzywego, lekceważącego uśmiechu.

Spuścił głowę.

- Tak, ojciec.

- No, a teraz mam ci coś do powiedzenia, mój panie.

Rackford zesztyniał, słysząc ten bezceremonialny ton.

- Wiem, że twoim zdaniem bez powodu traktowałem cię nieludzko. - Markiz mówił powoli, jakby każde słowo kosztowało go mnóstwo wysiłku.

- Tak - odparł Rackford zwięźle.

- Ale chciałbym, żebyś wiedział, że to... to się nie różniło od sposobu, w jaki traktował mnie mój własny ojciec.

Rackford spojrzał na umierającego uważniej.

- Tak?

Truro powoli sięgnął po szklankę z wodą stojącą koło niego na tacy i ostrożnie pociągnął z niej łyk, zwilżając blade wargi.

- Słuchaj. Myślisz, że mi cię teraz żal? Dostawałem takie same baty jak ty. Nie

wyrządziło mi to krzywdy, a i ty wyszedłeś na ludzi.

Rackford wpatrywał się bez słowa w jego wynędzniałą twarz.

- Słuchasz mnie? Bo nie będę powtarzał drugi raz tego, co teraz mówię.

- Tak, ojcze.

Truro się zawahał.

- Jakaś część mnie była bardzo zadowolona, ze względu na nas obydwu, kiedy uciekłeś. Ja też chciałem uciec, jak byłem mały, ale nigdy się na to nie odważyłem. I choć wysłałem ludzi, żeby cię szukali, cieszyłem się, że cię nie złapali. To była ta część, która potrafiła cię kochać. Ta część, która mnie, ojcu, podpowiadała, że gdybym cię odzyskał, to jedynie zniszczyłbym cię z kretesem i przeobraził cię w to... czym sam się stałem.

Rackford wpatrywał się w niego z powagą. Pierś ojca falowała ciężko, oddychał z wysiłkiem.

- A ty zamiast tego stałeś się kimś lepszym niż człowiek, na którego mógłbym cię wychować. Przyznaję, kiedy byłem w twoim wieku, potrafiłem tylko niszczyć, rujnować. Ty znalazłeś się w prawdziwej dzielnicy nędzy i zamiast niszczyć, budowałeś. - Urwał, coraz trudniej mu było mówić. - Mogłeś sprawić, że ci ludzie drżeliby przed tobą, a tymczasem oni cię pokochali. Mogłeś z nich żyć, wzbogacić się ich kosztem, ale ty dawałeś im jadło, pieniądze i ochronę. Nie przypuszczam, żeby ktoś mógł być bardziej dumny z syna, niż ja jestem dumny z ciebie, Williamie.

Rackford podniósł się z krzesła, nachylił i objął sterane, kościste ciało ojca mocnym uściskiem.

- Wybacz mi, synu - zaszlochał Truro w jego ramionach. - Za każdym razem, kiedy na ciebie patrzyłem, widziałem siebie. Takiego, jakiego mój ojciec nauczył mnie nienawidzić!

- Wybaczam ci, tato - szeptął Rackford, całując jego skroń.

Przesiedział przy nim całą noc. Matka wycofała się do siebie z rozsadzającym bólem głowy, niezdolna do jego przewyciężenia. Dołączyła do nich Jacinda. Gdy zrobiło się późno, zasnęła w swoim fotelu.

Rackford obudził ją delikatnie i powiedział, żeby poszła do łóżka. Ledwie mogła patrzeć na oczy, zgodziła się więc przedrzeć w bawialni na dole. Od tej chwili Rackford czuwał nad ojcem sam jeden. Czuł się dosyć dziwnie, kiedy w końcu zyskał uznanie człowieka, który niegdyś był dla niego szatanem i Bogiem wszechmogącym w jednej osobie. Przed świtem markiz wydawał się spokojniejszy i mówił mu o własnych, pogodniejszych wspomnieniach, o swojej matce i szkolnych dniach. Rackford milczał i notował sobie to wszystko w pamięci. Czuł się bliższy ojcu przez te ostatnie kilka godzin niż kiedykolwiek przedtem. Zabawiał go opowieściami o sobie, o swoich perypetiach w dzielnicy ruder i o tym, jak wygrał w karty cygańską dziewczynę, Carlottę.

- Podobałaby ci się, ojciec.

- Ale nie tak bardzo jak ta twoja mała blondynka. W gorącej wodzie kąpana! Jak ją poznałeś?

Rackford uśmiechnął się i wkrótce zabawił go opisem znalezienia królowej Saby na kupie śmieci.

Jacinda uśmiechnęła się lekko do siebie, słysząc cichy śmiech po drugiej stronie drzwi, chociaż nie mogła wiedzieć, o czym rozmawiają. Dopiero co zbudzona z lekkiej drzemki, chętnie by się dowiedziała, co ich tak bawi, ale nie chciała im przeszkadzać teraz, kiedy ojciec i syn najwyraźniej odnaleźli siebie.

Może nawet lord Truro zdoła pokonać chorobę? Ziewnęła i postanowiła zaczerpnąć na zewnątrz świeżego powietrza.

Szary, mglisty półmrok przedświt rozbrzmiewał ptasim świergotem. Powietrze było wilgotne i chłodne. Czuła na ustach słony smak bryzy. Ciągnęło ją do morza.

Zaczęła się przechadzać bez specjalnego celu, ale wkrótce stanęła ponownie na wzgórzu nadmorskim. Za nią, na wschodzie, słońce wychylało się już zza horyzontu. Różowy blask przeobraził kolor trawy na szczycie klifu w zielonkawę złoto, a wodzie nadał niebiański odcień bladego turkus. Morze było spokojne.

Spienione fale miękko obmywały błyszczące skały, obryzgując je morską pianą.

Nawet mewy poddały się temu nastrojowi, krążąc leniwie na wietrze, a niektóre z nich unosiły się na wodzie. Wiatr wiał tu mocniej niż na skraju morza, ale nie wypłoszyło jej to wcale. Uderzał prosto w klif, rozwiewając jej długie włosy, targał suknią, lecz ona przymykała oczy, stojąc na najdalej wysuniętym ku zachodowi skrawku Anglii. Być może odkryła teraz całkiem nowy wymiar własnego życia? Może zbyt blisko otarła się o śmierć, może też był to zwykły brak snu - ale nigdy jeszcze nie czuła się tak cudownie żywa.

Zaczerpnęła pełną piersią orzeźwiającego, pachnącego solą powietrza i zaczęła schodzić po chwiejnych drewnianych schodkach, kiedy ujrzała, że zmierza ku niej Rackford. Czekwała na niego z pełnym wzruszenia wzrokiem, widząc oznaki wyczerpania - znużony krok, zmierzwiłone włosy, zmięte odzienie. Smutek widniejący w jego spojrzeniu powiedział jej, że jego ojciec nie żyje.

Objęła go, gdy dotarł do skraju klifu. Długo, bez słowa trwali w tym uścisku.

- Czy umarł? - spytała szeptem, chcąc się tylko upewnić.

Przytaknął milcząco.

- Przykro mi, kochany. - Pogładziła go po włosach, a potem przytuliła jego głowę do swojego ramienia, modląc się w myśli za swojego teścia.

Po jakimś czasie Rackford odetchnął głęboko i wyprostował się, patrząc w zamyśleniu

na morze. I ona również zaczęła się przyglądać oceanowi. Stał za nią, obejmując ją w pół.

Pogładziła jego ręce, które spoczęły na jej brzuchu.

- Dziękuję ci, Jacindo - powiedział po chwili. - Nigdy by do tego nie doszło bez ciebie. On nigdy by się nie ugiął, ja odjechałbym wczoraj wieczorem. Do licha, przecież nawet bym tu nie przyjechał, gdyby nie ty! Dałaś mi... coś nadzwyczajnego.

- A z ciebie jest nadzwyczajny człowiek. - Uśmiechnęła się i oparła głowę o jego ciepłą, mocną pierś. - Wielu ludzi nie byłoby zdolnych mu przebaczyć.

- Tak - powiedział powoli, starannie dobierając każde słowo - teraz wiem, dlaczego wszystko tak właśnie się stało. Przez wiele lat byłem rozgoryczony, ale dziś widzę, że zrodziło się z tego wszystkiego dobro. Moja ucieczka. Nasze rodzinne przekleństwo, jak je nazwał, zostało przełamane. A ja w dzielnicy ruder poznałem tę stronę życia, której ludzie z moją pozycją są nieświadomi. I może uda mi się czegoś dokonać właśnie dzięki temu. A na razie chcę tylko, żebyś wiedziała, że nigdy bym nie zdołał osiągnąć tego bez ciebie. - I łagodnie obrócił ją twarzą do siebie.

Spojrzała z miłością w jego zielone jak morska woda oczy. Czułe słowa sprawiły, że coś jej się nagle przypomniało.

- Czy nie moglibyśmy tu zostać jeszcze przez jakiś czas? Kornwalia jest takim pięknym miejscem!

Powiódł palcem po jej policzku.

- Nie widzę przeszkód, skoro tak sobie życzysz. W końcu to teraz twój dom. Nasz dom - dodał, wskazując na Torcarrow, wznoszący się dumnie w niedalekiej odległości.

Spojrzała na zamek, a potem na Rackforda, zaskoczona świadomością, że jest on teraz markizem Truro i St. Austell - a ona markizą i panią Torcarrow. Nagle dostrzegła ciemne kręgi pod oczami męża i z czułością dotknęła jego twarzy.

- Połóż się teraz, nim zaśniesz na stojąco.

- Dbasz o mnie, jak zawsze - zauważył z rozbawieniem nie-pozbawionym nutki ironii.

Objęci ruszyli ku zamkowi.

- Och, wiem, że w gruncie rzeczy wcale ci tego nie potrzeba - zapewniła go z

błyskiem w oku godnym oddanej żony - ale czuwanie nad tobą mnie uszczęśliwia.

- Mnie też.

Przyjrzała mu się zaskoczona, bo jego uparte odrzucanie wszelkiej pomocy dobrze się jej wryło w pamięć.

Uśmiechnął się do niej porozumiewawczo i zarazem ze skruchą, a potem objął jej ramiona i wsparł się na niej, gdy szli ku domowi.